

Margaret Owens Cuthbert

Niema kolyska

Tę książkę, razem z miłością i sercem,
dedykuję mężowi
doktorowi medycyny Ronaldowi A. Dritzowi

PROLOG

Noszę dziecko Boga w moim łonie! - krzyczała Nola Payne. - Moje przeznaczenie należy do Niego!

- Panno Payne, jak pani może, przecież to bluźnierstwo - odezwał się pielęgniarz Theodore McHenry.

Wraz ze swoim bratem bliźniakiem chwycił nosze, na których leżała krzycząca kobieta, trzymająca się za wystający wysoko brzuch.

- Niech się pani nie obawia. Jesteśmy ekspertami, nasza w tym głowa, aby bezpiecznie panią dowieźć na porodówkę do Berkeley Hills.

- Ruszaj się szybciej - zamruczał Leonard McHenry.

- Jeszcze się nie obrócił - Theodore uśmiechał się do Noli. - Spryciarz, pewnie chciałby wylądować na tym świecie stając od razu na nogach!

Nola nie zamierzała tego komentować. Kiedy pielęgniarze wysilali się, aby włożyć nosze z niemal stukilowym bagażem do karetki, pocałowała i mocniej ścisnęła w dłoni krzyż, zawieszony na sznurówce u jej szyi.

Wierzyła, że jej los leżał w ręku Boga, nie człowieka.

Przecież nikt inny tylko Bóg chciał, aby była bliżej niego, i to on wniósł nosze do ambulansu. On może wszystko - jedno co trzeba zrobić, to mocno w niego wierzyć.

Po zabezpieczeniu noszy w podłodze, Theodore został z nią w kabinie karetki. Leonard, podobnie jak brat, ubrany w ciemnoniebieską kurtkę, zeskoczył na ziemię i zatrzasnął drzwi.

Wtedy to czarne oczy Noli rozejrzały się po pomieszczeniu. Taki mały pokój i taki surowy - zauważyła z lekkim zdziwieniem.

Pokryte zielonym bluszczem Centrum Porodów, z którego Nola była przewożona, miało w pokojach obrazki z anielskimi dzieciątkami i niebiańską muzykę dochodzącą z pomalowanych na łososiowy kolor ścian, nie wspominając już o wiśniowych cukierkach -jej ulubionych - które zawsze leżały na stoliku obok. W kabinie ambulansu zamiast tego były niebieskie skrzynki wypełnione plastikowymi paczkami i rząd jasnego światła, który sprawiał, że musiała mrużyć oczy.

Ale zapach był przyjemny, czysty. Pachniało spirytusem. Przez ostatnie dziewięć miesięcy Nola wcierała spirytus w swój powiększający się brzuch. Chciała, aby jej dziecko urodziło się nieskazitelnie czyste, bo ta cecha była jej następną namiętnością po Bogu.

Usłyszała cichy warkot silnika i poczuła, jak ambulans powoli rusza z miejsca. Theodore, z uśmiechniętymi oczami, delikatnie rozerwał zielone opakowanie i nim odkręcił kurek, założył jej maskę tlenową na twarz.

Czując nagle jakiś dziwny zapach, Nola zmarszczyła nos i zdjęła maskę z twarzy.

- To tylko plastik - powiedział przepaszająco i ponownie ją założył. *

Patrząc ponad maską, widziała jego okrągłą błyszczącą w świetle łysinę i twarz pokrytą niezliczoną ilością zmarszczek. Z płomiennoczerwonymi wąsami, Theodore wyglądał dokładnie tak samo jak jego brat - nie był tylko tak otyły jak tamten.

- Pani Payne, tlen nie ma zapachu - tłumaczył jej spokojnie. - Niech pani normalnie oddycha, to dobrze zrobi pani dziecku.

Z jednego z pojemników umieszczonych nad głową wyjął nową paczkę.

- Czy to pani pierwsze dziecko? - zapytał rozrywając opakowanie.

Wyciągnął z niego plastikową rurkę i wbił ostro zakończoną końcówkę w inne opakowanie, które właśnie wyjął z niebieskiego pudełka. Następnie przekręcił plastikowy kurek. Do pojemnika, niczym z uszkodzonej spłuczki, zaczęła kapać słona woda.

- Ja sam mam już kilka dzieciaków - mówił dalej. Zmiał opakowania i wrzucił je do otworu w ścianie ambulansu.

- Ty nie masz dzieci - zaśmiał się z szoferki Leonard - tylko kilka rozpuszczonych potworków. Przez cały dzień nic innego nie mówią tylko „Daj, daj, daj...”

Theodore uśmiechnął się i lekko otworzył zawór z tlenem. Powietrze jakby silniej uderzyło w twarz panny Payne i choć w dalszym ciągu nie podobał się jej ten zapach, wdychała je głęboko dla dobra dziecka.

- Bardzo dobrze, właśnie tak - pochwalił ją Theodore. Podniósł jasnozielony koc, którym była przykryta, i przyłożył słuchawkę małego stetoskopu do jej brzucha. - Dobrze, teraz niech się pani przez chwilę nie rusza. Sprawdźmy, jak się ma nasz mały człowieczek.

- O je o je, nie chcę dzieci, o nie... - zaśpiewał w szoferce Leonard.

- Ty, zamknij się na chwilę, co! - krzyknął Theodore. Z głową lekko przechyloną na bok i zamkniętymi oczami słuchał dźwięku w słuchawce. Kiedy przycisnął ją do jej brzucha, Nola chwyciła słuchawkę i przesunęła ją w miejsce, o którym jeszcze kilka minut temu pielęgniarka z Centrum Porodów powiedziała, że właśnie tam najlepiej słycać bicie serca jej

dziecka.

Nagle, gwałtownym ruchem odepchnęła jego rękę. Przeszywający ból przebiegł z jednej strony brzucha na drugą, po czym szybko przeniósł się pomiędzy nogi. Chwyciła swój krzyżyk, ale ból jeszcze się zwiększył, upuściła go i chwyciła się rękoma za biodra. W tej samej chwili ból nagle zmienił swe położenie i jakby wypalając ścieżkę w jej wnętrzu, przesunął się prosto w kierunku klatki piersiowej. Nola złapała się za piersi, ale już go tam nie było. Poczwała nagle, jakby dwadzieścia rozpalonych strzał z piekła rodem przeszywało jej brzuch z góry w dół. Oblał ją zimny pot i złapały mdłości. Próbowwała oddychać głęboko i spokojnie, tak jak zapamiętała z lekcji oglądanych w telewizji, ale nie pomogło. Ból, mdłości i zimny oblewający pot nie ustępowały.

Złapała Theodore'a za rękę, ale ten nie zareagował.

- Boli, boli! - krzyczała, ale jej głos nie wydostawał się jednak spod przykrywającej twarz maski.

Spróbowała jeszcze głośniejsze, ale i tym razem Theodore nie zwrócił na nią uwagi. Niespokojnie przesuwając słuchawkę stetoskopu po jej brzuchu, oczy miał pełne strachu, a jego łysa głowa pokryła się siatką niebieskich cienkich rzeź.

W końcu Nola zerwała z twarzy maskę. Do tej chwili nie usłyszała jeszcze bicia serca swojego dziecka.

- Co się stało?! Co z moim chłopcem?!

- Hej, co się tam dzieje? - zawołał z szoferki Leonard.

- Oddychaj! - krzyknął Theodore zakładając jej ponownie maskę na twarz.

- Oddychaj! Twoje dziecko potrzebuje tego więcej niż myślisz!

- Nie! - krzyknęła i uderzyła go pięścią prosto w szczękę. Theodore

zaskoczony uderzeniem poleciał do tyłu i walnął głową w ścianę ambulansu. Nola zerwała maskę i rzuciła ją za siebie.

- Ratujcie moje dziecko! - krzyczała.

- Theo! - krzyczał z szoferki Leonard. - Co się tam, do cholery, dzieje? Zaczyna rodzić czy co?

- Dobry Boże - jęczał Theodore. - To nie może tak być! Niemożliwe...

- Proszę, ratujcie moje dziecko! Ratujcie mojego chłopca!

- Theo, co ty, do cholery, tam wyprawiasz?!

- Tętno, nie mogę wyczuć tętna, idioto! Nie mogę wyczuć jego serca.

- To niemożliwe, znów to samo?

- Leo, zamknij się!

- Jezu Chryste ratuj nas! - krzyczała Nola chwytając się za brzuch. - Och, jak boli... Dobry Boże, jak boli...

Przyj - spokojnym głosem zwróciła się do swojej pacjentki, Angel Lloyd, doktor Rae Duprey.

- Wyciągaj, wyciągaj już! - krzyczała Angel Lloyd.

- Uspokój się, kochanie - zwrócił się do niej mąż, Max.

- Sam się uspokój, skoro myślisz, że to takie proste!

Słuchając tej rozmowy Rae zaśmiała się cicho. Siadła na stołku pomiędzy szeroko rozstawionymi nogami Angel. Przysunęła się bliżej i sterylną gazą wytarła strużki krwi wypływające z krocza, gdzie widać już było czubek główki dziecka. Rozpoczął się następny skurcz.

- Bardzo dobrze, oddychaj teraz spokojnie, wdech i wydech, powoli - mówiła Rae.

- Aaaaaaa! - krzyczała Angel. - Proszę, Rae, zrób coś, wyciągnij wreszcie! Nie siedź tam jak kołek. Zróbcie mi cesarkę, zróbcie coś!

- Mówiłem ci, słoneczko, żebyś przystała na znieczulenie - odezwał się znowu Max, wycierając spocone czoło.

- Zamknij się i przestań mnie tak nazywać.

I wówczas pokazała się główka dziecka pokryta mokrymi ciemnymi włosami, a moment później widać już było różową pomarszczoną twarz. Rae spojrzała w dwoje olbrzymich niebieskich oczu wpatrujących się w nią ze zdziwieniem. Czubkiem palca dotknęła maleńkiego noska, po czym niebieską ssawką wyczyściła jego usta i nos.

- Ciężka przeprawa, co? - szepnęła do maleńkiej twarzyczki.

Pół godziny później Rae zawinęła się po kąpieli w ręcznik. Była bardzo drobną kobietą, niespełna metr sześćdziesiąt i blisko sześćdziesiąt kilo do figury gibkiego tancerza. Jej szeroko rozstawione, jasnobrązowe oczy w kształcie migdałów wpatrywały się w błyszczącą, białą ścianę szatni. Westchnęła cicho i zamknęła oczy. Stała tak przez chwilę i myślała o dwójce niemowląt, które z jej pomocą przyszły dzisiejszej nocy na świat. Delikatny uśmiech przemknął po jej twarzy, czuła się szczęśliwa, jednak bardzo zmęczona. Najważniejsze, że matki z dziećmi czują się dobrze. To w tej chwili się liczy, pomyślała z uśmiechem.

Usiadła na drewnianej ławce, z dyktafonem w dłoni, do którego czytała listę zakupów, choć powodem nie był ich ogrom. Jako zastępca ordynatora oddziału ginekologiczno-położniczego w szpitalu Berkeley Hills, nie miała zbyt dużo czasu dla siebie. Dlatego też, kiedy robiła zakupy, musiała zrobić je bardzo szybko i nie zapomnieć o niczym.

Kiedy w końcu spełni się jej marzenie i zostanie ordynatorem oddziału, będzie miała jeszcze mniej czasu na zakupy i osobiste sprawy, a stać się to może już w styczniu... Zreflektowała się nagle, że to już przecież za trzy

miesiące. Nie tylko zostanie pierwszą w szpitalu kobietą ordynatorem, ale będzie pierwszą Afro-Amerykanką piastującą tak wysokie stanowisko w tym szpitalu. Walka o to miejsce była niezwykle ciężka, ale zdawała sobie sprawę, że warta była każdego poświęcenia.

- ...i kości wołowe dla Leopolda - rzuciła do dyktafonu, zamykając listę zakupów przysmakami dla jej czarnego labradora.

Szatnia pachniała mydłem, dezodorantem, wodą toaletową Rae i ciągle jeszcze była zaparowana od gorącej kąpieli. Na korytarzu słychać było pomruk odkurzacza. Nagle jakby urósł i kiedy podniosła głowę, zobaczyła, że drzwi szatni otworzyły się i wchodzi Bernie Brown, przełożona pielęgniarek oddziału położniczego i jej najlepsza przyjaciółka.

- Boże, co za noc! - wykrzyknęła Bernie. - I jeszcze ta Angel, jakby żywcem wyjęta z „Egzorcysty” - rzekła, zamykając za sobą drzwi.

Bernie przebrała się w szatni dla pielęgniarek i wychodząc do domu jak zwykle wstąpiła tutaj, aby pożegnać się z Rae.

- Bernie, dlaczego ty mi nigdy nie powiesz, co naprawdę czujesz? -

złośliwie zapytała Rae. Głos miała delikatny i melodyjny z akcentem matki z Nowego Orleanu. Jedynie na sali operacyjnej czy też porodowej mówiła ostro i krótko jak zagniewany sierżant rzucający rozkazy szeregowcom. - I zostaw Boga w spokoju - dodała już bardziej poważnie.

Matka Rae wykrwawiła się na śmierć podczas porodu w ambulansie.

Trzynastoletnia wtedy Rae była świadkiem całego zdarzenia. W czasie pogrzebu matki podjęła dwie decyzje. Pierwsza, że zostanie najlepszym na świecie położnikiem, aby nigdy więcej żadna kobieta nie musiała cierpieć tak jak jej matka, a druga, że Bóg nie jest po jej stronie. Gdyby był, nie pozwoliby jej matce tak cierpieć.

Od tamtego dnia Rae przestała być małą dziewczynką. Jej surowy ojciec zabronił jej nawet płakać podczas pogrzebu. „Pamiętaj, ani jednej łzy”, ostrzegał ją.

Przełknęła więc swój ból i ukryła wszelkie uczucia głęboko w sercu. Od tamtej chwili powoli i systematycznie zaspokajała swoje ambicje i nigdy nie wracała do przeszłości.

Bernie spoglądała na nią z góry.

- Już dobrze, Rae. Wiem, że ty też ledwo żyjesz. Ta Angel była zbyt męcząca, nawet dla ciebie. - Poprawiła swój pielęgniariski czepek, jaki zawsze dumnie nosiła w szpitalu, nawet teraz - do dzinsów i ciepłej kurtki.

- Przyznaj, że jesteś już za stara na takie nocne akcje.

Rae podniosła ręce do góry i ziewając szeroko wyciągnęła się jak kot.

- Nieprawda - odparła. - Któż mając trzydzieści osiem lat może czuć się zmęczony!

- My - odpowiedziała Bernie.

Rae bardzo nie lubiła mówić o swoim wieku, nawet przy Bernie. Właśnie tyle lat miała jej matka, gdy zmarła. Szybko więc zmieniła temat rozmowy.

- Ale sama powiedz, czy ten bobas Angel nie jest słodziutki? - rzekła. - Te wybałuszone na nas oczy, jakby pytały: „Hej, coście za jedni?” Czy można czuć się zmęczonym po czymś takim...?

- Właściwie, to jestem już za stara i nie wiem, jak długo jeszcze popracuję na nocne zmiany - przerwała jej Bernie wracając do poprzedniego tematu.

- Dlaczego? Ja czuję się jak nowo narodzona - powiedziała Rae. - Jak kurczak wykluty z jajka - dokończyła radośnie. Bernie czekała cierpliwie, aż się wyśmiej.

- Nie mam ochoty na żarty - stwierdziła w końcu. - I mam już tego naprawdę dosyć.

- Och, czyżby? - zapytała Rae, zakładając nogę na nogę. Dobrze wiedziała, że Bernie tak samo jak i ona cieszy się z każdego udanego porodu. - Nigdy wcześniej nie narzekałaś.

Bernie oparła się plecami o szafkę i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Chyba zrezygnuję z tej pracy - powiedziała. Rae wymachiwała swoim dyktafonem jak jakaś dystyngowana dama z papierosem w cygarnicze. Westchnęła głośno.

- Bernie, ty znów to samo. Naprawdę nie powinnaś słuchać tych wszystkich plotek.

Bernie spojrzała na nią z lekkim przekąsem.

- Tak myślisz... - Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjęła kartkę papieru. - A to niby co jest? - spytała, podając kartkę Rae. Z nagłówka wynikało, że to z ich szpitala.

- „Z powodu zmniejszających się dochodów - Rae zaczęła czytać głośno - szpital Berkeley Hills zmuszony jest obniżyć budżet każdego oddziału o piętnaście procent. Zarząd szpitala dołoży wszelkich starań, aby nie zmniejszać zatrudnienia na oddziałach szpitalnych. O wszelkich posunięciach w tej sprawie będziemy informować na bieżąco". Ale nie

10
zrobią tego z naszym oddziałem - skwitowała autorytatywnie, oddając list Bernie.

_ Przestań bujać w obłokach - odparła Bernie. - Jeżeli jakkolwiek oddział będzie miał kłopoty, to właśnie nasz. Centrum Porodów nas zabija. Może powinniśmy robić to co oni: dawać kojącą muzykę w salach i na

korytarzu, w każdym pokoju kwiaty, przemalować ściany na żywsze kolory i pozbyć się tych cholernych komputerów...

Rae patrzyła na nią z lekkim niedowierzaniem.

- Centrum Porodów jest pełne błyskotek i niepotrzebnego przepychu - stwierdziła.

- To jeszcze można przeżyć. Ale nas niszczy. Gdybyś była rozsądna, zmieniłabyś zdanie i sama się tam przeniosła.

- Nigdy!

- My, to znaczy pielęgniarki - ciągnęła dalej Bernie - jesteśmy o krok od otrzymania wymówienia. Sama przeczytałaś to pismo, oni nie żartują.

Rae lekko uderzyła się dyktafonem w czoło.

- Przecież oni tam nawet nie mogą zrobić cesarki. Bernie sięgnęła po dyktafon i rzekła prosto do niego:

- Odbieranie porodów to ciężka praca, a nie dar od Boga.

- Nigdy nie mówiłam, że tak nie jest - odcięła się jej Rae.

- A twoje płomienne wystąpienie na dzisiejszym zebraniu zarządu niczego nie zmieni - dodała Bernie.

- Zarząd nie jest głupi. Wie, że oddział położniczy utrzymuje ten szpital. I zobaczysz, że nim to zebranie się skończy, będziemy przyjmować, a nie zwalniać pielęgniarki. Nikt, powtarzam nikt nie będzie zwalniać stąd ludzi, tak długo jak ja będę miała tu coś do powiedzenia!

- Ale Bo mówił coś zupełnie innego... - zaczęła Bernie.

- Kogo obchodzi, co mówił Bo - przerwała jej. - Naprawdę rozmawiałaś z Bo...? - Ze zdziwieniem spojrzała na Bernie. Zesztywniała cała w oczekiwaniu na odpowiedź.

Bo Michaels był dyrektorem medycznym Centrum Porodów, ordynatorem

oddziału położniczego w szpitalu Berkeley Hills i byłym adoratorem Rae.

- Jasne, że z nim rozmawiałam. Wszystkie z nim rozmawialiśmy - mówiła z lekkim przekąsem Bernie. - Proponuje nam tylkoienne zmiany i to za większe pieniądze niż tutaj.

- Żartujesz sobie ze mnie... - rzekła z niedowierzaniem Rae.

- I pełny pakiet świadczeń socjalnych od pierwszego dnia pracy.

11

- Nie mogę uwierzyć, że rozmawiałas z kimś o tym, a zwłaszcza z Bo. Przecież to właśnie przez niego mamy te wszystkie kłopoty. To on otworzył to cholerne Centrum i robi wszystko, aby wygryźć nas z tego interesu...

- Powiedz mi - przerwała jej Bernie - dlaczego, jak tylko wspomnę o Bo, od razu się denerwujesz?

Rae wrzuciła dyktafon do szafki. Czuła, jak wraz ze znikającą parą w szatni znika jej dobre samopoczucie. Potrząsnęła gwałtownie głową, jakby chciała z niej wyrzucić resztki myśli o Bo.

- Tak naprawdę - dodała - to nie uwierzę, że mogłabyś mieć z nim coś wspólnego.

- Jeżeli chodzi o to, co nam zaoferował, to lepiej uwierz. Rozmowa na temat Bo Michaela powodowała, że Rae czuła się nieswojo. Próbowwała zmienić temat, ale Bernie jej nie pozwoliła.

- Posłuchaj, moja droga - ciągnęła Bernie. - Tą, która powinna z nim porozmawiać, jesteś właśnie ty. Najwyższy czas zreflektować się i przyznać, że myliłaś się co do Centrum. Pamiętasz, co mówiłyśmy rok temu? Sama widzisz, co się dzieje. To Centrum Porodów, a nie Berkeley

Hills Hospital jest teraz mekką dla położników. Nie patrz tak na mnie z tą kwaśną miną. Na Boga, przecież byliście partnerami i żyłaś z tym człowiekiem!

- Ale nie byłam na jego liście płac! - wykrzyknęła ze złością Rae.

Bernie otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale zamiast tego gwizdnęła cicho. Stojąc oparta plecami o szafkę znowu skrzyżowała ręce na piersiach.

- No cóż, udam, że tego nie słyszałam. Wiem, że jesteś bardzo zmęczona. Może nie powinnaś iść na to zebranie, tylko przespać się trochę i odpocząć.

- I śniłyby mi się tylko koszmary o tym, jak ty i Bo knujecie przeciwko mnie.

Bernie wolno ruszyła w kierunku wyjścia.

- Hej, poczekaj - Rae złapała ją za kurtkę. - Przepraszam. To już rok, a ja nie mogę przestać o nim myśleć.

- To się nazywa miłość - odrzekła spokojnie Bernie. - MIŁOŚĆ!

- Nie, Bernie, to nie to, być może nigdy nawet tego nie było. Tak mi się teraz wydaje, po kilku tygodniach wyrzucania pieniędzy w błoto.

- Oho, widzę, że w końcu zdecydowałaś się na psychoterapię, tak jak ci radziłam - zauważyła podnosząc wysoko brwi.

Rae nachyliła się do szafki i wyjęła z niej skarpetki.

- A co powiesz na to, że oni tam nie robią cesarki? - zapytała Rae, chcąc w ten sposób zmienić męczący ją temat rozmowy, jakim był Bo Mi-

12

chaels. -Albo jak zaakceptować fakt, że muszą wtedy przewozić pacjentkę karetką do nas. A ty przecież wściekasz się, kiedy to nasza pacjentka musi

rodzić w siedemnastce. Bo jest najdalej położoną salą od operacyjnej. Kiedy mają zrobić cięcie, wydierasz się zaraz na wszystkich, że nie pchają wózka wystarczająco szybko. I ty mówisz o pracy w Centrum Porodów? Zastanów się, siedemnastka położona jest tylko kilkanaście metrów od operacyjnej, a oni muszą przejechać przez tę całą cholerną ulicę...

- Rae, czy byłaś tam kiedyś? Tam jest bardzo ładnie i naprawdę robią tam kawał dobrej roboty - cicho odrzekła Bernie, zapatrzona w swoje czerwono pomalowane paznokcie.

- Nie, nie byłam, ale...

Bernie przerwała jej szybko, machając przy tym palcem.

- Okay, moja droga, zostawmy to. Jesteśmy obie zmęczone i nie mam teraz ochoty wysłuchiwać twoich narzekań. Tym bardziej, że to nie ja powinnam ich słuchać, a właśnie Bo.

- Myślałam, że już z nim skończyłyśmy. Bernie poklepała Rae po ramieniu.

- A ja myślę, że pewnego dnia dojrzejesz wreszcie, aby mi powiedzieć, co się naprawdę między wami stało - dokończyła spokojnie.

- Powiedziałam ci już wszystko.

- Tak, słyszałam to już milion razy.

- Wierz mi - mówiła Rae klepiąc ją lekko w dłoń - chyba lepiej, że nie wiesz.

- Ale ja chcę wiedzieć - odparła podnosząc głos. - Kiedyś śmiałyśmy się razem, żartowałyśmy. Malowałyśmy razem paznokcie i nie przejmowałyśmy się niczym, tak jakby jutro wcale nie istniało. A teraz? Jedyne, co ciągle robimy, to przy każdym spotkaniu się kłócimy. I zawsze

z powodu Bo. Co się, do cholery, stało? Cóż to za straszna rzecz, o której nie chcesz mi powiedzieć?

- Wystarczy już, przestań! - krzyknęła Rae. - Daj mi chwilę pomyśleć.

Tak naprawdę to nigdy nikomu nie chciała powiedzieć o prawdziwym powodzie zerwania z Bo. Coraz wyraźniej jednak zdawała sobie sprawę, że dalsze utrzymywanie tego w tajemnicy przed Bernie tylko niszczy ich przyjaźń.

- A może lepiej podam ci to jakimś listem, Bernie?

- A może lepiej bym cię stłukła, żebyś to wreszcie wykrztusiła z siebie, co...?

Rae skupiła się nagle na cichym szumie odkurzacza za drzwiami szatni.

13

- Słyszysz?

- Co?

- Bądź cicho, do cholery, i posłuchaj.

- Dobrze, już dobrze. - Bernie zamknęła oczy i wsłuchiwała się w szum. - Brzmi jak odkurzacz.

- Mam ten szum w głowie od przeszło roku - szepnęła Rae. - Doprowadza mnie już do szaleństwa. Robię wszystko, aby się go pozbyć. Oczy Bernie zwięzły się w wąskie szparki.

- Słyszysz ten odkurzacz w gabinecie swojego terapeuty?

- W pewien sposób tak.

- Zaraz, pogubiłam się - rzekła Bernie. - Co ma do was, do ciebie i Bo, jakiś tam odkurzacz?!

- Miałam poronienie - szybko i cicho powiedziała Rae.

Szum odkurzacza ucichł. Rae nienawidziła tej ciszy, jaką po sobie

zostawiał. W takiej chwili czuła i słyszała własne serce kołaczące się jej po głowie. Do teraz nikt z wyjątkiem Bo, pielęgniarki i ginekologa z innego miasta nie wiedział o jej ciąży.

- Powiedz coś - przerwała ciszę Rae.

- Dlaczego nic mi nie mówiłaś?

- To dlatego Bo mnie zostawił.

- Zostawił cię, bo poroniłaś?

- Nie wzięłam pigułki - mówiła dalej Rae. - Wiesz sama, że nie myślałam o tym, aby mieć dziecko, ale stało się. Kiedy powiedziałam Bo, cieszył się jak wariat...

- Ale on nie chciał mieć dzieci... - Bernie przysiadła na ławce obok Rae.

- Wtedy już tak nie myślał. - Zapatrzona w podłogę, Rae ciężko westchnęła. - Ciągłe się o to kłóciliśmy, wszystko mi się pomieszało i w końcu nie wiedziałam już, co mam robić. Któregoś dnia dał mi ultimatum... I wtedy zaczęłam krwawić. Badanie ultrasonograficzne wykazało uszkodzenie jaja. Bo obwinił mnie za to poronienie. Powiedział, że nie chciałam tego dziecka i nie starałam się nawet, aby je urodzić. Może to i dobrze, że tak się stało, nie musiałam podejmować żadnej decyzji. Ale dopiero po kilku spotkaniach u terapeuty udało mi się jakoś dojść do siebie...

Bernie z niedowierzaniem spoglądała na Rae.

- Po tym wszystkim - ciągnęła dalej Rae - Bo mnie przeprosił, chciał, abyśmy spróbowali jeszcze raz, ale już przed ciążą nie układało nam się najlepiej. Stał się bardziej przedsiębiorcą niż lekarzem. Dowodem na to jest Centrum Porodów. Z pewnością pieniądze, jakie tam zarabia, pozwalają mu na pewną rozrzutność, oferowanie lepszych pensji i stypen-

diów dla każdego, kto prowadzi badania dotyczące położnictwa. Tylko że ta dobroduszość jest dla obcych, a nie dla ludzi, z którymi żyje. Zresztą, mówiąc krótko, nasze myśli nie szły w tym samym kierunku. Ja robię swoje, bo kocham tę pracę, dla niego liczą się najpierw pieniądze, jakie to przynosi... Zresztą, to już przeszłość. Teraz chcę tylko zostać ordynatorem naszego oddziału i dopilnować, aby wszystko było tu w jak najlepszym porządku. Bardzo bym chciała, abyś ponownie przemyślała swoją decyzję o przejściu do Centrum Porodów i nie podejmowała jej zbyt pochopnie. Wstrzymaj się z nią chociaż do momentu, aż porozmawiam z członkami zarządu i spróbuję im przemówić do rozsądku.

Bernie nachyliła się i objęła ją mocno. Rae czuła, że mogłaby zostać w tym uścisku do końca świata.

- Koniec z sekretami, co?

- Koniec z sekretami - potwierdziła Rae z głową przytuloną do Bernie.

- No cóż, chyba powinnam już pójść do domu - westchnęła Bernie. -

Zadzwoń do mnie wieczorem, dobrze? Albo zadzwoń, jak tylko skończy się zebranie i nagraj się na sekretarkę. Zaraz po przebudzeniu chciałabym wiedzieć, czy mam jeszcze pracę!

Rae poklepała ją po dłoni.

- Teraz już wiesz, dlaczego Bo mnie ignoruje.

- Tak, teraz już wiem, dlaczego Bo wygląda tak, jakby nie mógł żyć bez ciebie...

Po wyjściu Bernie Rae przeciągnęła się i ziewnęła szeroko. Spojrzała na wiszący na ścianie zegar, była za pięć siódma rano. Nie spała całą noc, teraz musi się szybko przebrać, zjeść coś i zdążyć na zebranie o ósmej.

Szybko wciągnęła na nogi rajstopy i sięgnęła po niebieską sukienkę. Zawsze trzymała w szafce jakieś drugie ubrania na wypadek, gdyby po nocnej zmianie nie miała czasu na dojazd do domu.

- Doktor Duprey! Czy pani jeszcze tam jest?

Rae drgnęła lekko słysząc głos z interkomu. Rozpoznała go natychmiast.

- Przykro mi, Trish - odezwała się żartobliwym tonem. - Ale doktor Duprey wyszła dziesięć minut temu.

- Pani doktor, nie możemy znaleźć doktora Michaela...!

- Jestem pewna, że znajdziecie go w Centrum Porodów... - zaczęła Rae.

- ...a jedną z jego pacjentek przywieziono właśnie z Centrum! Puls dziecka wynosi tylko sześćdziesiąt i spada, a rozwarcie ma tylko jeden centymetr!

15

Rae szybkim ruchem zrzuciła z siebie duży kąpielowy ręcznik w który ciągle jeszcze była otulona, z szafki obok wyjęła czysty fartuch chirurgiczny.

- Czy jest już na stole?! - szybko rzuciła do interkomu.

- Ona potrzebuje cesarki... Czy pani przyjdzie?

- Bierzcie ją na stół, do cholery! - rozkazała. - I zobacz, czy złapiesz jeszcze Bernie - dodała.

Na dziennej zmianie również były bardzo dobre pielęgniarki, ale Bernie była najlepszą z najlepszych.

Interkom kliknął cicho i Rae nie wiedziała, czy Trish usłyszała jej ostatnie polecenie, aby poszukać Bernie. W ciągu mniej niż pół minuty była już ubrana i pędziła korytarzem w kierunku sali operacyjnej.

Zapomniała w tej chwili o swej niechęci do Centrum Porodów, miała na głowie coś znacznie ważniejszego. Musiała ratować dziecko.

Rae знаła oddział położniczy w szpitalu Berkeley Hills lepiej niż swoje własne mieszkanie, ale jak zwykle biegła zbyt szybko, aby w porę zwolnić na zakręcie korytarza i z pełnym impetem wpadła na Claudię, sprzątaczkę pchającą wózek ze swoim sprzętem.

- Przepraszam - rzuciła szybko i łapiąc równowagę biegła dalej.

- Tylko niech tym razem będzie to dziewczynka! - krzyczała za nią sprzątaczką.

Tylko adrenalina pchała ją do przodu. Głodną od tylu godzin. W minutę wyszorowała ręce, wciągnęła rękawiczki i stanęła gotowa do operacji przy nieprzytomnej za sprawą anestezjologa pacjentce. Jak tylko pacjentka zostanie intubowana, Rae mogła zaczynać operację.

Jej smukłe palce obejmowały niebieską rączkę skalpela, tak jak zwykle trzyma swoje ukochane skrzypce, pewnie i delikatnie. Opuściła błyszczące ostrze dokładnie na jeden centymetr nad brzuchem pacjentki. Brzuch polany roztworem jodyny błyszczał w świetle lamp sali operacyjnej jak dynia przygotowana na święto Halloween.

Ona widziała już odcienie i kolory tkanek znajdujących się pod cienkim naprężonym naskórkiem. Zastanawiające, pomyślała. Ludzie na zewnątrz tak bardzo się różnią, lecz wewnątrz wszyscy są tacy sami.

16

- Nie może jeszcze pani ciąć - odezwała się asystująca pielęgniarka Eva Major. Przesunęła lampy dokładnie nad miejsce, gdzie Rae miała zrobić nacięcie.

Cztery położne i dwie pielęgniarki z pediatrii poruszały się szybko wokół nich przygotowując różnego rodzaju waciki, łącząc rurki odsysające i inne

drobne narzędzia i instrumenty.

- Naprawdę? No to patrz - z przekąsem odparła jej Rae.

- Ależ pani doktor!...

Rae odwróciła głowę i zerknęła na zegar. 7:04. Nie miała najmniejszego zamiaru zacząć operacji, nim anestezjolog nie skończy swojej pracy.

- Jakie tętno? - rzuciła przez ramię.

- Ciągłe w granicach sześćdziesięciu - podał ktoś z boku.

- Czy Bo się pojawił?

- Jeszcze go nie ma.

Nie przeszkadzało jej to, że jest jedynym położnikiem w tym zespole, ale denerwowało ją czekanie na zaintubowanie pacjentki przez anestezjologa.

- Charley, pośpiesz się do cholery! - krzyknęła. Doktor Charley Grant był razem z nią na nocnej zmianie, widziała czubek jego niebieskiego czepka po drugiej stronie parawanu. - Bez ciebie nie mogę zacząć!

- Jestem Hartman. Sam Hartman - usłyszała w odpowiedzi. - Przykro mi, ale Charley już poszedł.

- Pani doktor, teraz już jest dzienna zmiana - szepnęła do niej Eva.

- Sam Hartman? A cóż to za jeden? - odszepnęła. Eva wzruszyła ramionami.

- W porządku, doktorze Hartman - powiedziała już głośno do niebieskiego czepka. Czowała upływające cenne sekundy. - Ale musimy się spieszyć...

- Jeszcze tylko pięć sekund.

- Nie mamy już nawet jednej wolnej.

Ponownie spojrzała na zegar. 7:05. Charley skończył zmianę o siódmej.

Sam Hartman? Sam Hartman... Przypomniała sobie. Nowy szef anestezjologów na kardiologii. Przysłany z Harvardu do pracy w

specjalnym programie chirurgii kardiologicznej. Stale poszerzający się program kardiologiczny był, według krążących plotek, jednym z powodów planowanych zwolnień na porodówce. W jakiś dziwny sposób chirurgia kardiologiczna stała się nowym ukochanym dzieckiem szpitala Berkeley Hills.

Ale co na Boga anestezjolog z kardiochirurgii robi na porodówce? - zastanawiała się Rae. I dlaczego Charley nie mógł zostać?

17

- Jak długo utrzymuje się takie tętno? - zwróciła się do pielęgniarki.

- Było już takie, kiedy ją przywieźli.

- Dawno temu?

- Jakies siedem... nie, osiem minut temu.

- Niech to szlag - zaklęła cicho.

Adrenalina, która pomagała nogom Rae w biegu przez korytarz, teraz zmuszała jej serce do wyęźzonego wysiłku. Czuła, jak uderza ze zwiększoną mocą. Oddech stał się szybki i krótki. Jedyne, o czym teraz mogła myśleć, to za wszelką cenę ratować życie dziecka i matki. Jej życiowe motto. Ocalić życie!, ocalić życie! - ta mantra dudniła jej w głowie, kazała żyć.

Ale cierpliwość się kończyła. Miała do uratowania dziecko, a czas uciekał nieubłaganie. Czuła, że jak tylko zacznie, wyciągnie to dziecko w rekordowym czasie. Trzydzieści sekund maksimum.

No, niech będzie sześćdziesiąt, pomyślała. Operowanie dużych kobiet zawsze zabiera więcej czasu. Więcej tkanki tłuszczowej do przecięcia i więcej jej do usunięcia, no i oczywiście o wiele więcej krwi.

Doskonale wiedziała też, czemu tyle czasu zabiera Hartmanowi

przygotowanie pacjentki do operacji. Rozluźnienie karku u otyłej osoby było nie lada wyczynem. Choć to zrozumienie dla trudności Hartmana nie poprawiało wcale jej samopoczucia. Musiała coś zrobić, a nie trzymać tylko w ręku lśniący skalpel.

- Doktorze Hartman, pięć sekund już dawno minęło! - krzyknęła w stronę zasłony.

Ale Sam Hartman nie odpowiedział. To zdenerwowało ją jeszcze bardziej. Szybko zerknęła na zegar, ciągle jeszcze była 7:05, ale kolejne trzydzieści sekund już upłynęło.

Nie lubiła odrywać wzroku od brzucha pacjentki, zerknęła więc szybko ponad zasłonkę i już chciała coś powiedzieć do Hartmana, gdy zauważyła plastikową tubę inhalacyjną wystającą z ust pacjentki. Automatycznie sięgnęła prawą ręką w kierunku worka inhalacyjnego i ścisnęła go. Piers pacjentki uniosła się do góry i opuściła w momencie zwolnienia uścisku. W tym momencie wiedziała już, że wszystko gra.

- Gotowe! - usłyszała głos anestezjologa, ale nie czekając na jego zezwolenie już zrobiła pierwsze nacięcie.

Tym pierwszym rozcięła skórę pomiędzy biodrami pacjentki, drugim rozdzieliła blisko dziesięciocentymetrową warstwę tłuszczu. Jej trzecie cięcie, pewne i szybkie, rozdzieliło cienkie, białe i błyszczące powłoki tkanki tam, gdzie skupiały się mięśnie.

18

- Trzymaj - rzuciła do asystującej pielęgniarce, podając jej zakrwawiony skalpel.

Obnażone tkanki były miękkie jak masło. Rozerwanie ich palcami było o wiele szybsze i równie bezpieczne w tak wyjątkowej sytuacji jak cięcie ich

skalpelem. Swymi małymi dłońmi, ciągnąc w przeciwnych kierunkach rozrywała białe wiązania mięśni prostych, najpierw w jedną i drugą stronę, a następnie w górę i w dół. Zobaczyła jeszcze cienką powłokę tkanki pomiędzy mięśniami brzucha i ją także rozerwała. Wtedy wcisnęła wskazujący palec w otrzewną jamy brzusznej, rozerwała ją i odepchnęła przeszkadzające jej wnętrzności.

- Eva, pociągnij trochę mocniej ten rozwieracz - rzuciła szybko nie odwracając głowy od otwartego brzucha. - Pracujemy tu w naprawdę głębokiej dziurze.

Od wysiłku i zmęczenia drętwiały jej palce, a w karku czuła palący ogień. Drobiny tłuszczu roztapiały jej się na rękawiczkach powodując, że wszystko stawało się śliskie. Dopiero teraz, po rozerwaniu powłoki mogła zobaczyć różowy mięsień macicy. Wskazującym palcem zrobiła w nim niewielką dziurkę i rozerwała go delikatnie, tak aby nie uszkodzić soczyste czerwonych naczynek skupiających się wzdłuż brzegów mięśni. Potop zie-lono-brązowego płynu owodniowego rozlał się po całej jamie operacyjnej. Jego kolor mówił, że jelita dziecka wykonały już pierwszy ruch w pęcherzu płodowym. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jeżeli jakakolwiek ilość tego płynu dostanie się do płuc noworodka, spowodować może tragiczne w skutkach zapalenie płuc.

- Wspaniale, smółka, to jest to, czego nam tu jeszcze brakowało - powiedziała cicho jakby do siebie. Miała jednocześnie głęboką nadzieję, że podczas oddychania noworodek nie zdążył jeszcze wciągnąć śmiertelnego płynu do swoich malutkich płuc.

Nagle poczuła, że cała się chwieje. Jakby podłoga usuwała się jej spod zmęczonych stóp. Uczucie tego osłabienia przebiegło przez całe ciało.

Wzięła głęboki wdech, jakby to miało zastąpić brak snu, jedzenia i picia.

- Powie mi ktoś, która godzina! - krzyknęła przed siebie.

- Siódma sześć - dotarło z boku.

Kolejna minuta, pomyślała. Całe sześćdziesiąt sekund!

Jej ręce tonęły w morzu krwi i wód płodowych. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu, Eva, pielęgniarka niemal równie dobra jak Bernie, nie spisywała się dziś zbyt dobrze.

- Eva, nie bój się ruszać trochę szybciej, nic się nie stanie - rzekła do niej.

19

- Ona jakoś dziwnie pachnie - wyszeptała Eva.

Rae przyszło na myśl, czy ktoś spoza personelu wie, że chirurdzy i asystujący rozmawiają podczas operacji o zupełnie innych sprawach, ale w tej chwili zupełnie nie miała ochoty na taką rozmowę.

- To przypomina mi zapach spirytusu salicylowego, bardzo dużo spirytusu i to rozlanego w jednym miejscu - dodała Eva, bliska mdłości.

Teraz i Rae poczuła ten dziwny zapach.

- Jak oni mogli orzec, że dziecko już schodzi w dół? - zapytała, sięgając ręką górnej części macicy.

- Trish nie mówiła pani? Ona ma pośladkowe ułożenie płodu.

- Pewnie chciała mi powiedzieć, ale nie zdążyła, bo odłożyłam interkom - odparła dysząc Rae. - A gdzież są nóżki?

Sięgnęła ręką jeszcze głębiej i szukała coraz bardziej niecierpliwie.

- Pani doktor, ja naprawdę nie czuję się najlepiej...

- Przygotuj nożyczki, powinniśmy wyjąć dziecko nie później niż za dziesięć sekund.

- Chciałam powiedzieć, że...

- I przygotuj też szczypce.
- Przykro mi, pani doktor, ale czuję się źle...
- Ja też, Eva...
- Proszę, pani doktor! Jestem w drugim miesiącu...
- Niech to szlag trafi - zaklęła Rae.

W końcu jednak natknęła się na stopy dziecka, były tuż pod wątrobą. Główka pływała po przeciwnej stronie tuż koło śledziony.

- Widzisz tu, Eva? Patrz, dziecko schodzi plecami do dołu i jeszcze do tego ułożone jest poprzecznie. Najgorsze, co mogło nas spotkać, absolutnie najgorsze.

Czuła, jak serce zaczyna jej bić coraz szybciej. Tylko spokojnie, mówiła cicho do siebie. Tylko spokojnie!

- Chyba muszę się położyć, ja...
- Jeszcze minutkę, dobrze? Zmocz jeden z tych ręczników. Obrócimy i wyjmemy dzieciaka pośladkami.

Przykro jej było z powodu Ewy, ale jedyne, o czym mogła teraz trochę dłużej pomyśleć, to było zdrowie dziecka. Dalej nerwowo przeszukiwała palcami jamę brzuszną, aż wyczuła cienką nitkę kręgosłupa; dotykając go delikatnie zsunęła palce w dół do nóg, aż trafiła na nóżki i dalej na stopy.

- Tu cię mamy - obwieściła.

Cofnęła palce około dwa centymetry w górę i złapała za kostkę, albo też za to, co wydawało się jej kostką. Pociągnęła do siebie.

20

- Cholera!
- Czy to nie dłoń? - wyszeptała Eva.
- Wiem, widzę przecież!

Klnąc cicho do siebie, wcisnęła maleńką dłoń z powrotem w otwartą jamę macicy. Tylko położnik wie, jak bardzo dłoń i stopa noworodka są podobne do siebie podczas porodu z cesarskim cięciem. Sięgnęła ręką jeszcze wyżej. Opary alkoholu wyciskały jej łzy spod powiek.

- Chodź maleństwo, no chodź - mówiła do siebie. - Chodź, pomóż mi. Nie wiesz jeszcze, że oboje w tym siedzimy...

Jej ramię było tak głęboko w otwartej jamie brzusznej pacjentki, że wydawało się, iż lada chwila cała wpadnie do środka. Szukała nerwowo dłonią przesuwając ją delikatnie w górę i w dół, w prawo i lewo. Znalazła, tym razem nie mogło być już mowy o pomyłce; poczuła pod palcami małą piętę, zaraz też namacała drugą. Pewnie złapała je prawą ręką i wyjęła obie razem. Ciągnęła do góry, aż zobaczyła pośladki i kawałek pleców.

Pociągnęła jeszcze raz, aż do momentu, kiedy zobaczyła kolejny widomy znak porodu pośladkowego, łopatki.

- Wygląda na chłopca - stwierdził zerkając zza zasłony Sam.

- Rzeczywiście - rzuciła głośno Rae. Cóż za geniusz, pomyślała.

Biorąc od Evy zmoczony niebieski ręcznik, owinęła go wokół bioder noworodka. Obróciła niemowlę i kiedy zobaczyła jego pachę, wskazującym palcem wyciągnęła całe ramię i dłoń. Powtórzyła ten manewr tym razem w drugą stronę i zrobiła to samo z drugim ramieniem i dłonią.

- Jeszcze tylko parę sekund...

Spojrzała na zegar. 7:08. Upłynęły następne dwie minuty.

Szybciej, pomyślała. Musiała się śpieszyć, noworodek z pulsem około sześćdziesięciu nie przeżyje dłużej wewnątrz macicy. Teraz miała go na zewnątrz do poziomu ramion. Kiedy ponownie włożyła rękę, aby wyjąć

główkę dziecka, natrafiła na pępowinę, która zaciśnięta była wokół jego szyi jak stryczek.

- Eva - zawołała do pielęgniarki. - Trzymaj główkę przygiętą i naciskaj w to miejsce. - Wskazała poniżej prawej piersi dziecka.

- Pani doktor, ja...

- Nie! Nie tu. Tutaj, gdzie pokazuję.

Dłoń Ewy zsuwała się powoli w przeciwnym kierunku. Rae spojrzała i zobaczyła, jak pielęgniarka robi się coraz mniejsza i znika po przeciwnej stronie zasłony.

- Eva! - krzyknęła.

- Zemdląła - odezwała się któraś z pielęgniarek.

21

W tym samym momencie sterylna zasłonka zaczęła zsuwać się ze stołu, a stolik z przygotowanymi narzędziami chirurgicznymi niebezpiecznie się przechylił.

- Uważajcie, zaplątała się! - krzyczała Rae.

Jedną ręką trzymając nóżki dziecka, drugą próbowała chwycić przewracający się stolik. Zdażyła jedynie złapać kilka szczypiec i nożyce do przecięcia pępowiny, reszta z wielkim hałasem spadła na podłogę.

Miała nożyce, ale nie była jeszcze gotowa, aby przeciąć zaciśniętą wokół szyi dziecka pępowinę. Nie wyjęła nawet jeszcze jego główki.

- Niech się ktoś nią zajmie...

- Już ją mam! - krzyknął Sam.

- I niech ją tutaj ktoś zastąpi!

Spojrzała na zegar i nagle poczuła ogarniające ją uczucie paniki, nigdy przedtem nie zdarzyło się to jej na sali operacyjnej. Była 7:09. Uplęnęła

kolejna drogocenna minuta. Podświadomie słyszała cienki krzyk dziecka:
„Uratuj mnie! Nie pozwól mi umrzeć!”

Zimny pot spływał jej spod ramion i po karku w dół. Nie widziała, czy któraś z pielęgniarek zakłada już rękawiczki.

- Mówiłam, żeby ktoś ją zastąpił!

Zdała sobie nagle sprawę, że na pewno ktoś się do tego przygotowuje, i zrobiło się jej głupio, że niepotrzebnie krzyczy. Nie przejęła się tym jednak. Teraz miało interesować ją tylko jedno. Dziecko.

Sekundy upływały z nieubłaganą stałością, każdą z nich czuła jak ukłucie igłą w naprężony kark. Palce zdrętwiały zupełnie, a kark i ramiona paliły niemiłosiernie.

Wyszukała wolną przestrzeń pomiędzy macicą a twarzą dziecka.

Delikatnie włożyła palce w jego usta i przyciskając palec wskazujący do delikatnego podniebienia spróbowała jeszcze jednego sposobu, który mógł zaoszczędzić czas. Pociągnęła, nic się nie stało, główka dalej była uwięziona w śmiertelnym potrzasku.

- Potrzebna jakaś pomoc?

To była Bernie, gotowa, w fartuchu i z rękawiczkami.

- Najwyższy czas - odrzekła z ulgą w głosie Rae.

- Już mnie tu prawie nie było - dodała Bernie kwaśno.

- Trzymaj macicę rozwartą i naciśnij tutaj - rzuciła szybko Rae tak, jakby jej przyjaciółka była tu z nią przez cały czas.

Z pomocą Bernie szybko oceniła sytuację. Spojrzała na noworodka, jego białe ramiona i nogi ułożone były pomiędzy udami matki. Kark wystawał z nacięcia macicznego, natomiast główka ciągle jeszcze była ukryta wewnątrz macicy. Na ciele widać było kilka zielonkawych kropel smółki.

Spróbowała wygodniej ułożyć zdrętwiałe palce, poczuła przeszywający ból biegnący od ich koniuszków aż do łokcia.

- Powoli - szepnęła do siebie. - Już spokojnie, wszystko będzie dobrze...

Pociągnęła ostrożnie, lecz z determinacją. Długoletnie doświadczenie pozwoliło jej ocenić siłę, z jaką ciągnęła delikatne i niemal bezwładne ciało noworodka, nie za mocno i nie za słabo.

- Dlaczego nie zrobisz podłużnego nacięcia? - spytała Bernie.

- Nie potrzeba, mam wystarczająco dużo miejsca - odpowiedziała szybko.

Pewnym ruchem ciągnęła za nóżki, powoli ukazały się najpierw broda, a następnie po kolei usta, policzki, oczy i w końcu pokazało się czoło.

Szybko odwinęła trzy pętle pępowiny szczelnie owinięte wokół szyi.

Małą ssawką oczyściła nos i usta ze śluzu.

- Nożyczki!

Grubymi ostrzami przecięła pępowinę i wzięła niezwykle dużego noworodka na ręce. Jego duża głowa oparła się bezwładnie na jej piersi. Nóżki i ramiona zwisały bezwładnie w dół. Co gorsza, powieki miał na wpół otwarte, a pod nimi w górę i w dół obracały się jak dwie maleńkie kolorowe kulki jego oczy.

Pokonała szybko te dwa metry do inkubatora. Pielęgniarki czekające na ostateczny wynik operacji odsuwały się jej z drogi. Nikt nie wypowiedział słowa. Słyszał tylko szelest fartucha Rae, miarowe pikanie monitora i szum respiratora, do którego podłączona była pacjentka.

Zlana potem położyła noworodka na białym materacu inkubatora.

Spojrzała na zegar. 7:10! Czas jakby łomotał jej w skroniach.

Pierwsze cięcie zrobiła o 7:05. Trzydzieści do sześćdziesięciu sekund

przeznaczyła sobie na operację. Teraz zobaczyła, że to, co powinno jej zabrać najwyżej minutę, zabrało aż pięć. A przecież każda minuta pobytu noworodka w macicy obniżała jego szansę na przeżycie i stanie się normalnym dzieckiem.

Ufając pielęgniarkom i pediatrze, którzy natychmiast przystąpili do resuscytacji, w myślach błagała jednak: „No maleńki, nie daj się, nie rób mi tego. Przecież nam się udało, doszliśmy tak daleko, dasz sobie radę, proszę...”

Patrząc na szybkie ruchy kolegów, stała tak w poplamionym krwią i wodami płodowymi fartuchu. Ciepło obu płynów dotarło do jej skóry przez cienką koszulkę. Chciała dotknąć leżącego noworodka, którego skóra była szara jak popiół. Cofnęła się jednak - odpowiedzialnym za zespół resuscytacji był lekarz pediatra Arnie Driver. Niech to szlag tra-

23

fi, zakląła w myślach. Dlaczego on? Może jest najlepszym diagnostykiem na swoim oddziale, ale jest też jednym z najmniej kompetentnych pediatrów.

Driver był rosnym mężczyzną, kosmyk jasnych włosów wystawał mu spod chirurgicznego czepka. Był nie tylko pełnoetatowym pediatrą, ale i szefem szpitalnego zespołu lekarzy. Golf i cygara to były jego pasje. I nie znosił kobiet lekarzy.

Nerwowo stuknęła palcami w bicepsy, kiedy Arnie wkładał blisko osiemnastocentymetrową rurkę do gardła noworodka. Zamiast jednak podłączyć ją do worka samorozprężającego umieszczonego z przodu inkubatora, wyjął ją z powrotem. Chwilę później ze ściągniętymi brwiami usiłował ponownie włożyć rurkę.

Było jasne dla Rae, że zamiast do tchawicy włożył ją do przełyku noworodka. Odwróciła głowę do swoich pielęgniarek.

- Wezwijcie neonatologa - krzyknęła ostro. - Powiedzcie, że potrzebujemy jej pomocy.

- Sam to zrobię - syknął Arnie.

Odwrócił się do pielęgniarki, Jessiki Howe, która palcami wystukiwała rytm serca noworodka.

- Czy tętno się podwyższyło? - zapytał ze złością Rae zerwała z rąk zakrwawione rękawiczki i rozłożyła dłonie na żebrach noworodka.

Poczuła jego ciepłą i suchą skórę. Poprzez cienkie żebra czuła słabe uderzenia serca. , Palce Jessiki coraz wolniej wystukiwały rytm.

- Ciągłe około sześćdziesięciu - powiedziała. Rae rozejrzała się po sali szukając wzrokiem neonatologa, ale doktor Catherine Drake jeszcze się nie zjawiała.

- Do jasnej cholery, Arnie, włóż ją wreszcie - odezwała się cicho i prosząco.

Arnie zignorował ją i dalej męczył się z rurką. Gdyby umiała zrobić to sama, wyrwałaby mu ją już dawno z tych wielkich niezdarnych rąk.

Niestety, ta specjalna umiejętność należała do pediatrów i ona mogła się tylko milcząco przyglądać.

Zegar nad ich głowami wskazywał 7:11. Odetchnęła z ulgą widząc, jak Arnie wyciąga dłoń w kierunku worka samorozprężającego się.

Nareszcie mu się udało, pomyślała. Ale gdy ścisnął worek, pierś dziecka się nie podniosła.

- Znów włożyłeś do przełyku - krzyknęła.

- Sześćdziesiąt dwa, sześćdziesiąt, czterdzieści osiem... - coraz wolniej

liczyła Jessica.

24

Rae odepchnęła Arniego od inkubatora.

- Zaczynamy reanimację, szybko! - rozkazała. - Jessica, użyj maski do wentylowania małego, ja będę robić masaż...

- Hej, zaraz! - zawołał Arnie.

Ale tym razem Rae go zlekceważyła i przysunęła się bliżej inkubatora.

Może nie wiedziała, jak zaintubować noworodka, ale doskonale wiedziała, w jaki sposób udzielić mu pomocy. Serce musi zacząć bić szybciej, jeżeli noworodek ma przeżyć.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - pytał Arnie.

Dwa palce prawej ręki przycisnęła do mostka, jak na pokazie, i naciskała go z szybkością stu dwudziestu ucisków na minutę. Małeńki mostek łączący delikatne żebra z ledwością wytrzymywał siłę nacisku.

- A na co to wygląda? - odburknęła nie odwracając głowy. Jej oczy wpatrzone były w pierś noworodka.

- Raz i dwa i trzy i cztery... - liczyła po cichu starając się utrzymać stały rytm.

- Znajdź mi kogoś, kto potrafi włożyć tę cholerną rurkę we właściwe miejsce - odezwała się nagle do Arniego.

Arnie odepchnął pielęgniarkę, nim ta zdążyła założyć maskę na twarz dziecka. Ponownie włożył rurkę w gardło dziecka i ścisnął worek.

- Załatwione - rzucił.

Ale pierś dziecka znów się nie uniosła.

- Gówno prawda! - k|Jyknęła zdenerwowana.

- Doktor Rae...

- Co się stało, Bernie?

- Nasza pacjentka...

Cholera, całkiem zapomniała o matce!

- Czy Bo już jest?

- Nie.

- Zadzwońcie po niego! I powiedz mi, jeżeli ona zacznie krwawić!

Rae wiedziała, że dopóki pacjent nie krwawi zbyt mocno, może jeszcze zostać przy dziecku. Poza tym Bernie jest bardzo dobrą położną i pielęgniarką asystującą - jeżeli tylko coś poważnego będzie się działo, zawoła

ją.

- Doktorze Driver, w dalszym ciągu nie słyszę oddechu dziecka - odezwała się Jessy, przyciskając małą słuchawkę do piersi dziecka.

- Daj mi to. - Wyrwał jej słuchawki z rąk. Aż krople jego potu spadły na dłonie Rae.

Pukał słuchawką w pierś noworodka i poruszał plastikową rurką w jego ustach.

25

- Do jasnej cholery, przecież musiałem dobrze włożyć.

- Neonatolog będzie dopiero za pięć minut - krzyknął ktoś.

- Zawołajcie w takim razie pielęgniarkę z anestezjologii! - wrzasnęła Rae.

- Nie da rady, Frank jest zajęty przy porodzie kleszczowym w siedemnastce.

- Jezus Maria - syczał Arnie, siłując się dalej. - Dlaczego nie mogę włożyć tej cholernejszej rurki?

Rae zastanawiała się, co robić. I przypomniała sobie: ten nowy lekarz z

Harvardu. Przecież on wie, jak intubować dorosłych; miała nadzieję, że wie też, jak intubować noworodki.

- Hej, Hartman! - krzyknęła. - Podejdzie pan? Przeciskając się przez pielęgniarki Sam zbliżył się szybko, jego ciało niemal przylgnęło do Rae.

- Słuchaj dalej - kiwnął do Jessiki. Wziął z rąk Arniego rurkę intubacyjną.

- Niech pani stale pompuje, doktor Duprey. Proszę przesunąć palce w dół o półtora centymetra, ani więcej, ani mniej i niech się pani stara utrzymać tempo stu dwudziestu ucisków na minutę. I cokolwiek się będzie działo, proszę nie przerywać.

Rae doskonale wiedziała, co ma robić, ale nie odezwała się.

- Cholera, nie wiem, co się dzieje, nic nie mogę zrobić - rzekł Arnie ustępując mu miejsca.

Rae wstrzymała oddech patrząc, jak Sam wkładał rurkę do gardła dziecka.

- I jak? - zapytała.

Usta dziecka stawały się coraz ciemniejsze, podobnie jak paznokcie. Były już prawie czarne zamiast pięknego koloru letnich truskawek. Uci-skajac pierś dziecka nie mogła też patrzeć, jak całe jego ciało przybiera kolor dojrzałej śliwki. Powieki były wciąż na wpół otwarte, a pod nimi chłodne, nieruchome już oczy. To uciskanie nic nie dawało, jeśli tlen nie docierał do jego mózgu.

A niech to! - pomyślała. Na początku tego wszystkiego zastanawiała się, jakie będzie to dziecko w wieku pięciu lat; teraz mogła myśleć tylko o jednym: czy wytrzyma do jutra?

- To, co tu mamy, to przypadek kurczu krtani - stwierdził autorytatywnie Sam.

Rae wdzięczna mu była za chwilę spokoju, jaką wprowadził po jej kłótni z

Arniem.

- Doktorze Driver, czy tlen jest odkręcony? - spytał Sam.

- Tak, całkowicie.

26

Sam trzymał w ręku rurkę intubacyjną, przekładając ją między palcami.

- A właściwie co to za rurka?

- Jak to: co za rurka? Do cholery, przecież to wewnętrzna rurka intubacyjna - krzyknął Arnie. - Człowieku, na litość boską, dzieciak jest wielki jak gęś. Użyłem rurki 3,5...!

Rae spojrzała w dół na rozerwane plastikowe opakowanie, w którym kiedyś była ta nieszczęsna rurka.

- Boże, Arnie, czy ty umiesz czytać? 3,5 to ty masz w mózgu. Wciskałeś dzieciakowi 4,5!

- Nie ma się co dziwić, że nie chciała wejść - spokojnie stwierdził Sam. - To wyjaśnia i kurcz krtani, jaki tu mamy.

Wyciągnął rurkę z gardła dziecka i założył mu na twarz maskę tlenową. Ścisnął worek rozprężający, pierś dziecka uniosła się lekko w górę i opadła.

- To lepsze niż nic, ale właściwy rozmiar dużo by pomógł. Arnie wyciągnął rozerwany plastik spod inkubatora.

- Nie mówcie mi, że...

- Niech ktoś poda doktorowi Hartmanowi rurkę intubacyjną numer 3,5 - wtrąciła się głośno Rae.

- Ja podam! - odezwała się pielęgniarka Hannah Brokonsky; wątła tleniona blondynka, o której mówiono, że jak koliber ciągle jest w locie.

Hannah ruszyła biegiem na drugi koniec sali operacyjnej i stanęła

niezdecydowana przed automatyczną szafką wydającą opatrunki. Jedno, co miała zrobić, to wystukać na klawiaturze nazwę żądanej rzeczy, a szuflada z nią wysunie się ze sterylnej zamknięcia.

- Jaki rozmiar? - zapytała dla upewnienia się.

- Trzy i pół - krzyknęli chórem wszyscy za Rae.

Palce Hannah szybko wystukały rozmiar i nazwę rurki inhalacyjnej, w sekundę wysunęła się szuflada. Sięgnęła szybko do niej. Rae przyglądała się każdemu ruchowi, ignorując przeszywający ból zdrtwiałych palców przyciśniętych do piersi dziecka.

Hannah nerwowo przekładała paczki w szufladzie szukając właściwego rozmiaru rurki. Nagle odwróciła bladą twarz w stronę zespołu resuscytacyjnego.

- Nie ma trzy i pół! - krzyknęła.

- Dobry Boże - wyszeptał półgłosem Arnie.

- Jessica, zastąp mnie - rzuciła do pielęgniarki Rae i przecisnęła się obok stojącego bezradnie Arniego.

27

Szybko dobiegła do klawiatury i wystukała nową nazwę. Spędzała w szpitalu tyle czasu, że znała każdy kąt i każdy problem, jaki się pojawiał.

Ostatnio, w związku z odnawianiem zapasów w automatycznych pojemnikach, okazało się, że popełniono bardzo dużo pomyłek.

Zmniejszyły się dotacje z ubezpieczenia i w związku z tym brakowało wykwalifikowanego personelu magazynowego. Dostawy z firm zaopatrujących szpital trafiały w niewłaściwe miejsca, stąd brało się wiele pomyłek. Ale to wszystko się zmieni, jak tylko ona zostanie ordynatorem oddziału.

Rae czuła, że właściwy rozmiar włożono w inną szufladę. I tak też było, rozmiar 3,5 znalazła w innej szufladzie: pod 4,5.

Biegając w kierunku inkubatora rozerwała opakowanie. Ponownie odepchnęła Arniego od inkubatora, podała Samowi rurkę i znów zaczęła uciskać pierś dziecka.

Sam zdjął maskę z twarzy dziecka i założył laryngoskop. Rurka o mniejszej średnicy natychmiast zniknęła w gardle noworodka. Rae przyglądała mu się z niezwykłą uwagą. Przez przezroczystą plastikową maskę widziała ściągnięte oczy i napięcie na twarzy Sama. Nagle oczy zrobiły się jakby większe i napięcie z twarzy lekko ustąpiło. Rurka była na miejscu.

Ale kiedy ścisnął worek, pierś dziecka się nie poruszyła.

Oczy Rae powiększyły się z niedowierzania.

- Co jest?

- Moment - odparł i lekko zmienił położenie rurki.

Wstrzymała oddech. Jakby uznała, że zabiera drogocenne powietrze dziecku. Sam ponownie nacisnął na worek samo rozprężający, tym razem pierś dziecka uniosła się wysoko i opadła. Dalej ścisnął worek, a pierś dziecka unosiła się i opadała. Rae utkwiała w nim wzrok oczekując potwierdzenia, że tym razem się udało. On jednak, zapatrzony w twarz dziecka, ścisnął ciągle worek tak, jakby pompował życiodajny tlen w swoje płuca.

- Słyszę coś! - odezwała się Jessica. Przesunęła słuchawkę stetoskopu do góry. Jej palce coraz szybciej wybijały miarowy rytm.

- Słuchaj dalej - rzucił Sam.

Rae w dalszym ciągu uciskała mostek dziecka. Czekwała, kiedy jej mały

pacjent okaże jakieś oznaki życia - ruch palcem, drgnięcie policzka, cokolwiek. Niestety, leżał nieruchomo tak, jakby był częścią inkubatora.

- Tętno doszło do stu - rzekła Jessica.

- Doktor Duprey, niech pani już przestanie - odezwał się Sam. Rae przestała uciskać mostek dziecka, lecz nie cofnęła palców z jego piersi.

- Dobrze mały, tak trzymaj - Jessica wciskała głębiej w uszy końcówki stetoskopu. - No, maleńki, chodź do mamy...

28

W sali operacyjnej zapadła kompletna cisza. Teraz sekundy mijały jak godziny.

Nagle Rae odniosła wrażenie, jakby serce noworodka zaczęło zwalniać.

- Dobry Boże! - krzyknęła Jessica. - Mamy go!

- W końcu - westchnął Sam.

- Jesteście pewni? - zapytała Rae.

- Niech pani posłucha sama.

Rae chwyciła stetoskop i drżącymi rękoma włożyła końcówki w uszy.

- Jak szybko?

- Jak odrzutowiec - odrzekła uśmiechając się Jessica. - Sto pięćdziesiąt mil na godzinę.

Rae usłyszała galop serca noworodka i szmer powietrza w jego płucach. W tym momencie całe napięcie opadło; czuła, że wszystko w niej gwałtownie zmiękło, jakby jej kości zrobiły się nagle jak z gumy. Chwyciła mocno za krawędź inkubatora. Wiedziała, że serce chłopca bije samodzielnie. Nie przeszkadzało jej, że Sam w dalszym ciągu musiał wspomagać oddech chłopca ani to, że po przewiezieniu na oddział co najmniej na kilka godzin podłączony będzie do respiratora. Dostarczany tlen wypełni nie tylko jego

płuca, ale i mózg.

I jego słodką duszyczkę, pomyślała z rozrzewnieniem.

Duszę, ale nie tę, o której mówi Biblia czy też księża. Duszę, która powoduje, że każdy człowiek jest inny, że ma swoje życie, swój świat.

Dusza daje nadzieję, nadzieja życie. Ocalić życie! To jej nadzieja, jej życie, wszystko zależy od niej.

Arnie wytarł rękawem spocone czoło.

- Zadzwoń na oddział, żeby przyjechali po niego. - Odwrócił się od inkubatora i wpadł na stojącą za nim Hannah. - Następnym razem, Hannah, podaj mi to, o co poproszę - odezwał się do niej z wyrzutem.

- Ależ ja dałam dokładnie to, o co pan poprosił, doktorze!

- Doktor Duprey! - zawołała Bernie.

- Już idę.

Spojrzała jeszcze na leżącego noworodka. Sam krzyżując plastry, przykleił rurkę intubacyjną tak, aby nie wysunęła się z ust chłopca. Nachyliła się i zmęczonymi palcami dotknęła małej, bladej dłoni jakby z nadzieją, że tak wleje tam trochę więcej życia. Odwróciła się i pospieszyła w stronę stołu operacyjnego.

Zrzuciła zakrwawiony fartuch i założyła nowy, to samo zrobiła z rękawiczkami. Spojrzała na zegar. 7:15. Dziecko urodziło się o 7:10, pięć minut trwało przywracanie go do życia i pięć minut operacja, razem dziesięć minut. Dziesięć minut to był maksymalny czas, jaki noworodek mógł przeżyć

29

bez dostarczenia tlenu do mózgu. Ale nie chciała teraz o tym myśleć, miała tu jeszcze coś ważnego do zrobienia. Na stole operacyjnym czekała na

nią matka nowo narodzonego chłopca.

Kiedy ona ratowała życie chłopca, Bernie oczyściła rany z krwi i wód płodowych oraz założyła sączi na poszarpane brzegi macicy. Rae spojrzała jej w oczy. Bernie przyjęła to z cichym zrozumieniem.

Pracowały razem już dziesięć lat. Teraz najgorętsze uczucia i myśli pozostawały bez słów.

- Dzięki - szepnęła Rae.

- Nie ma sprawy - odparła z uśmiechem.

W asyście takiej przyjaciółki Rea czuła się bardziej pewnie i spokojnie.

Wzięła głęboki oddech i szybko wypuściła powietrze, jakby chciała wyrzucić z siebie wszystkie niepotrzebne myśli. Sięgnęła ręką w głąb macicy, aby wyciąć łożysko, lecz miejsce, gdzie powinno być - było już puste. Znowu Bernie.

- Jak myślisz, co się stało? - spytała Bernie, podając Rae imadło do igły-

- Cokolwiek to było, jestem pewna, że te trzy pętle wokół jego szyi wcale nam nie pomogły - odparła i zaczęła zszywać ranę.

Była najlepszym chirurgiem-położnikiem na oddziale. Jej dłonie poruszały się z niezwykłą precyzją. Wszystkie ruchy były szybkie i pewne. W czasie kiedy jej koledzy zakładali dwa szwy, ona robiła ich osiem - to co inni robili w sześć minut na sali operacyjnej, ona wykonywała w dwie.

Zakładała szwy i obcinała nitki tak szybko, że wyglądało to, jakby rozcięte brzegi macicy zrastały się same w błyskawicznym tempie. Bernie podała jej przyrząd do zakładania klamer i w tym samym tempie zrastały się brzegi rozciętej skóry. Nacisnęła zszyty już brzuch, aby z pochwy wycisnąć ewentualne skrzepy pozostałe w macicy. Następnie założyła

opatrunek z jałowej gazy i zakleiła białym chirurgicznym plastrem.

- Byłaby na stole dużo wcześniej, gdybyśmy ją mieli u siebie - powiedziała nie kryjąc złości w głosie.

- Może tętno dziecka spadło już w domu.

- Posłuchaj, Bernie, jeżeli Centrum Porodów nie ma warunków do przeprowadzenia cesarki, to nie powinni się w ogóle brać za przyjmowanie porodów.

- Dobrze już, dobrze, ale jeżeli mnie zwolnią, ty będziesz mnie utrzymywać na poziomie, do którego się przyzwyczałam, co? Będziesz miała Leopolda i mnie na twojej liście zakupów.

- Och, zapomniałam o zebraniu. Która godzina?

- Siódma dziewiętnaście.

- Wasza pacjentka się budzi - wtrącił się Sam.

30

Rae ciągle jeszcze stała na podwyższeniu przy stole operacyjnym.

Nachyliła się, aby zobaczyć twarz kobiety, którą właśnie zszyła. Z jej szyi, na czymś, co przypominało Rae sznurówkę od trampek, zwisał mały krzyżyk.

Jaka spokojna twarz, pomyślała. Ciemne rzęsy kobiety odbijały się od twarzy, jakby ktoś przyłożył do różowego jedwabiu dwa podłużne kawałki węgla.

- Doktorze Hartman, jak ona się nazywa?

- To nie jest wasza pacjentka? - odpowiedział pytaniem Sam. W tym momencie oczy kobiety się otworzyły, spojrzały wokół i spoczęły na twarzy Rae.

- Hej, jestem doktor Rae Du...

- Hej, doktor Rae. Ja jestem Nola Payne. Błogosławiona Matka. Rae usłyszała, jak Sam cicho parsknął śmiechem. Spojrzała na niego.

- Przepraszam - rzucił lekko zawstydzony.

Jego oczy wypełnione były tym samym cichym zrozumieniem i szacunkiem, jakim wypełnione były przed kilkoma minutami oczy Bernie. Sam był tu obcy, ale wyglądało na to, że i on miał te same obawy o dziecko, co i Rae.

- W porządku, doktorze Hartman, nie ma potrzeby przeproszać.

- Sam. Wystarczy: Sam.

Nagle poczuła ciepłe dotknięcie. To pulchne palce pacjentki znalazły się na jej dłoni. Nola podniosła lekko głowę i rozejrzała się po sali.

- Doktor Rae, gdzie jest mój Jezusek? Co z nim? Rae poczuła, jak coś ją chwyta za gardło.

- Twój synek urodził się dziesięć minut temu. Jest teraz pod opieką lekarzy. Weźmiemy cię teraz na salę, musisz odpocząć, zobaczysz go trochę później.

Ale Nola nie słyszała już tych słów, zasnęła ponownie.

Rae zrobiła krok do przodu, ale zapomniała, że stoi na podwyższeniu. Zachwiała się i poczuła, że spada. Silna dłoń Sama chwyciła ją za ramię; chciała się oswobodzić, ale trzymał ją, aż stanęła sztywno. Zawstydzona, wyprostowała się i zaczęła zdejmować fartuch i rękawiczki. Pomogła przenieść Nolę ze stołu operacyjnego na wózek, zapisała kilka poleceń na tablicy.

- Dziękuję wszystkim - krzyknęła głośno do wychodzącego personelu.

I została sama. Powiodła wzrokiem wokół sali, tak jakby widziała ją po raz pierwszy. Sala przypominała krajobraz po bitwie. Na podłodze w krwi i

wodach płodowych leżały opatrunki i porwane plastikowe opakowania. Czuć było krew, pot i płyn owodniowy, ale żaden z tych zapachów

31

czy też widoków jej nie przeszkadzał. Przeszkadzała jej cisza, jaka tu panowała. Od bardzo dawna zawsze słyhać tu było słodki krzyk nowo narodzonego dziecka, ale nie teraz.

Drzwi do sali operacyjnej otworzyły się i weszła Claudia, sprzątaczką, którą Rae potrąciła biegnąc tutaj. Claudia ubrana była w biały dres, na który założyła chirurgiczny fartuch - taki sam, w jakim przed chwilą operowała Rae. Spod chirurgicznego czepka wystawały pasemka siwych włosów.

- I jak się mamy, moja droga? - zapytała serdecznie. Jej oczy jak zwykle przepełnione były ciepłem i życzliwością. - Masz dla mnie tę dziewczynkę czy nie?

- Niestety obawiam się, że jeszcze nie tym razem.

- Trudno, ale pamiętaj, że teraz już musi być dziewczynka!

Rae wolno wyszła z sali operacyjnej i ruszyła w stronę szatni. Chciała jeszcze raz wejść pod prysznic i przebrać się w bardziej odpowiedni na zebranie strój. Przyrzekła sobie, że jeżeli na zebraniu ktoś wspomni o zwolnieniu choć jednej osoby z jej oddziału, to pogoni go tam, gdzie raki zimują.

Walne zgromadzenie zarządu Szpitala Berkeley Hills było najwyższym organem zarządzającym. Zasiadało w nim więcej zwykłych pracowników administracyjnych niż kadry medycznej. Reprezentował on szpital odpowiedzialny za zdrowie blisko 120 000 mieszkańców dzielnicy Berkeley.

Rae reprezentowała w nim wszystkich 45 pracowników oddziału położniczego, z czego dwie trzecie to były kobiety, oraz większość tych, którzy zatrudnieni byli zarówno w szpitalu jak i w Centrum Porodów. Sam szpital był siedmiopiętrową budowlą typu „szkło i beton” z 350 łózkami dla pacjentów. Na jego dachu znajdował się bardzo dobrze zadbane ogród z przepięknym widokiem na całą zatokę San Francisco. Ale nie z powodu widoku, jaki rozpościerał się z tarasu, został on wybudowany daleko od centrum miasta na północnych stokach Berkeley. Wybudowany został jako symbol stale obcinanych dotacji na leczenie i medycynę oraz jako szpital dla najuboższych. Z tego też powodu Rae wybrała właśnie to

32

miejsce dla spełnienia swoich ambicji i przyrzeczeń. Oddział położniczy położony był na trzecim piętrze, wyżej niż w Klinice Uniwersyteckiej San Francisco, gdzie odbywała praktykę, wyżej też niż w Harvardzie czy w Klinice Mayo, gdzie oferowano jej pracę po zakończeniu praktyk.

Jednak w latach osiemdziesiątych koszty utrzymania szpitala zaczęły przekraczać otrzymywane dotacje, a jeszcze większe problemy dla szpitali zaczęły się w latach dziewięćdziesiątych. Wynikiem obniżek w dotacjach były pogłębiające się kłopoty z właściwym funkcjonowaniem tego typu placówek, a także problemy z zatrudnieniem odpowiedniej ilości osób. Brakowało funduszy na zakup nowoczesnej aparatury, która często decydowała o życiu pacjenta.

Wszystko to Rae doskonale знаła. Rozumiała też trudne decyzje, jakie podejmował zarząd szpitala - zmniejszenia dostaw i skrócenia czasu pracy dla szpitalnej kawiarenki, a także obniżenia ilości instrumentów

chirurgicznych, jakich używała ona i jej koleżki na salach operacyjnych. Decyzje te nie przynosiły jednak pożądanego skutku. Szpital w dalszym ciągu był w trudnej sytuacji finansowej.

W związku z tym zarząd obniżył płace dla personelu niemedycznego, a także rozpoczął zwolnienia tychże pracowników. Na pierwszy ogień poszli pracownicy średniego szczebla administracji szpitala, sprzątaczkę, salowe i sekretarki oddziałowe.

Nie polepszyło to jednak sytuacji. Właściciele dużych zakładów pracy stale narzekali, że składki na społeczną opiekę zdrowotną są ciągle za wysokie. Nie chcąc zmniejszać swoich wydatków oraz obawiając się konfliktów z pracodawcami, zarządy zespołów opieki zdrowotnej obniżyły składkę, co w konsekwencji doprowadziło do drastycznego obciążenia dotacji na szpitale i wypłat dla lekarzy i pielęgniarek. Zarządy usprawiedliwiały to posunięcie mówiąc, że lekarze i szpitale pochłaniają aż 17% dochodu krajowego brutto. Oznacza to, że na każde sześć dolarów wydanych w kraju, jeden z nich przypadał na służby medyczne. Dlatego też zarząd szpitala Berkeley nie miał innego wyjścia, jak zrobić następny krok w kierunku 'oszczędności'. Lecz tym razem, jak słusznie podejrzewała Bernie i inne pielęgniarki, nie będzie to obniżka wynagrodzeń, lecz zwolnienia z pracy.

Rae jednak nie chciała do tego dopuścić, myślała o tym wszystkim przebijając się w szatni.

W jej szafce znajdowała się zawsze jakaś prosta sukienka z zamkiem na plecach - zmiana takiej sukienki była szybka i nie sprawiała specjalnych trudności.

W jedną z nich ubierała się właśnie teraz - prostą, czarną z długimi

rękawami i wysokim kołnierzykiem, a do tego pasujący kolorem czarny
33

żakiet. W uszach miała perłowe kolczyki, które założyła jeszcze wczoraj idąc do pracy. Makijaż zabrał jej około dwóch minut, szybko założyła czarne zamszowe buty, przeczesła włosy. Zamykając szafkę chwyciła jeszcze swą małą, czarną torebkę i wybiegła na korytarz kierując się do sali konferencyjnej.

Zbiegając szybko ze schodów spotkała doktor Mattie Henshaw, która tak jak i ona była położnikiem. Mattie była w ósmym miesiącu ciąży ze swoim trzecim już dzieckiem.

- Cóż to, ktoś znowu pozamykał windy, czy idziesz schodami za karę? - zapytała klepiąc ją jak zwykle delikatnie po brzuchu.

- I jedno, i drugie - odparła. - Idę teraz zrobić badanie i czekają mnie jeszcze trojaczki, a co najbardziej bym chciała, poza odwiedzinami w toalecie, to żeby OR było już gotowe. Ale kiedy nasze pielęgniarki przechodzą po kolei do Centrum Porodów, to chyba będzie cud, jak wyrobimy się z tym wszystkim tutaj.

- Nie jest jeszcze tak źle - odrzekła Rae.

Mattie chwyciła się poręczy i mówiła dalej: - Tak, tylko że głównie chodzi o to Jeszcze". Słyszałam o jakichś zwolnieniach.

- Idę właśnie na zebranie zarządu, aby przedyskutować sprawę.

- Zrób z nimi porządek, Rae. Jeżeli ktokolwiek to może zrobić, to właśnie ty.

Rae z uśmiechem wkroczyła do głównego holu szpitala. Miło jest usłyszeć, że ktoś ma zaufanie do jej poczynań.

Wystrój głównego holu szpitala, podobnie jak i oddziału położniczego,

wprowadzał wchodzących w dwudziesty pierwszy wiek. Wszystko było z niklowanej stali, aluminium i szkła. Rozłożona na całej podłodze wykładzina przedstawiała olbrzymią czarno-srebrną szachownicę. Może w tym nieco futurystycznym wyglądzie holu brakowało ciepła, ale za to na pewno miało się wrażenie, że w tym szpitalu zatrudnieni są najlepsi lekarze w całym stanie i że posiada on najnowocześniejszą aparaturę potrzebną do ratowania życia pacjentów.

Aż do teraz ci najlepsi lekarze i pielęgniarki nie mogli narzekać na wynagrodzenie, jakie otrzymywali, ale wraz ze spadkiem dotacji dla personelu medycznego co pewien czas któreś z nich odchodziło. Coraz częściej pojawiały się zapotrzebowania na wykwalifikowaną kadrę medyczną.

Olbrzymie okna sięgające pierwszego piętra stanowiły ściany holu. Bardzo często w czasach, kiedy Rae rzadko opuszczała szpital, było to jedyne miejsce, gdzie mogła zobaczyć słońce.

Dzisiaj widziała jedynie gęstą szarą mgłę.

34

Lekarze i pielęgniarki mijali hol zajęci własnymi myślami, większość z nich ubrana była w białe szpitalne uniformy. Na zewnątrz ci, którzy przychodzili dopiero do pracy lub wychodzili do domu po nocnej zmianie, ubrani byli w ciepłe grube swetry, a nierzadko w kurtki i rękawiczki.

Matki popychały wózki ze słodko śpiącymi dziećmi.

W holu aż się roiło - byli biali, czarni, Azjaci, bogaci i biedni. Wszyscy kłębiący się razem, przechodzący obok siebie, rozmawiający. Uwielbiała tę różnorodność, to wymieszanie kultur, języków i dochodów. Dowodziło to jej przekonaniu, że różni ludzie mogą pracować razem pod tym samym

dachem. Pozdrawiała wszystkich, których rozpoznawała w tym kolorowym tłumie. Długo i ciężko pracowała na swoją reputację. Wielu z nich ją znało i szanowało. Nieważne czy ją lubili czy nie, ale szacunek, jakim ją darzyli, czynił pracę bardziej przyjemną. Kiedy przechodziła obok wózka z kawą, jej aromat sprawił, że poczuła nieodpartą ochotę się napić; zerknęła na zegarek, za sześć ósma - musiała się spieszyć, jeżeli chce zdążyć na zebranie, zresztą kawy napije się już tam. Szybko ruszyła do przodu.

- Pani doktor, co pani robi w Halloween? - krzyknął do niej Tim Puck, sprzedawca ze sklepu z pamiątkami. Stał w otwartych drzwiach swojego niewielkiego sklepiku, tuż przy wystawie z porcelanowymi zwierzątkami i czekoladowymi batonikami.

- Dobrze by było mieć wolną nockę - odkrzyknęła z uśmiechem.

Dotarła wreszcie do zamkniętego dla pacjentów korytarza prowadzącego do sali posiedzeń zarządu. Skręciła w drzwi i znalazła się nagle sama w pustym korytarzu. Ale tak naprawdę to nie była sama. Gdzieś tam w jej głowie kołatała się myśl i niepokój o dziecko Noli. Próbowwała nie myśleć o nim, ale nie potrafiła. Zastanawiała się, jak on się teraz czuje? Czy zaczął już samodzielnie oddychać?

- Próbowалаm cię złapać, Rae.

Nie musiała się odwracać, aby wiedzieć, kto się do niej odezwał. Męski głęboki głos należał do Walkera Stuarta, przewodniczącego zarządu szpitala Berkeley Hills.

- Całą noc byłam na górze. Co się stało? - odparła i zatrzymała się, aby Walker ją dogonił.

Jego widok poprawił trochę jej samopoczucie. Uśmiechnęła się i delikatnie

poklepała go po ramieniu. Miał pięćdziesiąt pięć lat, był jej mentorem i przyjacielem. Był wiceprzewodniczącym zarządu w szpitalu, gdzie odbywała praktykę, a od pięciu lat dyrektorem szpitala Berkeley Hills. Walker nie był lekarzem, ale martwił się o pacjentów tak samo jak i ona.

35

- Ach, to już rozumiem, dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie. Zostawiłem ci wiadomość na sekretarce w domu.

Ze swoim blisko dwumetrowym wzrostem wyglądał przy niej jak Goliat. Przy każdym jego kroku Rae musiała zrobić półtora. Przenikliwe zielone oczy patrzyły prosto przed siebie. Połyskujące siwe włosy były elegancko zaczesane do tyłu, a siwa broda delikatnie i równo przystrzyżona. Tak jak zwykle ubrany był w elegancki, granatowy włoski garnitur, białą koszulę i granatowy jedwabny krawat.

Mieszkał w olbrzymim domu w elżbietańskim stylu, na przedmieściach sąsiedniego miasta Piedmont. Był żonaty od dwudziestu siedmiu lat i miał dwie dorosłe córki. Starsza z nich urodziła sześć miesięcy temu córeczkę, Agatę, którą odbierała Rae.

Rae poklepała się po torebce. - Zawsze mam przy sobie pager. Cóż to takiego ważnego miałeś do mnie?

Chciała mu powiedzieć o cesarce Noli. Martwił ją też bałagan w pojemnikach na sali operacyjnej. Ta sprawa na pewno zmartwiłaby i Walkera, gdyby tylko o niej wiedział. Przywiązywał dużą wagę do kwestii obsługi pacjentów. Nie miała jednak odwagi, aby mu o tym powiedzieć. Jego zatroskana twarz nie dodawała jej otuchy. Dzisiejszego ranka miał na pewno wiele problemów na głowie.

Czekała więc, aż sam zacznie mówić. Stali pośrodku wyłożonego

marmurem korytarza prowadzącego do sali konferencyjnej, wewnętrznego sanktuarium szpitala. Pięć lat temu, kiedy Walker obejmował stanowisko dyrektora szpitala i postanowił upiększyć szpital, wiele osób uważało, że przesadza. Wówczas jednak pieniądze nie stanowiły wielkiego problemu i Rae uważała, że jeśli przyjemne otoczenie polepszy pracę w szpitalu, to niech tak będzie. Jednakże, choć zarząd nie musiał podejmować tak ważnych decyzji stojąc na nogach, jak to często zdarzało się jej na sali operacyjnej, jego decyzje były równie trudne, a skutki często równie tragiczne.

- Posłuchaj - zaczął - nie miałem konkretnego powodu, aby wzywać cię przez pager w nocy czy też dzisiaj rano. Właściwie to nie powinienem ci tego mówić. Gdyby ktoś się dowiedział, mógłbym stracić pracę... -

Przerwał i rozejrzał się dokoła. Na korytarzu nie było nikogo oprócz ich dwojga.

- Mów - rzekła bardzo skoncentrowana Rae.

- Słyszałem, co się stało dziś rano na oddziale, a właściwie to pewną wersję tych wydarzeń.

Rae nie potrzebowała wyjaśnień, doskonale wiedziała, jak szybko roznoszą się plotki po szpitalu.

36

- I o tym chciałeś porozmawiać dzisiaj rano, a szukałeś mnie już wczoraj wieczorem?!

- To się łączy jedno z drugim, a właściwie to może się połączyć. Rae szybko przypomniała sobie cały przebieg operacji i reanimację wykonywaną przez personel.

- Dzięki Bogu, że to ty miałaś dyżur - mówił dalej Walker. - I uwierz mi,

że jeżeli osobiście będę musiał poukładać wam te wszystkie rurki, czy jak je tam nazywacie, we właściwym miejscu, to zrobię to.

- Nola powinna być u nas od samego początku - odrzekła Rae. - To pacjentka z małym ryzykiem powikłań, tak mówili, nie? Nie rozumiem, jak mogła trafić do Centrum, ale zamierzam to sprawdzić. A zarząd chce zwalniać pielęgniarki...

- To wszystko nic - wtrącił Walker. - Dlatego właśnie chciałem się z tobą skontaktować wczoraj wieczorem.

Oczy Rae zwięzły się w wąskie szparki. - To znaczy?

- Wczoraj wieczorem odbyło się nadzwyczajne spotkanie zarządu i komitetu finansowego i...

- Walker, mogłabym zamienić z tobą kilka słów - usłyszała nagle z oddali Rae. Razem odwrócili się na widok Heidi O'Neil, prezes rady nadzorczej szpitala. Ubrana w dopasowany bordowy kostium i białą jedwabną bluzkę kroczyła w ich stronę.

- Ta Nola... tak miała na imię, prawda? - Walker mówił szybko, przyciszonym głosem.

Rae pokiwała głową zerkając na zbliżającą się Heidi.

- Walker - dodała głośno Heidi - muszę z tobą porozmawiać przed zebraniem.

- A przy tej operacji - cicho ciągnął Walker - nie wyszło coś, czego nie chcesz podać na zebraniu? - cicho zapytał Walker.

- Co masz na myśli?

- Może będę zmuszony poprosić cię, byś opowiedziała o tym zajściu z Nola, jakby sprawy wymknęły się spod kontroli...

Rae nie podobał się ani ton głosu Walkera, ani jego nerwowo rozbiegane

oczy. - Nie mogę tylko podać jej nazwiska - szepnęła.

- Ale mogłabyś opowiedzieć całą resztę?

- Walker, o co chodzi? Co się dzieje? Co niby miałyby się wymknąć spod kontroli?

Ale Walker nie zdążył już odpowiedzieć. Doszła do nich Heidi i złapała go pod ramię.

- Nie jestem przyzwyczajona, aby gonić moich mężczyzn - powiedziała z uśmiechem.

37

- Witam naszego wielkiego bankiera - odrzekł Walker. - Cóż mogę dla ciebie zrobić?

- Rae, nie będziesz miała nic przeciwko temu, że porwę go na chwilę, co?

- zwróciła się do niej Heidi.

Rae posłała Walkerowi nerwowe spojrzenie. Heidi była prezesem zarządu, a tym samym jego szefem; musiała być ostrożna. Ostatnią rzeczą, jakiej by teraz chciała, to wpakować go w kłopoty w momencie, kiedy próbował jej pomóc.

- Wystarczy, że zwrócisz mnie mojej przyjaciółce w jednym kawałku - z uśmiechem rzekł Walker odchodząc w kierunku niemal czterometrowych srebrnych drzwi prowadzących do sali konferencyjnej.

Rae patrzyła, jak oddalają się od niej i znikają za drzwiami.

Co on mi chciał powiedzieć? - zastanawiała się. - I co z tym wszystkim ma wspólnego Nola Payne?

Szła na zebranie pełna obaw o przyszłość Bernie i pozostałych pielęgniarek z jej oddziału. Liczyła na Walkera, ale teraz zastanawiała się, czy to on nie potrzebuje jej bardziej, niż ona jego. Idąc tu była przekonana

o swej niezachwianej roli negocjatora w walce o pielęgniarki, teraz straciła całą pewność. Zamykając za sobą drzwi poczuła nagle, że walka o pracę dla Bernie będzie najmniejszym z jej zmartwień.

Na środku sali konferencyjnej stał długi prostokątny stół otoczony trzydziestoma wyściełanymi krzesłami. Na ścianach wisiały oprawione w mahoniowe ramki, czarno-białe fotografie poprzednich prezesów zarządu szpitala. Nikogo nie dziwiło, że wszystkie one przedstawiały białych mężczyzn w wieku około pięćdziesięciu lat.

W powietrzu unosił się zapach kawy i świeżych bułeczek. Walker skończył właśnie rozmowę z Heidi i usiadł na swoim miejscu. Cokolwiek mu powiedziała, musiało to wyrzucić na nim ogromne wrażenie. Nerwowo zaczął stukać palcami po stole. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki mały notes oprawny w skórę i marszcząc czoło zapisał w nim jakieś uwagi.

Zaintrygowana Rae obserwowała go ze swojego miejsca po drugiej stronie stołu. Próbowwała się rozluźnić, usadowić w krześle. Jego poduszki

38

były takie wygodne, delikatnie poddały się jej plecom i pupie. Gdyby nie to, że wokół było tyle ludzi, na pewno zasnęłaby już ze zmęczenia.

Jakiś drobny, żyłasty i wyraźnie nerwowy człowieczek usiadł na krześle obok niej.

- Dzień dobry - powiedziała uprzejmie.

- Czyżby? Naprawdę taki dobry?- rzucił jej jakby na odczepne. Otworzył teczkę i wyjął z niej fiolkę. Wysypał na rękę jedną tabletkę i szybko ją połknął. Potem wydobył z teczki plik jakichś papierów i rozłożył je na stole przed sobą.

Wziął jakiś środek zobojętniający na zgagę, zauważyła Rae. Dobrze mu to zrobi.

Tuż przed nią na stole stał termos z kawą. Sięgnęła po niego i nalała sobie filiżankę. Może powinna też nalać sąsiadowi, ale chyba jednak lepiej było zostawić go w spokoju. Była nową osobą na posiedzeniach zarządu.

Dopiero niedawno zarząd poprosił zastępcę ordynatora oddziału położniczego, aby brał udział w posiedzeniach, ale nie jako członek głosujący lecz raczej jako dostarczyciel informacji.

Ale gdzie jest Bo? - pomyślała Rae rozglądając się po sali.

Chociaż Bo był dyrektorem medycznym Centrum Porodów, był też szefem oddziału położniczego w szpitalu. Gdyby ona była tu szefem oddziału, zabroniłaby dyrektorowi z Centrum Porodów piastowania kierowniczego stanowiska na oddziale. Konflikt interesów był zbyt duży.

Wypiła łyk kawy, która była już tylko letnia. Była zła na siebie, że nie zatrzymała się w holu i nie wypila tam kubka gorącej kawy. Ugryzła kawałek bułki serwowanej na maleńkim talerzyku z chińskiej porcelany i zerknęła na tych członków zarządu, którzy zajęli już swoje miejsca.

Ci, którzy nie byli lekarzami, mieli zazwyczaj swoje własne firmy. Nie płacono im za pracę w zarządzie, byli tu jednak w ten piątkowy poranek o ósmej pięć, aby pomóc rozwiązać problemy szpitala.

Na sali tylko Rae wyróżniała się kolorem skóry. Była już do tego przyzwyczajona. Od czasu opuszczenia murów szkoły w Los Angeles często była tą „Jedną-jedyną”, tą „czarną”. Teraz bycie tą jedną-jedyną stało się jej drugą naturą. Nauczyło ją - polegać na sobie, być twardą i nieustępliwą. Wiele osób, włączając i ją w niektórych przypadkach, myliło się patrząc na czarną kobietę w dzisiejszych czasach w Ameryce jako na

coś szczególnego.

Ostatnim, który wszedł do sali, był mężczyzna ubrany w niebieski chirurgiczny fartuch narzucony na biały lekarski strój. Rae od razu rozpoznała w nim gustownego doktora Marco Donavelli. Marco był szefem oddziału kardiologicznego w Berkeley Hills, wielu znany jako „Marco Wspa-

39

niały" lub po prostu „Wspaniały". Rae podejrzewała, że Heidi czekała właśnie na niego z rozpoczęciem zebrania. Przecież to jego program kardiologii przynosił szpitalowi miliony dolarów.

Poszukując osoby niezbędnej do uruchomienia programu kardiologicznego Walker zatrudnił właśnie Marco. Słyszał o jego wybitnych zdolnościach i osiągnięciach na Harvardzie i napisał do Marco, oferując mu kierowanie oddziałem chirurgii kardiologicznej z niemal nieograniczonymi uprawnieniami. I Marco go nie zawiódł. Przeprowadzał takie operacje na sercu, jakich bali się jego koledzy, a w operacjach powtórzeniowych nawet nie chcieli brać udziału jako asystenci.

Kuracja pooperacyjna przebiegała u pacjentów Marco znacznie lepiej, niż u pacjentów innych lekarzy. Ten fakt cieszył Rae najbardziej. Od przyścia do Berkeley Hills Hospital niemal samodzielnie uczynił z mało znanego programu najlepszy na obszarze całej zatoki. Nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Innym powodem jego „wspaniałości" była reputacja wśród pielęgniarek. Nikt nie miał ich więcej w łóżku niż Marco. Lecz to nie jego wygląd wzmagał to pożądanie, choć był wystarczająco przystojny ze swoimi gęstymi blond włosami, głęboko osadzonymi ciemnozielonymi oczyma i

świetną toskańską sylwetką.

W większości to jego zachowanie na sali operacyjnej przyciągało pielęgniarki do jego łóżka. Plotki mówiły, że poświęca niemal tyle samo uwagi swoim kochankom ile operowanemu sercu. Rae często zauważała, że sale operacyjne są wylegarnią romansów. Będąc tak blisko śmierci często chce się kogoś dotknąć, aby poczuć, że życie ciągle jeszcze gdzieś się toczy.

Chociaż Marco pierwszy rościłby sobie prawo do sukcesu szpitalnego programu kardiochirurgii, to na pewno gwałtownie by zaprzeczał swym seksualnym przygodom z pielęgniarkami. Musiał. Jako czterdziestoosmiolatek, żonaty i z czwórką dzieci, a do tego żona nie była słodką idiotką. Gdyby tylko dał jej powód, pozbawiłaby go wszystkiego, co miał.

Lepiej zostawić prywatne życie Marco w spokoju - otrząsnęła się z myśli Rae. Dlaczego jednak Heidi nie zaczyna zebrania, skoro Marco już przyszedł? Spojrzała na zegarek, było dziesięć po ósmej. Czeką jeszcze na kogoś...? Co innego zaświtało jej w głowie. Dlaczego Marco zaproszono na zebranie zarządu? Powinien tu być raczej ordynator chirurgii ogólnej - tak samo jak Rae członek nie głosujący.

Wtedy usłyszała pukanie do drzwi. Wszyscy z zainteresowaniem odwrócili głowy. Nikt z zarządu wchodząc do sali nie pukał do drzwi!

Heidi wstała i otworzyła je. Walker włożył swój notatnik do wewnętrznej kieszeni marynarki.

40

— Och, doktor Hartman, obawiałam się już, że pan nie przyjdzie — powiedziała Heidi.

— Ja również — odparł Sam Hartman.

Rae wyprostowała się w swoim krześle. A co on tu robi? — pomyślała.

— Sam, tutaj! — zawołał Marco, wskazując mu puste miejsce obok, tak jakby byli na meczu bejsbolowym.

Sam usiadł obok Marco, kiedy ten nalewał mu kawy do filiżanki.

Uchwyciwszy wzrok Rae podniósł w jej kierunku filiżankę. Rae przyłapana na tym gapieniu się odwróciła głowę zawstydzona.

— Panie i panowie — odezwała się Heidi O'Neil. — Otwieram nasze zebranie.

Uspokój się, Rae. Bądź czujna.

Spojrzała na Walkera. Kiwnął jej głową i pociągnął łyk kawy.

Po wysłuchaniu zwyczajowych sprawozdań, Heidi szybko przeszła do głównej sprawy zebrania.

— Ubiegłego wieczoru na nadzwyczajnej sesji zebrał się Komitet Finansowy zarządu. Zdecydowano na nim, niezależnie od pozycji, jaką zajmujemy w stanie Kalifornia, że nie jesteśmy w stanie już dłużej odbierać porodów w naszym szpitalu. W związku z tym od pierwszego stycznia w Berkeley Hills Hospital zamykamy oddział położniczy, a szczególnie nacisk kładziemy na rozwój oddziału kardiochirurgii. Czy są jakieś wnioski?

— Że co? — wyrzuciła z siebie Rae.

W tym samym momencie ktoś z drugiej strony sali zawołał głośno:

— Popieram wniosek zamknięcia porodówki od pierwszego stycznia.

— Ktoś jeszcze?

— Popieram — odezwał się mężczyzna siedzący obok Rae.

— Ale! — zawołała Rae.

— Wszyscy, którzy są za wnioskiem, proszę o podniesienie rąk —

kontynuowała Heidi nie zwracając uwagi na słowa Rae. — Dotyczy to tylko członków zarządu uprawnionych do głosowania.

— Chwileczkę! — krzyknęła Rae uderzając dłońmi w stół, podczas gdy wokół niej podnosiły się do góry ręce. Wstała szybko z krzesła przewracając przy tym filiżankę z kawą.

— Doktor Duprey. Proszę usiąść...

— Co tu się, do cholery, dzieje? — krzyczała Rae.

Wycierając chusteczką rozlaną kawę rozglądała się wzburzonym wzrokiem po sali. Kiedy ponownie zerknęła w dół, ujrzała, jak strużka kawy wiła się w stronę skurczonego mężczyzny siedzącego obok niej. Ten szybko poderwał ze stołu swoją aktówkę.

41

- Przepraszam - odezwała się do niego i ponownie spojrzała na Heidi. - Co znaczy, że nie możemy odbierać porodów tutaj. Tutaj, to znaczy gdzie?

- Tutaj - odparła Heidi. - W Berkeley Hills Hospital. Na trzecim piętrze. Komitet Finansowy już przegłosował tę propozycję, a dzisiejsze głosowanie jest tylko formalnością...

Ruchem ręki Rae przerwała Heidi.

- Jaką propozycję? - zapytała. - Kto i co przegłosował?

Nie mogła się pozbierać. Na pewno to jakiś nedorzeczny żart. Czy dobrze słyszała? Czy faktycznie padła propozycja zamknięcia oddziału położniczego w Berkeley Hills Hospital? A może Heidi miała na myśli zmniejszenie ilości pielęgniarek?

Odwróciła się w stronę stojącego właśnie Walkera. - Walker? Czy to prawda?

To chciał jej powiedzieć na korytarzu! Gdyby nie przeszkodziła mu w tym Heidi.

- Rae, to nie jest tak - rzekł Walker.

- Więc niech mi ktoś powie, o co tu chodzi... - zaczęła. Ktoś jednak chrząknął głośno przerywając jej. Marco.

- W kwestii formalnej, pani przewodnicząca - odezwał się. - Doktor Duprey chce zapewne zwrócić nam uwagę, że punkt o głosowaniu został przedstawiony przed dyskusją na ten temat.

Heidi wstrząsnęła głową tak, jakby otrzymała właśnie policzek, a to właśnie chciała zrobić Rae.

- Ktoś chce zabrać głos w tej sprawie? - zapytała ze złością Heidi.

Rae nie wierzyła własnym uszom. Czy ktoś chce zabrać głos?!

Miała bardzo wiele do powiedzenia, ale tak zaskoczyło i zszokowało ją to, co usłyszała, że nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Prawdę mówiąc przez następnych kilka sekund była w stanie jedynie spoglądać na twarze członków zarządu. Wielu z nich trzymało jeszcze ręce podniesione do góry, lecz teraz, kiedy patrzyła na nich, ich ręce opadały, jakby były z ołowiu.

- Nie mówicie chyba tego serio? - zaczęła w końcu. Heidi poprawiała żakiet.

- Czy doktor Donavelli nie powiedział ci?

Rae ponownie spojrzała na Marco. Ten skrzyżował ręce na piersi jak ksiądz.

- Dlaczego od czasu do czasu nie oddzwonisz? - spytał. - Wykręciłem do ciebie chyba z dziesięć razy. Rae była rozdrażniona.

- Dzwoniłam do ciebie za każdym razem - odparła zimno. - To ty nie miałeś czasu ze mną rozmawiać.

Marco podniósł rękę do góry, co Heidi odczytała jako prośbę o głos.

- W sprawie formalnej - powiedział. - Udało mi się porozmawiać z ordynatorem oddziału położniczego. Doktor Bo Michaels doskonale rozumie potrzebę zamknięcia oddziału położniczego i z szacunkiem odnosi się do trudnej decyzji, jaką musiał podjąć zarząd.

- Bo! - krzyknęła Rae. Nie mogła się opanować ze złości. - To wszystko jest nienormalne...

- Doktor Donavelli jeszcze ma głos - przerwała jej Heidi.

- Już nie. Jesteście nienormalni! Nie możecie zamknąć mojego oddziału! Nie interesuje mnie, co mówi Bo. Niech go diabli wezmą. Czy wy tego nie widzicie? Przecież on sprzedaje nas temu cholernemu Centrum Porodów!

- Doktor Duprey, przypominam, że nie jesteś głosującym członkiem zarządu - zawołała Heidi. - Jesteś tu, by dostarczać nam informacji.

- A co ja innego, do cholery, robię. Informuję was właśnie, że postradaliście zmysły. - Przerwała, aby spojrzeć na Marco, który ciągle siedział ze skwaszoną miną. Czy on cały czas to planował? Czy Bo był w to zaangażowany? Zdała sobie jednak sprawę, że raczej nie, bo Centrum Porodów potrzebowało szpitala, aby przeprowadzać cesarskie cięcia.

- Zabieram ci głos, doktor Duprey - rzekła Heidi. Rae zmusiła się do spokoju. Jeżeli ma cokolwiek osiągnąć, musi panować nad swoimi emocjami.

- Mogę tylko coś dodać? - zapytała.

Heidi spojrzała na siedzącego obok Rae mężczyznę. Kątem oka Rae zauważyła, jak ten potrząsnął przecząco głową.

- Lepiej przejdźmy do następnego punktu - odparła Heidi.
- Proszę - naciskała Rae. - Chciałabym coś wyjaśnić. Heidi ponownie zerknęła na sąsiada Rae. Ten jednak łykał właśnie następną tabletkę i pocierał dłonią spocone czoło.
- Słucham, o co chodzi? - powiedziała Heidi odwracając od niego z rozdrażnieniem głowę.

Rae wiedziała, że to jej jedyna szansa, aby zarząd zmienił tę niedorzeczną decyzję. Wzięła głęboki wdech...

- Nie mamy całego dnia - dodała Heidi.
- Z całym szacunkiem należnym mojemu koledze doktorowi Donavelli - zaczęła Rae - wydaje mi się jednak, że musiał źle zrozumieć intencję naszego ordynatora, doktora Bo Michaela. - Nie mogła uwierzyć, że broni Bo. Ale niech no tylko poczeka, aż Bo dostanie się w jej ręce.

43

- Och, nie sądzę, aby tak było - rzekł Marco.
- Ja, do cholery, mam teraz głos - powiedziała spoglądając na Heidi, która potaknęła głową.
- Słuchamy dalej - powiedziała Heidi.
- Sądzę tak dlatego, że przecież Centrum Porodów potrzebuje naszego szpitala, aby wykonywać cesarskie cięcia u swoich pacjentek. Jestem pewna, iż wszyscy tu wiedzą, że Centrum Porodów ma tylko pozwolenie na przyjmowanie porodów naturalnych...

W tym momencie Marco wstał ze swojego krzesła.

- Pani przewodnicząca, aby oszczędzić czas, chciałbym wyjaśnić tę kwestię.
- Doktor Donavelli ma głos - rzekła Heidi.

- Ale... - zaczęła Rae.

- Doktor Donavelli ma głos! - krzyknęła Heidi.

Rae usiadła. Sam Hartman, siedzący z prawej strony Marco, spoglądał na nią ze współczuciem. Ale co znaczyło jego współczucie, kiedy chodziło o byt jej oddziału?

- Wygląda na to, że ordynator i jego zastępca nie mają ze sobą kontaktu - powiedział Marco. - Gdyby tak było, doktor Duprey wiedziałaby, iż doktor Michaels zadbał już o ten drobny szczegół i Centrum Porodów korzystać będzie z usług Berkeley City Hospital.

- Z Berkeley City Hospital? Tej nory? - zawołała Rae.

- To szanowany szpital - odparł Marco.

- Ale jest pięć kilometrów od Centrum Porodów - rzekła Rae. - I nie pamiętam, aby którekolwiek z twoich dzieci przyszło tam na świat! Jest zbyt daleko, aby używać go w nagłych przypadkach. Nie można wystawiać pacjentek na tak duże ryzyko czasowe. Jedna na pięć pacjentek z Centrum Porodów rodzi tutaj. Zamierzacie przeprowadzać nagłe porody w jadącej karetce?

- Nie sędzę, aby personel Centrum Porodów podzielał twoje obawy,

- Personel Centrum Porodów! - krzyknęła Rae. - Nie wydaje mi się, aby personel Centrum Porodów w ogóle przejmował się swoimi pacjentkami.

- Tego już za dużo, doktor Duprey - zawołała Heidi. - Proszę j usiąść i nie zabierać więcej głosu, albo będę zmuszona cię wyprosić...

- Nie usiądę i nie przestanę mówić! Jeżeli chcecie mnie uciszyć, to będziecie mnie musieli wyrzucić stąd siłą! Nie pozwolę wam zamknąć mojego oddziału.

Usłyszała delikatne chrząknięcie obok. To Walker.

- Czy mógłbym zabrać głos? - zapytał.

44

Rae próbowała się uspokoić. Walker na pewno tym się zajmie. Powiedział jej, że sprawy mogą się wymknąć spod kontroli i że będzie musiała opowiedzieć o przypadku Noli.

- Pan Stuart ma głos - powiedziała Heidi. - To moje ostatnie ostrzeżenie, doktor Duprey.

W tym momencie usłyszeli głos bipera i Marco szybko wstał ze swojego miejsca: - Przepraszam, ale muszę odpowiedzieć.

- Jako dyrektor naczelny szpitala - zaczął Walker - ubrany jestem w dwie czapki. Jedną od zarządu - kiwnął głową w kierunku Heidi - który jest moim pracodawcą, i muszę tak pracować, aby był ze mnie zadowolony, jeżeli chcę utrzymać swoją pracę. Z drugiej jednak strony - i tu kiwnął do Rae - mam zobowiązania w stosunku do pielęgniarek i lekarzy tu pracujących. Czasami jest tak, że zarząd i personel wymagają ode mnie dwóch różnych rzeczy. Lecz ponad wszystko obie strony muszą robić to, co jest najlepsze dla naszych pacjentów...

- I dlatego musimy im zapewnić najlepszą i najszybszą opiekę, jakiej potrzebują - przerwała mu Rae.

- Doktor Duprey - zaczęła Heidi.

- Może jednak pozwolimy jej dokończyć - odezwał się Walker. - Wszyscy mieliśmy możliwość wysłuchania pewnych informacji wczoraj wieczorem. Pozwólmy, aby doktor Rae opisała nam swój przypadek. Tyle chyba możemy zrobić.

Oczy wszystkich zwróciły się na Rae. Zrozumiała, że Walker dał jej znak, by opowiedziała o Noli Payne. Wolno podniosła się ze swego miejsca i

stała obok jego krzesła. Serce chciało wyskoczyć jej z piersi, a przed oczyma przebiegły w przyśpieszonym tempie obrazki z porannej operacji. - Dzisiaj rano - zaczęła spokojnie - z Centrum Porodów przewieziona została do naszego szpitala kobieta. Nie potrafię w tej chwili powiedzieć, co tam się wydarzyło, ale gdyby ta kobieta była na naszym oddziale od samego początku, dziecko leżałoby teraz w jej ramionach, a nie podłączone do respiratora na oddziale intensywnej terapii walcząc o swoje dopiero co zaczęte życie. Ciężarną z Centrum Porodów przekładano z łóżka na wózek, transportowano korytarzem, potem do karetki i nią na drugą stronę ulicy do naszego szpitala. Kiedy była już tutaj, musiała poczekać na windę, wjechać na trzecie piętro, pokonać kawał korytarza i wtedy dopiero mogła być położona na stół operacyjny. Nasz zespół operacyjny przystąpił do działania nie wiedząc kompletnie nic o pacjentce. Nawet jak się nazywa i jakie wystąpiły komplikacje. Ale wiedzieliśmy i byliśmy pewni jednego: musimy ocalić jej dziecko...

45

Nie wiem, czy aż tyle tych czynności, które wymieniłam, należało wykonać, aby pacjentka znalazła się na stole operacyjnym, ale na pewno było ich sporo. Gdyby jednak ta sama pacjentka była w naszym szpitalu, na naszym oddziale położniczym, wystarczyłoby ją tylko przewieźć z łóżka wprost na stół operacyjny. To, panie i panowie, wymaga tylko dwóch czynności. Teraz jednak proponujecie dodać do tego wszystkiego transport przez miasto do odległego o co najmniej pięć kilometrów City Hospital. Powiedzcie to temu małemu chłopcu, który leży walcząc o życie w inkubatorze, powiedzcie to jego matce, która ciągle pyta, jak się czuje jej syn. Jeżeli sumienie wam na to pozwoli, proszę bardzo, kontynuujcie i

głosujcie nad zamknięciem naszego oddziału położniczego. Lecz zanim to zrobicie, wytłumaczcie temu małemu chłopcu w inkubatorze, dlaczego uważacie, że jest to taki świetny pomysł.

Na sali panowała kompletna cisza i Rae obawiała się przez moment, że członkowie zarządu usłyszą jej łomoczące serce. Rozejrzała się wokół, dalej nikt się nie odezwał. Kiedy zerknęła na Sama, ten uśmiechnął się i podniósł kciuk do góry.

- Dla formalności - rzekł - w pełni zgadzam się ze stanowiskiem doktor Duprey.

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli na to przystanę!

To odezwał się drobny sąsiad Rae. Zamknął z trzaskiem swoją torbę,

- John, zostaw to mnie - rzekła Heidi.

- Wystarczy tych melodramatów - ciągnął tamten. Nerwowo rozluźnił krawat, jakby nie mógł złapać powietrza, i spojrzał na pozostałych członków zarządu. - Nie pozwolę, aby jakiś sentymentalny położnik rozłożył ten szpital na łopatki - rzucił ze złością w głosie.

- Sentymentalny położnik - odezwała się Rae. - A kim pan jest?

- John Vincent jest przewodniczącym Komitetu Finansowego szpitala - objaśnił Walker. - John, to jest właśnie doktor Duprey.

- Wiem, kim jest.

- Mówiłem ci już, że doktor Duprey będzie walczyć o swój oddział do upadłego. Zresztą, po wysłuchaniu tego, co nam przed chwilą opowiedziała, któż może ją za to winić? - dokończył Walker.

- Ani ciebie - John wskazał palcem na Walkera. - Wczoraj obiecałeś, że nam pomożesz, jeśli ona będzie zbyt mocno oponować. Zdrajca! Kłamca!

- wykrzykiwał. - Mówiłem ci, że nie możemy mu ufać - odwrócił się do

Heidi.

- John, proszę, uspokój się - rzekła.

Co tu się, do cholery, dzieje? - pytała samą siebie kompletnie zaskoczona Rae.

46

- Tak na pewno nie mówiłem - odparł Walker. - Powiedziałem tylko, że powinniśmy wziąć pod rozwagę wszystkie możliwości. Gdybyś mnie słuchał...

- Mam już dosyć słuchania ciebie! Znów nas oszukasz, skurwielu. - John walnął pięścią w stół. - Wczoraj wieczorem uzgodniliśmy stanowisko. Przystałeś na nie, a dzisiaj puszczają ci nerwy! Przecież to Centrum Porodów pożera nas żywcem. Zróbmy to, co ustaliliśmy, i koniec. Nie może być tak, żeby jakaś idealistka to wszystko zepsuła.

- Mówi pan o mnie? - zaczepnie odezwała się Rae.

- A o kim innym, jak nie o pani.

- Więc niech pan się zwraca bezpośrednio do mnie, jestem tuż obok.

- Czy mogę dokończyć? - odezwał się Walker.

- Nie! - krzyknął John. - Decyzja już zapadła.

- Proszę mu pozwolić dopowiedzieć resztę - wtrąciła się Rae. - Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji. Nie może pan zakrzyczeć całego zarządu i zamknąć mojego oddziału.

Na sali zawrzało, wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Heidi krzyżąc próbowała wprowadzić jakiś porządek i uciszyć zebranych. Rae wróciła na swoje krzesło.

- Pan Walker ma głos - przekrzykiwała hałas Heidi.

- Dziękuję bardzo - odparł Walker. - Jak już powiedziałem, reprezentuję

obie strony, zarząd i personel medyczny. Zwracam się do doktor Duprey i do wszystkich tych, którzy podzielają jej pogląd. Proszę pamiętać, że John Vincent miał poważny powód, kiedy proponował zamknięcie oddziału położniczego w naszym szpitalu...

- Walker! - wykrzyknęła z oburzeniem Rae.

- Rae, proszę, wysłuchaj do końca. Zgadzam się z twoim stanowiskiem w stu procentach, ale są rzeczy, których nie możemy lekceważyć. Oddział położniczy nie jest w stanie zarobić na siebie. Aby go utrzymać, musimy ujmować innym oddziałom. Ten oddział rujnuje finansowo cały szpital. Czego oczekujesz, Rae? Sądzisz, że pozwolimy, aby zatonął cały statek po to, aby uratować jeden oddział?

Rae milcząco pokiwała głową. Czowała się złapana w pułapkę. To, co powiedział Walker, nie było pozbawione sensu, ale również i ona nie mówiła bez sensu. Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Czego oczekuję? - rzekła bardzo spokojnie. - Tego, by dzisiejsza sytuacja z dzieckiem Noli Payne nie powtórzyła się już dziecku żadnej innej kobiety.

Tak jak poprzednio kiedy skończyła mówić, tak i teraz na sali zapanowała kompletna cisza. Również i ona siedziała w milczeniu.

47

- Nie! - John Vincent rozpiął kołnierzyk koszuli. - Nie słuchajcie jej! Czy nie widzicie, co kombinuje? Gra na waszych uczuciach, wykorzystuje wasz intelekt. Wszyscy macie finansowe zobowiązania w stosunku do miasta. Jeżeli utrzymacie oddział położniczy w tym szpitalu, za pół roku będziecie już historią. Możecie zamknąć go teraz i rozbudować kardiologię, albo zostawić oddział położniczy, by szybko wykończyć

szpital. Wybór należy do was! - Zamilkł. Jego twarz zrobiła się szara jak popiół, a ręce sięgnęły do piersi.

- John! - krzyknęła Heidi.

Odpychając Walkera Heidi podbiegła do Vincenta. Ten zdążył już upaść twarzą na szklany stół. Rae obróciła go szybko na plecy. Usta miał sine, a z ich kącików wypływały strużki śliny. Sam był już obok niej.

- Zadzwońcie na izbę przyjęć! - krzyknęła Rae. Jedną rękę trzymała mu pod głowę, a drugą przycisnęła mu do szyi i starała się wyczuć tętno. John Vincent nie miał nadkwasoty, miał atak serca. - Mamy zatrzymanie czynności serca.

- Nie! - wrzasnęła Heidi.

- Zróbcie nam miejsce! - krzyknął Sam.

Kiedy członkowie zarządu odsuwali krzesła, Rae i Sam układali Vincenta na podłodze. Sam wytarł strużki śliny z jego twarzy. Rae opadła na kolana i siadła nad nim okrakiem. Splotła dłonie i rozpoczęła reanimację naciskając splecionymi dłońmi klatkę piersiową. Sam przycisnął usta do ust Johna i rozpoczął sztuczne oddychanie.

- Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa - liczyła głośno Rae, utrzymując w ten sposób prawidłowe tempo nacisków.

Czując poddający się jej naciskom mostek pomyślała, że jeszcze przed chwilą John Vincent chciał zamknąć jej oddział, a teraz ona próbuje ratować mu życie.

Pół godziny później Rae siedziała u Walkera na wprost jego biurka. W pokoju znajdowały się eleganckie, choć proste meble, sprawiające wrażenie niezwykłego ładu i porządku. Duże biurko z blatem z grubego szkła, wygodne skórzane fotele, komputer i szafka ze szklanymi drzwia-

mi. Na podłodze leżał jasnooperłowy dywan dodający całemu otoczeniu ja-
48

sności i elegancji. Nie było tu, jak ma to miejsce w pokojach pracowników administracyjnych, bałaganu, porozrzucanych kartek, czy też nie zaostrzonych ołówków. Wszystko było poukładane i każdy przedmiot miał swoje miejsce. Na biurku stała fotografia, oprawiona w elegancką drewnianą ramkę, jego sześciomiesięcznej wnuczki, Agathy.

W ciągu pięciu lat piastowania stanowiska dyrektora, Walker zrobił dla szpitala bardzo dużo, a zwłaszcza dla oddziału położniczego. Kupił nowoczesne oprzyrządowanie, założył centralny system monitorowania pacjentek oraz wysoko zaawansowany system sieci komputerowej. Dodał też więcej sal porodowych i zatrudnił najlepsze pielęgniarki i położne w całym stanie. Zmienił wystrój i umeblowanie szatni dla personelu i poczekalni dla pacjentek. Zwiększył liczbę sal opieki poporodowej i założył bibliotekę poglądowych filmów wideo dla nowych rodziców. Sprawił też, że pielęgniarki i lekarze nie musieli tracić czasu na wypełnianie arkuszy i formularzy dotyczących pacjentek. Robiła to za nich zwiększona na oddziałach liczba pracowników administracyjnych. Dzisiaj po raz pierwszy Rae poczuła się nieswojo siedząc w tym zadbanym i czystym biurze, nigdy przedtem tego nie doświadczyła. Po porannych przejściach począwszy od porodu dziecka Noli Payne, aż do momentu ataku serca Johna czuła, że w prawdziwym życiu nic nie jest tak poukładane i czyste jak tutaj.

W ręku trzymała satynową miniaturkę kołyski. Prezent, jaki dała mu sześć miesięcy temu w imieniu oddziału położniczego - za to wszystko, co dla nich zrobił. W podstawce kołyski była mała szufladka, gdzie ukryta była

pozytywka; tam właśnie włożyła małą karteczkę z napisem: „Dziękujemy - noworodki”. Teraz szufladka była zamknięta i nie miała ochoty jej otwierać, by posłuchać melodii, dla której między innymi kupiła tę kołyskę - „Kołysanki” Brahmsa. Tak spokojnej, delikatnej, dającej poczucie bezpieczeństwa.

Nic takiego teraz nie czuła.

Niby wiedziała i rozumiała, dlaczego Walker chciał, aby na spotkaniu przedstawione były dwie różne opinie odnośnie zamknięcia jej oddziału. Sercem jednak pragnęła, aby była tylko jedna i aby poparł ją w stu procentach. „Powinnam mu to zabrać” - powiedziała cicho do siebie, odstawiając trzymaną w rękę miniaturkę kołyski. Ciągle jeszcze rozmawiał z pielęgniarką z kardiochirurgii, upewniając się co do stanu zdrowia Vin-centa.

- Dziękuję, bardzo pani dziękuję - rzekł do słuchawki i odłożył ją. ~~

Przepraszam, ale nie usłyszałem, co powiedziałaś - zwrócił się do Rae.

49

Kiwnęła głową w stronę kołyski. Nie wypadało jej zabrać prezentu, który kiedyś podarowała mu z głębi serca.

- Mówiłam, że nie pamiętam, kiedy ostatnio ją wyjmowałeś.

- Ja też nie pamiętam, nie wiem nawet, dlaczego teraz jest tutaj.

Wstał z krzesła i zabrał ją z biurka. Podeszedł do oszklonej szafki i postawił ją na środkowej półce, po czym wyjął klucz z kieszeni i delikatnie ją zamknął.

- Tak, teraz dobrze. Tu jest twoje miejsce. - Odwrócił się z uśmiechem na ustach. - Aha, John wyjdzie z tego. Gratuluje, uratowałaś mu życie.

Rae odetchnęła z ulgą.

- Nie chciałam cię o to pytać, bałam się...

- Że może mu się nie uda...

- A może bałam się, że jednak z tego wyjdzie - dodała. Oparła się wygodnie na fotelu i złapała dłońmi za podbródek. - Przepraszam, wiem, że to brzmi okropnie, ale w pewnym stopniu naprawdę tak myślałam. Przecież on chce zamknąć mój oddział.

- Zachowujesz się jak dzieciak - powiedział, siadając na krześle. Miał zupełną rację, ale przyszłość jej oddziału stanęła przecież pod wielkim znakiem zapytania. Co on teraz zamierza? Co ona zrobi?

- Wiem, ale naprawdę to cieszę się, że z tego wyjdzie. Mimo że chce zamknąć mój oddział. Tylko co z porodówką, Walker,.. on chce ją zamknąć, a powiększyć oddział Marco. Nie jest to układ, o jakim myślałam.

Walker skrzyżował ręce na piersi. - Posłuchaj, Rae... - zaczął.

- Sam wiesz, że położnictwo i odbieranie porodów to całe moje życie - przerwała mu. Pomimo rosnącego w niej gniewu starała się mówić spokojnie. Czowała, jak w środku zaczyna wszystko w niej drzeć. Wstała i zaczęła chodzić po pokoju. - Ciągle jeszcze czuję jego żebra pod moimi palcami, Walker. Chude, kruche żebra. Czulałam, że mogłabym go zgnieść] I chciałam to zrobić...

- A nie odbija ci czasem, co? - zaśmiał się.

- Naprawdę chciałam to zrobić.

- Wydaje ci się, Rae, to nie w twoim stylu, nie potrafiłabyś tak... Potarł ręką podbródek. - Wiem, ile dla ciebie znaczy odbieranie porodów...

- Ta porodówka musi tu być. Nie chcę słyszeć, że ktoś mógłby ją zamknąć. Przecież Centrum Porodów nie może bez nas funkcjonować. - Po-| cierała

dłonią po zeszywniałym z nerwów karku. - Boże, już sama nie wiem, co mówić.

50

- Jestem pewny, że nie byliśmy jedynymi na sali, którzy chcą, by utrzymać oddział położniczy w tym szpitalu.

Rae nerwowo chodziła po pokoju. Przecież nie chciała z nim walczyć. Ale co się stanie z jej pacjentkami i noworodkami, któż inny wstawi się za nimi? Nie mogła dopuścić, aby zarząd zamknął najlepszy oddział położniczy w całym stanie. Nie mogła pozwolić, aby wystawiano rodzące kobiety na ryzyko transportu z Centrum Porodów do oddalonego o pięć kilometrów City Hospital.

- Siadaj - Walker pokazał na krzesło - chcę ci coś powiedzieć. Rae przysiadła na krawędzi krzesła.

- Przedstawiłem Komitetowi Finansowemu jeden z możliwych wariantów tylko po to, aby zyskać na czasie. Potrzebuję czasu, aby to wszystko jakoś poukładać.

Rae wyprostowała się w krześle.

- Słucham dalej.

Jego poważny głos bardziej zwrócił jej uwagę niż to, co mówił.

- Nim to rozwinię, powiem ci coś jeszcze. - Zerknął w stronę oszklonej szafki i pokazał na kołyskę. - Pamiętasz, kiedy mi to dałaś? Żaden prezent nie znaczył dla mnie więcej niż ten. - Wstał i przesiadł się na krzesło obok niej.

Rae siedziała wpatrzona w okno. Widziała jasny budynek Centrum Porodów. Jak to możliwe, aby coś takiego zniszczyło jej oddział? - pomyślała.

- Przez chwilę zapomnijmy o tym, co zrobi ze mną zarząd, jeśli pozostawię twój oddział - ciągnął Walker. - Mówiłem ci już, że ten szpital to moje królestwo, całe moje życie. A ty nie jesteś jedyną, która uważa, że to najbezpieczniejszy i najlepszy szpital w stanie Kalifornia. Rodzące kobiety są tu bezpieczniejsze niż gdziekolwiek indziej. Nigdy ciebie o to nie pytałem, ale pamiętasz, jak patrzyłaś na swoją matkę umierającą w karetkie i nie mogłaś nic zrobić, aby jej pomóc?

- Walker, nie chcę o tym mówić.

- W porządku, ale pomyśl przez chwilę. Czy uważasz, że chciałbym, aby kobiety z Berkeley cierpiały tak jak ona? Jak ta kobieta dziś rano, ta...?

- Nola Payne - Rae siedziała wyprostowana na krześle. Czowała, jak ze zdwojoną siłą powraca jej złość na to, że ktoś chciał zamknąć ten oddział.

- O właśnie, Nola Payne. Zresztą, wiem, co znaczy, gdy ukochana osoba rodzi w kiepskim szpitalu, gdzie są kiepscy lekarze i pielęgniarki i gdzie brakuje odpowiedniej opieki i sprzętu. Wiesz, że chciałem zostać le-

51

karzem? Zdałem chemię, fizykę i matematykę, ale kiedy przyszła biologia, no cóż, muszę przyznać, że krew mi nie leży. Ale uznałem, że mogę jakoś] mieć wpływ na polepszenie zdrowia innych ludzi. Mogłem przecież zostać dyrektorem szpitala.

- Walker, ja to wszystko wiem...

- Ale nie wiesz o mojej pierwszej żonie. Tego ci nie mówiłem. Miała na imię Florence, oboje mieliśmy po dwadzieścia jeden lat...

- Byłeś żonaty przed Denise? - z niedowierzaniem spojrzała na niego.

- Denise nawet o tym nie wie.

Walker wstał i odwrócony do Rae plecami, spoglądał przez okno.

- Florence była piękna. Kochałem ją. Kiedy zaszła w ciążę, od razu się pobraliśmy, mimo że tak naprawdę to byliśmy przecież jeszcze dziećmi żadne z nas nie miało pojęcia o ciąży, lekarzach i szpitalach, a poza tym byliśmy biedni. Jeżeli chodzi o naszych rodziców, to wystarczy, że powiem' iż żadne z nich nie było na naszym ślubie.

W połowie ciąży zaczęła krwawić, niedużo, ale... Jak mówiłem, nie przepadam za widokiem krwi, ale nawet ja wiedziałem, że kobieta w piątym miesiącu ciąży nie powinna krwawić.

Była już prawie zima, dzień podobny do dzisiejszego, zimny. Oboje skończyliśmy niedawno college, nie byliśmy ubezpieczeni i nie stać nas było na prywatnego lekarza. Pojechaliśmy więc do szpitala miejskiego, mocno zaniedbanego, gdzie zapachy przypominały te w szaletach miejskich, a izba przyjęć wypełniona była pijakami. Siedzieliśmy sześć^godzin w brudnej i zimnej poczekalni, nim nas zawołano. Niestety, było już za późno. Okazało się, że Florence miała zbyt mocno rozszerzoną szyjkę macicy. Lekarz, który ją badał, przyznał, że odpowiednio wcześniej założono by szew na szyjkę i mogłaby dochodzić z ciążą do rozwiązania. Ale niestety było inaczej. Nie została przyjęta na czas i nie został założony szew, a dziecko po prostu wypadło z niej na podłogę w tej zimnej i brudnej izbie przyjęć.

- Walker, tak mi przykro...

- Dziecko zmarło od razu, a nasze małżeństwo przetrwało jeszcze tylko dwa lata. Byłem zdruzgotany, kompletnie załamany i zdesperowany a tacy ludzie, jak wiesz, robią bardzo często głupie rzeczy. Wtedy postanowiłem sobie, że któregoś dnia zostanę dyrektorem najlepszego szpitala w Kalifornii. To ja będę decydował o polityce szpitala i o tym, jak długo

będą czekać pacjenci w izbie przyjęć.

Walker westchnął ciężko i odwrócił się do Rae.

- Ale czasami nawet ja muszę się pogodzić z faktami, Rae - dodał. - Nawet ja muszę odłożyć na bok marzenia o najlepszym w świecie od-

52

dziale położniczym. Czy ty tego nie widzisz? Dobro całego szpitala jest dla mnie ważniejsze. Muszę pamiętać, że porodówka nie jest jedynym oddziałem w tym szpitalu, bo jeśli całe to miejsce upadnie, również i ty będziesz bez pracy.

- Wiesz przecież, że ja zawsze mogę pracować gdzie indziej - odrzekła bez przekonania.

- Tak, możesz. - Potarł brodę. - Ale to nie będzie już szpital Berkeley Hills...

Rae wstała i przeszła na drugą stronę biurka. Usiadła na jego krawędzi - mogła teraz machać nogami w powietrzu. Za oknem mgła się lekko podniosła i leniwie zaczęły się przez nią przebijać promienie słońca.

- Walker, przecież musi być jakiś inny sposób.

- Zawsze jest jakiś sposób. Najgorszy scenariusz to ten, że porodówka zostanie zamknięta, a fundusze przeznaczą na rozwój kardiologii Marco, który z kolei zarobi tyle pieniędzy, że znów będziemy mogli otworzyć twój oddział.

Zegar w pokoju wybił dziewiątą. Po czym znów zapadła cisza, głucha i niema jak mała kołyska stojąca za szybą. Rae wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, że próbowałeś już odkupić Centrum Porodów?

- Podchodziłem do tego trzy razy.

- A lekarzy?

- Oczywiście.

- No tak. - Zamyśliła się. Nagle wstała, jakby przyszedł jej do głowy jakiś nowy plan. - W takim razie musimy... - nie dokończyła zdania, oboje usłyszeli stukanie do drzwi.

- Proszę - zawołał Walker.

Do pokoju weszła Heidi. Rae zeskoczyła z biurka i usiadła na swoim krześle.

Oczy Heidi były czerwone i opuchnięte od płaczu.

- Dobry Boże, Heidi. Siadaj, co się stało?

- John nie żyje - odpowiedziała drżącym głosem. Łzy popłynęły jej z oczu.

- Ale Walker przed chwilą rozmawiał z pielęgniarką - odezwała się Rae.

- I co z tego! Mógł rozmawiać nawet z samym Panem Bogiem. A John nie żyje, rozumiesz?! Po prostu nie żyje! Miał następny atak. Rae skurczyła się w krześle. -Ale jak...

- Jak? Co to cię obchodzi?! To przez ciebie miał zawał.

- Przeze mnie?

- Heidi, co ty wygadujesz? - wtrącił się Walker.

53

- Ty jesteś tak samo winny jak i ona - odparła ze złością. Sięgnęła do torebki i wyjęła paczkę chusteczek. Ręką dała znak, aby Walker nic więcej nie mówił. - Sam też chciałeś zamknąć porodówkę - mówiła dalej drżącym głosem. - I przeznaczyć pieniądze na kardiochirurgię. To był twój pomysł, żeby zaprosić na zebranie Donavelliego i Hartmana, aby pokazać im nasze dobre intencje.

- Heidi, tak mi przykro z powodu Johna - rzekł Walker. - Nie wiedziałem nawet, że ma problemy z sercem.

- Nikt nie wiedział - powiedziała cicho. - Nikt oprócz mnie i jego lekarza. Ale on nas nie słuchał, ani mnie, ani jego. Ciekawa jestem, ile jeszcze będzie nas kosztowało użeranie się z tą cholerną porodówką - zakryła usta chusteczką i odwróciła twarz.

- Heidi, mnie też jest bardzo przykro - odezwała się Rae. Naprawdę było jej przykro. Nie udawała, ale intrygowało ją także, co ich łączyło poza sprawami służbowymi. Na pewno nie rozmawiali tylko o sprawach szpitala, a jeżeli tak było, to ciężko będzie teraz przekonać Heidi, aby nie zamykała jej oddziału.

- I co z tego? Czy to ma teraz jakieś znaczenie? - odparła i machnęła chusteczką w jej stronę, jakby chciała ją odgonić od siebie.

Na chwilę zapanowała cisza. Za oknem znów zrobiło się szaro i ponuro. Rae wstała i podeszła do Heidi, objęła ją ramieniem.

- Heidi, naprawdę mi przykro z powodu Johna i bardzo przepraszam, jeśli to z mojego powodu. Ale proszę cię, jak to wszystko się trochę uspokoi, porozmawiajmy jeszcze o waszej decyzji. Wiem, że nie jest to właściwy czas, aby o tym mówić, ale czuję, że potrafię namówić moich kolegów z Centrum Porodów, aby ich pacjentki rodziły w naszym szpitalu.

- Gównu mnie obchodzą twoi koledzy - rzuciła Heidi. Rae wiedziała, że osoby w takim stanie psychicznym w jakim była teraz Heidi, potrafią mówić różne dziwne rzeczy.

- Wiesz, że to nieprawda, Heidi. Też się przejmujesz tym wszystkim tak, jak pewnie jeszcze niczym w swoim życiu. Nie raz widziałam, z jaką dumą opowiadałaś o naszym oddziale położniczym. Przecież żona twojego syna rodziła na naszym oddziale, a twoja matka była operowana przez naszych ginekologów. Tak jak i inni, ty, jako prezes zarządu tego szpitala,

najlepiej znasz wartość posiadania najlepszego na świecie oddziału położniczego. Dlatego odbieram porody swoich pacjentek właśnie tu, dlatego Walker jest tu dyrektorem szpitala i dlatego ty jesteś prezesem zarządu w tym szpitalu. W najlepszym szpitalu w całym stanie. Nie wierzę, że pozwolisz na zamknięcie trzeciego piętra w tym szpitalu.

54

Rae czekała, aż Heidi coś powie. Ale Heidi miała oczy zamknięte, jakby uśpiły ją słowa Rae.

- Heidi?

- Skończyłaś? - odezwała się z zamkniętymi oczami.

- Chyba tak - odparła.

- Więc powiedz mi - Heidi otworzyła oczy - jak sobie wyobrażasz twój cenny oddział otwarty, skoro nie da się zamknąć niczego innego w tym szpitalu?

Rae delikatnie wciągnęła powietrze. Musiała być teraz bardzo ostrożna, miała przed sobą niepowtarzalną szansę. Usiadła na brzegu krzesła.

- Bez wątplenia mamy najlepszy oddział położniczy. Możemy tu zrobić wszystko, aby zapewnić bezpieczny poród. Odpowiadamy za nasze społeczeństwo, jego zdrowie. Kto im to zapewni, jeśli nie my? Polegają na nas.

- Społeczeństwo - odezwała się z uśmiechem Heidi. - Myślałby kto, że to prawda.

- Posłuchaj, Heidi - ciągnęła Rae. - Ludzie troszczą się o dzieci. Mogą kłócić się w sprawach edukacji, religii, polityki czy też kto zostanie nowym prezydentem, ale wszyscy zgodnie chcemy mieć zdrowe dzieci.

Matki chcą, by dziecko rodziło się zdrowo, a nie tak jak zdarzyło się dziś

rano... - Przerwała, by widzieć, jakie wrażenie wywarły te słowa na Heidi.

- Mów dalej - odezwała się tamta.

- Może ludzie nie wiedzą, jak ważne jest wykonanie cesarskiego cięcia na miejscu w szpitalu, w którym jest pacjentka. I może też przeciętna kobieta nie zdaje sobie sprawy, iż kiedyś i ją to może spotkać, a wtedy każda minuta ma ogromne znaczenie. Jeżeli więc uświadomimy naszym kobietom, o ile bezpieczniej jest rodzić u nas niż w Centrum Porodów, na pewno zmienią zdanie i wrócą do nas.

- Czy sądzisz, że my o tym nie rozmawialiśmy? - spytała Heidi - że nie mówiłam tego Johnowi? A prawda jest taka, że Centrum Porodów ma wyniki równie dobre. Dzieci urodzone tam są tak samo zdrowe jak nasze.

- Jak więc wytłumaczysz przypadek dziecka tej Noli? - zapytała Rae podnosząc głos.

- Jedno dziecko nie oznacza od razu katastrofy.

- Ale gdyby była u nas, nie czekała, aż ją przewiozą karetką tutaj...

- Wystarczy - rzuciła Heidi. - Już raz to przerabialiśmy...

- Ale ty nie rozumiesz! Przejazd karetką oznacza stracone minuty, minuty na wagę życia - Rae już niemal krzyczała.

55

- Ja myślę - wtrącił się Walker - że doktor Duprey prosi tylko o trochę więcej czasu. Zresztą po dzisiejszym ranku każdy z nas musi się trochę uspokoić, nim ponownie zwołasz zebranie. Ty też potrzebujesz czasu. Wiem, że John znaczył dla ciebie bardzo dużo, tak jak i dla każdego z nas. Rae była wdzięczna, że Walker się odezwał. Patrząc na Heidi zdała sobie sprawę, co to znaczy mieć władzę. Może któregoś dnia sama zostanie prezesem zarządu, jeżeli oznaczać to będzie poprawienie sytuacji

rodzących kobiet. Lecz teraz musiała czekać na decyzję obecnego prezesa i miała nadzieję, że Heidi przedłoży dobro dzieci nad finanse. Przecież zarządzać szpitalem to nie to samo, co zarządzać bankiem.

- Ile ci potrzeba czasu? - zapytała Heidi siadając na krześle. Jej oczy były już suche.

- Trzy miesiące - powiedziała Rae. - Daj mi trzy miesiące. Heidi schowała chusteczki do torebki. Wstała z krzesła i obciągnęła żakiet.

- Masz dwa tygodnie - odrzekła. - John mówił, że jeżeli nie zmienimy polityki szpitala, to upadniemy w ciągu sześciu miesięcy. Nie mogę pozwolić, aby jego śmierć była nadaremna.

- Ale to niemożliwe. Nie mam najmniejszych szans, by...

- W takim razie zapomnij o tym.

- To najlepsza oferta, jaka padła dzisiejszego ranka - wtrącił się Walker.

- Ale... - zaczęła Rae.

- Do jasnej cholery, Rae. Czy ty nie widzisz, że ona ci daje następną szansę? A ty nie musisz zaczynać od zera. Masz przecież tę Payne.

Myśli w błyskawicznym tempie przebiegły jej po głowie. Dwa tygodnie, aby przekonać jej kolegów, to niemożliwe. Ale z drugiej strony, Walker miał rację, to lepsze niż nic.

- Dobrze, Heidi - zgodziła się. - Dwa tygodnie i wracamy do sprawy.

- Ale jak ci się nie uda - zaznaczyła Heidi - to za dwa tygodnie zwołuję posiedzenie zarządu i nie ma odwołania.

- Dziękujemy - powiedział Walker.

- Dzięki ci, Heidi - dodała Rae.

- Przepraszam za to, co mówiłam wcześniej - rzekła Heidi. - I za to, co John o tobie powiedział - zwróciła się do Walkera. - Bardzo ci dziękuję,

Rae, że próbowałaś ocalić Johna, i podziękuj też doktorowi Hartmanowi. Chyba że ja go spotkam wcześniej i sama to zrobię...

- Ja już o tamtym zapomniałam - odparła Rae.

56

Po wyjściu Heidi siedzieli przez chwilę w milczeniu. W końcu Rae wstała.

- Walker, czy jest jeszcze coś, czego mi nie powiedziałaś, to znaczy o moim oddziale?

- Boże uchron, nerwy by mi nie wytrzymały. - Zamilkł i po chwili dodał:

- Chyba wszystko obróciło się przeciwko tobie.

- Przez całe moje życie tak było.

- Uważaj na siebie. Jest bardzo dużo ludzi, którzy nie zgadzają się z tym, co robisz.

- Mam po swej stronie wszystkie noworodki świata. To wszystko, czego potrzebuję.

- Dobra, idź już sobie. Żal mi tego biedaka, który z tobą zacznie... Rae wyszła z pokoju przekonana, że Walker miał rację. Wszystko było przeciwko niej, ale cóż mogła na to poradzić?

Szpital Berkeley Hills miał najnowocześniejszy w stanie oddział intensywnej terapii dla noworodków i właśnie w nim Rae pokładała całą swą nadzieję, że z dzieckiem Noli Payne wszystko będzie dobrze.

Pocieszała się tą myślą nachylając się nad inkubatorem. Niestety żadne zabiegi nie pomogły - dziecko nie wykonało jeszcze samodzielnie ruchu palcem czy stopą. Nie poruszyło nawet powiekami. Tylko praca respiratora powodowała, że co chwilę podnosiła się jego pierś.

Jego okrągłutkie ramiona i nogi były przypięte do kolorowego materaca przy pomocy taśmy Yelcro. Cienkie jak spaghetti rurki wiły się podłączone

do wystającej końcówki pępowiny. Kolejna taka rurka zwisała mu luźno z żyły na głowie. Mały kawałek czerwonej, aluminiowej folii w kształcie podobnym do serca przyklejony był do jego piersi, jego zadaniem było monitorowanie temperatury ciała.

Wyglądało to wszystko jak jakiś laboratoryjny eksperyment, a nie inkubator z dzieckiem.

Nikt nie powinien rozpoczynać życia w ten sposób, pomyślała dotykając jego ciepłej dłoni.

- Co mówiłaś, Rae? - zapytała doktor Catherine Drake, spoglądając znad swoich czarnych oprawek okularów na ustawienie respiratora.

57

Tuż obok niej stała Jessica Howe, pielęgniarka, która asystowała przy narodzinach chłopca. Otoczone były inkubatorami z leżącymi w nich chorymi noworodkami.

- Mówiłam, że słaby koniec tygodnia...

- Taak - zgodziła się z Rae.

- Co o tym sądzisz? - Rae pokazała na dziecko Noli.

- Z takimi przypadkami nigdy nic nie wiadomo - odparła Catherine. - I przez kilka tygodni możemy nic nie wiedzieć... Przepraszam. - Odwróciła się do Jessiki. - Czy są już wyniki krwi?

Jessica przeszła na drugą stronę pokoju i wystukała coś na klawiaturze komputera. Zaraz po tym drukarka brzęcząc cicho wydrukowała raport.

- Od samego rana byłam dziś zajęta - powiedziała Rae. - Czy słyszałaś, co było z matką małego, nim ją do nas przywieźli?

Catherine pokręciła głową. - Przecież my zawsze ostatnie poznajemy całą historię. Szkoda, że te maluchy nie mogą nam nic powiedzieć.

- Pomyślałam właśnie to samo.

- Zresztą - ciągnęła Catherine - gdyby on chociaż przez chwilę zaczął sam oddychać, to w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin wiedziałybyśmy, co z nim jest. - Podsunęła okulary wyżej i spojrzała na wydruk od Jessiki. Siedemdziesiąt dwie godziny? - pomyślała Rae, nerwowo stukając ; palcami o metalową ramę inkubatora. To było stanowczo za długo - znaczyło, że do poniedziałku nie będzie nic wiedziała o dziecku, a już teraz powinna wiedzieć, jaką ono ma szansę.

Catherine przeczytała wyniki. Zacisnęła mocno usta i zaczęła pocierać czoło.

- Tak jak mówiłaś, słaby koniec tygodnia - odezwała się po chwili j i podała wydruk Rae.

Rae szybko przebiegła wzrokiem po kartce w nadziei, że znajdzie wynik pH powyżej 7,10 który powie jej, że dziecko nie doświadczyło niedotlenienia mózgu. Niestety, nadzieja, jaką miała, prysła jak mydlana bańka po przeczytaniu wyników.

- Sześć przecinek osiem? - przeczytała głośno.

Natychmiast poczuła, jak serce zaczyna jej bić szybciej, a zazwyczaj spokojne i opanowane dłonie drżą. Jeszcze raz sprawdziła wyniki, ale nic się nie zmieniło, niczego nie przeoczyła. Poziom tlenu we krwi był zbyt niski, a dwutlenku węgla zbyt wysoki. Zerknęła na pozostałe wyniki. Serce zaczęło jej bić jeszcze mocniej, kiedy zorientowała się, że przedłużone niedotlenienie spowodowało inne poważne zaburzenia metaboliczne. Przetar-

ła oczy i wyobraziła sobie, jak to dziecko będzie wyglądać za dziesięć lat.

Puste oczy, kiwająca się bezwładnie głowa i ręce wygięte do tyłu jak wystające z pleców patyki.

Westchnęła ciężko i oddała wydruk Catherine.

- Miałam nadzieję, że nie będą aż tak złe. Muszę porozmawiać z jego matką.

- Powiedz jej, że dziecko żyje - odrzekła Catherine odbierając od niej wydruk i podając go pielęgniarce. Pochyliła się nad inkubatorem i poprawiła wystające z pępownicy rurki.

- Ledwo żyje - dodała Jessica przyczepiając wyniki do zawieszanej na inkubatorze metalowej podkładki. - Nie miał najmniejszych szans. Jego tętno było już do niczego, zanim go zabrali z Centrum Porodów...

- To nieprawda - odezwała się inna pielęgniarka.

Rae odwróciła się na widok Eileen Tan podchodzącej do nich, aby przyłączyć się do rozmowy. Eileen była tylko o trzy centymetry wyższa od Rae. Włosy miała ostrzyżone na pazia i głębokie dołeczki w policzkach.

- Tętno dziecka było całkiem dobre jeszcze w ambulansie - dodała.

- Słyszałam zupełnie coś innego - upierała się Jessica. Rae spoglądała to na jedną, to na drugą. Obie były całkowicie przekonane, co mówią.

- Jessica, od kogo to wiesz? - zapytała Rae.

- Od Sylvii, od kogóż innego.

- Sylvii? - W myślach przebiegła imiona i twarze pielęgniarek z porodówki.

- Na pewno wie pani, która to Sylwia Height, przełożona pielęgniarek na dziennej zmianie.

- Ach tak, już wiem.

- Wobec tego ona się myli - rzekła Eileen. - Ja rozmawiałam...

- Jessica - wtrąciła się Catherine - zadzwoń na dół i zamów na poniedziałek rano wszystkie badania. Zaraz po nich niech mu też zrobią EEG. - Ściągnęła rękawiczki i wyrzuciła je do kosza. - Rae, zadzwonię do ciebie, jak coś się zmieni.

- Zadzwoń do mnie, nawet jeśli nic się nie zmieni.

Patrzyła, jak kulejąc idzie do drzwi. Sześć miesięcy temu Catherine miała poważny wypadek rowerowy, z którego wyszła z uszkodzonym biodrem. Wstawiono jej sztuczne. Rae zawsze ją podziwiała. Nawet poważne kłopoty ze zdrowiem nie osłabiły jej zaangażowania w pomoc dla chorych noworodków w szpitalu.

Mogła powiedzieć Noli Payne, że jej dziecko jest pod najlepszą opieką, jaką można było mu zapewnić, a to już było coś. Może to niezbyt dużo, bio-

59

rac pod uwagę obecny stan dziecka, ale i tak było to o wiele lepsze od wyników, które przed chwilą widziała.

Odwróciła się do pielęgniarek, gdy Jessica podawała akurat przez telefon polecenia Catherine, i poszukała wzrokiem Eileen.

- Co przedtem chciałaś powiedzieć?

- Znam Leo lepiej niż reszta - odpowiedziała Eileen. - Nie okłamałby mnie. Nie wierzę w to, co mówiła Sally, czy jak jej tam. Bliźniacy powiedzieli mi, że z dzieckiem było wszystko w porządku, kiedy wyjeżdżali z Centrum...

- Bliźniacy?

- Pielęgniarze. Leo i Theo, to znaczy Leonard i Theodore. Oni przywieźli tu tę kobietę.

- I jeden z nich mówił, że tętno dziecka było w porządku, kiedy wyjeżdżali z Centrum?

- Tak.

- Ach, to ci pielęgniarze - odezwała się Jessica, odkładając słuchawkę telefonu. - Nic dziwnego, że im wierzysz - dodała z przekąsem.

- Pani doktor nie wie, że Leo to twój chłopak i uwierzysz we wszystko, co] ci powie.

- Co to ma niby znaczyć? - podniosła głos Eileen.

- Jessica!

Rae odwróciła się i zobaczyła głowę Catherine Drake wyglądającą zza drzwi.

- Przepraszam, że wam przerywam, moje panny, ale potrzebuję po-] mocy Jessiki.

- Dzieciak miał problemy na długo przed tym, zanim został tu przewieziony - syknęła jeszcze Jessica, ruszając do drzwi. Przystanąła] i sprawdziła, czy ma stetoskop. - Sylvia pani powie, co się stało.

Po jej wyjściu Rae poczuła rękę Eileen na swoim ramieniu.

- I co z tego, że chodzę z Leo. To wcale nie znaczy, że on kłamie.

- Eileen, nikt nie mówił o kłamaniu.

- Doktor Duprey, niech mi pani wierzy, Leo jest naprawdę bardzo dobrym pielęgniarem...

- Jestem tego pewna, Eileen.

- Nigdy by mnie nie okłamał. Powiedział, że tętno dziecka było dobre, kiedy zostawiali pacjentkę w naszej izbie przyjęć...

- Eileen, jeżeli w dalszym ciągu będziesz starała się go bronić, zacznę wierzyć w to, co mówiła Jessica.

- Nie może pani jej wierzyć! - Ściągnęła brwi i głęboko westchnęła.

- Pani doktor - odezwała się przyciszonym głosem rozglądając się po
60

pokoju jakby w obawie, że ktoś jeszcze ją usłyszy - Jessica jest trochę
załamana, bo latała za bratem Leo, dopóki nie dowiedziała się, że jest
żonaty. Wiem to, bo nieraz wybieraliśmy się gdzieś we czwórkę. A Theo
ma dwójkę dzieci.

Ostatnią rzeczą, na jaką Rae miała teraz ochotę, było wysłuchiwanie o
przygodach łóżkowych pielęgniarek.

- Eileen, mnie interesuje tylko ustalenie, czy ktoś zajął się tym dzieckiem,
niezależnie od tego, kiedy zaczęły się kłopoty. - Zamilkła i zastanowiła się
nad tym, co tu usłyszała. Albo Eileen, albo Jessica mówiła prawdę, ale na
pewno nie obie. - Wiesz co? Porozmawiam z pielęgniarkami w Centrum
Porodów, z tymi, które są odpowiedzialne za transfer pacjentek do nas, a
później pogadam sobie z Leo i jego bratem, jak on ma na imię?

- Theo, to znaczy Theodore. Leo i Theo McHenry. Theo jest starszy.

- I obaj byli w karetce? - Zaburczało jej w brzuchu. Najwyższy czas coś
zjeść, pomyślała.

- Theo był z tyłu z pacjentką. On zawsze jedzie z tyłu... Doktor Duprey, co
pani jest!?

Rae zachwiała się i złapała rękoma za inkubator. Poczowała, jak nagłe
zmęczenie obezwładnia jej ciało. Straciła metalową tabliczkę z wynikami,
która z brzękiem spadła na podłogę.

- To nic. Muszę po prostu coś zjeść - odezwała się chwytając równowagę.

Wyniki wysunęły się z zaczepu tabliczki i rozsypały po całej podłodze.

Eileen schyliła się i zaczęła je zbierać.

- O, proszę - powiedziała podnosząc jedną z kartek. Rae spojrzała na podaną kartkę, raport z karetki przewożącej Nolę Payne. - Widzi pani? - Eileen pokazała jej kilka rubryk. - Tętno dziecka było dobre podczas przejazdu karetką. Sto pięćdziesiąt uderzeń na minutę.

- Faktycznie, tak tu podają - odpowiedziała Rae przyglądając się ponownie liczbom. Potrząsnęła głową i zrobiła dwa kroki do tyłu. Czekala chwilę, aż ustąpi lekkie zamroczenie. Spojrzała ponownie wpatrując się w podpis pielęgniarza, który wyglądał jak dwie kopulujące dżdżownice. - Czy to może podpis twojego narzeczonego? Jest okropny, gorszy od mojego.

- Poznam go wszędzie - rzekła Eileen dumnie.

- Czy mogłabyś mi napisać jego imię, a także jego brata, ale czytelnie? Z tego nic nie odszyfruję. Dopisz też, proszę, ich nazwisko.

Rae przeglądała pozostałe dokumenty, kiedy Eileen pisała. Był tam formularz z Centrum Porodów, jaki wypełniała pielęgniarka przed prze-
61

wiezieniem pacjentki. Informacje ujęte były w trochę inny sposób, niż tu w szpitalu, ale Rae szybko się zorientowała. Wynikało z nich, że opieka nad Nolą Payne była właściwa, oprócz dwóch kwestii.

Po pierwsze, w rubryce Rozpoznanie wpisano „położenie pośladkowe”, mimo że ona sama stwierdziła podczas porodu, iż dziecko ułożone było poprzecznie. A po drugie, w rubryce Praca serca brakowało jakiegokolwiek wpisu, nie było żadnego znaku. Ale w głowie Rae pojawił się w tym momencie bardzo duży znak zapytania: Dlaczego pielęgniarka nie wpisała tętna? Przecież to standardowa procedura i pierwsza rzecz, jaką się wpisuje. Chyba że...

Rae spojrzała na podpis. Przyglądała mu się z różnych stron i w końcu

odczytała Jenny, ale reszty nie dało się rozszyfrować. Poddawała się w końcu. Imię Jenny absolutnie nic jej nie mówiło. Miała tylko nadzieję, że w Centrum Porodów pracuje jedna pielęgniarka o takim imieniu.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do sali weszła Bernie. Rae sądziła, że Bernie już dawno poszła do domu. Ucieszyła się, że ją widzi.

- I jak on wygląda? - spytała pochylając się nad inkubatorem. - Czy powiedzieli coś... - Podeszła do Rae. - ...zaraz, on wygląda znacznie lepiej niż ty.

- Dzięki ci - odparła Rae pocierając drętwiejący kark. - Już mi to ktoś mówił. Powiedz mi lepiej, Bernie, czy wiesz...

- O, proszę bardzo - przerwała im Eileen podając Rae kartkę. - Naprawdę, pani doktor, Leo jest...

- Tak, tak... - ucięła Rae - ...jest bardzo dobrym pielęgniarzem. Eileen uśmiechnęła się lekko zażenowana. Dołki na jej policzkach zrobiły się jeszcze głębsze.

- Chyba już trochę przesadzam. Ale dziękuję, że zechciała mnie pani wysłuchać. Jeżeli będę mogła jeszcze czymś służyć, to jestem cały czas tutaj.

- O co tu chodzi? - zapytała Bernie, kiedy Eileen przeszła na drugi koniec sali.

Rae spojrzała na kartkę z imionami braci.

- To jest właśnie to, czego próbuję się dowiedzieć - odparła chowając kartkę do kieszeni.

- Jak tam nasz mały?

- Nic nie będziemy wiedzieli aż do poniedziałku. Cały czas jest podłączony do respiratora. Dopiero w poniedziałek zrobią mu EEG i

tomografię komputerową.

- Ale mimo wszystko jest miłym różowym bobaskiem - orzekła Bernie głaszcząc go.

62

- I żyje - cicho dodała Rae.

Widok Bernie patrzącej z nadzieją na noworodka wzbudził także u niej większą nadzieję na to, że wszystko będzie dobrze. Tak jak mówiła Catherine Drake: „gdyby jeszcze zaczął sam oddychać...”

Chciała właśnie zapytać Bernie, czy zna jakąś Jenny z Centrum Porodów, kiedy drzwi ponownie się otworzyły. Do sali wszedł wysoki i przystojny Bo Michaels -jej były współnik, kiedy prowadziła prywatną praktykę lekarską, były partner w jej prywatnym życiu i obecny ordynator jej oddziału, a także dyrektor medyczny Centrum Porodów.

Tego samego Centrum Porodów - przebiegło jej przez myśl - gdzie, zgodnie z twierdzeniem pielęgniarki, dziecko Payne miało normalne tętno, a według Sylvii było bardzo kiepskie, i gdzie to pielęgniarka o imieniu Jenny nie wpisała wysokości tegoż tętna do arkusza przekazowego.

- Oj, oj - szepnęła Bernie - nie podoba mi się, kiedy on tak na nas patrzy. Rae westchnęła. Widok Bo zawsze powodował u niej mieszane uczucia. Była pewna, że go już nie kocha, lecz mimo to darzyła go jeszcze dużym uczuciem. Jedno ją w tej chwili martwiło: obietnica dana Heidi.

Powiedziała jej przecież, że będzie robić wszystko, aby jej koledzy przestali odbierać porody w Centrum.

Centrum Porodów należy do Bo, on je otworzył i on ściągnął wielu lekarzy, aby w nim odbierali porody. Tylko Rae nie udało mu się do tego namówić. I oto teraz ona chciała wytoczyć walkę przeciw niemu i całemu

Centrum Porodów, przeciw miejscu, które Bo nazywał swoim dzieckiem. Ale cóż innego mogła zrobić? Przecież to jego „dziecko” było powodem, że zarząd chciał zamknąć jej oddział. I nie mogła na to pozwolić. Sercem wiedziała, że rodzące kobiety są o wiele bezpieczniejsze tu, w szpitalu. Przewożenie karetką było po prostu zbyt niebezpieczne, okazało się to zresztą w przypadku jej matki.

Kiedy Bo zbliżał się do nich, poczuła, jak twardnieją jej mięśnie na karku i ramionach. Czowała na sobie wpatrujące się duże brązowe oczy. Szedł patrząc tylko na nią i wpadł niemal na pielęgniarkę, która nie zdążyła usunąć się mu z drogi. Usta, które całowały ją kiedyś z niezwykłą czułością, miał ściśnięte w wąską linię.

Rae odetchnęła głęboko i klepnęła w plecy Bernie.

- Czy dalej uważasz, że wygląda na takiego, który nie może beze mnie żyć?

- Bardziej niż zwykle - odpowiedziała jej szeptem Bernie.

- Rae, przepraszam, że nie mogłem być podczas cesarki - rzekł podchodząc blisko niej. Ubrany był w granatowy sweter, niebieską koszulę
63

i ciemne spodnie. Zauważyła, że od momentu, kiedy ze sobą zerwali, trochę zeszcupłał, twarz zrobiła się jakby surowsza, a głęboko osadzone oczy były bardziej wyraźne.

Lekko zażenowana tą bliskością przeszła na drugą stronę inkubatora, spuściła oczy i przyglądała się leżącemu noworodkowi. - Jeszcze przez jakiś czas nie będziemy wiedzieli, czy z tego wyjdzie.

Bo przez kilka sekund też przyglądał się dziecku.

- Byłem właśnie pod prysznicem, kiedy do mnie dzwoniли - powiedział

podnosząc głowę. - I nie słyszałem telefonu. Zawsze dzwonią, gdy... -
Urwał i spojrzał na nią. - Zresztą, to już nieważne. Przyszedłem ci
podziękować, że zrobiłaś tyle, ile mogłaś.

Oczy Rae zwięzły się w wąskie szparki. Tyle, ile mogłam - pomyślała,
czując jak wzrasta jej tętno.

- Masz chwilkę czasu? - rzucił, nie dając jej czasu na odpowiedź. I zwrócił
się do Bernie: - Mogę porozmawiać z Rae na osobności?

- Bo, nie mam zbyt wiele czasu - odpowiedziała szybko Rae, nim Bernie
zdążyła otworzyć usta.

- Nikt nie wie o tym lepiej niż ja - odparł uśmiechając się lekko.

- Będę w poczekalni, Rae - cicho rzekła Bernie. Po jej wyjściu Rae
pokazała głowę w stronę małego pokoju oddzielonego od inkubatorów
szklaną ścianą.

- W porządku - powiedział Bo.

Wewnątrz stał okrągły szklany stół otoczony sześcioma metalowymi
krzesłami, pod ścianą szafka z pismami pediatrycznymi i niewielka
leżanka. Rae usiadła na niej ciężko. Bo stanął naprzeciwko. Widziała po
jego twarzy, że rozważa właśnie każde słowo, jakie miał powiedzieć.

Skórę miał delikatną jak jabłko oblane karmelem, był świetnie zbudowany
i widać było, że jest równie wysportowany. Jednak w wieku czterdziestu
trzech lat, był od niej o pięć lat starszy, widać było już oznaki powolnego
starzenia. Gdzieś w jego gęstych włosach przeblyskiwała siwa
nitka, trochę zmarszczek wokół oczu.

- Nie chciałem mówić przy Bernie - zaczął - ale opierając się na tym,
czego się dowiedziałem w Centrum... - Przerwał i chwilę się zastanawiał. -
Cholera, Centrum wysłało normalny przypadek, a teraz słyszę, że mamy

półtrupa - dokończył szybko.

- Ja też się zastanawiam, jak to się stało -- odparła krzyżując ręce na piersiach i zakładając nogę na nogę. - Wygląda na to, że mamy pewne rozbieżności co do tego, w którym momencie spadło tętno.

- Jestem naprawdę wdzięczny za to, jak nam pomogłaś - mówił dalej nie zwracając uwagi na słowa Rae - ale wszyscy się zastanawiamy

64

i muszę to wiedzieć... Czy naprawdę wyjęłaś rękę zamiast stopy? Czy zignorowałaś to, że Eva bardzo źle się poczuła? I jeszcze ta główka, słyszałem, że mogłaś zrobić nacięcie, a nie zrobiłaś...

- Kto ci to wszystko powiedział? - przerwała mu. Bo nie odpowiedział. - Zamiast podważać moje umiejętności, dlaczego wcześniej nie przysyłacie do nas pacjentek z komplikacjami - zapytała złośliwie. - Albo jeszcze lepiej, dlaczego nie ograniczycie odbierania porodów tylko do pacjentek o najniższym poziomie ryzyka? - Wstała z kanapy i ruszyła w kierunku drzwi.

- Jeszcze nie skończyłem.

- Nie musisz, wiem, do czego zmierzasz - rzekła zimno. - Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz chciał usłyszeć moją wersję wydarzeń.

Bo ruszył za nią i przytrzymał ręką drzwi. Stali przez chwilę bardzo blisko siebie. Rae czuła delikatny zapach jego wody kolońskiej, przywołujący tylko niechciane wspomnienia. Cofnęła się o krok. Czuła się bezpieczniej, kiedy nie była zbyt blisko niego.

Bo westchnął i potrząsnął głową. - Przepraszam, Rae, nie chciałem, żeby tak to wyszło.

Czekała, co powie dalej.

- Nie mówię teraz o Noli, ale wiesz, jak szybko roznoszą się plotki. Chcę cię chronić, zawsze chciałem, ale ty robisz wszystko, aby mi to utrudnić. -
Podszedł do kanapy i usiadł. - Pewnie, że jestem zły, że to wszystko tak wyszło, ale nie o tym chciałem z tobą rozmawiać. Jest zupełnie inny powód, dla którego dzisiaj rano cię szukałem. W międzyczasie jednak usłyszałem, co się stało, i...

- Nie wiesz, co ja mam na ten temat do powiedzenia. Chcesz to usłyszeć? -
Kiedy Bo milczał, wróciła do drzwi. - Widzę, że jednak nie.

- Do jasnej cholery, Rae. Czy ty nigdy nie możesz posłuchać do końca?

- Mówiłam ci, że nie mam za dużo czasu. Muszę sprawdzić, co się stało z Nolą, zanim dotarła do nas.

- Proszę, przestańmy przez chwilę być lekarzami - zaczął ponownie Bo, a Rae znowu założyła ręce. - Nie spałem całą noc myśląc o tym, jak cię złapać z samego rana. Nic dziwnego, że nie usłyszałem bipera. Całą noc myślałem o tym, co ci chcę powiedzieć, a ty robisz takie problemy...

- Już powiedziałaś kilka ładnych zdań.

- Czy możesz chociaż na chwilę przestać być lekarzem! Proszę. Rae westchnęła głęboko. Chociaż sam pracował siedemdziesiąt do osiemdziesięciu godzin tygodniowo, to jednak ją zawsze oskarżał o to,

65

że jest lekarzem, a nie człowiekiem. Tak jakby miało to jakieś znaczenie.

- Przyszedłem... - zaczął i przerwał, jakby szukając właściwych słów -
...przyszedłem spytać, czy nie możemy spróbować jeszcze raz.

- Co spróbować?

- Pozwól mi skończyć. Chcę wiedzieć, muszę wiedzieć, czy ty i ja nie moglibyśmy spróbować znowu razem? Tak jak dawniej.

- Chcesz, abyśmy razem prowadzili prywatną praktykę? - Rae pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Chcę, abyśmy byli razem, mieszkali razem, żyli razem. Tak jak przedtem, nim z jakiegoś dziwnego powodu zerwaliśmy ze sobą.

- Abyśmy żyli razem - wyszeptała z niedowierzaniem.

- To właśnie chciałem powiedzieć, dlatego cię szukałem dzisiaj rano.

Proszę, nie patrz na mnie, jakbym...

Rae przyglądała się mu z niedowierzaniem.

- Jest mi ciężko. Przyznaję, myliłem się. To ciebie chcę, a nie dziecko.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się tak zaskoczona. Czego on chciał?

Zerwali ze sobą przeszło rok temu. Od tamtego czasu rozmawiał z nią tylko kilka razy i to jeszcze tylko wtedy, kiedy musiał, i nie zawsze ich rozmowy były przyjemne.

- Powiedz coś, proszę. Potarła ręką czoło.

- Jestem zmęczona, Bo. To wszystko nie ma sensu.

- Rae, naprawdę tego chcę. Wiem, że nie zgadzamy się w wielu sprawach, kłócimy się o Centrum, o dzieci. Ale w jednym musisz się zgodzić ze mną: jesteś samotna, ja jestem sam. Potrzebujesz mnie i ja potrzebuję ciebie.

Tęsknię za tobą...

- Wystarczy...

- I ty tęsknisz za mną - dokończył.

- Nie tęsknię... - przerwała. Nigdy mu nie kłamała i nie miała powodu, aby zacząć to robić teraz. - W porządku, brakuje mi kogoś bliskiego, śpię sama, ale się z tego wszystkiego już otrząsnęłam i ty powinieneś zrobić to samo.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł posłaniec.

- Kwiaty dla doktor Duprey. - Podał jej bukiet czerwonych i żółtych róż. -
Od pana Bo Michaela - dodał z uśmiechem. - Życzę miłego dnia.

- Bo... - zaczęła. Kwiaty były piękne i pełne słodkiego i przyjemnego
zapachu. Ale jasnożółte i krwistoczerwone róże napęliły ją przez moment
smutkiem. Zamknęła oczy i przez jedną krótką chwilę znów miała

66

trzydzieści lat i żółto-czerwonym swetrem zrobionym dla niej przez matkę
wycierała krew w karetkce. Otworzyła oczy i próbowała oddać bukiet. -

Bardzo ci dziękuję, ale nie mogę ich przyjąć. Bo pokręcił głową.

- To tylko bukiet od przyjaciela, to nic nie znaczy.

Rae podeszła do stolika i położyła na nim kwiaty. Zanim jednak to zrobiła,
poczuła ukłucie w palec. Nie zdążyła podnieść go do ust, kiedy na palcu
pokazała się kropla krwi.

- Naprawdę muszę już iść. - Nagle pokój zrobił się stanowczo za mały, aby
pomieścić ich dwoje i emocje, jakie ją ogarnęły. Bo podszedł i ujął w
dłonie jej twarz.

- Proszę - wyszeptał. Jego głos był delikatniejszy i miłszy niż
kiedykolwiek. - Rae, możemy to zrobić. Wiem, że nam się uda. Być może
nie dam ci już następnej szansy. Pomyśl o tym.

No proszę, oto cały Bo. Znów zaczyna dyktować warunki, pomyślała i
odsunęła się od niego.

- Przecież to ty mnie zostawiłeś, nie pamiętasz - dodała głośno.

- Nie wiedziałem wtedy, co robię.

Włożyła palec do ust, possała przez chwilę i widząc, że krew już nie leci,
podniosła rękę do karku i pomasaowała go. Czuła, jak sztywnieją jej
wszystkie mięśnie wzdłuż karku.

- Bo, nie zaczynamy tego wszystkiego od początku, niech to zostanie tak, jak jest.

- Ale przecież sama powiedziałaś, że brakuje ci kogoś w życiu, czyż nie jest to wystarczający powód, aby zacząć wszystko od początku? Nie wystarczy ci być tylko lekarzem. Potrzebujesz w swoim życiu mężczyzny. Potrzebujesz mnie.

Od razu przypomniały jej się kłótnie ojca z matką i jego argumenty o „potrzebowaniu”. Ojciec przekonywał matkę, że to ona potrzebuje syna, aby rodzina była pełna. Tak jakby sześć córek nie wypełniało tego warunku. Matka poddała się i uległa. Ta uległość doprowadziła ją do ambulansu, gdzie zmarła razem z nie narodzonym synem.

- Muszę już iść - rzekła sucho.

- Proszę, nie odrzucaj mnie - ciągnął swoje. Stał przed nią ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i lekko rozstawionymi nogami.

- Nie powinienesz być mnie o to prosić - odrzekła cicho. Poczowała nagle niezwykle silne uczucie tęsknoty za matką. Tęskniła za nią przez wiele lat i teraz Bo chciał użyć tego samego uczucia tęsknoty za nim, aby do niego wróciła. No cóż, pomyślała. Żadna siła nie przywróciła jej matki i żadna siła nie zmusi jej, by do niego wróciła.

67

- W takim razie, chyba nie powinienem cię już dłużej bronić - rzekł. - Chodzą słuchy, że specjalnie chciałaś zabić to dziecko...

- Co?! - krzyknęła z niedowierzaniem.

- Powiedziano mi, że zanim ty się zjawiłaś, z dzieckiem było wszystko w porządku.

Rae rozłożyła ręce jakby z obrzydzeniem.

- Oskarżasz mnie, że chciałam kogoś zabić! Ty cholerny hipokryto! To dziecko już prawie nie żyło, jak je tu przywieźli!

Była wściekła na siebie bardziej niż na niego, powinna była wiedzieć, że tak to się może skończyć. Uczucie, jakim go jeszcze stale darzyła, nie pozwoliło jej w porę dostrzec, do czego on zmierza. Powinna była zachować zimną krew i nie pozwolić, aby sentyment do niego przyćmił jej samokontrolę.

- Wiem od swoich pielęgniarek, że z dzieckiem nie było żadnych kłopotów! - krzyknął ze złością. - I cokolwiek miałoby się stać, nie pozwolę, aby zaważyło na opinii mojej i Centrum to, co ty spaprałaś! Rae wzięła głęboki oddech próbując się uspokoić. Jego Centrum i jego opinia - pomyślała - to zawsze było dla niego najważniejsze.

- Ciekawa jestem - odezwała się, ledwo powstrzymując złość - jak potoczyłaby się ta rozmowa, gdybym padła przed tobą na kolana, kiedy powiedziałeś, że mnie ciągle jeszcze kochasz. Ciekawa jestem, co by się stało, gdybym powiedziała: „Bo, mój najdroższy, marzyłam o dniu, kiedy poprosisz, bym wróciła”. Ale teraz widzę, że tak naprawdę nie obchodzę cię ani ja, ani Nola i jej dziecko. Jedyne, co dla ciebie ważne, to żebyś dostał, co chcesz, bo inaczej zaczniesz atakować wszystko i wszystkich wokół siebie. Nie ma znaczenia dla ciebie, czy wrócę czy też nie, czy dziecko Noli będzie jak „warzywo”, czy może wyjdzie z tego. Ale wiedz, że dla mnie ma, i to olbrzymie.

- Rae, przestań już...!

Szybko przerwała mu, podnosząc do góry rękę.

- Teraz ja mówię i pytam, nie przerywaj. Po pierwsze, powiedz mi, dlaczego taka pacjentka jak Nola Payne została przyjęta do Centrum

Porodów? Przecież Centrum utworzono tylko dla pacjentek o bardzo niskim stopniu ryzyka wystąpienia powikłań porodowych. Po drugie, dlaczego twój personel utrzymywał, że poród jest pośladowy, kiedy okazało się, że jest poprzeczny? I po trzecie, dlaczego nie został przysłany od was lekarz, który miałby odebrać poród? Przecież wiesz doskonale, że nasz oddział zgodził się na przyjmowanie waszych pacjentek, gdy lekarz od was będzie operował i przyjmował porody.

- Już ci mówiłem. Uznali, że odebrałem wiadomość na pagerze.

68

- Czy nie powinni uzyskać najpierw twojego potwierdzenia, nim coś założą?

- Nawet gdybym odebrał i potwierdził wiadomość, nie byłoby żadnego pośpiechu.

- Żadnego pośpiechu? Czyś ty zwariował? Dziecko miało tętno sześćdziesiąt, kiedy tu dotarło, a ty mówisz, że nie byłoby żadnego pośpiechu? Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz, co by się stało, gdyby mnie tu nie było? Uważasz, że teraz masz „warzywo”? Miałbyś trupa, gdyby wszyscy czekali, aż się łaskawie zjawisz!

Coraz trudniej było jej mówić. Z całych sił próbowała kontrolować narastającą złość. Złość powodowała, że każde wypowiedziane słowo paliło ją w gardle.

- Lepiej już pójdę - powiedziała, opanowując się z wysiłkiem. - Pójdę, zanim powiem coś, czego bym mogła później żałować.

- Nawet nie pomyślisz nad...

- Pomyślę nad czym? - odparowała.

- Abyśmy znów byli razem.

Pokręciła głową kompletnie zaskoczona. Tym razem łapiąc za klamkę u drzwi otworzyła je.

- Rae, proszę, ja... Nie czekała, aż skończy.

Kiedy Rae wyszła z pokoju, Bernie znalazła się przy niej, jakby tam cały czas czekała.

- Wyglądało to jak trzęsienie ziemi o mocy siedem przecinek osiem w skali Richtera.

- Mówiłaś, że będziesz czekać na mnie zupełnie gdzie indziej - zauważyła Rae.

Kątem oka widziała Bo siedzącego na metalowym krześle z rękoma • opartymi o blat stołu. Odwróciła się i zaczęła rozcierać drętwiejące mięśnie karku. Zauważyła też obecność pielęgniarek - tych samych, które asystowały jej też rano. Szybko odwróciły wzrok od wychodzących z sali Rae i Bernie i wróciły do swoich zajęć.

- Dobra wiadomość to ta, że jeszcze masz pracę - odezwała się Rae, chcąc zmienić temat rozmowy.

Bernie z uśmiechem poklepała ją delikatnie po plecach.

- Dobra robota, pani doktor. Być może zostaniesz kiedyś prezesem zarządu.

- Bernie, czy znasz jakąś pielęgniarkę Jenny z Centrum Porodów? Bernie poprawiła swój czepek. - A nazwisko tej Jenny?

69

- To może wiesz coś o bliźniakach, pielęgniarzach z karetki przewożącej do nas pacjentki z Centrum?

- Chodzi ci o Leo i Theo...

- Tak, właśnie o nich.

- Nie znam ich za bardzo. Wiem tylko, że są tutaj nowi i łamią sporo serc niewieścich - odparła z uśmiechem.

- Nowi? Co to znaczy?

- Zaczęli w Hillstar dopiero w tym roku.

- Hillstar?

- Naprawdę musisz częściej wychodzić z tego szpitala, Rae. Hillstar to nazwa firmy, z której są karetki. Podpisaliśmy z nimi umowę na przewóz pacjentek z Centrum do nas. Chociaż bliźniaki nie są w moim typie, to trzeba przyznać, że żadnemu nic nie brakuje.

- Bernie, zrób coś dla mnie, dobrze? Zanim pójdziesz do domu, mogłabyś się o nich dowiedzieć czegoś więcej? Ja muszę iść porozmawiać z Nolą. Potem będę jeszcze dzwonić do... jak się nazywała ta firma?

- Hillstar.

- O właśnie, muszę ich zapytać o kilka spraw. Jeżeli starczy ci czasu, spróbuj się też dowiedzieć, jakie jest nazwisko tej Jenny z Centrum. Ona się opiekowała Nolą, nim ją tu przywieźli.

- Nie ma sprawy, załatwię to, ale czemu cię interesują ci bliźniacy?

- Coś mi nie pasuje w tej całej historii z Nolą.

- Tą „Błogosławioną Matką”? Ona tak o sobie mówiła, jak się przebudziła po operacji, nie?

- Tak.

- Myślisz, że dzieciak wpakował się w kłopoty z powodu tych trzech pętli pepowiny naokoło szyi? - zapytała lekko zdziwiona Bernie.

- Powiedzmy, że te pętle wcale nam nie pomogły. Posłuchaj, ale zatrzymaj to tylko dla siebie, dobrze? Są pewne rozbieżności co do tego, kiedy i gdzie spadło tętno dziecka.

- Podobno jak ją zabierali z Centrum, to puls dziecka był w miarę dobry.

- No właśnie, a ja słyszałam, że to nieprawda. Rozumiesz mnie teraz?

Szły wolno korytarzem, nagle Bernie skręciła i ruszyła szybko schodami do góry.

- Hej, a ty dokąd?! - krzyknęła za nią Rae.

- Podobno chcesz, żebym się dowiedziała czegoś o bliźniakach?

Potrzebuję do tego odpowiedniej dawki kofeiny, a wiadomo, że najlepszą kawę mają na czwartym piętrze.

70

Zanim Rae zdążyła cokolwiek powiedzieć, Bernie była już w połowie schodów. Kiedy zniknęła za schodami, myśli Rae powróciły do niedawnej rozmowy z Bo. Zastanawiała się, kto mógł mu powiedzieć o operacji Noli. Chociaż wnioski, jakie wyciągnął z dostarczonych mu informacji, daleko odbiegały od faktów, to wiedział sporo, jakby tam był razem z nią.

Listę takich osób szybko ułożyła w myśli, równie szybko wyeliminowała z niej Bernie, mimo że to właśnie ona zasugerowała nacięcie macicy. Była jednak na sto procent pewna, że Bernie nie rozmawiała z Bo na temat operacji. Jeżeli nie Bernie, to kto?

Korytarzem dotarła do wind dla personelu. Eva? Ale Eva zemdląła jeszcze przed końcem operacji i nie mogła mu o niej opowiedzieć. A Jessica, która pomagała jej przy reanimacji? Ona chyba też nie mogła powiedzieć.

Jessica była zawsze przeciwna Centrum Porodów za to, że zabierają im pacjentki, a poza tym lubiła Rae. Więc kto? Hannah? Nie, zbyt nieśmiała. Nola? To niedorzeczne, Nola chyba się nawet z nim nie widziała. Twarze reszty pielęgniarek widziała zamazane, jakby patrzyła na nieostre zdjęcie. Było tam tyle skulonych i pochylonych osób próbujących pomóc dziecku

Noli...

A może to wszystko opowiedział Marco? Z Bo byli przecież przyjaciółmi. Zwłaszcza teraz, gdy zarząd chce zamknąć porodówkę, a finanse przeznaczyć na rozwój oddziału Marco. Ktoś z bliskiego otoczenia Marco, kto był tam w czasie operacji, mógł mu wszystko opowiedzieć. A on zadzwonił do Bo i przekazał usłyszane rewelacje. Mogła to być któraś z pielęgniarek mająca akurat romans z Marco. Ale też i...

Jasne, to ten nowy anestezjolog! Sam Harter, nie Hartman - przecież on jest anestezjologiem na kardiologii, Marco sam go przyjmował. A co anestezjolog kardiologiczny robił przy rodzącej kobiecie? Tym bardziej, że operacje serca wykonywane są w głównej sali operacyjnej na parterze. Sam mógł opowiedzieć Marco, co się wydarzyło na porodówce, a Marco podał dalej do Bo, albo też sam Hartman osobiście przekazał Bo rewelację z porodówki. Z drugiej jednak strony, Hartman jako jedyny podczas zebrania stanął w jej obronie i był przeciwny zamknięciu jej oddziału. To chyba jednak nie on.

Potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić stamtąd nękające ją myśli. Czowała się sfrustrowana, zmęczona i kompletnie zdezorientowana. W sumie to czemu tak się przejmowała tym, kto przekazał informacje Bo? Ważne było, że Bo wiedział i zamierzał użyć przypadku Noli, aby wykazać jej niekompetencję, kiedy ona planowała użyć tego samego przypadku, aby pokazać, że to właśnie on prowadził niekompetentny do przyjmowania porodów ośrodek. Trudno jej będzie dotrzymać obietnicy, którą dała Heidi.

71

Może dlatego Walker ostrzegał ją, aby była ostrożna. Składając obietnicę Heidi nie oczekiwała, że będzie łatwo jej dotrzymać, zresztą nic w jej

życiu nie przychodziło łatwo, o wszystko musiała walczyć. Jedyne, co się liczyło, to żeby dalej mogła odbierać porody w Berkeley Hills.

Jeszcze ktoś mógł donieść o wszystkim Bo. Arnie Driver, pediatra, któremu nie szło zbyt dobrze podczas operacji i którego kilka razy Rae strofowała za niefortunne próby intubowania dziecka. Miała nadzieję, że to nie on. Choć mógłby, aby wziąć na niej odwet, a do tego jeszcze nie lubił kobiet-lekarzy. Arnie był uczulony na wszelkie uwagi do siebie, a postępowanie fair play nie było jego domeną. Chęć odegrania się za wszelką cenę przebijała wszystko.

O Boże, tylko nie on - błagała w myśli, mijając wolno windy. Woląla czystą walkę, ale potrafiła zniżyć się do poziomu przeciwnika i jego brudnych zagrywek. Nie straszny był nawet Arnie Driver.

Dwa kroki za windami zatrzymała się nagle. Wydało jej się, że słyszy krzyki. Cofnęła się i stanęła naprzeciwko wind, nasłuchując uważnie, skąd dochodzą głosy. Przyłożyła ucho do drzwi po jej lewej stronie - głosy dochodziły jednak z prawej strony. Odsunęła się i ponownie zaczęła nasłuchiwać. Głos stawał się coraz bardziej wyraźny, ktoś krzyczał. Nagle drzwi windy otworzyły się, zauważyła dwóch pielęgniarzy-bliźniaków i siostrę z izby przyjęć Sylvię Height wypychających z windy wózek. Leżała na nim rodząca. Do spoconej lub też zapłakanej twarzy miała poprzyklejane ciemne włosy. Nogi były szeroko rozłożone, a pomiędzy nimi wystawała główka rodzącego się dziecka.

- Przyj, Meredith, przyj! - krzyczała Sylvia.

- Jezu! Ja już nie mogę przestać przeć! - odparła jej z płaczem. Bliźniacy pchali wózek wzdłuż korytarza.

- Sylvia! - odezwała się Rae, przekrzykując płacz kobiety. Sylvia

odwróciła się w jej stronę. Oczy miała przerażone, a na twarzy malował się obraz najwyższego zdumienia.

- Ona nawet nie zapłakała na izbie przyjęć! - rzuciła szybko. - I nagle pokazała się główka, a teraz, cholera, utknęły ramiona!

Poród z dystocją barków - pomyślała szybko Rae. Zmora położników.

- Poczekaj na następny skurcz - krzyknęła, biegnąc przy wózku z noszami. Szybko skalkulowała w myślach - sala porodowa jest jakieś 40 metrów stąd. Jeżeli się pośpieszą, to...

- Nic pani nie rozumie - rzekła Sylvia. - Wygląda na to, że ona ma jeden stały skurcz.

Pielęgniarze nagle zatrzymali wózek, jakby sądzili, że tego właśnie chciała od nich Rae. Ale jej nie o to chodziło. Musiała natychmiast spróbo-

72

wać odebrać poród, ale chciała być jak najbliżej sali i tlenu. Dziecko mogło go bardzo potrzebować, liczyła się każda sekunda.

- Po jaką cholere stanęliście, ruszać dalej! - zagrzmiała.

Kobieta na wózku krzyczała i bezwiednie kręciła głową: - Moje dziecko, moje dziecko. Proszę, ratujcie moją córeczkę!

Rae chwyciła się za poręcz przy wózku i w biegu wskoczyła na materac, gdzie leżała rodząca Meredith. Złapała ją za kolana i spojrzała w zapłakane oczy, miała tylko kilka sekund, aby zorientować się, w jakim jest stanie. W tej samej chwili, czując powiew powietrza na łydkach, przypomniała sobie, że ciągle jeszcze jest w swojej czarnej wyjściowej sukience.

- Jestem doktor Duprey - powiedziała do niej ciepłym, spokojnym głosem.

- Nic się nie martw, wszystko będzie okej, a teraz podnieś kolana do góry.

O tak, tak będzie dobrze.

- Coś jest nie tak? - zapytała bełkocząc Meredith. Rozluźnienie ud było pierwszą czynnością, jaką musiała wymóc u pacjentki przy porodzie z dystocją barkową.

- Wiem, że się boisz. Ale trzymaj nogi wysoko - mówiła dalej tym samym spokojnym głosem. Była zadowolona, że pacjentka słucha i wykonuje jej polecenia. - Sylvia, jak długo główka jest na zewnątrz?

- Co najmniej trzy minuty.

To znaczyło, że już od co najmniej trzech minut krew nie płynie w pępowinie i od trzech minut mózg dziecka jest bez tlenu. Jeszcze trochę i może umrzeć - pomyślała.

Mając przed sobą wysoko podniesione i rozłożone nogi, Rae próbowała pociągnąć główkę dziecka. Niestety, żadnego efektu - ramiona dziecka w dalszym ciągu opierały się o kość łonową.

- Poczekaj maleńka, jeszcze chwilę - mówiła Rae, trzymając główkę dziecka i spoglądając na nożyczki wiszące u paska Sylvii.

- Daj mi te nożyczki - powiedziała jak najbardziej spokojnie. - Potrzebuję więcej miejsca, muszę naciąć krocze.

Nagle wózek pchany przez pielęgniarzy zrobił ostry zakręt i tylko podwyższony jak zwykle poziom adrenaliny pozwolił Rae złapać się w porę poręczy ratując ją przed upadkiem.

- Nie może pani tego zrobić bez anestezjologa! - zaprotestowała Sylvia.

- Pozwól, że ja będę o tym decydować. Proszę, daj mi te nożyczki.

- Ale...

- Daj jej te cholerne nożyczki! - krzyknął jeden z pielęgniarzy. Rae czuła upływające sekundy, palcami szczyptała delikatne ciało w kroczu. Stara

sztuczka, której nauczył ją jeden z profesorów podczas

73

stażu na UC. Powiedział wtedy, że przyjdzie kiedyś taki czas, że będzie musiała naciąć krocze bez środków znieczulających, dysponując tylko, rozpraszając uwagę, siłą swoich palców. Klęcząc pomiędzy nogami Meredith, podniosła do góry główkę dziecka, odsłaniając miejsce, które musiała przeciąć. Szybko otworzyła grube ostrza nożyczek i przecięła w dół w kierunku odbytu delikatną, niemal purpurową skórę krocza.

Natychmiast po tym poczuła krew oblewającą jej ręce i kolana.

Meredith znów zaczęła krzyczeć, ale Rae wiedziała, że jest to krzyk z powodu trwającego skurczu, a nie przecięcia, jakiego przed chwilą dokonała.

- Przykro mi, Meredith, że musisz przez to przechodzić - powiedziała ciepłym matczynym głosem. - Ale to było konieczne.

Zadowolona, że miała teraz więcej miejsca, ponownie chwyciła delikatnie za główkę dziecka. Pociągnęła ostrożnie, aby nie uszkodzić delikatnych nerwów splotu barkowego biegnących od odcinka szyjnego rdzenia kręgowego. Jednak mimo powiększenia pochwy i jej delikatnego, choć stanowczego ciągnięcia, nie mogła wydostać ramion dziecka.

- Cholera! - zaklęła cicho.

Wózek wraz z nią i leżącą na nim Meredith wjechał do sali porodowej.

- Czy to ta pacjentka z Centrum Porodów? - zapytał ktoś z sali.

- Tak! - krzyknęła Sylvia

Centrum Porodów? - pomyślała Rae. Niesamowite! Znów to samo!

- Boli, Jezu, jak boli - krzyczała Meredith.

- Potrzebujemy jakąś wolną salę - zawołała Rae. - Która jest wolna?

- Właśnie przywieźli nam trzy rodzące pacjentki - odpowiedział ktoś. - Nie ma żadnej wolnej sali, OR zajęty jest trojaczkami i pacjentką po porodzie ciąży jajowodowej, a wschodnie skrzydło ciągle jeszcze w remoncie.

Rae zeskoczyła z wózka, czuła na sobie ciepłą i lepiącą się krew.

- W takim razie weźmiemy ją do poporodowej. - Chwyciła wózek zmieniając jego kierunek w stronę sali poporodowej.

Cesarskie cięcie nie wchodzi już w rachubę, myślała. W tej sytuacji niemożliwe jest wepchnięcie główki do macicy. Jeżeli rozluźnienie ud i przecięcie krocza nie dało rezultatu, musi spróbować wyjąć najpierw tylne ramię. Ale by to zrobić, powinna mieć pacjentkę na stole porodowym albo chociaż na samym brzegu wózka, aby mieć dużo wolnego miejsca poniżej główki dziecka. Jeżeli i to nie poskutkuje, będzie zmuszona złamać jeden z obojczyków, nawet gdyby to miało spowodować stałą deformację ramienia.

74

- Tutaj! - zawołała, kiedy znaleźli się już w sali poporodowej. Pokierowała pielęgniarkami, aby ustawili wózek tuż za drzwiami. Miała dużo wolnego miejsca i tuż obok był zawór z tlenem. Wspaniale!

- Doktor Rae! Doktor Rae! Gdzie jest mój mały Jezus? Moje dzieciątko Jezus! Gdzie ono jest?

To Nola Payne. Rea była jednak zbyt zajęta, aby jej odpowiedzieć. Nagle przyszło jej coś do głowy. Nola była pacjentką z Centrum Porodów, Meredith także. Niech to szlag trafi! - pomyślała, naciskając nogą hamulec wózka. - I niech szlag trafi tego cholernego Bo.

Dłońmi złapała pośladki Meredith, ta leżała z zamkniętymi oczami i szeroko rozstawionymi nogami.

- Przesuńmy ją na samą krawędź! - krzyknęła. - Pośpieszcie się do cholery z tlenem i zawołajcie mi tu kogoś z porodówki, szybko!

- Doktor Rae! Doktor Rae! - wołała dalej Nola.

Rae włożyła prawą dłoń w pochwę Meredith i wcisnęła ją głęboko wewnątrz. Miała tam jednak bardzo mało miejsca. Dziecko było zakleszczone o miednicę jak korek w butelce, a sama macica kurczyła się niebezpiecznie, jak gdyby miała za chwilę eksplodować. Rae zdała sobie sprawę, że jest to zupełnie możliwe, jeżeli nie wyjmie ramion dziecka. Ciśnienie skurczowe ciągle się zwiększało i macica mogła już tego nie wytrzymać. Pęknięcie macicy z łatwością mogło zabić zarówno nie narodzone dziecko, jak i jego matkę. Nie mogła pozwolić, aby tak się stało.

- Ocalić życie, ocalić życie - szeptała do siebie tak, jakby śpiewała jakąś rytualną piosenkę.

Jej palce namacały klatkę piersiową, przycisnęła do niej ramię dziecka i przesuwając łokieć w dół próbowała wyciągnąć ramię. Gdyby ten zabieg się udał, dałoby się wyjąć resztę ciała noworodka. Ale bark dziecka był zbyt mocno przyciśnięty naprężonymi mięśniami macicy do kości łonowej. Nie było wyboru - musi złamać obojczyk.

Szybko przesunęła rękę wzdłuż ramienia do barku, wyczuła obojczyk.

Wstrzymała oddech i zamknęła oczy. Czuła pod palcami cienką kość obojczyka, nacisnęła. Poczowała i usłyszała, jak kość pękła pod naciskiem jej palców. Czuła, jak ogarniają ją mdłości.

Teraz już mogła ruszyć ramieniem dziecka. Złapała za ramię i przycisnęła je do klatki piersiowej.

Maleńki łokieć pokazał się pierwszy, tuż za nim delikatna różowa dłoń i w

końcu całe ramię, które zawisło na zewnątrz pomiędzy szeroko rozłożonymi nogami Meredith.

Obiema dłońmi chwyciła za główkę, małeńka twarz przybierała coraz wyraźniejszy siny kolor. Pociągnęła, zobaczyła najpierw kark, później ra-

75
mie i w końcu całe dziecko. Łapiąc powietrze małeńkimi ustami, wysliznęło się na materac wózka.

- To dziewczynka! - zawołał wtedy pielęgniarz.

- Zabierzcie go stąd! - krzyknęła Rae nie odwracając głowy od leżącego dziecka.

Drżącymi rękoma podniosła je i odwróciła się w stronę Franka, anestezjologa położniczego, który właśnie wbiegł do sali ciągnąc za sobą inkubator. Delikatnie położyła dziecko na materacu. Frank natychmiast założył mu maskę tlenową na twarz.

Lekko przestraszona Rae oczekiwała powtórki tego, co stało się! z dzieckiem Noli, lecz ku jej zadowoleniu, w ciągu kilku sekund twarz! dziecka przybrała zdrowy różowy kolor i usłyszała przytłumiony maską! słodki krzyk dziecka. Dziewczynka zaczęła nagle machać swoimi małeńkimi nóżkami i kręcić się jak najzdrowszy w świecie noworodek, ruszała wszystkim, z wyjątkiem lewego ramienia.

- Jest słodka - powiedział Frank. - Przyjdzie dzień, kiedy to ramię nie przeszkodzi jej w robieniu koziołków.

Spojrzała na Franka i uśmiechnęła się szeroko. Jaka ulga. Odebrać | poród zdrowego dziecka, to było jej całe życie. Zaczęła go klepać lekko po ramieniu, lecz szybko przestała widząc swoje zakrwawione dłonie.

- To najlepsze, co dzisiaj mnie spotkało - rzekła, wycierając dłonie w

materac.

- Doktor Rae! Doktor Rae, szybko! Jezus wstanie za trzy dni! Niech [i ja będę gotowa, albowiem on jest moim Panem!

Rae odwróciła głowę i zobaczyła podnoszącą się na łokciach Nolę Pay-ne. Spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Była prawie dziesiąta rano. To niemożliwe - pomyślała - przecież to wszystko nie mogło wydarzyć się w niespełna trzy godziny. Ponownie spojrzała na zegar, aby się upewnić. Dwie pacjentki z Centrum Porodów i dwójka potencjalnie zagrożonych noworodków. Dwa porody o zwiększonym ryzyku powikłań. Radość z udanego porodu nagle znikła, ogarnęło ją uczucie niewyobrażalnego wręcz zmęczenia.

- Za chwilę przyjdę, Nola - dodała i osunęła się na stojące obok krzesło. Otworzyła oczy czując silny zapach kawy, tuż przed oczami zobaczyła plastikowy kubek trzymany przez muskularne ramię. Powiodła oczyma wzdłuż tego ramienia, aż ujrzała twarz mężczyzny.

- Proszę, wyglądasz, jakbyś na to czekała - powiedział do niej Sam Hartman.

Sięgnęła po kubek, łapiąc również za palce, które go trzymały.

76

- Tak naprawdę to oczekuję kilku odpowiedzi. Chciałabym, aby ktoś ' mi wreszcie wytłumaczył, co tu się, do cholery, dzieje.

R

ae wypić kawę paroma łykami. Nienawidzę kawy z automatu.

- Spróbuj tego - Sam nachylił się z połówką oblanego lukrem pączka.

- Chyba powinnam się najpierw umyć.

Umyła ręce i zabrudzone krwią kolana i opadła na krzesło przy biurku.

Sam podał jej pączka. Była tak głodna, że połknęła go na raz.

- Niezły, ale wolę z polewą czekoladową.

- Hmm - uśmiechnął się Sam.

Wytarła usta wierzchem dłoni i miała już go zapytać, skąd się tu wziął, kiedy usłyszała wołanie.

- Doktor Rae! Doktor Rae! - To znowu Nola Payne.

- Jesteś rozchwytywana - zauważył Sam, zerkając w stronę krzyczącej Noli. - Zostań, przed chwilą u niej byłem i wszystko jest w porządku.

Rae podniosła rękę i pomachała w jej kierunku. - Chciałabym móc jej powiedzieć coś dobrego.

Wstała i powoli ruszyła do niej, ale po chwili zerknęła jeszcze na Sama, stojącego teraz tyłem.

- Hartman! - zawołała. Sam odwrócił się do niej. - Dzięki za kawę i pączka. Czuję się dużo lepiej.

- To najważniejsze - uśmiechnął się do niej.

- No proszę, tu jesteś!

To Marco Donavelli wszedł do pokoju. Ubrany w fartuch operacyjny. Nie wybaczyła mu jeszcze, że na zebraniu był za zamknięciem jej oddziału i ośmieszał ją wobec zebranych.

- Zgubiłeś się, Marco? - rzuciła z nutką złośliwości w głosie.

- To raczej mój główny anestezjolog ma jakieś interesy na starym oddziale położniczym - odciął się z przekąsem.

- Sprawdzalem tylko, jak się ma mój pacjent - odezwał się Sam.

77

- Jak każdy dobry lekarz - zgodził się Marco. - Nasz Sam Hartman - dodał, poklepując go po plecach - to najlepszy anestezjolog na zachód od

Dolomitów. Muszę przyznać, że sporo nas kosztuje, ale cóż znaczy te kilka lirów w przyjacielskim kręgu. - Chwycił Sama pod ramię. - Sprawdzałeś stan swojego pacjenta, mówisz. Nie kłopotcz się o to więcej. Nie wymagamy od szefa anestezjologii kardiochirurgicznej, aby przebywał na oddziale położniczym z kilkoma płaczącymi kobietami. Choć rozumiemy, że oddział doktor Duprey ma trochę kłopotów z personelem i my zawsze służymy pomocą naszym kolegom, niezależnie z jakiego są oddziału.

Nieprawdaż, nasza droga koleżanko? - zwrócił się z uśmiechem do Rae.

- Powinni zrobić z ciebie świętego - rzekła stukając go palcem w pierś.

Z jego twarzy znikło na krótko zadowolenie, ale już po chwili uśmiechał się jeszcze szerzej.

- No dobrze, wiem, że jesteś na mnie wkurzona. Przepraszam. Już lepiej? Szukałem cię od rana, nawet chciałem już w to zaangażować odpowiednie służby, ale darowałem sobie, chyba dobrze, co? Zresztą, pokaż, że mi przebaczasz i przyjdź dziś na malutkie przyjęcie do mojego domu. Sam też tam będzie. Pomyśl tylko, on poświęca swój piątkowy wieczór dla mnie! Co ty na to?

Ciemna od solarium twarz Marco promieniowała uśmiechem, ale jego głębokie i zielone jak szmaragdy oczy mówiły, że nie jest to szczerze zaproszenie. Co on knuje? - głowiła się. - Jaką jeszcze niespodziankę przygotował i jaki to będzie miało wpływ na jej oddział?

- Chciałbym, abyś przyszła - cicho odezwał się Sam.

- O widzisz, to jesteśmy umówieni... - szybko podchwycił Marco.

- Ale ona jeszcze nie odpowiedziała, czy przyjdzie... - zauważył Sam.

- Jasne, że tak - orzekł Marco. - Nieprawdaż, Rae?

Rae już kilka razy była na tych jego przyjęciach, ale zawsze do tej pory z

Bo. Były to ekstrawaganckie spotkania, zazwyczaj z kolacją przy suto zastawionym stole, dla dziesięciu lub dwunastu osób. Wszyscy wiedzieli, że najważniejsze informacje przepływały zawsze pomiędzy łykami wspaniałego, francuskiego burgunda. Teraz, gdy zarząd postawił kardiologię wysoko ponad jej oddział, czuła, że jest jej obowiązkiem być na tym spotkaniu. Nie tylko z racji zaproszenia, ale głównie, by spotkać się z innymi, od których zależeć może przyszłość jej, jej personelu i całego oddziału.

- Nie śmiałabym nie przyjść - odparła z uśmiechem. W jej głosie słychać już było pewien entuzjazm, być może za sprawą tego lukru na pączku i kofeiny w kawie. - O której mam się zjawić?

78

- Drinki z „Marco Wspaniałym” serwujemy punkt ósma - objaśnił wyciągając podniesiony kciuk i wypinając pierś do przodu.

- Tylko nie rób już niczego, co mogłoby zmienić moją decyzję - ostrzegła.

- Dosyć przeszłam tego ranka. Upewnij się, że nie będzie u ciebie tak jak tu.

- Specjalnie przygotuję ci mój najwygodniejszy i najwyższy fotel.

- Ha, ha, ale śmieszne - odparła i ruszyła do wyjścia.

- Rae, poczekaj - zawołał za nią Sam. Szybko podszedł do niej. - Cieszę się, że przyjdiesz. Gdybyś nie miała nic przeciwko, mógłbym wstąpić po ciebie.

Nie odpowiedziała od razu. Patrzyła się na niego, jakby nie dosłyszała, co powiedział. Czy on chce się umówić z nią na randkę? Wydało się to jej zupełnie oczywiste, ale przecież dopiero co się poznali. Zamienili ze sobą parę słów.

- Och - zaczęła nieśmiało - myślę, że...
- Mogę być u ciebie za kwadrans ósma.
- Wygląda na to, że już nawet wiesz, gdzie mieszkam - zauważyła chłodno.
- Nie wiem tylko, czy powinnam być zaskoczona, czy raczej zachwycona tą propozycją.

Musiała jednak przyznać, że spodobało jej się takie bezpośrednie zachowanie Sama. Wielu mężczyzn czuło się zażenowanych faktem, że jest lekarzem, a inni nadskakiwali jej trochę, nim zaprosili na randkę. Sam Hartman wydawał się mężczyzną, który wie, czego chce i śmiało do tego dąży. Było w nim coś pociągającego, coś niezwykłego. Może to jego uśmiech lub sposób, w jaki na nią patrzył, jakby mieli jakiś wspólny sekret? A może po prostu potrafił czytać jej myśli -jak to było rano przy porodzie Noli Payne.

- Z tego, co mówiłaś dziś na zebraniu, domyśliłem się po prostu, że mieszkasz blisko szpitala, aby być zawsze w pogotowiu.

Ma też intuicję - pomyślała. Uśmiechnęła się sama do siebie.

- A może mam bardzo szybki samochód? Sześćdziesiątka w cztery przecinek trzy sekundy.

- Szybkość to podstawa - odparł.

- No to czekam za kwadrans ósma. - Podała mu adres i telefon. - Nie zapiszesz? - zapytała.

- Trudno byłoby mi to zapomnieć. - Popukał się w czoło.

Patrzyła, jak jego sylwetka znika za drzwiami.

W tym samym momencie pokazał się znowu Bo Michaels. Ruszył prosto do niej - z wyrazu jego twarzy wyczuła się, że nie przyszedł tu na pogawędkę.

- Mam kilka pytań - rzekł.

- Ja też mam kilka pytań do ciebie, ale teraz muszę się zająć pacjentami.

- Chodzi o te dwa porody, które dzisiaj spieprzyłaś.

Rae rozejrzała się po sali, aby widzieć, kto jeszcze tu jest. W jednym rogu leżała Nola Payne, a naprzeciwko Meredith. Tuż przy niej krzątała się Betty Green, położna zmieniająca jej właśnie opatrunek. Poza nimi była tylko ona i Bo.

- Cholera, Bo - zaczęła przyciszonym głosem, tak by tylko on mógł usłyszeć - co tu się, u diabła, dzieje? Dwie pacjentki zostały przysłane z Centrum Porodów na rutynowy poród z cesarskim cięciem. W jednym przypadku tętno było do kitu, a w drugim kobieta chciała zakrzyczeć się na śmierć, bo nie mogła wypchnąć ramion dziecka. A ty chcesz mi zadać kilka pytań! Lepiej wróć, skąd przyszedłeś, i sprawdź, co się tam u ciebie naprawdę dzieje. Bo ja, przysięgam, tak długo będę sprawdzać to wszystko, aż upewnię się w stu procentach, że nie zaniedbaliście niczego, co miałoby wpływ na zdrowie tych pacjentek i ich dzieci.

- No to już wiem...

Nie podobał jej się ton głosu Bo. - Co wiesz? - spytała.

- Wiem, że to, co usłyszałem o zajściach podczas zebrania, to jednak prawda. Wiem, że nie możesz się doczekać, aby dostać kolejną pacjentkę z Centrum w swoje ręce. Co ty robisz, Rae? Czekasz przy izbie przyjęć na każdą karetkę z Centrum? Naprawdę tak wiele dla ciebie znaczy stanowisko ordynatora oddziału? Zawsze miałaś przerost ambicji, ale nie sądziłem, że do tego stopnia. Rozmawiałem właśnie z Arniem Driverem. Opowiedział mi, co się wydarzyło podczas porannej operacji.

Zasugerował, że powinniśmy przeprowadzić formalne dochodzenie.

- Co przeprowadzić? - wybuchła ze złością.

- Formalne przesłuchanie, aby wykluczyć cię z personelu szpitala.

- Na jakiej podstawie?

- Na takiej, że jesteś zdolna zrobić wszystko, aby zamknąć Centrum Porodów i utrzymać oddział położniczy w tym szpitalu.

- Wszystko, to znaczy co? - naciskała.

Bo w milczeniu odwrócił głowę i pokazał na Nolę, a później na Meredith. Potem odwrócił się i wyszedł.

Ruszyła za nim, ale zaraz zrezygnowała. Nie było sensu ciągnąć tej rozmowy, gdy Bo zachowywał się jak skończony bałwan. Lepiej było podejść do Meredith. Ta przytulała do piersi niemowlę. Frank, nim wyszedł, owinał dziecko w różowy kocyk. Stary, dobry Frank - pomyślała ciepło Rae. Najlepszy na porodówce anestezjolog.

80

Uśmiechnęła się na widok dużych ciemnych oczu wpatrujących się z zaciekawieniem w twarz matki. Tak samo jak Meredith, dziecko miało długie, gęste i ciemne rzęsy. Meredith trzymała je w ramionach, tak jakby nic i nikt inny nie istniał, tylko ono. Rae знаła to uczucie pomiędzy matką i jej nowo narodzonym dzieckiem, stała więc cierpliwie obok nie chcąc zakłócać im spokoju. W końcu Meredith spojrzała na nią.

- Jestem doktor Duprey. To ja odebrałam poród pani córeczki. Meredith uśmiechnęła się i spojrzała na różową twarzyczkę.

- Mam nadzieję, że wszystko z nią będzie w porządku - rzekła cicho.

Rae wzięła głęboki oddech. Świadomość, że musi przekazać matce złe wiadomości, zawsze ją deprymowała. Ale lepiej nie ukrywać nic. Bycie

uczciwą i prawdomówną zawsze miało swoje dobre strony.

- Przykro mi - zaczęła - ale musiałam złamać obojczyk pani córeczce. To był poród z dystocją barków i...

- Wiem, co pani zrobiła - przerwała jej Meredith.

- Próbowałam wszystkiego, ale...

- Jestem pani bardzo wdzięczna, naprawdę.

- Coś mi mówi, że pani wie, co to jest dystocja barków - powiedziała lekko zdziwiona Rae.

- Wiem doskonale, co to jest. Najgorsza rzecz w położnictwie.

- Jest pani lekarzem?

Meredith odsunęła włosy z twarzy i uśmiechnęła się szeroko.

- Lepiej nawet, jestem położną w City Hospital. Wiem, co by się stało, gdyby nie wyjęła pani dziecka. To moje drugie, ale nigdy nie przypuszczałam, że coś takiego jak dystocja barków może przytrafić się właśnie mnie. Znajomi mówili, że ona jest dwa razy większa niż był mój syn. - Uniosła dziecko, tak jakby ważyło worek ziemniaków. - I wygląda na to, że mają rację.

Rae odetchnęła. Wierzyła, że szczerłość z pacjentką jest zawsze lepsza, ale nigdy nie była pewna ich reakcji. Teraz czuła, że może zapytać, co się działo, nim przywieźli ją tutaj. Fakt, że Meredith znała się na porodach, powinien znacznie ułatwić jej zadanie. Oparła się o brzeg wózka. Miała uczucie, jakby znała ją od dawna. Posiadanie podobnej wiedzy zawsze zbliżało ludzi. Tylko ignorancja odsuwała ich od siebie.

- Pani Bey... - zaczęła.

- Meredith, wystarczy Meredith.

- Dobrze, Meredith. Ja jestem Rae. Bałam się jak chol... To znaczy

obawiałam się, jak ci to powiedzieć. Myślałam, że nie zrozumiesz, dlaczego musiałam to zrobić.

81

- Wiem, że się bałaś - uśmiechnęła się Meredith. - Ale jestem szczęśliwa, że tak się stało. Takie rzeczy często zdarzają się na porodówce. Nigdy nie przypuszczałam, że mnie się coś takiego przydarzy. Dziękować Bogu, że byłaś przy windzie.

- Czy miałabyś coś przeciwko temu, abym wpadła tu później i zadała ci kilka pytań?

- Czy miałabym coś przeciwko? Ależ skąd, chciałabym wręcz mieć zdjęcie z tobą i z moją córeczką. Ty też byś chciała, prawda, Cynthia?

- Ładne imię.

- To po mojej matce.

- Doktor Rae! Doktor Rae!

- Czy to twoja pacjentka? - zapytała Meredith. - Krzyczy tak bez przerwy. Rae pokiwała głową.

- Już idę, Nola, już idę - krzyknęła w jej kierunku.

Jeszcze raz podziękowała Meredith, zerknęła na słodko śpiącego noworodka i ruszyła do Noli.

Jasne loki zwisały jej wzdłuż twarzy. Ciągle jeszcze ubrana była w jasnożółty szlafrok, po czym można było poznać pacjentki z Centrum.

- Jak się ma mój mały Jezus? - zapytała. Odgarnęła ręką loki z twarzy i uśmiechnęła się do Rae.

Rae też uśmiechnęła się lekko. Tak jak Meredith, postanowiła i jej powiedzieć całą prawdę.

- Nie za dobrze, panno Payne, a właściwie to teraz jest w bardzo złym

stanie. Tętno jego serca było bardzo niskie, kiedy was tu przywieziono, i ciągle ma poważne kłopoty z samodzielnym oddychaniem. Jest podłączony do respiratora.

- Mnie chodzi o moje dziecko, doktor Rae. Co z moim chłopcem?

Trudno było wytłumaczyć takie sprawy normalnemu pacjentowi, ale wytłumaczyć to Noli Payne było prawie niemożliwe. Oczywistym było dla Rae, że Nola nie jest normalna. Ale przecież, do cholery, mieszkały obie w Berserkeley, a linia dzieląca nienormalnych jak Nola i szalonych jak Rae, była bardzo wąta.

Wzięła głęboki oddech i jeszcze raz spróbowała jej wytłumaczyć, co się stało.

- Chcę powiedzieć, panno Payne, że syn pani jest ciągle na oddziale intensywnej terapii. Jest bardzo chory.

Nola usiadła prosto na łóżku. Zamrugła z niedowierzaniem oczyma i spojrzała na Rae.

- Czy to znaczy, że on umrze? - zapytała.

82

Rae ciężko przełknęła ślinę. Kim jest ta kobieta? - pomyślała. Była pewna, że Nola Payne ma jakieś zaburzenia psychiczne, a w najgorszym przypadku rozdwojenie osobowości. Już kiedy patrzyła na jej twarz na sali operacyjnej, było w niej coś nieokreślonego, jakby Nola widziała rzeczy, których nikt inny nie mógł zobaczyć. Nie były to iluzje schizofreników czy też osób pod wpływem narkotyku. Były to raczej wizje bohaterów Rae z jej dziecięcych lektur - czytanych, zanim weszła w dorosłe życie w wieku trzynastu lat.

Zmusiła się do bladego uśmiechu. - Mam nadzieję, że nie, panno Payne.

Nie mogła dalej mówić. Coś ścisnęło ją w gardle. Nola podniosła rękę i delikatnie poklepała ją po policzku. Ciepła wilgotna dłoń przyniosła Rae małe uspokojenie. Żaden z jej pacjentów nigdy jeszcze tego nie zrobił.

Prawdę mówiąc od przeszło roku nikt jej nie pogłaskał po twarzy.

Okazjonalnie tylko niewielkie oznaki czułości okazywała jej Bernie, kiedy przyciskała ją do siebie, no i oczywiście jej czarny labrador Leopold - ten lepkiem, jciepłym językiem.

- Dziękuję, panno Payne - powiedziała cicho.

Miała uspokoić Nolę, a to ona właśnie po tym najtrudniejszym pytaniu, jakie może zadać pacjentka, uspokajała Rae. Jakby Rae dziecko walczyło o życie. Ponownie ciężko przełknęła ślinę, nie mogła wykrztusić słowa.

Nola sięgnęła ręką pod swój jasnożółty szlafrok i wyjęła stamtąd mały krzyżyk. Ten sam, który zwisał jej z szyi na sali operacyjnej. Pocałowała go i włożyła w rękę Rae.

- Nie trzeba się bać - rzekła cicho - albowiem syn mój to Jezus i powstanie za trzy dni, aby ocalić świat.

Przez prawie trzydzieści lat Rae nie prosiła Boga o pomoc, ani dla siebie, ani dla kogokolwiek innego. Nawet teraz, trzymając krzyżyk w dłoni i widząc, jak dalece życie tej dziwnej kobiety opiera się na wierze w Boga, nie poczuła chęci zwrócenia się do Niego. Czuła się wręcz zakłopotana. Nagle poczuła, jak robi się jej gorąco. Musiała stąd wyjść. Oddała krzyżyk.

- Proszę teraz odpocząć, zajrzę tu później.

Nola uśmiechnęła się błogo i zamknęła oczy, jakby dany jej był spokój całego świata. Gdyby mnie dana była chociaż milionowa część jej spokoju... - pomyślała Rae i skierowała się w kierunku drzwi.

- Ojej! Ojej, jej!

Rae odwróciła się gwałtownie.

- Ojej! Ojej, jej!

83

Podbiegła do Noli. Ta rzucała się na łóżku i wołała do Boga, aby ją przed czymś ocalił.

- Nola, co się stało!? Gdzie panią boli? - Odrzuciła pled, którym była przykryta, i sprawdziła opatrunki na ranie pooperacyjnej Noli. - Bet-ty, czy ona dostała jakieś środki przeciwbólowe? - rzuciła do pielęgniarki.

Opatrunki były w jak najlepszym porządku. Macica była obkurczona na poziomie pępka i nie powinno być żadnych problemów, a jednak...

- Myślę, że ona po prostu musi się wykrzyczeć - odezwała się spokojnie Betty podchodząc z nowym opatrunkiem. - Parę minut temu dałam jej zastrzyk z morfiny.

Nola była coraz bardziej niespokojna. Wymachiwała rękoma tak mocno, że Rae bała się, że porani się o metalowe szyny łóżka.

- Odłóż te opatrunki i pomóż mi złapać jej ręce! - krzyknęła do Betty, siłując się z nadgarstkami Noli. Były rozpalone i spocone. - Już dobrze, Nola. Wszystko będzie dobrze...

I wtedy Nola uspokoiła się nagle, położyła głowę na poduszkę i zasnęła.

Rae z niedowierzaniem pokręciła głową. Nie miała pojęcia, co się dzieje z tą kobietą. Odeszły razem z Betty od łóżka i oparły się o biurko.

- Naprawdę uważasz, że chciała się tylko wykrzyczeć?

- Sama już nie wiem - przyznała Betty. - Od rana wzywała panią, Boga i nie wiadomo kogo jeszcze...

Rae westchnęła i spojrzała na zegarek.

- No dobra, czeka na mnie pełna poczekalnia pacjentek. Zerknij do niej od czasu do czasu. - Wstała z krzesła. - Jakby coś, zawołaj mnie.

- Dobrze, będę dzwonić.

Rae jeszcze raz spojrzała na zegarek. Za pięć minut powinna przyjąć pierwszą pacjentkę.

- No tak. Muszę złapać chociaż łyk powietrza.

- Narzuciła pani sobie zbyt duże tempo.

- Betty, kochanie. Czy nie zauważyłaś, że ostatnio staje się to zupełnie normalne w tym szpitalu?

Zerknęła jeszcze na śpiącą Nolę i wyszła.

Po szybkim prysznicu i kolejnej zmianie ubrania Rea wyszła na szpitalny balkon na siódmym piętrze i stała tam, wpatrując się w sine wody zatoki San Francisco. Poranny chłód ciągle jeszcze otaczał położony na wysokim północnym stoku szpital. Ale tego właśnie potrzebowała. I czasu, by pomyśleć. Wydarzenia ostatnich godzin wydawały się powiązane ze sobą. Tylko jak?

84

Spojrzała w kierunku Emeryville, gdzie mieszkała przez ostatni rok.

Widziała trzydziestopiętrowy wieżowiec wypełniony wdowami, wdowcami, rozwodnikami lub też jak to było w jej przypadku, osobami samotnymi, którym nie było dane znaleźć partnera lub też w ogóle nie myślały o związaniu się z kimś. Wyobraziła sobie Leopolda, czekającego na nią. Miał zapewne nadzieję, iż lada moment przyjdzie do domu. Rae jednak ostatnimi czasy nie pojawiała się zbyt często, aby wyjść z nim na poranny spacer.

Z gabinetu otrzymała informację, że pierwsza pacjentka odwołała wizytę i

miała teraz cały kwadrans dla siebie. Wiatr gnał po zimowym już sinoszarym niebie drobne, poszarpane chmury. W oddali zakrywały one wierzchołek góry Tamalpais, a poniżej miasteczko Sausalito, gdzie znajdował się północny koniec mostu Golden Gate.

Spojrzała na przeciwległą stronę ulicy. Jej wzrok spoczął na trzypiętrowym budynku Centrum Porodów, po to tu właściwie przyszła. Ze szpitalnego ogrodu umieszczonego na dachu chciała zobaczyć miejsce parkowania karetki przy Centrum i jej drogę do szpitala. Wychyliła się lekko za balustradę i ujrzała biały dach karetki z namalowaną na nim złotą gwiazdą. Jak mówiła Bernie, karetka należała do firmy Hillstar.

Patrzyła, jak odjeżdża z parkingu w stronę szpitala. Spojrzała na zegarek, podjazd do drzwi izby przyjęć Berkeley Hills zabrał sześćdziesiąt sekund. W sześćdziesiąt sekund, bez żadnego pośpiechu z Centrum Porodów do jej szpitala...

- Hej, skarbie, odmroziś sobie przyrodzenie, jak będziesz tu dłużej stała! Bez odwracania się wiedziała, że to Bernie. Wpatrzona w stojącą karetkę, kiwnęła na nią ręką.

- O nie! - krzyknęła Bernie. - Przecież wiesz, że nie przejdę przez te drzwi.
- Ale to ważne - odwróciła do niej głowę i czekała, aż Bernie zdecyduje się podejść.

Ruszyła trzymając sztywno głowę i patrząc prosto przed siebie.

- Spójrz - Rae wskazała na stojącą siedem pięter niżej karetkę.

- O nie - zaprotestowała Bernie, lecz mimo to szybko zerknęła w dół.

Rae odczekała, aby Bernie zorientowała się, o co jej chodzi, ale tamta milczała. Jeszcze raz ze zniecierpliwieniem pokazała jej palcem na dół.

- Przecież to niedorzeczne - odezwała się w końcu Bernie. - Może mi

objaśnisz, co sama tam widzisz i co ja niby powinnam zobaczyć, bo wiesz dobrze, że nie chcę już tam patrzeć - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

85

- Karetkę, Bernie. Widzisz, tę ze złotą gwiazdą na dachu.

- I o to ci chodziło, tak? No to już wiem i znikam stąd.

- Bernie - Rae zerknęła na zegarek - przejazd z Centrum do nas zabrał jej tylko sześćdziesiąt sekund.

- Dobry Boże, a ty myślałaś, że ile?

Rae odwróciła się i oparła plecami o balustradę. Drżała cała, ale nie z zimna. Nie podobało jej się to, co zobaczyła albo co zaczynała podejrzewać.

- Sześćdziesiąt sekund - powtórzyła. - Jak w sześćdziesiąt sekund mogło się coś tak dramatycznie zmienić?

- Kochana, ja znikam...

- Pomyśl tylko, Bernie. Dwie pacjentki przewieziono do nas z Centrum Porodów na rutynowy zabieg. Rutynowy, to znaczy pacjentki bez żadnych zagrożeń czy też komplikacji.

- To chyba dobrze - rzekła Bernie.

- Ale w ciągu mniej niż sześćdziesięciu sekund dziecko Noli dotarło do nas z tętnem na granicy dopuszczalności. A kolejna pacjentka... Och, ty chyba jeszcze nie wiesz o przypadku z dystocją barków?

- Nie doceniasz szybkości szpitalnej poczty pantoflowej.

- No tak - pokiwała głową. - Nasza Sylvia z izby przyjęć, powiedziała, że tętno dziecka spadło nagle, tuż przedtem, nim utknęły ramiona. Wygląda więc na to, że obie pacjentki miały poważne problemy już w Centrum Porodów, zanim przewieziono je tutaj.

- Oj, Rae, chyba przesadzasz. Wystarczy, aby pacjentka źle u nich zamrugała, a oni zaraz ją do nas wysyłają.

- Nie jestem już taka pewna. Myślę, że mają jakiś powód, aby zatrzymać pacjentki u siebie. Czy ty wiesz, że w tej chwili transfer ich pacjentek do nas sięga dwudziestu procent? Z tego co usłyszałam dziś rano na zebraniu, nie sądzę, aby mogli sobie dłużej pozwalać na wysyłanie do nas co piątej pacjentki. Nie, jeżeli zamierzają użyć City Hospital jako swojego zaplecza...

- Zaplecza, do czego?

Nagle Rae zdała sobie sprawę, że nie powinna o tym mówić. Nie wolno jej było rozmawiać z nikim na temat zamknięcia oddziału ani też planów, jakie miało Centrum Porodów w stosunku do City Hospital.

- Sądzę - ciągnęła - że Centrum Porodów przyjmuje pacjentki, których nie powinni byli przyjmować i że czekają zbyt długo na odesłanie ich do nas mając nadzieję na poród naturalny. Ale dziś rano im się to nie udało i teraz próbują zwalić całą winę na nas.

86

Bernie oparła się o balustradę balkonu, ale szybko się wyprostowała i odeszła od niej na kilka kroków.

- Wygląda na to, że wasze poranne spotkanie było całkiem burzliwe. Ten taras powinni wybudować na pierwszym piętrze - dodała.

Rae pomyślała o zebraniu i rozmowie w biurze Walkera. I o Johnie Vincencie, który prawdopodobnie był już przewieziony do kostnicy.

- Przewodniczący Komitetu Finansowego miał atak serca - rzekła.

- Słyszałam o tym - odparła Bernie. - Ale nie zraża cię to chyba przed zajrzeniem do kilku kart chorobowych pacjentek z Centrum Porodów?

- Oczywiście, że nie.

- Czegoś tutaj jednak nie rozumiem. - Bernie zaczęła rozcierać zmarznięte ręce. - Przed chwilą mówiłaś, że zbyt późno wysyłają do nas swoje pacjentki. To chyba jest stosunkowo łatwe do udowodnienia.

- Niby tak, ale jest i pewien problem.

- Teraz to już nic nie rozumiem... - zastanowiła się Bernie.

- Meredith powiedziała, że zanim ją tu przywieźli, wszystko było w jak najlepszym porządku. Wysłali ją do nas z powodu przedłużającego się drugiego okresu porodu. Parła przez dwie godziny, o wiele dłużej niż jej cały pierwszy poród.

- Niby długo, chociaż to dopuszczalny okres czasu.

- Tak, ale...

- Zresztą - dodała Bernie - Meredith wiedziałaby przecież, gdyby jeszcze w Centrum Porodów wystąpił jakiś problem z tętnem dziecka.

- Wiem, ale jakoś mi to wszystko nie pasuje. Wyszłam przed chwilą od Noli...

- Noli Payne? Przecież ona nie jest całkiem normalna.

- Ale gdybyś widziała ją na sali... Coś sprawiło, że omal nie zwariowała.

- O to nie byłoby chyba aż tak trudno.

Rae uśmiechnęła się szeroko, ale szybko spoważniała. Opowiedziała Bernie o ataku Noli.

- Betty uważa, że ona wykrzykiwała bez specjalnego powodu, ale mnie to nie przekonuje - dodała.

- Dlaczego? To całkiem możliwe. Mogło też coś ją boleć.

- Nie, bo przecież siedziała na łóżku tak, jakby miała zabrać się za czytanie książki, i nagle wszystko się odmieniło... - Rae zatrzymała palec

przy ustach. - Wiesz co, Bernie? Jestem przekonana, że coś się stało, ale nie mogę rozgryźć co. Sprawdziłam jej opatrunek, sprawdziłam rany. I nic. A zaraz po tym znów była spokojna jak baranek.

87

- Sama wiesz, że to wariatka.

- Myślę, że ona wie więcej, niż mówi albo jest w stanie nam powiedzieć - dodała Rae.

- Nie wiem, dlaczego tak się czepiłaś tej Noli, kiedy masz pod ręką Meredith, która mówi ci wyraźnie, że nic się nie działo, dopóki nie przywieźli jej tutaj - odezwała się Bernie. - To z kolei stawia nas w niezbyt jasnym świetle, a nie Centrum. Zostawmy to lepiej. Mam dla ciebie coś, co być może rzuci trochę światła na nasz mały problem.

Chociaż Bernie miała zupełną rację, Rae nie mogła pozbyć się myśli, że atak Noli znaczył więcej, niż na to wyglądał.

- To znaczy, że nie powinnam się przejmować tym, co plecie „Błogosławiona Matka”, a zająć tym, co mówi doświadczona położna, tak?

- Nareszcie coś do ciebie zaczyna docierać. Posłuchaj, czego się dowiedziałam o tej tajemniczej Jenny. Ona jest tam kompletnie nowa i nie ma pojęcia, czym się różnią porody.

- No proszę, to już wyjaśnia kilka spraw.

- Ale to jeszcze nie wszystko - ciągnęła Bernie - resztę powiem ci, jak stąd pójdziemy, bo za chwilę tu zamarznę. Wejźmy do środka jak normalni ludzie.

- A co z tymi pielęgniarzami? - Rae ruszyła za Bernie. - Udało ci się z nimi porozmawiać?

- Jeżeli trzaśnięcie drzwiami tuż przed nosem można określić rozmową.
 - Aż tak? - przystanęła z wrażenia Rae.
 - No chodź już, pośpiesz się - Bernie raźniej ruszyła do drzwi. - Nie powiem nic więcej, dopóki nie rozgrzeję moich zmarzniętych stóp. Biedna panienska Jenny - westchnęła, trzymając otwarte drzwi na oddział kardiologiczny. - Pracuje na pół etatu w Centrum Porodów, a drugie pół ma w City Hospital. Niedawno urodziła dziecko, oczywiście poród odbierany był przez Bo. A już wszyscy w Centrum Porodów żyją nadzieją, że wkrótce raz jeszcze zajdzie w ciążę i pójdzie na urlop macierzyński.
 - Naprawdę? - Rae znowu była zaskoczona. Po prawej stronie mijala oddział kardiologiczny.
 - Ona jest strasznym roztrzepańcem.
- Rae chciała usłyszeć, że w przypadku Noli Payne była jakaś niedoświadczona pielęgniarka, ale ciężko jej było uwierzyć w to, co powiedziała Bernie.
- Bo'nie dałby komuś takiemu wejść do środka, a co dopiero pracować na sali porodowej - stwierdziła.
 - Najlepsze jest to - ciągnęła Bernie, podkreślając to palcem - że ciotka Freda kryje swoją małą kuzyneczkę.
- Rae już się gubiła. To wszystko brzmiało coraz bardziej nieprawdopodobnie. - A któż to jest ta ciotka Freda?
- Freda Austin jest ciotką Jenny. Wspaniała pielęgniarka, ale i niezwykle wojownicza. Jenny jest jej jedyną krewną.
- Ciekawość Rae była coraz większa. W głowie zaczynał się pokazywać obraz układanki.
- Nie mów mi tylko, że i ona pracuje w dwóch szpitalach? - zapytała bez

potrzeby patrząc na minę Bernie. Inaczej być nie mogło. Bo liczył na to, że zarząd zamknie jej oddział. A właściwie to był niemal pewien, że tak się stanie, dlatego zatrudnił u siebie dwie pielęgniarki z City Hospital, które miały spełniać rolę łączników pomiędzy Centrum Porodów a City Hospital.

- Znów coś przede mną ukrywasz, Rae. Widzę to w twoich oczach. Myślici przelatują przez głowę tak, jak na monitorach EKG.

- Czy jesteś pewna, że Jenny jest aż tak kiepska, jak to mówiłaś? -

Próbowała ułożyć sobie listę pielęgniarek wraz z ich doświadczeniem, ale okazało się to zbyt trudne i nużące. Zbyt dużo ich pracowało w Centrum. - A mamy tutaj tyle innych pielęgniarek, które mógł zatrudnić Bo... Przecież nawet ciebie próbował na to namówić. Mattie Henshaw powiedziała mi dzisiaj, że wiele z naszych pielęgniarek zgodziło się już przejść do niego...

- Rae, coś mi właśnie przyszło do głowy - przerwała jej Bernie. - Dlaczego Bo miałby używać City Hospital jako swojego zaplecza, skoro ma nas?

- Bernie, ja wcale tak nie powiedziałam...

- O tak, właśnie to powiedziałaś. Myślisz, że nie zauważyłam, że wymknęło ci się to, tam na balkonie, gdy dygotałam z zimna... - Widząc, że Rae nie odpowie jej, mówiła dalej: - Wy tłumacz mi, dlaczego Bo chce przewozić swoje pacjentki pięć kilometrów od siebie, skoro ma nas pod nosem? Dostał od nich lepszą ofertę, czy jak? No mów, Rae, sama obiecałaś: żadnych sekretów...

Umowa z Heidi była tajemnicą. Jeżeli Heidi dowie się, że Rae powiedziała o niej komuś, może wszystko odwołać i od razu zwołać nowe posiedzenie zarządu.

- Rae?

Ale z drugiej strony - Rae patrzyła na uniesione brwi przyjaciółki - muszę komuś zaufać. Co za interes mieć przyjaciółkę i nie móc z nią szczerze rozmawiać? Już raz niepotrzebnie odsunęła się od niej, nie mówiąc

89

dlaczego zerwała z Bo. Nie może zrobić drugi raz tego samego - potrzebowała jej, aby ratować dzieci.

- Dobrze już, dobrze - wzięła głęboki oddech i zastanowiła się jeszcze przez moment. Potem opowiedziała jej wszystko o zebraniu, głosowaniu, o ataku serca Johna i o rozmowie z Heidi.

- Dwa tygodnie? - westchnęła Bernie. - Dla tak małej osoby jak ty, to bardzo, bardzo wysoki cel.

- Wiesz już teraz, dlaczego prosiłam cię o sprawdzenie tej Jenny, a teraz, kiedy mamy Nolę i Meredith, dwa niewypały z Centrum, muszę wiedzieć wszystko na temat opieki nad pacjentkami w Centrum.

Bernie wydeła usta.

- Jenny zostawiła noworodka w pokoju zabiegowym w City Hospital. Zapomniała o nim i nie wiedziała potem, gdzie jest - powiedziała poważnym głosem.

- To niemożliwe! - Rae nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy być poważną.

- Na jej szczęście - Bernie dodała jeszcze bardziej poważnym głosem - ciotka Freda znalazła dziecko, nim rozpętała się burza. Matka dziecka nigdy się o tym nie dowiedziała, ale wszystkie pielęgniarki tak. Mówią teraz, że od momentu urodzenia swojego dziecka trochę się jej polepszyło. Ale nigdy nie można być pewnym, kiedy znów zaatakuje ją jej amnezja. Rae przypomniała sobie puste miejsce na formularzu przekazowym Noli. Opowiedziała o tym Bernie.

- Ale widzisz, Rae, musiałyby tam być więcej takich jak Jenny, aby przekonać tych twoich upartych kolegów do nas.

- To już nie tylko o to chodzi.

Bernie wpatrywała się w twarz Rae. - Czy jesteś pewna, że zarząd chce zamknąć cały oddział położniczy? Hm, całą noc byłaś na nogach, może twój mózg na chwilę się wyłączył i nie rozumiałaś dobrze, o co im chodzi. Ten list, który pokazywałam ci dziś rano... Tam wyraźnie piszą, że chcą tylko zmniejszyć zatrudnienie na oddziale, a nie zwolnić wszystkich, Rae...

Ton głosu i szeroko otwarte oczy powiedziały Rae, że do Bernie dotarło jednak, o co tu chodzi.

- Bernie, nie sądzę, aby jedna zła pielęgniarka stanowiła jakiś problem. To musi być coś bardziej poważnego. I jak tylko odkryję, co łączy przypadki Noli i Meredith, będę wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi. -

Przeczesała włosy rękoma. - Dlatego dziś w czasie lunchu złożę wizytę w Centrum. Mam tylko nadzieję, że Jenny tam będzie. Pójdziesz ze mną?

90

Bernie wyraźnie zmęczona i zrezygnowana spuściła głowę i wpatrywała się przez chwilę w mozaikowy chodnik.

- Jestem wykończona, a do tego mam dzisiaj nockę.

- Hej! - Rae objęła ją ramieniem. - Nic się nie martw. Nie pozwolę im nas zamknąć. Bo chyba jest szalony, skoro myślał, że ja na to przystanę.

Wystarczy, że on pozwala, by jego pacjentki przewożone były karetką do innego szpitala. Ja się nie zgodzę, aby jego pacjentki, to znaczy jakiegokolwiek pacjentki, przewożone były pięć kilometrów na cesarkę.

- Teraz mówisz tak, jakbyś starała się ochraniać pacjentki Centrum

Porodów - zauważyła ze złością w głosie Bernie. -A to cholerne miejsce jest właśnie powodem, że my tracimy pracę.

- Dzieci nie wiedzą, gdzie się rodzą, Bernie. Ale wiem, że ty mi pomożesz, prawda? Być może jesteś jedyną, która...

Nagle otwarcie wahadłowych drzwi oddziału kardiologicznego nie pozwoliło jej dokończyć zdania.

- Zróbcie nam miejsce! - rzucił kobiecie głos.

Rae odwróciła się i zobaczyła leżącego na wózku starszego pana otoczonego przez pielęgniarki i terapeutę układu oddechowego. Leżący miał na twarzy aparat tlenowy i przykryty był prześcieradłem. Do karku, ramion i nóg podłączone miał plastikowe rurki od kroplówek.

Drzwi ponownie się otworzyły i kilka metrów od Rae stanął Sam Hartman. Głowę miał odwróconą w stronę sali i mówił dosyć głośno: - Niech ktoś poinformuje OR, że jedziemy, i niech technicy będą gotowi z pompą!

- Czyż to nie ten...?

- Tak, to moja dzisiejsza randka - odparła Rae.

Oczy Bernie zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Rae przyglądała się pielęgniarkom pośpiesznie pchającym wózek w stronę windy. Sam Hartman zbiegł w dół schodami nie spoglądając nawet w ich kierunku.

- Co? Trzymasz z wrogami?

- Marco zaprosił mnie na swoje coroczne przyjęcie - tłumaczyła Rae - Sam zaoferował, że mnie tam zabierze. Bernie, przecież nie mogę tam iść sama. Poza tym potrzebuję kogoś z kardiologii, kto ma trochę oleju w głowie i porozmawia ze swoimi kolegami. Chcę pogadać też z innymi położnikami, aby skierowali swych pacjentów do nas, i przekonać kardiologów, że potrzebują nas tak samo jak my ich. Dlatego idę na to przyjęcie. Będą tam

same szychy, kogóż innego Marco by gościł? A mnie zaprosił, żeby nie stracić twarzy. Strasznie mnie wkurzył na zebraniu i teraz próbuje być miły, ale kiedy on będzie się mizdrzył, ja porozmawiam z kilkoma jego kolesiami i spróbuję przeciągnąć ich na naszą stronę. I pomyślałam so-

91
bie: dlaczego nie zacząć od Sama. Z tego, co widziałam dziś rano, kumplują się ostro, a ja spróbuję się wcisnąć między nich.

- Hmm - mruknęła Bernie.

- Hej, nie zaczynaj, dobrze?

- Co nie zaczynaj? Mogę mówić „Hmm”, jeżeli tylko mam na to ochotę.

- Ale mnie się to nie podoba. - Prawda była taka, że Rae nie była pewna, czy dobrze postąpiła przyjmując ofertę Sama. Jasne, że był nią zainteresowany. Ale romans z nim to ostatnia rzecz, jaka chodziła jej po głowie, niezależnie od jego atrakcyjności. Tylko że potrzebowała go, aby wyciągnąć trochę informacji. Był przecież już dosyć ważną osobą w szpitalu. Z drugiej jednak strony, może lepiej, gdyby zadzwoniła do niego, że sama przyjdzie na przyjęcie. Po co komplikować i tak już pogmatwaną sytuację...

- I co ty na to wszystko, Bernie? - zapytała ruszając w kierunku windy. O Samie pomyśli trochę później. - Pomożesz mi?

Bernie włożyła ręce do kieszeni i chyba się nad czymś mocno zastanawiała. Nagle zatrzymała się i wyjęła z kieszeni list, który otrzymała rano. Przez jej twarz przeleciał grymas złości. Usta jej się zwężyły, a oczy zmrużyły. Kiwnęła głową.

- Możesz na mnie liczyć. Nie pozwolę, aby ktoś mnie pozbawił pracy. Rae westchnęła z ulgą. I pomyśleć, że gdyby jej nie zaufała i nie powiedziała o

porannych zajściach, byłaby teraz zupełnie sama.

- Rae, czy Bo powiedział ci, gdzie był w czasie operacji Noli? Mówiłaś, że cię szukał. Myślę, że to nim należałoby się przede wszystkim zająć...

Drzwi windy otworzyły się. Rae weszła pierwsza, potem Bernie.

- W zupełności się z tobą zgadzam, Bernie. Ale chyba to nie jest teraz najważniejsze. Choć jeśli Bo spróbuje ze mną zadrzeć, to mocno się pomyli.

- Wiesz, że on cię ciągle jeszcze kocha...

Winda zatrzymała się, parę osób już w niej stało. Było to na rękę Rae, bo nie chciała komentować słów Bernie.

- Najpierw pójdę do gabinetu - odezwała się, wychodząc za nią z windy. -
Pomiędzy wizytami pacjentek zadzwonię do Centrum i umówię się z nimi na mały obchód w samo południe.

- Może byś się lepiej przespala trochę? Wyglądasz, jakbyś miała zaraz się przewrócić.

- Mam wolne popołudnie. Prześpię się po wizycie w Centrum. Muszę być zresztą w formie u Marco. Nie wiadomo, co on wymyśli.

92

Na zewnątrz dzień zapowiadał się na zimniejszy, niż był poprzedni. Choć słońce padało na wysokie budynki przedmieścia San Francisco, które błyszczały jak perły na tle błękitnego nieba.

- Dobrze, Rae, dzwoń, jak będziesz mnie potrzebować. I obiecaj, że będziesz uważała na siebie w Centrum. I cokolwiek tam wyskoczy, nie zaczynaj z Fredą.

Rae spojrzała na swój ośmiopiętrowy biurowiec po przeciwnej stronie ulicy. Jej gabinet był na ósmym piętrze po jego północno-zachodniej

stronie. Obok było Centrum Porodów. Oczko w głowie Bo.

- Słuchasz mnie, Rae?

- Niech lepiej Freda trzyma się ode mnie z daleka. Może jest spokrewniona z Jenny, ale nie ze mną.

Pożegnała się z Bernie i ruszyła w stronę biurowca.

Przeżyć jeszcze wizyty pacjentek po porannym chaosie było dla Rae wręcz niewyobrażalne. A do tego jakby wszystkie przypadki były wyjątkowe.

Jedna z pacjentek, tak czekająca na dziecko, poroniła, inna wpadła w spazmy, dowiadując się, że czwarty raz zaszła w ciążę. Kobieta, która od dwóch lat próbuje zajść w ciążę, zaczęła nagle z pretensjami krzyczeć na Rae, gdy dostała okres. Następna uważała, że jest w ciąży, choć nic, poza lekkim opóźnieniem okresu, na to nie wskazywało. Tuż za nią była młoda kobieta w dwudziestym szóstym tygodniu ciąży, którą musiała przyjąć na oddział z powodu możliwości przedterminowego porodu.

Były też i przypadki ginekologiczne, przedrakowe zapalenie szyjki macicy, niemal podwójne powiększenie włókniakomięśniaka w ciągu zaledwie jednego roku. Ana koniec zjawiała się kobieta, żona jeżdżącego po kraju akwizytora, u której Rae rozpoznała rzesistkowe zapalenie pochwy.

- Choroba weneryczna! - wybuchła z płaczem kobieta.

Przez piętnaście minut Rae próbowała przekonać ją, że nie jest to groźne i nie warto zabijać z tego powodu własnego męża.

Za pięć minut dwunasta Bobbie Gruz zajrzała do gabinetu Rae - połykającej właśnie swój lunch, jabłko z jogurtem owocowym - i przypomniała, że zaraz umówiona jest w Centrum Porodów.

- Mówiłaś, że nie możesz się spóźnić - dodała.

Bobbie pracowała z Rae już dziesięć lat. Była tak samo nieodłączna w przestronnym gabinecie Rae jak duże francuskie biurko, wysokie krzesła dla pacjentek, poczekalnia, która bardziej przypominała pokój mieszkalny, kwiaty i abstrakcyjne obrazy przedstawiające matki i ich dzieci.

- Jeżeli nie wrócę do poniedziałku, zadzwoń na policję - zażartowała Rae.

- Rae - zaczęła z troską w głosie - wiesz, w szpitalu zaczynają mówić o tobie...

- Mój nauczyciel gry na skrzypcach mawia, że martwić się trzeba, gdy ludzie przestają mówić o tobie - odparła opuszczając biurko.

- Wiem, że to nie twoja wina z tymi dziećmi...

- Miłego weekendu, Bobbie - rzekła. Czuła jednak, że po słowach Bobbie coś ją ukłuło w piersi.

Wychodząc z gabinetu i kierując się do Centrum Porodów pomyślała, że plotki są chyba najszybciej rozprzestrzeniającą się bakterią.

Przewodniczką Rae po Centrum Porodów była sama Jenny King - ubrana w jasnożółty kostium pielęgniarce.

Zacząła od świetnie zadbanego ogrodu. Rozstawiono tam kilka stolików i krzesła dla pacjentek. Dwie z nich siedziały właśnie pod rozłożystym klonem i popijały herbatę.

- Nie przyjmujemy pacjentek na oddział - tłumaczyła dumnie Jenny - dopóki rozwarcie u pacjentki nie ma czterech centymetrów. W ten sposób zaoszczędzamy dużo pieniędzy.

Z ogrodu przeszły kamiennymi schodami do holu, pomalowanego na łososiowy kolor. Z ukrytych głośników umieszczonych pod sufitem dolatywała spokojna, kojąca muzyka.

- Podoba się pani? - spytała Jenny prowadząc Rae do windy.

Przychodząc tutaj, Rae nastawiona była negatywnie do całego Centrum, również do personelu. Jednak nie potrafiła czuć niechęci do tej miłej i sympatycznej pielęgniarki z małym aparatem ortodontycznym i krótkimi warkoczykami. Nie mogła też oprzeć się wrażeniu, że podoba jej się tutaj. Zaczęła odnosić wrażenie, że w Centrum nie tak, jak w jej szpitalu, jest miło i przytulnie, a do tego jeszcze ta kojąca muzyka. Powoli docierało do niej, dlaczego pacjentki wołały rodzić tutaj.

- Jak długo tu pani pracuje? - zapytała.

Jenny zaczęła opowiadać, jak rok temu przyjęto ją w Centrum, zaraz po szkole, ale i*a pół etatu.

Uśmiechając się do młodej pielęgniarki, Rae pomyślała o zaradności Bo.

Musiał już od dłuższego czasu planować wejście w kooperację z City

94

Hospital. Jako ordynator porodówki w Berkeley Hills, niewątpliwie wykorzystywał swoje stanowisko i znajomości, aby pozbawić jej szpital jak największej ilości pacjentek. Tylko w ten sposób mógł niemal zmusić zarząd szpitala do zamknięcia porodówki. Nie ma takiego przepisu, który mówiłby, że lekarz nie może piastować kierowniczego stanowiska i jednocześnie otworzyć swojego własnego oddziału, czy też, jak Bo, Centrum Porodów. Choć według Rae występował tu niewątpliwie konflikt interesów.

Dlaczego nie zajęła się tym dwa lata temu? Przecież to wszystko nie powstało w ciągu jednej nocy, a jej znajomi nie zaczęli tu pracy z dnia na dzień. Prawdą jest, że nie doceniła tego wszystkiego i nie wierzyła, iż to przedsięwzięcie może się udać. Nie sądziła, że pacjentki mogą zechcieć rodzić w Centrum Porodów, a nie na jej oddziale, gdzie tuż pod ręką jest

sala operacyjna. I to było jej błędem, bo która z pacjentek myśli o tym, że to właśnie jej trzeba będzie wykonać cesarskie cięcie.

- Och, już jesteśmy - odezwała się Jenny, kiedy winda się zatrzymała.

Rae wyszła z windy na wypolerowaną drewnianą podłogę koloru jasnego piasku. Cztery pacjentki ubrane w cytrynowe szlafroki chodziły po korytarzu wzdychając i sapiąc.

- Freda jest w izbie przyjęć - zakomunikowała Jenny.

Prowadziła Rae obok drzwi, na których wisiały tabliczki z imionami, jak Camilla czy Lilac. Zza którychś usłyszała płacz dziecka, uśmiechnęła się odruchowo. Ten dźwięk zawsze wywoływał u niej uczucie radości.

Lecz w chwilę po tym jej twarz znów przybrała poważny wyraz, kiedy przypomniała sobie, po co tutaj przybyła.

- Jak dużo odbieracie tu porodów w ciągu miesiąca? - zwróciła się do oprowadzającej ją pielęgniarki.

Pomimo olbrzymiego zmęczenia próbowała zapamiętać każdy szczegół.

Zauważyła, że wszystko tutaj zrobione było ku wygodzie pacjentek - szerokie fotele, telefony i kanapy do siedzenia dla członków rodziny.

- Oj, bardzo dużo - odparła Jenny. - I ciągle się zwiększa. Czy to nie wspaniale?

- Cudownie - rzekła Rae.

Szła za nią do izby przyjęć. Stało tam tylko jedno łóżko, akurat puste. Przy biurku, przeglądając jakieś papiery, siedziała chuda pielęgniarka z krótkimi, jasnymi włosami. Ciotka Freda, pomyślała.

- Freda, to jest doktor Duprey - odezwała się Jenny. Freda powoli odwróciła się i w milczeniu spojrzała zimnym, bezinteresownym wzrokiem na Rae. Zmierzyła ją od stóp do głowy. Rae wyciągnęła

rękę na przywitanie. Nie wstając z fotela Freda potrząsnęła jej ręką jak mężczyzna.

- I cóż pani powie? - rzuciła sucho.

Rae zmuszała się do uśmiechu. Bernie ostrzegła ją przed Fredą, ale nie sądziła, że ta okaże się tak niesympatyczną osobą.

- Ładnie tu - rzekła, rozglądając się po pokoju. Duże okna, talerzyki z cukierkami na stołach, bujany fotel i pełno dekoracji związanych ze świętem Halloween. - Mogę usiąść? - zapytała.

Freda kiwnęła głową w kierunku stojącego obok krzesła.

- Jestem tu, bo chcę porozmawiać o Noli Payne i Meredith Bey. Freda oparła się o ścianę

- Jest pani tu, bo chce nas pani zamknąć - odparła bezbarwnym głosem.

Rae starała się zachować zimną krew. Bez wątpienia Bo rozmawiał już z Fredą. Postanowiła nie owijać nic w bawełnę.

- No to jak było z tymi pacjentkami?

- To zależy, co pani im zrobiła.

Przed tą wizytą Rae poprosiła Eileen Tan, aby przesłała jej faksem kopię raportu z pobytu Noli Payne w tej izbie przyjęć.

- Czy to pani pismo? - podała Jenny otrzymaną kopię.

- Chyba tak... - odparła niepewnie, spoglądając na trzymany w ręku papier.

- Daj mi to! - rzuciła Freda wyrywając go z jej ręki. Przeczytała i spojrzała na Rae. - O co pani chodzi?

- Dziecko było ułożone poprzecznie, a nie pośladkowo. Freda ponownie spojrzała na trzymany w ręku raport.

- Nonsens. Sama sprawdzałam, a ja potrafię rozpoznać stopy, kiedy ich

dotknę. Pani doktor może tracić czucie w palcach...?

Jenny lekko parsknęła śmiechem. Rae zerknęła na nią i ponownie odwróciła głowę w stronę Fredy. Bez wątpienia Bo opowiedział jej też o porannej operacji. Musiała być ostrożniejsza. Freda była nieustępliwa, broniła nie tylko Jenny ale całego Centrum Porodów.

- Czy coś jeszcze, pani doktor? - spytała. Jej twarz była twarda jak gład. Oczy przeszywały Rae.

Zdecydowała się obrać inną taktykę. Dlaczego nie dać jej jakiegoś powodu, aby to ona musiała zaatakować. Zaczęła od chichotu. Freda ściągnęła brwi i czekała.

- Widzę, że spotkałam równą sobie - odparła z uśmiechem. - Krążą o pani legendy. Chciałabym, aby ktoś taki kierował naszą izbą przyjęć.

96

- Prawienie mi komplementów niczego nie zmienia, doktor Duprey. - Freda oddała jej raport. - Jeżeli to już wszystko, pozwoli pani, że wrócimy do swojej pracy.

Zauważyła, że blada twarz Fredy pokryła się jednak lekkim rumieńcem. Dotknęła miejsca, które miały wszystkie dobre pielęgniarce.

- W zasadzie nie mam już pytań. Poza jednym. Chcę mieć pewność, że Jenny nie narobiła sobie kłopotów...?

- Jenny? - zdziwiła się Freda.

- Ja, kłopotów? - równie zdziwiona była Jenny. W końcu udało się Rae zwrócić na siebie pełną uwagę Fredy. Powoli złożyła trzymaną w ręku kartkę papieru.

- Jenny zapomniała wpisać w raport tętno dziecka. Normalnie nikt nie zwróciłby na to uwagi, ale gdy nie wiadomo, czy dziecko Noli przeżyje,

jest to poważne uchybienie.

- Niech mi pani to jeszcze raz pokaże - powiedziała Freda, biorąc z rąk Rae złożony raport. Jej twarz zrobiła się czerwona. - Tyle razy ci powtarzałam, żebyś zawsze wpisywała tętno.

Jenny z lekkim przerażeniem w oczach spojrzała na raport.

- Ciociu, naprawdę pamiętałam o tym, ale chyba po tym, jak wezwałam karetkę, musiałam zapomnieć. Freda podała raport Rae, dodając:

- To nic wielkiego, mamy u siebie kartotekę Noli, gdzie wszystko jest zapisane. A tam wyraźnie podano, że tętno dziecka było najzupełniej w porządku, kiedy Nola od nas wyjeżdżała.

- Wiem, ale... - Rae odwróciła się w kierunku Jenny - Hm, to nie pierwszy twój raz, że zapomniałaś o czymś ważnym, prawda? - Widziała, że Jenny jest przerażona. - Zgubienie dziecka na oddziale położniczym to bardzo poważne wykroczenie.

- Ciociu! - Jenny aż pisnęła, szukając ratunku.

- Wszystko, czego od was chcę - dodała Rae - to prawdy o Noli Payne i Meredith Bey.

Freda skupiła się na niej. - I później pani stąd pójdzie?

Rae nie powiedziała ani tak, ani nie. Freda była jej. I była w pełni tego świadoma.

- Nola Payne nie była wcześniej naszą pacjentką - zaczęła Freda - bo my mamy tutaj tylko kobiety z niskim ryzykiem zagrożenia porodu i wszystkie są kierowane od swoich lekarzy. A ja wątpię, by Nola Payne miała wcześniej kontakt z jakimś lekarzem. Stała się przed naszymi drzwiami już w zaawansowanej ciąży. A pani dobrze wie, że prawo zabrania odmówienia opieki takiej osobie. Dlaczego zjawiała się u nas, a

nie

97

w waszym szpitalu, nie wiem. W każdym razie zatrzymaliśmy ją, nie mieliśmy wyboru...

Rae rozejrzała się po pokoju. - Naprawdę ładnie tutaj.

- Dziękuję - odparła lekko speszona i uśmiechnięta po raz pierwszy Freda.

- To Jenny zbadała wtedy Nolę. Obawiała się trochę swej diagnozy i poprosiła, bym też ją zbadała. I przysięgam, że płód ułożony był prawidłowo.

- A tętno dziecka było w jak najlepszym porządku - dodała szybko Jenny.

Rae uniosła brwi w geście niedowierzania.

- Naprawdę, pani doktor, proszę mi wierzyć. Raport jest już w naszym archiwum, ale gdyby był tutaj, mogłabym pani udowodnić, że tętno dziecka Noli wynosiło sto pięćdziesiąt dwa uderzenia na minutę.

- Naprawdę? I mając tylu pacjentów można tak zapamiętać tętno dziecka Noli?

- Bo ona była taka dziwna - stwierdziła Jenny. Rae nie mogła się z nią nie zgodzić. Przez chwilę wpatrywała się w czubki swoich butów.

- Powiedźcie mi, jak to wszystko u was przebiega.

Z uwagą słuchała Fredy opowiadającej o sposobach badań i przyjmowania pacjentek. Była zaskoczona, jak niezwykłą uwagę przywiązywano tutaj do najdrobniejszych szczegółów. Niestety im więcej mówiła Freda, tym gorzej się czuła Rae. Była bardzo zadowolona z opieki, jaką mają tu wszystkie pacjentki, ale to w żadnym stopniu nie pomagało jej w wyjaśnieniu wielu spraw. Pacjentki miały tu lepszą opiekę niż w jej szpitalu - Bo potrafił zadbać jakoś o ich dobro o wiele niższym kosztem,

niż to się działo w szpitalu. Pielęgniarki spędzały o wiele więcej czasu z pacjentkami i było ich niemal tyle samo co rodzających. Niemożliwe w szpitalu, gdzie cięcia w budżecie ograniczały zatrudnianie personelu i zmuszały, aby jedna pielęgniarka zajmowała się kilkoma rodzącymi kobietami. W Centrum o każdej porze dnia i nocy był obecny lekarz położnik. Nic dziwnego też, że wielu jej kolegów przenosiło swoje pacjentki tutaj.

Lecz mimo tej świetnej opieki coś się jednak przydarzyło Noli Payne i Meredith Bey, a może być gorzej, gdy do skutku dojdzie transport do City Hospital.

- Mam nadzieję, że dziecko Noli wyjdzie z tego. Nie wiem dlaczego, ale polubiłam ją - zakończyła Freda.

Rae wstała z krzesła i zaczęła chodzić po pokoju.

- Nola zachowywała się bardzo dziwnie.

- U nas też - przyznała Jenny.

98

- Czy ma pani na myśli coś szczególnego? - zapytała Freda.

Gdybym to tylko wiedziała, pomyślała Rae. Próbowwała sobie odtworzyć, co się działo w sali poporodowej, co mogło wywołać u Noli te wybuchowe reakcje. Na pewno nie była to jej obecność. Widziała przecież Rae podczas operacji i wtedy wszystko było w porządku. Czyżby Betty w jakiś sposób ją zdenerwowała? Czy może to Betty nieopatrznie coś zrobiła lub powiedziała? A może Nola przypomniała sobie coś, co się wydarzyło w Centrum Porodów, i to ją zdenerwowało?

Zatrzymała się naprzeciwko szklanej szafki z ciasno poukładanymi workami z płynem do kroplówek. Obok stał ozdobny słoik z cukierkami.

Wyjęła jeden z worków zawierający pięcioprocentowy roztwór glukozy i mleczan Ringera.

- Jak Nola zareagowała na kroplówkę? - zapytała.

- Była jak anioł - powiedziała Jenny. - To ja założyłam jej kroplówkę i nie przeszkadzało jej to ani trochę.

Oczy Rae zwięziły się w wąskie szparki. - Na pewno?

- Nawet potem w karetce mówiła, że ta kroplówka to dla dobra jej dziecka

- wtrąciła się Freda. - Ale dlaczego pani pyta?

Rae nie mogła ufać nikomu z Centrum ani też z oddziału kardiologicznego w jej szpitalu i uznała, że nie zdradzi szczegółów dziwnego wybuchu Noli na sali poporodowej. Mogła podzielić się tym z Jenny i Fredą, bo czuła do nich rosnącą sympatię, ale wolała zachować takie wieści o Noli dla siebie.

- Tak tylko pytam. Bo ta Nola wygląda mi jak ktoś nie z tego świata...

Zapytała o Meredith Bey. Freda wyjaśniła, że Meredith została odesłana do szpitala na rutynowe cesarskie cięcie. Parła przez dwie godziny i było wiadomo, że dziecko nie urodzi się pochwowo.

- Pierwsze urodziła bez najmniejszych kłopotów. Któż mógł przypuszczać, że z drugim będzie gorzej? - zakończyła Freda.

Od wejścia do Centrum Porodów Rae z minuty na minutę czuła się coraz gorzej. Na początku miała jeszcze uzasadnione nadzieje, że coś jest tu nie tak jak powinno. Freda i Jenny mogły zbyt długo czekać na odesłanie pacjentek do szpitala, ale nawet to nie wydawało jej się teraz takie oczywiste. Co gorsza, zaczęła darzyć te dwie pielęgniarzki sympatią.

- Kto podłączył kroplówkę Meredith? - zapytała po chwili.

- Ja - odparła Freda. - A czy był z tym jakiś kłopot? Rae zaprzeczyła ruchem głowy.

- Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy prawdą są te krążące plotki, że planujecie skorzystać z City Hospital jako swego zaplecza?

99

Freda spojrzała na Jenny, która spuściła oczy i nagle zainteresowała się czubkami swoich butów.

- O tym powinna pani porozmawiać z doktorem Michaelsem - powiedziała Freda.

- Już to zrobiłam. - Rae patrzyła na obie pielęgniarki. - No cóż, chyba się pożegnam.

Freda odprowadziła ją do drzwi.

- Nie powie pani nikomu o Jenny? - zapytała cicho.

Rae poczuła się trochę nieswojo. Przysięgła sobie, że utrzyma swój oddział za wszelką cenę. Zaniedbanie Jenny, choć nie było niczym poważnym, mogło jej w tym bardzo pomóc. Wykorzystanie go, a także wskazanie na niekompetencję pielęgniarki, mogło być silnym atutem. Jak je jednak wykorzystać, gdy Jenny była jedyną rodziną Fredy, a Rae zaczęła odkrywać w niej bratnią duszę...?

- A ja mogę na panią liczyć? Sprawy mogą przyjąć bardzo poważny obrót i muszę wiedzieć, kto jest ze mną.

- Będę z Centrum Porodów.

- Wobec tego nie mogę niczego obiecać - zakończyła Rae, ściskając jej rękę.

- Szkoda, że jesteśmy w przeciwnych obozach.

Rae wyczuła żal w słowach Fredy. Spoglądała na odchodzącą pielęgniarkę z coraz większą sympatią.

Po zjechaniu windą na parter skorzystała z publicznego telefonu, chcąc

sprawdzić, czy nie ma jakichś wiadomości na domowej sekretarce.

Liczyła, że Bernie poda jej tam, z kim może się skontaktować w Hillstar.

Kiedy wykręcała ostatnią cyfrę swojego numeru telefonu, do holu weszła kobieta w ciąży, prowadzona przez znacznie młodszego od niej mężczyznę.

- Czy mogę się widzieć z lekarzem? - zapytała drżącym głosem. - Chyba już się zaczyna.

Rae odłożyła słuchawkę i ruszyła w jej stronę. W tej samej chwili jednak już była przy niej pielęgniarka, ubrana w cytrynowy uniform Centrum Porodów. Z kocimi oprawkami na nosie.

- Ja się nią zajmę, doktor Duprey - powiedziała szybko do nadchodzącej Rae.

- Donna? - odezwała się mocno zaskoczona Rae. Donna Wilson pracowała na nocnych zmianach na oddziale Rae.

- Już dobrze, proszę głęboko oddychać - mówiła Donna spokojnym głosem, odprowadzając kobietę do windy.

Wcisnęła guzik i drzwi natychmiast się otworzyły. Tam czekała już inna pielęgniarka, która przejęła pacjentkę.

100

- Może pani już ochłonąć, doktor Duprey. - Donna podeszła do Rae. - Każdy, kto mnie tu zobaczy, tak reaguje. Ale skoro pracodawca nie traktuje człowieka jak powinien, i to po piętnastu latach nienagannej pracy, najwyższy czas go zmienić.

- Ale ty byłaś największą przeciwniczką Centrum Porodów! - Rae ciągle nie wierzyła, że najbardziej poważana pielęgniarka z jej oddziału zmieniła zdanie. - Zawsze mówiłaś, że przewożenie rodzących kobiet karetką na

drugą stronę ulicy jest niedorzeczne.

- Nie aż tak jak moje piętnaście lat pracy, bez żadnej opuszczonej nocki, za co w podziękowaniu dostałam wymówienie. Szpital Berkeley Hills to już dla mnie historia, doktor Duprey, i mam głęboką nadzieję, że Centrum Porodów zje go żywcem.

- Chyba nie mówisz tego poważnie.

Donna machnęła lekceważąco ręką. - Teraz pracuję tylko na dzienną zmianę i już po pierwszym roku mam sześć tygodni płatnego urlopu. Do zobaczenia, doktor Duprey, niech pani pozdrowi ode mnie Trish i resztę dziewczyn.

- Ale przecież to ty się zwolniłaś! - krzyknęła Rae za odchodzącą Donna.

- Proszę też powiedzieć Bernie, że kawa tu jest równie dobra - rzuciła jeszcze Donna i zniknęła za drzwiami windy.

- Niech to szlag trafi - mruknęła do siebie Rae.

Podeszła do automatu i wykręciła numer informacji. - Szukam numeru firmy przewozowej Hillstar...

Operator podał jej numer, ale niestety linia była zajęta. Wyraźnie mam dzisiaj zły dzień, stwierdziła.

Ale nie tylko ona miała zły dzień. Dziecko Noli także. A i niemowlę Meredith. Uznała, że nie będzie zważać na etykietę zawodową i osobiście złoży wizytę pielęgniarzom. Może oni rzucają jakieś światło na wydarzenia tego ranka.

Na zewnątrz słońce świeciło tak ostro, że musiała zasłaniać oczy ręką. Zrobiło się też o wiele cieplej. Zastanowiła się, czy nie lepiej iść do domu i przespać się trochę. W jej sypialni słońce na pewno nagrzało już ulubioną aksamitną poduszkę. Ale sen może jednak trochę poczekać. Liczyła, że

rozmowa z pielęgniarkami pomoże jej w zrozumieniu tego, co się stało z Nolą Payne i Meredith Bey.

Zamyślona, wracając do szpitala weszła na przejście dla pieszych.

Usłyszała ostry głos klaksonu i pisk hamulców. Zastygła z przerażenia wpatrywała się w rosnące światła pędzącego na nią auta.

101

Granatowy jaguar zatrzymał się dokładnie pół metra od jej kolan. Za kierownicą siedział Arnie Driver - ten sam, który nie mógł dać sobie rady z zaintubowaniem dziecka Noli. Opuścił szybę i wychylił blond czuprynę. Czerwona skóra jego czoła świeciła się w słońcu.

- Przepraszam - krzyknął w jej stronę - ale przez to słońce ledwo co widać. Rae cofnęła się. Była wściekła, że śmiał zażądać oficjalnego przesłuchania. Co gorsza straciła resztki szacunku dla niego, bo to właśnie za jego sprawą mogło umrzeć dziecko Noli.

- Hej - krzyknął, wychylając się bardziej. - Mam nadzieję, że Bo ci powiedział, że to przesłuchanie to był jego pomysł.

Ruszyła z miejsca spoglądając tym razem w jedną i drugą stronę. Pomysł był Bo...? Jeden z nich kłamał, tylko który?

- Chciałem, żebyś wiedziała - dodał i szybko ruszył z miejsca. Wydawało się jej, jakby słyszała jego szyderczy śmiech.

Skurwiel, pomyślała. Miała teraz jednak ważniejsze sprawy na głowie, niż skupianie się na Arniem Driverze.

Dotarła przed szpital ustawiony na wzór olbrzymiego „U”. Na wprost miała dziesięciometrową stalową rzeźbę. Wybudowaną w imię przyszłości. Jej trzy monolityczne kolumny odważnie spoglądały w niebo, tak jakby tylko ono ograniczało inwencję człowieka. Aż do dzisiaj Rae lubiła to

stalowe dzieło. Patrząc z bliska zastanawiała się, czy lubiły je też matki noszące w swoich łonach nie narodzone jeszcze dzieci? Czy nie było dla nich zbyt surowe i onieśmielające? Szpital powinien chyba złagodzić jakoś surowe kształty tej monolitycznej budowli, ustawić obok fontannę, jak to zauważyła w Centrum Porodów. Pokręciła głową. Nie, to bez sensu.

Lepiej, gdyby wydali to na sprzęt medyczny.

Kątem oka zauważyła po prawej stronie karetkę z Hillstar. Zaparkowaną przy izbie przyjęć. Tylne drzwi były otwarte i stał przy nich jeden z bliźniaków pielęgniarzy, którzy przywieźli przedtem Meredith. A Eileen Tan mówiła, że oni przywozili też Nolę Payne.

Rae przypomniawszy sobie o matce - widok karetki zawsze ją przywoływał. Często tu przechodziła obok karetek, ale zawsze przyśpieszonym krokiem, nigdy się nie zatrzymywała. Teraz jednak, jeśli chciała się czegoś dowiedzieć o Noli Payne i Meredith, musiała podejść bliżej, znacznie bliżej.

Z głową podniesioną do góry, ruszyła w końcu. Szara kaszmirowa sukienka - tak ciepła, kiedy stała w odkrytym ogrodzie na siódmym piętrze szpitala - była teraz mokra od potu. Może to nerwy, a nie temperatura? Cokolwiek to było, musiała podejść tam i porozmawiać z pielęgniarzami.

102

- Dzień dobry - zaczęła - to wy przywieźliście tę kobietę z dystocją barków, prawda? Jestem doktor Duprey...

Pielęgniarz, na którego identyfikatorze widniało „LEONARD”, mocno uściskał jej kruchą dłoń. Nawet przez luźne rękawy niebieskiego fartucha widać było, jak naprężyły się jego bicepsy.

- Leonard McHenry - odparł nieśmiało. Jego oczy nerwowo rozejrzały się

wokoło, jakby kogoś szukał. Co jest? Przecież chciała mu zadać tylko kilka pytań. Powachlowała się ręką.

- Wygląda na to, że będzie dosyć ciepło.

- Mój brat zaraz tu będzie - rzekł niespokojnie. Nerwowo wkładał i wyciągał ręce z kieszeni.

- Wiem, że jesteście bardzo zajęci - powiedziała - ale chciałam was spytać o parę spraw.

- No proszę, sama doktor Duprey!

Rae odwróciła się w stronę nadchodzącego mężczyzny. Z jego identyfikatora odczytała „THEODORE”. Wyraźnie był szczuplejszy od brata, ale uścisk dłoni miał taki sam. Na szczęście ten uśmiechał się do niej jak do starego znajomego.

- Chciałam podziękować za pomoc przy Meredith Bey - rzekła, czując się przy nim trochę swobodniej. - Poza złamanym obojczykiem, wszystko jest w porządku.

- Cieszę się, że mogliśmy pomóc - odparł Theodore.

- Musimy już jechać, Theo - odezwał się Leonard. Rae zauważyła ostrzegające spojrzenie, jakie rzucił bratu.

- Mój brat - Theodore wskazał palcem na Leonarda - to pracoholik. A może chce pani przejechać się naszym rydwanem? Najlepszy w Hillstar. Myśl o wejściu do karetki spowodowała, że pod Rae ugięły się nagle nogi.

- Coś nie tak, doktor Duprey?

- Wygląda zachęcająco - odparła, udając zainteresowanie wnętrzem karetki. Czowała jednak, jak zaczyna oblewać ją zimny pot, a serce mało nie wyskoczy jej z piersi.

Po tylu latach pamiętała dokładnie każdy szczegół tamtego dnia. Matkę

przypiętą pasami do leżących na podłodze noszy, niemowlę leżące bez żadnego krzyku i krew rozlaną po podłodze karetki. Siebie coraz bardziej we krwi, gdy starała się ją wytrzeć swym żółto-bordowym, wełnianym swetrem. Słyszała swój płacz i rozpaczliwy krzyk matki. A potem była już tylko cisza. Ogłuszająca cisza.

103

- Może innym razem - dodała, składając ręce na piersi z nadzieją, że nie zauważyli jej dygoczących dłoni. Jednak zwięzione oczy Theodore mówiły jej, że chyba coś zauważył. Spojrzał szybko na brata, a tamten nieznacznie kiwnął głową.

Pewnego dnia opanuje swój strach, ale jeszcze nie teraz. Teraz musiała jakoś wyciągnąć z nich odpowiedź na dręczące ją pytania.

- Zamiast tej przejażdżki wolałabym usłyszeć, czy wydarzyło się coś niezwykłego, kiedy przewoziliście Nolę Payne lub Meredith Bey?

- Która z nich to Nola Payne? - zapytał Theodore, znów posyłając szybkie spojrzenie bratu.

- Nic szczególnego się nie wydarzyło - szybko odparł Leonard.

- Nola Payne, to ta z krzyżykiem zawieszonym na szyi - wyjaśniła Rae. Niemożliwym było zapomnieć kogoś takiego jak Nola.

- Och, już wiem - stwierdził Theodore. - To ta na pół świrnięta. A dlaczego pani pyta?

- Theo, musimy już jechać - nalegał Leonard. - Nic się nie wydarzyło.

- Co ty opowiadasz, Leo. Nie pamiętasz jej? To ta co mówiła, że będzie rodzić dziecko Boga.

Uśmiechnął się, Rae też. Dobrze, że chociaż jeden miał ochotę odpowiedzieć na jej pytania. Ale dlaczego tak dziwnie na siebie

spoglądają? Chyba że podejrzenie, jakie zasiała w niej Jessica, co do tego, kiedy tętno dziecka spadło, było prawdą.

- To właśnie ta - powiedziała. - Czy powie mi pan coś jeszcze o niej albo o tej drugiej, Meredith?

- Bardziej to, że powinniśmy już być w Centrum Porodów - rzekł Leonard.

- Cały mój brat... Słyszała pani, powinniśmy być już w Centrum -

Theodore trzasnął drzwiami. - Chyba naprawdę musimy już jechać.

- Czy na pewno nie wydarzyło się nic nienormalnego? To znaczy, jak duży był ból podczas przejazdu? Jak częste były skurcze?

Theodore pokręcił głową. - Pamiętam tylko ten krzyżyk. Poza tym z obiema pacjentkami było wszystko w porządku. Sam sprawdzałem tętno, w obu przypadkach było w porządku...

- Ale ja nic nie mówiłam, że było złe - wtrąciła szybko Rae.

- Ale chciała pani powiedzieć, prawda?

- Jak często pan sprawdzał?

- Na tak krótki odcinek, raz jest wystarczająco. No, ale musimy już chyba jechać, albo chce pani posiać ziarno niezgody pomiędzy mną a bratem...

Lepiej nie.

104

Rae podała każdemu z nich swoją wizytówkę.

- Proszę do mnie zadzwonić, gdyby coś się wam przypomniało. A, jeszcze jedno, czy Nola zachowywała się dziwnie, kiedy podał jej pan kroplówkę?

- Theo nie podawał jej żadnej kroplówki, zrobili to w Centrum - szybko powiedział Leonard.

- Właśnie tak - potwierdził Theodore.

Rae uważnie przyglądała się twarzom pielęgniarzy. Spotkania z tysiącami

pacjentów uczyniły z niej baczego obserwatora. Nie wierzyła żadnemu z nich i oni też to wiedzieli. Starła się jednak utrzymać konwersację z nimi. Byli braćmi i na pewno jeden drugiego będzie osłaniał.

- Zadzwońcie, jak sobie coś przypomnicie.

- Jasne, pani doktor - odparł Theodore przyglądając się jej wizytówce.

Rae czekała, kiedy znów spojrzy na brata, ale tym razem tego nie zrobił. Zauważyła lekkie rozcięcie na jego wardze, niezbyt duże, ale widać było zaczerwienienie na okrągłej twarzy.

- Co się panu stało w wargę? - spytała.

- Jedźmy już - warknął Leonard.

- Wpadłem na pięść pacjentki, kiedy próbowałem jej założyć maskę tlenową. Czego zresztą można było się spodziewać od takiej półświrniętej...

- Nola pana uderzyła? - Przypomniała sobie wybuch Payne na sali poporodowej, gdy Betty próbowała zmienić jej kroplówkę. Widziała, że Theodor przytaknął, więc dodała: - Chyba to jej sposób powiedzenia, że coś nie pasuje.

- Chyba ma pani rację.

Rae podziękowała im za rozmowę. Stała jeszcze chwilę i patrzyła za odjeżdżającą karetką. Potem weszła do izby przyjęć, tu ogarnął ją zapach wymiotów i nie mytych ciał. Wstrzymała oddech na kilka sekund i szybko dotarła do windy. Żałowała, że nie starczyło jej odwagi, aby wsiąść do karetki i rozejrzeć się po niej. Miała jednak nadzieję, że Theodore jeszcze ją kiedyś zaprosi na przejażdżkę.

Ciekawe, czy pielęgniarze wiedzieli, co się stało z Nolą i Meredith? Co w ogóle się wydarzyło w karetce? Pacjentki dostawały tlen, trochę słodzonej

wody i sprawdzano tętno płodu. Gdyby było coś nie tak, to Meredith by przecież zauważyła...

Rae odetchnęła z ulgą widząc, że po porannym zamieszaniu na porodówce teraz zapanował tu już spokój. Na komputerowej liście znalazła tyl-

105

ko kilka nazwisk kobiet przyjętych do porodu. Sprawdziła, na której sali leżą Meredith i Nola.

- Pani ciągle tutaj? - odezwała się Trish Barrow, pielęgniarka oddziałowa, która wezwała ją do Noli. Czerwone oprawki jej okularów kolorem odpowiadały włosom spiętym do tyłu. Dla Rae Trish była zbyt afektowana i za mocno obstawała za pielęgniarkami ze swojej zmiany, ale była piekielnie dobrą pielęgniarką oddziałową, a to było najważniejsze. Spojrzała na wiszący na ścianie zegar, pierwsza piętnaście.

Pomachała do Trish i ruszyła do części poporodowej, tuż za salami porodowymi. Wszędzie widać było rękę Walkera. Szerokie pomalowane na śnieżnobiały kolor korytarze, wykładzina w szaroczarną szachownicę, stanowiska pielęgniarek wyposażone w komputery i monitory. Najnowsze modele telefonów i faksów. Ale gdzie był dyżurujący pracownik? - zastanawiała się podchodząc do biurka administracji oddziału i słysząc natrętnie dzwoniący telefon.

- Niech ktoś, do cholery, odbierze ten telefon! - krzyknęła, rozglądając się dookoła.

Wtedy zauważyła doktora Marshalla White'a. Był bardzo niski, wyglądał jak zawodowy dżokej i z ledwością widać go było zza regału z kartami pacjentów. Marshall miał sześćdziesiąt siedem lat, lecz mimo tak poważnego już wieku, często wstawał i przyjeżdżał tu w nocy, aby odebrać

poród.

- To miejsce niedługo szlag trafi - powiedział kładąc swój długopis obok jednej z kart chorobowych. - Nikt nie odbiera telefonów, pacjentki dzwonią na pielęgniarki po pół godziny, wszystko się wali.

- Marshall - Rae zwróciła się do niego, podnosząc przy okazji słuchawkę telefonu - odbierasz porody w Centrum, czy zauważyłeś ostatnio jakieś kłopoty z pacjentkami przewożonymi tu, do nas? - Odłożyła słuchawkę słysząc w niej tylko ciągły sygnał. - Za późno.

- Nic dziwnego, że każdy wysyła swoje pacjentki do Centrum. Tam przynajmniej ma kto odbierać telefony.

- To znaczy - nie ustępowała Rae - czy zwiększyła się liczba twoich pacjentek przewożonych tutaj z powodu jakichś komplikacji? Czy zauważyłeś więcej cesarek u swoich pacjentek?

- A coś nie tak z moimi cesarkami?

- Nie to - odparła zrezygnowana Rae. - Chciałam tylko wiedzieć, czy w Centrum zwiększyła się liczba stanów zagrożenia płodów?

- A co z ciężką sytuacją lekarzy? - Rozejrzał się wokół siebie. - I gdzie do cholery jest ta pielęgniarka? - zapytał. - Te polecenia trzeba przekazać teraz, a nie na nocnej zmianie!

106

Ostry dzwonek telefonu ponownie odezwał się na biurku.

- Ja odbiorę! - krzyknęła sekretarka administracyjna oddziału, Leslie Mayers, dwudziestolatka z małym diamentem wczepionym pośrodku języka.

- Gdzie pani, do cholery, była? - domagał się wyjaśnienia Marshall.

Leslie jednak nic mu nie odpowiedziała. Przyłożyła tylko do ust palec,

nakazując tym gestem ciszę. Marshall westchnął głęboko i rzucił kartę chorobową na biurko.

- Będzie chyba lepiej, Rae, jeżeli przeniosę wszystkich swoich pacjentów do Centrum - rzekł i odszedł szybkim krokiem.

- O co chodzi? - zapytała Leslie, odkładając słuchawkę. Rae ciężko usiadła na krześle obok niej i wyjęła z półki karty Noli i Meredith. Przeglądając te karty czuła zwiększający się ciężar głowy.

- Co się dzieje, pani doktor?

- Sama chciałabym to wiedzieć.

- A słyszała pani o trojaczkach?

- O trojaczkach? Doktora Henshawa?

Leslie pokiwała głową. - Trzy dziewczynki, każda ponad dwa i pół kilo. Oczywiście musiała być cesarka - dokończyła i spojrzała na trzymaną przez Rae kartę Noli Payne. - Ta jest niezła...

Rae pokiwała głową. - Leslie, czy masz tutaj listę odebranych w ostatnim czasie porodów? Mogłabym iść po to na porodówkę, ale nie mam już siły...

- Już sprawdzam, pani doktor - wystukała coś na klawiaturze komputera i na ekranie pokazała się lista pacjentek, których dzieci przyszły na świat na tym oddziale. - Szuka pani kogoś szczególnego, jakieś nazwisko?

Rae przysunęła się bliżej ekranu. - Jeszcze nie wiem, kogo szukam.

- No to sprawdzamy po kolei.

- Możesz mi dać kawałek papieru?

- Jasne, cały dla pani - podała Rae bloczek z żółtymi kartkami.

Na ekranie monitora widniały dane z nazwiskami pacjentek, datą porodu, numerem kartoteki medycznej, płcią dziecka, nazwiskiem lekarza

odbierającego poród, rodzajem porodu oraz wagą dziecka po porodzie, a także z liczbą Apgar. I informacja, który to był poród danej pacjentki. Nie podawano tylko, czy rodząca była pacjentką Centrum Porodów przewiezioną do szpitala Berkeley Hills, czy też była ich pacjentką.

- Niech to szlag trafi - mruknęła Rae.

- Coś nie tak, pani doktor?

- Czy jest jakiś sposób, aby wyodrębnić pacjentki Centrum Porodów?

107

- A to ma znaczenie? Wszystkie są naszymi pacjentkami, gdy leżą tutaj - odpowiedziała Leslie.

Rae westchnęła i zabrała się do spisywania tych z ostatnich sześciu miesięcy, które urodziły dziecko z liczbą Apgar zawierającą się pomiędzy 0 a 7. Liczba Apgar mniejsza niż 7 wskazywała, że noworodek zaraz po urodzeniu wymagał reanimacji. U dziecka Noli Payne liczba ta wynosiła 1. Wypisała blisko trzydzieści takich nazwisk. Potem wykreśliła dzieci urodzone przed planowanym terminem rozwiązania. W takiej sytuacji niska liczba Apgar jest raczej normalna. Zostało wtedy około dwudziestu takich, u których powód niskiej liczby nie był jasny. Teraz musiała iść do archiwum i poprosić o karty medyczne tych kobiet, aby sprawdzić, czyimi były pacjentkami.

Odchyliła się na krześle i zaczęła kciukami przecierać zmęczone oczy.

- Pani doktor, chyba coś mam! - krzyknęła nagle Leslie. Rae pochyliła się nad nią i wpatrzyła w monitor komputera.

- Niech pani spojrzy. Przy nazwisku tej pacjentki, która trafiła do nas z Centrum, jest zawsze mała gwiazdka.

Rae nie wiedziała w tym momencie, czy ma ucałować Leslie, czy też ją

udusić. Tyle czasu spisywała nazwiska wszystkich pacjentek z ostatniego półrocza i okazało się to teraz zupełnie niepotrzebne. Informacje, których szukała, były w komputerze.

- Dlaczego mi tego wcześniej nie pokazałaś, przecież o to cię pytałam.

- Ale jeszcze parę dni temu tego tu nie było. Te gwiazdki wstawiono na pewno w ostatnich dniach. Pewnie ci z DI to zrobili i nic nam nie powiedzieli.

- Co to jest DI?

- DI to dział informatyczny. Wie pani, ci faceci, którzy wolą spędzać noc ze swoją myszką przy komputerze zamiast z nami.

- Pozwól, że to sprawdzę.

Rae przysunęła się do ekranu monitora i sprawdzała po kolei nazwiska z komputera z wypisanymi. Powoli zaczęło ją ogarniać uczucie lekkiego przerażenia. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy osiem pacjentek z Centrum Porodów przewieziono do ich szpitala, wszystkie dzieci urodziły się z liczbą Apgar dużo poniżej dziesięciu, a co gorsza, wszystkie te kobiety były pacjentkami doktora Bo Michaela.

Rae z niedowierzaniem spoglądała raz na ekran monitora, raz na swoją listę. Kiedy byli razem, rzadko się zdarzało, aby któreś dziecko odebrane przez Bo miało jakiegokolwiek kłopoty. Teraz osiem w ciągu dwóch miesięcy? Co się dzieje? Czyżby Bo zbyt dużo czasu spędzał nad uknuciem intrygi, aby zamknąć jej oddział, i nie miał czasu na pacjentki?

108

Poza tymi ośmioma było jeszcze kilka innych, ale sporo wcześniej i lekarze prowadzący byli różni.

- Mam nadzieję, że znalazła pani to, czego szukała... - odezwała się Leslie.

- Ja też mam taką nadzieję.

Zadzwoiła do archiwum i poprosiła Yvonne Wright, aby przygotowała jej karty medyczne ośmiu pacjentek. Mogła przyjść za pół godziny.

Aby zabić jakoś ten czas, postanowiła zejść do kawiarenki na filiżankę kawy.

O wpół do trzeciej kawiarenka była już prawie pusta. Zaskoczona była dostrzegając tam siedzącego w kącie i... rozmawiającego z bliźniakami Sama Hartmana! Pielęgniarze wyglądali na bardzo rozluźnionych, zupełnie inaczej niż podczas rozmowy z nią.

Ech, ci mężczyźni! - westchnęła Rae. Zawsze trzymają się razem. Gdyby to oni rodzili, na pewno robiliby to w stadzie.

Przyglądała im się trochę czasu i uznała, że nie było to spotkanie obcych sobie ludzi. Sam się uśmiechał i wyglądało, jakby opowiadali sobie jakieś sprośne kawały. Tamci słuchali go z uwagą i od czasu do czasu śmiali się głośno. W końcu Sam wstał i wyciągnął do nich rękę.

Rae wycofała się szybko, gdy Sam podszedł do baru. Zamówił kawę, a ubawieni bliźniacy w tym czasie zapełniali swoje tace frytkami. Sam zapłacił za kawę i odszedł w drugi koniec sali.

Co on robił z tymi pielęgniarkami? Od czasu, jak Bernie oskarżyła Rae, że trzyma ze swoimi wrogami, myślała o odwołaniu spotkania z nim, lecz teraz zdecydowała, że zrobi inaczej. Skoro Sam zna bliźniaków, przy jego pomocy może uda jej się wyciągnąć z nich to, co ją interesowało.

Zrezygnowała z kawy i ruszyła w stronę archiwum. Nie wiedziała, czy to sprawił widok Sama z pielęgniarkami, czy też coś innego, ale czuła się teraz tak, jakby znalazła się na otwartym oceanie. Sama, a pod nią bardzo głęboka woda.

A rchium Kart Medycznych usytuowane było w północnej części szpitala. Za pulpitem siedziała Yvonne Wright, kobieta dobrze po pięćdziesiątce, której pasją był porządek i motocykle Harley-Davidson.

109

- Karty czekają - rzekła swoim śmiertelnie poważnym głosem na widok Rae.

Wskazała na przegrodkę w regale z nazwiskiem Rae. Wszystkie oddzielone były grubymi kawałkami tektury i podpisane nazwiskiem lekarza.

Rae spojrzała na zegarek. - Minęło dopiero piętnaście minut. Jesteś niezwykle szybka.

- Wiadomo - odpowiedziała jej dumnie Yvonne.

Rae wzięła grube skoroszyty i skierowała się do jednego ze stolików wmontowanych w ścianę archiwum. Archiwum szpitala nie było wyposażone w nowoczesne meble ani komputery. Rae lubiła to miejsce, ścian od dawna nie malowano, a meble i krzesła były wykonane w staroświecki sposób. Było to jedyne miejsce w szpitalu, gdzie krzesła naprawdę były przeznaczone do siedzenia. Duże, wyściełane, z wysokimi oparciami i wygodnie wmodelowanymi oparciami na ręce.

Rae policzyła skoroszyty, były tylko cztery, a prosiła o osiem.

- A gdzie reszta? - zwróciła się do Yvonne.

- Zapytaj doktora Donavelliego. On ostatni miał je w rękach. Rae zerknęła na nią z ukosa.

- Ale nie wolno ich wnosić z archiwum, chyba że pacjent zostaje przyjęty na inny oddział lub jego historię choroby wertują na izbie przyjęć. Trudno

- dodała patrząc, jak tamta błagalnie zagląda w przegrodkę Marco. Pustą. -

Jesteś pewna, że to doktor Donavelli wziął te karty?

- A co w nich jest, że są takie ważne? - odparła pytaniem Yvonne marszcząc przy tym czoło.

Rae też to zastanawiało. Usiadła wygodnie na krześle i otworzyła pierwszy skoroszyt.

- Tego właśnie chcę się dowiedzieć - powiedziała do siebie. Kiedy już zabierała się do czytania, do archiwum wszedł Bo Michaels. Nie zauważył jej.

- Tak? - rzuciła Yvonne.

Bo stojąc plecami do Rae, podał jej kartkę.

- Osiem niezwykle popularnych nazwisk w ostatnim czasie - rzekła do niego i spojrzała w stronę Rae. Bo powiódł za nią wzrokiem.

- Pan doktor chce te karty - powiedziała do Rae. No proszę, pomyślała Rae. I co teraz? Bo założył ręce na piersi.

- Rae, to są karty pacjentek Centrum Porodów. Rae przysunęła je bliżej siebie.

110

- Nieprawda, Bo. Należą do szpitala Berkeley Hills. - Była niezwykle ciekawa, po co Bo chciał te karty.

- A gdzie są pozostałe cztery? - spytał, patrząc na karty leżące na stole.

- Zapytaj doktora Marco Donavelliego. Bo odwrócił się do Yvonne.

- Słyszał pan, co pani doktor powiedziała - odezwała się. - A w przegródce doktora Donavelliego też ich nie ma. Bo ze złością na twarzy odwrócił się do Rae.

- Powinnaś być na górze i przeglądać karty Noli i Meredith, a nie tutaj tracić czas. Musisz się przygotować do obrony. Na wypadek, gdybyś

jeszcze nie wiedziała, Arnie ustalił twoje przesłuchanie za dwa tygodnie. Rae odsunęła krzesło dla Bo. Kiedy nie skorzystał, przechyliła się w swoim krześle i podniosła głowę.

- Posłuchaj, Bo. Przestańmy się kłócić przez chwilę. Spróbujmy razem dociec, czemu osiem pacjentek z Centrum Porodów wydało na świat dzieci z bardzo niską liczbą Apgar i to w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

- To niedorzeczne.

- I to wszystko twoje pacjentki, Bo. Tu się nie mylę.

- Rae, nie wciągniesz mnie w to - odparł. - I co Marco ma z tym wspólnego?

- To ja powinnam ciebie o to zapytać - rzekła chłodno. - Rano na zebraniu dowiedziałam się, że to ty przekonałeś Marco, jakie wspaniałe jest Centrum Porodów. Może zmienił zdanie? Może podejrzewa, że to ty spieprzyłeś całą sprawę i dlatego postanowił sprawdzić to osobiście? Bo schylił się i nim się zorientowała, zabrał jej karty pacjentek. Zerwała się z krzesła próbując je odebrać.

- Hej, przestańcie się zachowywać jak dzieci! - krzyknęła Yvonne. - Może skopiuję wam te karty i każdy dostanie swoje? Rae zawstydziła się za swoje zachowanie.

- Świetny pomysł, Yvonne. Będę ci wdzięczna, gdy włożysz je do mojej przegródki - odwróciła się do Bo. - Jeśli w tych kartach jest coś, co chciałbyś przede mną ukryć, to wierz mi, że odkryję to...

- Będziesz miała mnóstwo czasu, żeby je przejrzeć - odparł Bo. - A tak na marginesie, to nie próbuję niczego ukryć, Rae. Po prostu chronię cię przed próbą dokonania w nich jakichś zmian. Jak myślisz, po co tu przyszedłem? To, co zaproponowała Yvonne, jest dokładnie tym, o co chciałem ją

poprosić.

- Próbujesz mnie oskarżyć o dokonywanie zmian w kartach chorobowych pacjentów? - Rae mówiła to z niedowierzaniem w głosie.

111

- Nie ufam ci, Rae. Nie wtedy, kiedy w grę wchodzi twoja ambicja.!

Zaskoczona tym, co powiedział, wpatrywała się w jego plecy, gdy zabierał się z kartami w drugi koniec pokoju. Wściekła wyszła z archiwum. Minie trochę czasu, nim Bo przejrzy karty i odda je Yvonne do skopiowania.

Może to i lepiej, że tak wyszło. Była zbyt zdenerwowana, aby się teraz nad nimi skupić.

Chociaż nie wiedziała, dokąd ją może zaprowadzić lub też co jej da sprawdzenie tych kart, jednej rzeczy była pewna. Bo wiedział już, że ona coś podejrzewa. I wiedział, że skoro Marco wziął karty, też mógł coś podejrzewać. Ilu jeszcze narobi sobie wrogów, zanim to wszystko się skończy? Ich liczba rosła w zastraszającym tempie.

Obudziła się zrywając się z kanapy na równe nogi. Przez kilka sekund nie wiedziała, gdzie jest. Dopiero znajomy szum wentylatora uświadomił jej, że znajduje się w małym pokoju na oddziale. Swoimi wymiarami dwa na trzy metry bardziej przypominał szafę niż pokój i został pominięty, gdy przemeblowywano cały oddział. Przez ostatnią godzinę okazał się jednak dla niej ucieczką od rzeczywistości.

Włączyła światło, na podłodze leżała jej szara sukienka. Podniosła ją i szybko założyła. W małej umywalce przemyła twarz i spojrzała w lustro. Oczy wyglądały dobrze, pozostały tylko ciemniejsze otoczki pod nimi. Nie jest tak źle, powiedziała do siebie. Straszyć pacjentów chyba jeszcze nie będę.

Meredith siedziała wysoko na łóżku oparta o dużą białą poduszkę. Jak we wszystkich pokojach poporodowych, tak i tu za oknem rozciągał się widok na zatokę. Jasne ściany błyszcząły w promieniach popołudniowego słońca i podkreślały jeszcze zdrową cerę na uśmiechniętej twarzy Meredith.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedziała Rae, wchodząc do pokoju. Usiadła na krześle obok łóżka. Mała Cynthia owinięta w różowy kocyk z wielkim zapałem ssała pierś matki.

- Ależ skąd, dobrze trafiłaś - odezwała się Meredith, poprawiając koc wokół główki córki.

- Czy pierwsze dziecko też rodziłaś w Centrum? - zapytała Rae. Musiała uważać na słowa. Nie miała dowodu, że coś złego przydarzyło się Meredith w Centrum Porodów. Nie chciała też insynuować, że cokolwiek złego tam się wydarzyło.

- Na nieba, nie! Moje pierwsze dziecko urodziło się dziesięć lat temu, a wtedy jeszcze nie było Centrum.

- Dlaczego więc teraz wybrałaś Centrum, a nie Berkeley czy City Hospital?

112

- Byłaś tam? - odparła pytaniem Meredith. - Tam jest jak w domu. Mój pierwszy poród trwał dwie godziny. Wydawało mi się, że jestem doskonałym materiałem, aby właśnie tam rodzić. - Poklepała dziecko. - Nikt tylko nie przypuszczał, włącznie ze mną, że to maleństwo sprawi tyle kłopotu.

Rae wstrząsnęła się na myśl o obojczyku Cynthi.

- Czyli wszystko odbyło się bez żadnych kłopotów, w Centrum?

- Parłam dziś tak długo, jak przedtem trwał mój cały poród. - Pokręciła

głową, jakby jakieś nowe nieprzyjemne myśli zaprzętnęły jej umysł.

- Coś nie tak?

- Nie. Długo nad tym myślałam. Wydawało mi się, że rozważyłam wszystko, nim zdecydowałam się tam rodzić. I było naprawdę dobrze. Ci w karetce też byli tacy opiekuńczy, jeden zmienił mi nawet kroplówkę. Mówił, że powinnam być dobrze nawodniona, nim anestezjolog się mną zajmie.

Rae pochyliła się w swoim krześle.

- Zmienił ci kroplówkę w karetce?

- Oczywiście, byli tacy sympatyczni. Widać było, że dbają o pacjentki - Meredith poprawiła się na poduszce.

Rae próbowała sobie przypomnieć, czy na jej karcie widniała informacja o zmianie kroplówki w karetce. Niestety miała w tej chwili mętlik w głowie. Trzeba to sprawdzić. Ale doskonale pamiętała, jak pielęgniarze mówili, że Noli nie zmieniali kroplówki.

I pamiętała, że Nola wpadła w szal, kiedy zobaczyła Betty z nową kroplówką. Czy to się jakoś łączyło? Niby jak? Ani Jenny, ani Freda nie wspominały o zmianie kroplówki przez pielęgniarzy. Freda mówiła też, że sama podłączyła Noli kroplówkę w Centrum. Ale skąd pielęgniarki mogły wiedzieć, czy ci w karetce zmieniali kroplówkę?

- Jak długo miałaś parcie? - zapytała Rae.

- Za długo. Co najmniej dwie godziny. Następnym razem zafunduję sobie znieczulenie zewnątrzoponowe. - Ziewnęła szeroko.

Rae wstała z krzesła i poprawiła jej poduszkę. Wystarczy już pytań na dzisiejsze popołudnie.

- Gdzie masz aparat?

- Tam, w małej szufladzie.

Rae podała go Meredith, a potem podniosła małą Cynthię i przytuliła do siebie. Poczowała cudowne ciepło rozlewające się po jej ciele. Trzymała już w ten sposób wiele noworodków, ale nigdy jeszcze swojego. Ciekawa była, czy czułaby coś innego? Czy czułaby też to rozplywające się w sercu ciepło

113

na widok anielskiej twarzyczki, która wpatrywałaby się w nią z taką ciekawością jak ta?

- Jeżeli będę mieć kiedyś dziecko, to mam nadzieję, że będzie tak śliczne jak ty. - Podniosła ją do góry i przez chwilę ważyła w rękach. - Ale może nie tak duże jak ty.

Meredith uśmiechnęła się i zrobiła zdjęcie. Odłożyła aparat na stolik, a Rae oddała jej małą Cynthię.

- Wierzę, że odkryjesz, co się przydarzyło, gdy zabrali mnie z Centrum. Rae spojrzała na nią zaskoczona. Sądziła, że nie dała tego odczuć.

- Rae, wiem, o czym myślisz - dodała Meredith. - Boja też się nad tym samym zastanawiam. Ale opieka w Centrum naprawdę była znakomita. W karetce również. Wszystko wydaje się idealne! Siedząc tak teraz winie siebie za wszystko. Gdybym nie upierała się przy naturalnym porodzie... Bo w głębi serca czułam, że Cynthia jest za duża na taki poród.

- Meredith, ja nie chciałam sugerować, że...

- Doktor Michaels też sugerował, że byłoby lepiej, gdybym rodziła w szpitalu, ale jakoś go przekonałam - powiedziała z żalem. - Problem w tym, że pielęgniarki z porodówki zbyt dużo wiedzą o porodach i potrafią przekonać nawet lekarzy.

Tym razem to chyba nie było tak, pomyślała Rae.

Podziękowała Meredith i kazała jej odpoczywać.

- Następnym razem będę rodzić tutaj - usłyszała od niej.

- Miło nam będzie - odpowiedziała z uśmiechem Rae.

Wychodząc z pokoju myślała, czy w Berkeley Hills będzie jeszcze oddział porodowy, kiedy Meredith urodzi kolejne dziecko.

Idąc do Noli Payne, Rae podjęła dwie decyzje. Po pierwsze, musi wyciągnąć od tych pielęgniarki wszystko o kroplówce, a po drugie postanowiła sobie, że oddział porodowy w Berkeley Hills będzie i przyjmie Meredith, jeśli kiedyś będzie znowu rodzić. Nie wiedziała jeszcze, jak tego dokona, ale musi tak być.

Pokój Noli był na końcu korytarza, Rae zajrzała do środka i zobaczyła puste łóżko.

- Jest w sali noworodków.

Rae odwróciła się i zobaczyła uśmiechniętą twarz Marcie Bland.

- Ale przecież ona jest po operacji - powiedziała Rae, dalej rozglądając się do pokoju.

- Proszę jej to wytłumaczyć - odparła Marcie. - Proszę cokolwiek jej wytłumaczyć.

114

W sali noworodków Rae znalazła Nolę siedzącą na krześle. Wyglądała, jakby była w transie. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w inkubator, gdzie leżał jej syn.

Rae pochyliła się nad Jessicą, która przeglądała dane w komputerze.

- A jak z nim?

Jessica zmarszczyła twarz. - Mamy niesamowite kłopoty, aby utrzymać

oddychanie.

Rae pokręciła smutno głową. Nie była to wiadomość, jaką chciała usłyszeć. Jeżeli u zaintubowanego noworodka są kłopoty z wypełnieniem płuc tlenem, to sytuacja była naprawdę poważna.

- A ona jak to odbiera? - zapytała, podbródkiem wskazując na siedzącą nieruchomo Nolę.

- Ona? Myśli, że jest Matką Boską.

Rae podeszła do Noli. Ta jakby nie zauważała jej, nikogo innego także. Poza swoim dzieckiem. Jego funkcje życiowe w dalszym ciągu monitorowane były na ekranach. Z ust wystawała mu rurka inhalacyjna, a ręce i nogi przypięte były taśmą do materaca. Obok niego leżał też plastikowy krzyżyk Noli.

- Na pewno mu się podoba - odezwała się cicho Rae.

Nola milczała. Nawet nie zerknęła na Rae.

Rae przysunęła krzesło obok niej. Nie wiedziała, jak wypytać ją o opiekę w Centrum. Ale musiała spróbować. Tylko jak się rozmawia z „Matką Boską”...?

- Panno Payne - zaczęła cichym i ciepłym głosem - chcę pomóc pani i dziecku, ale muszę wiedzieć, co się wydarzyło dziś rano. Nola pozostała niewzruszona. Nie mrugnęła okiem.

- Nie odezwała się ani słowem od momentu, jak tu weszła - wtrąciła się Jessica.

Rae wyprostowała się w krześle. Musiała sprawić, aby Nola zaczęła mówić.

- Nola, jestem doktor Rae - spróbowała ponownie - pamięta pani? To ja robiłam operację...

Znowu czekała. I czuła się coraz bardziej bezsilna. Nola mogła wiedzieć, co stało się jej dziecku, i jeżeli nie nakłoni jej do mówienia, może to wyglądać, jakby to ona próbowała rozdmuchać mało ważną sprawę. Ale Nola najwyraźniej nie chciała mówić. Wstała i zaczęła chodzić wokół krzesła, a potem nagle stanęła skupiona.

- Hillstar - cicho wyszeptała. - Superstar. Rae odwróciła się i położyła jej rękę na ramieniu.

115

- Hillstar to firma, do której należą karetki - powiedziała nachylając się nad Nolą.

- Hillstar. Superstar. Hillstar. Superstar - mamrotała Nola. Jej twarz pozostawała całkowicie bez wyrazu.

- Co z tym Hillstar? Coś się stało w karetce Hillstar? Pani Payne, czy zmieniali pani kroplówkę w karetce?

- Słona woda. Dobra dla dziecka.

Rae czuła się całkowicie zbита z tropu. Wiedziała, że Nola próbuje jej coś powiedzieć, ale co?

- A w sali poporodowej krzyczała pani, że coś ją boli, tak?

- Słona woda. Dobra dla dziecka. Słona woda. Dobra dla dziecka. Rae rozejrzała się po pokoju. Jessica i inne pielęgniarki zajęte były przy noworodkach.

- Dlaczego pani tak się przestraszyła, kiedy Betty zmieniała kroplówkę na sali poporodowej? Czy pielęgniarze też zmieniali kroplówkę? Czy coś powiedzieli? Co się tam stało...? Nie wiem, jak ci pomóc, ani dziecku. Proszę...

Nola odwróciła głowę i spojrzała na nią pustym wzrokiem.

- Jezus, moje dziecko.

- Tak, twoje dziecko Jezus - odrzekła Rae. Jej myśli nabierały coraz większego rozpędu. - Dziecko Jezus chce, abyś mi opowiedziała, co się stało.

- Dziecko Jezus nie może jeszcze mówić - odpowiedziała Nola i znowu zapatrzyła się w inkubator.

Rae ciężko opadła na krzesło. Powiedziała nie to co trzeba i Nola przestała mówić. Podniosła się, będzie musiała rozwiązać tę zagadkę bez jej pomocy. Ale jak? Spojrzała na wózek wypełniony pojemnikami do kroplówek, były dużo mniejsze od tych, jakie dostawała Nola. Wzięła jeden. Wróciła do nieruchomo siedzącej Noli i podstawiła jej go pod twarz.

Nola mrugnęła raz i drugi i nagle zerwała się z krzesła. Złapała pojemnik i odrzuciła go daleko. Jej oczy wypełniało przerażenie. Pochyliła się nad inkubatorem i z rozkrzyżowanymi rękoma starała się go zakryć.

- Słona woda! Dobra dla dziecka! Hillstar! Hillstar! Hillstar!

- A co cię bolało? - pytała zaskoczona reakcją Noli Rae.

- Słona woda! Słona woda!

- Dlaczego cię bolało? Nola, dlaczego cię bolało?

- Pani doktor, co pani jej robi - krzyknęła Jessica.

- Do cholery, Nola! Powiedz mi, dlaczego cię bolało? Rae nie mogła się opanować; chciała jej pomóc, ale zamiast tego trzęsła nią, jakby chciała wyrzucić z niej te głupie gadki. Ale Nola była sobą,

116

szalona w tym momencie okazywała się Rae. Pielęgniarki ciasno otoczyły Nolę i nie pozwoliły Rae zbliżyć się do niej.

Widziała zaskoczenie malujące się na ich twarzach. Czekwały na jakieś wyjaśnienie.

- Chciałam tylko... - zaczęła.

Jessica przerwała jej ruchem ręki i zaraz objęła też ramieniem Nolę.

- Pani doktor, nie wiem, co się z panią dzieje i po co to przesłuchanie, i nie chcę tego wiedzieć. Ale sądzę, że musi się pani wziąć w garść, cokolwiek panią gryzie.

- Naprawdę, doktor Duprey. Lepiej, jak pani stąd pójdzie. Denerwuje pani pannę Payne, a ona i tak ma dosyć kłopotów.

Reszta pielęgniarek przyglądała się Rae z zaciekawieniem. Gdyby próbowała się teraz tłumaczyć, mogłoby to odnieść zupełnie odwrotny skutek. Zresztą miały rację - jak na jeden dzień zrobiła już dosyć krzywdy Noli i nadszarpnęła swoją reputację.

- Masz zupełną rację, Jessica - odparła cicho. - Przepraszam was, wszystkie, i już sobie idę.

Wychodząc z sali czuła na plecach wzrok pielęgniarek. Jej zachowanie było co najmniej nieodpowiednie, ale wiedziała już, że Nola panicznie boi się kroplówki. I nie chodziło tu o słoną wodę, tego była pewna.

Po wyjechaniu ze szpitalnego garażu, przycisnęła gaz w swoim czarnym porsche 911 i ruszyła niemal już pustą o tej porze Marin Avenue.

Dochodziła siódma, a Sam miał przyjść za piętnaście ósma. Słońce schowało się za horyzontem, a niebo wypełniała gra pomarańczowo-czerwonych kolorów. Na ciemnych wodach zatoki nie było ani jednej fali z białą grzywą.

Rae nie udzielił się ten spokój. Nawet ciepły głos Luthera Yandrossa dochodzący z radia nie ukoił jej ani na moment. Tylko pełne znieczulenie

byłoby w stanie zatrzymać jej szalejące myśli.

Co pięćdziesiąt metrów mijala mniejsze uliczki krzyżujące się z Marin Avenue. Kolejne dwadzieścia metrów pod górę i ostro w dół, i znów do góry, jak na krzywym rollercoasterze w lunaparku, w górę i w dół.

Dojechała do ronda, przy którym spotykało się osiem ulic, wyglądało ono jak

117

olbrzymie koło ze szprychami. Pośrodku ronda stała marmurowa piętnastometrowa fontanna, woda wypływała z pysków czterech niedźwiedzi stojących wokół marmurowej płyty. Miała z osiemdziesiąt na liczniku, gdy wjechała na rondo. Jakiś żółty cętkowany volkswagen zaczął na nią trąbić, ale kazała mu się odpieprzyć.

Nikt jej teraz nie zatrzyma, spieszyła się do domu. Przebrać się i czekać na Sama. Liczyła, że na przyjęciu przeciągnie kilku kardiologów na swoją stronę, aby poparli jej oddział, a ona poprze ich program kardiochirurgii. Gdyby tylko przekonała ich, że ostatnią rzeczą, jaką mogą prowadzić, to wojna pomiędzy lekarzami.

Marin Avenue łączyła się z 1-80. W miejscu gdzie dwie ulice stawały się jedną, jak zwykle wcisnęła mocniej pedał gazu. Dla niej 80 w nazwie ulicy znaczyło, iż taką właśnie szybkością trzeba tu jechać. W dwie minuty dotarła do Ashby Avenue, w ciągu następnej zaparkowała auto w podziemnym parkingu jej trzydziestopiętrowego budynku.

- Witam panią doktor - zawołał Mac, portier, którego same nogi były tak długie, jak cała wysokość Rae. - Ile nowych obywateli wyciągnęła pani dziś na świat?

- Dziesięciu - odparła. Chociaż tak naprawdę to tylko dwóch. - Mac,

spodziewam się doktora Sama Hartmana za piętnaście ósma. Zadzwoń do mnie, jak tylko się zjawi, dobrze?

- No no, mężczyzna u pani?

- Nie podniecaj się, to sprawy czysto służbowe - rzuciła przez ramię, ruszając w stronę windy na końcu wyłożonego marmurem foyer.

Jej mieszkanie znajdowało się na końcu wyłożonego grubym dywanem korytarza na ostatnim piętrze. Wyciągając klucze z torebki słyszała, jak z drugiej strony Leopold wachał drzwi.

Te naprzeciwno otworzyły się w tym momencie i stanął w nich ubrany jak zwykle w czarne spodnie, śnieżnobiałą koszulę i czarną muszkę, Harvey Polk, jej nauczyciel gry na skrzypcach. W ręku trzymał lampkę koniaku.

- Nareszcie w domu? - zapytał ciepłym i cichym głosem, przyglądając się jej z czułością.

- Nie tak do końca - odparła. - Wygląda na to, że jutrzejszą lekcję też będę musiała opuścić.

Harvey wypił maleńki łyk koniaku. Rae doskonale wiedziała, że on chyba bardziej czeka na te lekcje niż ona.

- Leopold będzie bardzo niezadowolony.

,- Tylko niech go pan nie nauczy więcej ode mnie - zażartowała i życzyła mu spokojnej nocy.

118

Bardzo czekała na każdy taki dzień, kiedy mogła usiąść w fotelu naprzeciw jego wielkiego okna i słuchać, jak opowiada o sekretach gry na skrzypcach.

Otworzyła drzwi do swojego mieszkania. Pierwszym, który ją przywitał radosnym skakaniem i szczekaniem, był oczywiście Leopold, kolejnym -

zapierający dech w piersiach widok niemal całego San Francisco. Daleko aż po horyzont błyszczało jak rozrzucone na słońcu diamenty. Miasto budziło się do nocnego życia, natomiast ona czuła, iż mogłaby spać przez wieki. Miała jednak nadzieję, że to się wkrótce zmieni. Poklepała łaszącego się Leopolda i włączyła stojącą na małym prostokątnym stoliku porcelanową lampę. Obok leżał otwarty miesięcznik „Amerykańskie Położnictwo i Ginekologia” i stała oprawiona w ciemną ramkę fotografia jej i Leopolda na tle przystani jachtów Emeryville Marina.

- Jak ci minął dzień? Fajnie było na spacerku? - odezwała się do psa tarmosząc go.

Spojrzała przez okno na połyskujące w zatoce światła wielkiego miasta. Stojąc tak przed oknem zawsze miała to samo uczucie, że wieczorem i nocą przychodzi największa samotność. Kryje się w ciszy nocy, niezauważalna i ogarniająca smutkiem.

Westchnęła głęboko i przemierzyła drewnianą podłogę salonu w drodze do gabinetu. Pierwotnie ten jej gabinet był ogromną sypialnią ze ścianami wyłożonymi mahoniową boazerią. W ciągu dnia wpadające przez dwa narożne okna słońce oświetlało go i dodawało przyjemnego ciepła, wieczorem wydawał się ciemny i ponury. Lecz było to jej sanktuarium, miejsce, gdzie odkrywała swoje najskrytsze myśli i obawy. Jak teraz - o jej oddział i noworodki, które dziś przyszły na świat.

Z regału zapchanego książkami wyjęła oprawioną w skórę książkę angielskiego autora o położnictwie, wydaną prawie trzydzieści lat temu. Chociaż miała najnowsze edycje dotyczące położnictwa i ginekologii, ta była jej ulubioną. A to za sprawą wielkiej umiejętności autora dowiadywania się o przyczynach i skutkach choroby od samych

pacjentów. Wiele diagnoz, według Rae, dałoby się postawić słuchając samych pacjentów. Jak nowoczesna nauka może być tak uzależniona od badań i dziwnych testów przeprowadzanych na pacjentach, nim ktokolwiek zapyta samego pacjenta, co się tak naprawdę stało!

Spojrzała na zegarek na biurku. Dziesięć po siódmej. Spieszyła się, ale musiała sprawdzić w książce, czy czegoś nie przeoczyła. Szybko przekartkowała ją i zatrzymała się na rozdziale „Dystocja barkowa”.

Główka dziecka Meredith wyszła z pochwy, co spowodowało wciągnięcie pępowiny do szyjki macicy i zaciśnięcie się jej wokół szyi noworodka, zanim Sylvia zo-

119

rientowała się, że nie można wyjąć ramion. Oparła się o półkę z książkami i czytała, jak duże jest prawdopodobieństwo wystąpienia podobnej sytuacji.

Obok niej stał Leopold cierpliwie czekając, aż skończy.

- Przypadek wystąpienia dystocji barkowej podczas porodu, wśród noworodków ważących poniżej czterech kilogramów... Leopold - przerwała - ...jest równy 0,16 procenta. Lecz dla niemowląt ważących ponad 4 kg zwiększa się do blisko 2 procent...

Przypomniała sobie, jak trzymała Cynthię w rękach.

- Ona musi ważyć więcej niż cztery kilogramy - orzekła na głos.

Z otwartą książką przeszła po dywanie i usiadła w wysokim fotelu przy oknie. Za oknem, most nad zatoką wyglądał jak błyszczący naszyjnik.

Włączyła stojącą obok lampę.

- Dla kobiet, u których parcie przekracza dwie godziny - czytała głośno dalej - i które w końcu urodziły dziecko kleszczowo, przypadek

wystąpienia dystocji barkowej może dojść do 4,5 procenta.

Leopold merdał ogonem.

- Nie, Meredith nie miała porodu kleszczowego ani próżniowego. Urodziła przecież sama - upewniła się głośno. Potrząsnęła głową i przeczesła ręką włosy.

- No chodź już, Leopold - zawołała.

Okna jej sypialni skierowane były na zachód. Rozbierając się, obserwowała zawijający do przystani jacht. Skąd ludzie biorą czas na takie przyjemności? - pomyślała ze smutkiem.

Z reguły, po rozebraniu się, wieszala swoje ubrania. Lubiła porządek i ład, nadawało to sens codziennemu życiu. Porządek sprawiał, że wszystko odbywało się szybciej i łatwiej. Teraz jednak zostawiła sukienkę na łóżku, nie powiesiła jej. Wolno zdjęła rajstopy, przez kilka sekund masowała zmęczone stopy. Spojrzała na pokój, mieszkała tu już blisko dziesięć lat. Wzrok zatrzymał się na starej lampie w rogu i oprawionej w złotą ramkę czarno-białej fotografii.

Zdjęcie przedstawiało dwie osoby i było już lekko wyblakłe i nieostre. Ale potrafiła na nim rozróżnić każdy najdrobniejszy szczegół. Była tam matka siedząca przy pianinie, ze spuszczonej w dół oczami i lekkim uśmiechem na twarzy. Jej normalnie szczupła i pociągła twarz była na zdjęciu pełna, jakby opuchnięta. Rodzina uważała, że jest to normalne u kobiety w ciąży, ale teraz Rae wiedziała, iż była to oznaka stanu przedrzucawkowego występującego u kobiet ciężarnych z nadciśnieniem. Lekarz opiekujący się matką, jak się później dowiedziała Rae, ostrzegał, aby już więcej nie zachodziła w ciążę. Ryzyko związane z

ciśnieniem krwi było zbyt duże, lecz ojciec ciągle wtedy powtarzał „Co ci lekarze wiedzą...”

A wiedzą i to bardzo dużo, pomyślała teraz.

Drugą osobą na zdjęciu była trzynastoletnia Rae, z poważną twarzą i wzrokiem utkwionym w palce trzymające szyjkę skrzypiec. Rae była dumna z tego, że matka była jej pierwszą nauczycielką. Tylko podczas lekcji gry miała matkę całkowicie dla siebie, w innych przypadkach musiała walczyć o nią z piątką swoich starszych sióstr. Westchnęła zerkając na stojący obok zdjęcia zegarek. Siódma szesnaście. Obok lampy stało pudło ze skrzypcami, dotknęła go jak kochanka i naga ruszyła do łazienki.

Umyła się szybko pod prysznicem. Gorąca woda rozluźniła i masowała zmęczone mięśnie. Wydarzenia całego dnia mocno ją wyczerpały. Nagły przypadek cesarskiego cięcia, dystocja barkowa, kwestia kroplówek, brakujące karty chorobowe. I do tego niedorzeczne oskarżenie Bo, że chciała zabić jedno dziecko, a okaleczyć drugie.

Dlaczego się tym wszystkim tak przejmowała? Dlaczego nie była tak spokojna jak leżący właśnie Leopold, którego czarną sylwetkę ledwie widziała przez matową i zaparowaną szybę kabiny. To snu najbardziej w tej chwili potrzebowała. Z kardiologami mogła porozmawiać kiedy indziej. Uniosła twarz i z zamkniętymi oczami podstawiła ją pod deszcz prysznic. Tylko że jej pacjentki były teraz w niebezpieczeństwie i musiała się tym zająć.

Leopold szczechnął, kiedy wróciła do sypialni.

- Leopold, coś ci powiem - rzekła, nacierając się ręcznikiem. - Myślisz, że zwariowałam? Coś się stało tym dzieciakom. Jeszcze nie wiem co, ale

będę wiedzieć. - Leopold przyglądał się jej swymi dużymi brązowymi oczyma. - Rozumiesz mnie, prawda? - W tym momencie zadzwonił telefon.

To Bernie chciała się dowiedzieć, co Rae zamierza założyć na przyjęcie.

- Nie wiem jeszcze, właśnie przeglądam szafę.

- Załóż coś naprawdę seksownego.

- Daj spokój, Sam jeszcze coś sobie pomyśli i...

- Za późno, moja droga, widziałam jego niebieskie rozanielone oczy, jak przeszywały twój fartuch na sali operacyjnej.

- Bernie, naprawdę idę tam dla sprawy.

- Może ta z głęboko wyciętymi plecami? - nalegała Bernie. - Taka sukienka rozwiąże mnóstwo języków. Wiesz, co mam na myśli?

Rae czuła się zbyt zmęczona, by przekomarzać się z nią. Bernie wiedziała swoje.

121

- Byłam dzisiaj w archiwum - rzekła. Udało się jej jakoś skupić Bernie na historii o dziwnym zajściu z Bo i brakujących kartach. - Kto wie, gdzie one są? Bo to mocno zdenerwowało. Jutro z samego rana będę tam z powrotem. Żeby czasem te cztery karty, które dzisiaj wyjęła dla mnie Yvonne, też nie zniknęły.

- Zostaw to mnie, kochanie. Wdepnę tam przed nocnym dyżurem. Mów lepiej, co włożysz na siebie?

- Bernie, już tak dawno nie wychodziłam. Chyba trochę za zimno, aby iść z odkrytymi plecami, nie sądzisz?

- Ale to najlepsza sukienka na takie spotkanie.

- No dobrze, niech ci będzie. Założę ją, a ty sprawdzisz te karty

chorobowe. I zadzwoń, jak się czegoś dowiesz.

Odłożyła słuchawkę. Co ja bym zrobiła bez Bernie? - pomyślała.

Sukienka, którą jednak wybrała, uszyta była z czarnego aksamitu z cienkimi ramiączkami i głęboko wyciętymi plecami. Nie tak głęboko, jak ta, o której mówiła Bernie, ale wystarczająco, aby zwrócić uwagę.

Pokazała ją Leopoldowi.

- Ta jest całkiem bezpieczna, nie sądzisz? - Zaszczekał dwa razy swoim grubym tubalnym głosem. - Naprawdę? Co ty możesz o tym wiedzieć?

Kiedy ostatnio byłeś na randce?

Nim mógł odpowiedzieć, zadzwonił znowu telefon.

To był Sam. I wiedziała, skąd dzwoni. Wyraźnie słyszała ciche, intensywne pikanie monitora EKG.

- Wiem, że to robi niezbyt dobre wrażenie... - zaczął nieśmiało.

Rae szybko spojrzała na zegarek. Dwie po wpół do ósmej. Cholera, pomyślała. Niech mi tylko nie mówi, że nie będzie mógł przyjść!

Wtedy sobie przypomniała. Widziała go przecież po południu, jak spieszył na operację z pacjentem z intensywnej terapii. Operacje serca zajmują przeciętnie trzy do czterech godzin, a czasami nawet sześć do ośmiu. Co znaczyło, że nie siedziałby w tej kawiarence z pielęgniarkami. Bo jeżeli jednak był przy operacji, to jakim cudem widziała go tam?

- Jedyne, na którym musisz robić dobre wrażenie, to twój aktualny pacjent!

- Wysiła się na śmiech.

- Mam nadzieję, że to się uda - odparł. - To osiemdziesięciodwuletni profesor. Ledwo żywy, kiedy go tu dostarczyli. Nie wiadomo skąd miał zakażoną zastawkę dwudzielną, niezwykle cienkie naczynia wieńcowe, a frakcję wyrzutową mniejszą od 20 procent. Kiedy podłączaliśmy go do

maszyny, ciśnienie mu gwałtownie spadło, teraz trzymamy go pod balonem. Za chwilę spróbujemy jeszcze raz i przy odrobinie szczęścia zdążę

122

na główne danie. Lecz jeżeli się nic nie zmieni, mogę tu siedzieć przez całą noc.

Całą noc? - zaniepokoiła się Rae. Potrzebowała go, musiała z nim porozmawiać. Kto by się przejmował zakażoną zastawką czy też frakcją wyrzutową mniejszą niż 20 procent, kiedy ona miała dwoje dzieci do uratowania...

- Będę trzymać dla ciebie miejsce - powiedziała siląc się na spokój - przy swoim.

Sam zaśmiał się. - Mam nadzieję, że nie będę tu jednak zbyt długo. Do zobaczenia.

- Sam, zaczekaj...

- Tak?

- Wiem, że to nie mój interes, ale widziałam cię po południu w kawiarence, jak rozmawiałeś z pielęgniarkami. Masz może brata bliźniaka? To znaczy, jak mogłeś być w dwóch miejscach naraz? - Przez kilka sekund w słuchawce panowała cisza. - Sam, jesteś tam?

- Dlaczego pytasz. Rae?

Dlatego, że ci po prostu nie wierzę - pomyślała.

- Ot, tak tylko - powiedziała głośno. Znowu zamilkł, słychać było tylko jego oddech.

- Trochę się poprzestawiało w czasie z tą operacją. Też się wściekałem i czekając na wyniki poszedłem na kawę. Skoro mnie widziałaś, trzeba było

podejść. Spędziłbym czas w towarzystwie kogoś miłego.

Brzmi to szczerze - pomyślała Rae - ale równie szczerze i wesoło spędzał czas z tymi pielęgniarzami.

- Spieszyłam się i dlatego nie mogłam podejść. - Odczekała, nim zapytała jeszcze: - A tak dla babskiej ciekawości, o czym tak rozprawiałeś z tymi z karetki?

- No, teraz mnie masz - zaśmiał się Sam. - Pytałem ich, jak do ciebie dojechać. Pomyślałem, że jeżdżąc po okolicy najlepiej będą wiedzieli.

- Ale oni jeżdżą tylko po Berkeley, a ja mieszkam na Emeryville.

- Powiedzieli mi dokładnie to samo.

- Mogłeś zadzwonić do portiera, aby ci wyjaśnił, albo do mnie.

- Naprawdę, ty masz tam portiera? No no... Dobrze, Rae, trzymaj dla mnie to miejsce.

Usłyszała klik odkładanej słuchawki.

Co tak naprawdę o nim wiedziała? Zawahał się, kiedy spytała o tych pielęgniarzy. Wyrażał się niejasno o opóźnieniu i kłopotach w operacji. Na ile pamiętała tego pacjenta, nie powinni opóźniać tej operacji. Chwyciła czarną kaszmirową pelerynkę, zarzuciła ją na ramiona i gasząc światło

123

w pokoju ruszyła do drzwi. Na przyszłość niech Sam Hartman wymyśli jakieś lepsze wytłumaczenie. Na razie znalazł się na jej rosnącej liście osób podejrzanych.

Rae wjechała swoim porsche na wykładany czerwoną cegłą podjazd. Dom Marco usytuowany był niemal na samej górze Piedmont Hills, około dwudziestu kilometrów od szpitala.

Zastanawiała się, ilu będzie tu dziś kardiologów. Była zdecydowana

rozmawiać z każdym z nich.

- Dobry wieczór - powitał ją portier, przytrzymując drzwi.

- Zobaczymy, czy będzie taki dobry - odparła z uśmiechem, podając mu kluczyki.

Przyglądał się jej przez chwilę i w końcu rzekł: - To pani odbierała poród u mojej siostry. Gladys Tilley, dwa lata temu. Pamięta pani?

Rae skojarzyła szybko. Ścisnęła wyciągniętą w jej kierunku dłoń.

- Jak się ma Elvis?

- No cóż, starzeje się. Ma dwa lata i tego już mu nikt nie cofnie.

Rae zaśmiała się i szybko ruszyła po kamiennych schodkach do dużych drewnianych drzwi. Pokojówka odebrała od niej pelerynkę i poprowadziła do salonu.

Olbrzymiego, z wielkimi tapicerowanymi meblami. Na jednej ze ścian był bogato rzeźbiony kominek, a na nim zauważyła dużo oprawionych zdjęć Marco z żoną i dziećmi. W rogu stał masywnych rozmiarów czarny fortepian. Duże francuskie okno z drzwiami na werandę odkrywało piękno zatoki.

- No proszę, już jest! - zawołał wesoło Marco podchodząc do niej z kieliszkiem szampana. - Możemy więc zaczynać! - Ubrany w czarny smoking, pochylił się nad nią i pocałował w policzek. - Wyglądasz czarująco - szepnął jej do ucha. - A pachniesz tak, że tylko...

- Nie szalej - powiedziała nastawiając policzek. Zdążyła też rozejrzeć się po salonie i sprawdzić, kim są goście. Wszystkich było około dwudziestu, głównie kardiologów i ich żony, ale i dwoje kardiochirurgów. Świetnie, pomyślała. W ciągu dwóch-trzech godzin da radę porozmawiać z każdym.

- Proszę, to dla ciebie - Marco podał jej kieliszek.
 - Powali mnie to na twarz - powiedziała kręcąc głową. - Gdzie jest Marcella?
 - Jakies dziesięć minut temu wyrzuciła mnie z kuchni - odparł z uśmiechem. - Czy Sam cię złapał?
 - Tak. Liczy, że zdąży na deser.
 - Och, teraz tak się to nazywa?
 - Daj spokój Marco, chciał mnie tylko podwieźć tutaj. Marco wysoko podniósł brwi.
 - Wiem, że ty byś tego nie przepuścił - dodała wyciągając rękę po kieliszek.
 - Taittinger z osiemdziesiątego szóstego - oznajmił dumnie. Musiała przyznać, że szampan był wyśmienity. Tuż obok wyrósł niski mężczyzna z kozią bródką.
 - Cóż to za egzotyczna osóbka? - zapytał.
 - Peter, ty skurczybyku! - wykrzyknął Marco. - Lepiej pozwól mi operować pana Calena, albo pozostanie mu kostnica.
- Tamten zaśmiał się, ale Rae widziała, że jego oczy pozostawały poważne.
- Rae Duprey - wyciągnęła do niego dłoń.
 - Doktor Rae Duprey - podkreślił Marco. - Zastępca ordynatora naszego oddziału ginekologiczno-położniczego.
 - Wspaniale. Peter Horn, ordynator kardiologii. Słyszałem już wcześniej pani imię, ale to RAY mnie zwiodło i byłem przekonany, że zastępca ordynatora to mężczyzna.
 - Ona ma jaja, jeżeli to masz na myśli - wtrącił się Marco.
 - Bardzo ci dziękuję - rzekła Rae. - Jestem pewna, że mogę powiedzieć to

samo o tobie.

- No nie - skrzywił się Horn. Podoba mi się pani, doktor Duprey.

- Peter, jesteś żonaty - przypomniał mu Marco.

- Hm, to żadna przeszkoda. - Jego oczy wlepione były w nią. - Zgodzi się pani ze mną, prawda?

Rae też wpatrzyła się w jego oczy. Miała dwie drogi: powiedzieć, żeby się odczepił... albo namówić go do przejścia na jej stronę. Uznała, że spróbuje tego drugiego.

Marco przeprosił i odszedł, a Rae pozwoliła sobie na krótką pogawędkę o niczym, podjadając kanapki z kawiozem ze srebrnej tacy. Cały czas uśmiechała się do Horna i popijała szampana.

- Pani jest mężatką, doktor Duprey?

- To żadna przeszkoda - zaśmiała się Rae.

125

Czy to znaczy tak, czy nie? - pytał Peter, nie spuszczać z niej oczu.

- Och, wystarczy już o mnie - odparła. Miała to, co chciała: zawładnęła całą jego uwagą. - Lepiej skupmy się na panu. Jako szefie kardiologii. Czy nie sądzi pan, że w naszym szpitalu jest wystarczająco miejsca dla nas dwojga? To znaczy, kardiologii i porodówki?

- Oczywiście, że tak. Tak jak w sypialnianym łóżu, mówiąc ogólnie.

- Mówiąc ogólnie - powtórzyła Rae.

Peter zbliżył się o krok. Czuła na twarzy jego przesiąknięty już alkoholem oddech. Cofnęła się lekko. Może pozwoliła sobie za dużo w stosunku do niego. Zdecydowała, że Peter Horn może być dla niej bardziej kłopotliwy niż pomocny.

- A może pogadamy przy jakimś drinku po tej kolacji? - Przysunął się jeszcze bliżej.

- Tu już mogłaby wystąpić przeszkoda - uśmiechnęła się.

Dalszą rozmowę przerwał im dźwięk znajomego głosu dochodzący z foyer. Ubrany w elegancki czarny smoking stał tam Bo Michaels, zapatrzony na nią i Petera Horna. Kiedy oddał płaszcz pokojówce, ruszył prosto do nich.

- Witaj, Bo - odezwał się pierwszy Peter.

- Nie wiedziałem, że się znacie - odezwał się Bo.

- Spokojnie, ja dopiero próbuję ją poderwać - odezwał się Peter. - Czekaaj, zanim zapomnę, mamy jutro pole o ósmej. Damien powiedział, że przyjdzie.

- A kto będzie czwarty? - zapytał Bo. Chociaż pytanie było skierowane do Petera, patrzył na Rae, jakby oczekiwał, że to właśnie ona będzie tą czwartą.

- Ładny smoking - odezwała się, nie chcąc wprowadzać złej atmosfery. Czowała się zawiedzona. Gdyby wiedziała, że Peter jest kompanem Bo przy grze w golfa, nie traciłaby czasu na rozmowę z nim. Czowała się wystrychnięta na dudka, takie zagrywki nie były w jej stylu.

- Arnie Driver - odpowiedział na pytanie Peter. - Czy pani wie, jak się gra w golfa, doktor Duprey?

- Od kiedy znajomość gry w golfa jest potrzebna przy samej grze? - zapytała niewinnie.

- Podano do stołu - zaanonsował głośno Marco. Ubrany w kucharski fartuch i kucharską czapkę.

Rae nie mogła się powstrzymać od szczerego uśmiechu na ten widok. I

zadowolona była, że wybawił ją z tej kłopotliwej sytuacji.

- Idziemy, panowie? - zapytała.

126

Ruszyła przed nimi do jadalni. Przygotuj się Rae, pomyślała. Pamiętaj, że takie rzeczy jak darmowy obiad już nie istnieją.

W jadalni, olbrzymi szklany stół, który z łatwością mógł pomieścić trzydzieści osób, zastawiony był chińską porcelaną, kryształami i srebrem. Pośrodku stała duża waza wypełniona kiściami ciemnych winogron - delikatne skórki błyszcząły i mieniły się pod wpływem światła z wiszącego nad nimi złotego żyrandola. Światło z żyrandola odbijało się w oprawionym w złotą ramę dużym lustrze i rozpraszało po jadalni delikatne błyski. Wyglądało to wszystko jak wyszukany wystrój rodem z Hollywood. O co zapewne Marco chodziło, uznała Rae.

Kartka z imieniem Rae leżała przy zastawie z Wedgewood, mniej więcej pośrodku długości stołu. Marco zdjął już fartuch i czapkę i zajął miejsce na szczycie stołu. Bo usiadł prawie naprzeciwko niej, obok Petera. Krzesło z jej prawej strony zajął kardiolog David Parks. Słyszała, że w wolnych chwilach pisze wiersze. To jej wystarczyło; ciekawsze było to, czego zdążyła się już dowiedzieć o Peterze Hornie. Jego żona, jak sam mówił, oczekuje rozwiązania za dwa miesiące i została dzisiaj w domu z ich dwuletnim dzieckiem.

Przy stole zasiadły też żony kilku zaproszonych kardiologów. Ubrane w eleganckie suknie wieczorowe i obwieszane biżuterią, która była w pewien sposób wykładnikiem zarobków ich mężów. Niewiele się odzywały. Z jej lewej strony krzesło było puste. Na kartce leżącej obok zastawy podano: Sam Hartman. Tak samo puste było krzesło naprzeciw miejsca Sama.

Pokojówki rozniosły przystawki z pociętych w płatki pomidorów, bazylii i, zaprawionego delikatnym olejem z oliwek, sera mozzarella. Przez chwilę Rae rozmawiała z siedzącym obok Davidem. Jednak głos Petera stawał się coraz donioślejszy i zagłuszał ciche rozmowy. W pewnym momencie umilkł, co było według Rae oznaką czwartego już kieliszka dosyć mocnego wina.

Bo udawał, że słucha tego, co mówił Peter, ale bardziej zainteresowany był rozmową Rae z Davidem. Zanim drugie danie zostało sprzątnięte ze stołu, Rae wyjawiała już swoją sprawę Davidowi. Ten zaś w głównej mierze przyznał jej rację - również uważał, że kardiologia i porodówka mogą spokojnie koegzystować w szpitalu.

- Powiedz mi tylko, co mam zrobić - powiedział David - a zrobię to z przyjemnością.

- Co zrobisz? - wtrącił się Marco.

Rae odwróciła się. Sądziła, że Marco nie przysłuchuje się już jej rozmowie z Davidem.

127

- Człowieku, nie daj się jej wciągnąć w coś, czego później mógłbyś żałować.

No wspaniale, pomyślała. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, to zacząć kłótnię z Marco przy tym stole. Opracowała sobie świetną strategię, aby jednego po drugim przeciągnąć kardiologów na swoją stronę. Tak jak to zrobiła z Davidem. Ale dać się wciągnąć w rozmowę z wszystkimi naraz byłoby niezbyt rozsądnym posunięciem.

- Marco, o co chodzi z tym przejęciem oddziału Rae przez kardiologię? - spytał David. - Moja żona będzie rodzić w grudniu i na pewno nie poprę

nic ani też nikogo, kto zmusiłby ją do rodzenia w innym miejscu niż Berkeley Hills.

- Zawsze może rodzić w Centrum Porodów - odparł Marco spoglądając na Bo. Ten przeszył go tak lodowatym spojrzeniem, że z łatwością mogłoby zamrozić wino w kieliszku Marco.

- Jeszcze nas nie zamknięto - zauważyła Rae. - Powiedz to swojej żonie, David.

- Będziemy szczęśliwi móc się zająć twoją żoną - wtrącił Bo. - Jeśli nie wystąpią u niej powikłania.

- Na pewno już ty się tym zajmiesz - dodała Rae.

Te słowa bezwiednie wypłynęły jej z ust. Może chciała to powiedzieć do siebie, ale wypity przedtem szampan, a teraz czerwone wino trochę rozwiązały jej język. Nie miała zamiaru wszczynać utarczki słownej z kimkolwiek. Jednak szybka riposta Bo zabolą ją: - Czy to ja zajmowałem się Nolą Payne lub Meredith Bey dziś rano?

Jasne, że nie - pomyślała Rae. - Nawet nie okazałeś żadnego zainteresowania nimi po porodzie. Jedyne, czym zająłeś się dzisiaj, to ochranianie reputacji tego cholernego Centrum.

Bo powrócił do przerwanego posiłku, Rae zrobiła to samo.

- Nie podoba mi się to - odezwał się David. - Kto w końcu prowadzi ten szpital? Przecież to my, lekarze. Dlaczego więc pozwalamy zarządowi decydować o naszych sprawach.

- Ale to jest ich praca - stwierdził Marco.

- Pieprzenie. Jestem stanowczo przeciwny, aby zarząd rozbudowywał nasz oddział kosztem porodówki. Poza tym, żona by mnie chyba zabiła, gdyby dowiedziała się, że jestem w części odpowiedzialny za to, że musi rodzić

gdzieś indziej. Tak jak jest wystarczająco miejsca dla nas wszystkich przy tym stole, tak samo wystarczy miejsca dla nas w Berkeley Hills. Jedno co musimy zrobić jako lekarze, to trzymać się razem.

- Jestem cały za tym, aby trzymać się razem - odparł dobrze już pijany Peter, podnosząc kieliszek w stronę Rae.

128

- Może jednak byłoby lepiej, gdyby twoja żona rodziła w Centrum - odezwał się Bo, zerkając na Rae.

- Bo, przestań już - powiedziała.

- Widzę, że tobie też z nią nie wychodzi - wtrącił się Peter, dolewając sobie wina.

- Peter, czy ty wiedziałeś coś o tej decyzji zarządu? Przecież, do cholery, jesteś szefem kardiologii - odezwał się do niego David.

- Tyle wiem, ile zjem.

Wszyscy, poza Marco, przestali nagle jeść i spojrzeli w jego stronę. Nikt nie przespał tej mało stosownej uwagi, jak zauważyła Rae. Marco, jako odpowiedzialny gospodarz, przez chwilę jadł jeszcze, lecz i on przerwał.

- Moi drodzy, zostawmy już może ten temat - odezwał się do wszystkich.

- Czy ty też wiedziałeś o zamknięciu porodówki? - zwrócił się do niego nieustępliwy David.

- Nie mam nic wspólnego z porodówką - odparł nagle poważny Marco.

- A co właściwie Rae ci powiedziała? - Bo zwrócił się do Davida. Bardzo dużo, pomyślała Rae i uśmiechnęła się.

- Czy wszyscy dobrze się bawią?

To pytanie zadała wchodząca do jadalni Marcella Donavelli, żona Marco. Jej jasnoniebieskie oczy ogarnęły szybko całą jadalnię. Ubrana była w

ciemnoniebieską sukienkę wieczorową, a na szyi błyszczał diamentowy naszyjnik. Kruczoczarne włosy swobodnie leżały na odkrytych ramionach.

- Dzięki, Zbawco. Kochanie, przysiądziesz się? - spytał głośno Marco, chociaż doskonale wiedział, że Marcella nigdy nie zasiada do kolacji z jego gośćmi.

- Och nie, sprawdzam tylko, czy się dobrze bawicie.

Nagle, słysząc czyjeś kroki w foyer, goście odwrócili głowy. Rae także. W drzwiach jadalni stał Sam Hartman, z kobietą niższą od siebie o kilkanaście centymetrów. Rae podświadomie widziała, jak twarz jej robi się czerwona, zarówno ze wstydu jak i ze złości. Wściekle patrzyła na Sama odprowadzającego partnerkę na wolne miejsce po przeciwnej stronie stołu.

- Już myślałem, że nie dołączysz do nas - zawołał Marco. - Czyżby twój pacjent miał tak kiepskie ubezpieczenie, że nie chciało ci się zostać przy nim po obudzeniu?

Goście wybuchneli śmiechem, a Sam uprzejmie czekał, aż jego partnerka usiądzie przy stole. Miała na sobie jaskrawoczerwoną, bardzo krótką sukienkę, której kolor świetnie pasował do jej ognistorudych włosów.

129

Sukienka była tak krótka, że Rae obawiała się, iż przy kolejnym ruchu partnerka Sama może z niej wypaść.

- Dzięki, Sam, kochanie - odezwała się gardłowym głosem. Sam przeszedł na drugą stronę stołu i usiadł obok Rae. Zdjął serwetkę ze stołu i rozłożył ją sobie na kolanach.

- Umieram z głodu - powiedział, przechylając się do Rae. - Dzięki za pilnowanie mojego miejsca.

- Nie ma sprawy - odparła chłodno. Jego elegancki wygląd i świeży zapach, jakby wyszedł właśnie spod prysznic, jeszcze bardziej ją zirytował.

- Spóźniłem się na deser? - zapytał.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział mu bełkoczącym głosem Peter, przechylając się w stronę nowej partnerki i bezczelnie gapiąc się w jej odkryte mocno piersi.

Rae miała ochotę wstać i przesiąść się na drugi koniec stołu. Jak Sam śmiał umówić się z nią, a później pojawić się tu z inną kobietą? Nie była to prawdziwa randka, miał ją tylko tu przywieźć, ale zawsze... Mężczyźni, skwitowała z pogardą. Zresztą i tak nie miała teraz dla nich czasu.

- Sam - odezwał się Marco, ściskając dłoń kobiety. - Nie przedstawiłeś nam swojej pięknej partnerki...

Rae widziała, jak Sam rzuca mu ostrzegawcze spojrzenie. Też była ciekawa, kim jest partnerka Sama. Skoro był zajęty przy operacji. Tak oni to teraz nazywają - powiedziała sama do siebie.

Blondynka wlepiała wzrok w Marco, który całował jej dłoń.

- Jestem April - przedstawiła się głosem dużo miłszym.

- Urocze imię - rzucił szarmancko Marco, sięgając po butelkę z winem.

Pokojówka przyniosła talerze z osso buco i jadalnia wypełniła się słodkim zapachem czosnku. Marco podchodził do każdego z gości i dopełniał jego kieliszek winem. Kiedy znalazł się przy Samie, rzekł:

- Przyszedłeś w samą porę. David właśnie mówił, że w żadnym przypadku nie zgodzi się, by jego żona rodziła w Centrum.

- Przed chwilą mówiłeś, że nie będziemy już rozmawiać o pracy - odezwał się Bo.

- To rozważania dotyczące raczej kwestii kobiecych - odparł Marco. -

Osobiście zgadzam się z żoną Davida. Idealnie byłoby, gdyby wszystkie kobiety rodziły w szpitalu.

- Dlaczego więc nie powiedziałaś tego na zebraniu? - odparowała szybko Rae.

Marco uśmiechnął się tylko.

130

- Nigdy nie mówiłem, że trzeba zamknąć porodówkę. Ale przy wyborze: twój oddział zamkną, to mój pozostanie - cóż mogłem zrobić?

W tym momencie rozległo się pikanie bipera. Wszyscy lekarze sięgnęli szybko po swoje pagery, Rae również.

- Przepraszam, to mój - rzekł Sam, podnosząc do góry rękę.

Tuż po tym jak Sam wyszedł z jadalni, Rae wyczuła na sobie wzrok Bo.

Doskonale знаła to spojrzenie pełne zazdrości. Jakby nagle bardziej zainteresowało go, że Sam siedział obok niej, niż stanowisko Marco odnośnie Centrum Porodów. Idiota - pomyślała Rae. - Czy nie widzi, że Sam przyszedł z kobietą? Zresztą ona była bardziej zainteresowana odbieraniem porodów, niż romantyczną przygodą z Samem.

Bo otarł usta serwetką i wstał. Przeszedł dookoła stołu i usiadł na wolnym miejscu Sama. Nachylił się do jej ucha, jakby miał jej opowiedzieć jakąś zabawną historię. Ale wiedziała, że nie będzie to nic przyjemnego.

- Nie mogę patrzeć - zaczął - jak robisz z siebie idiotkę. Czy nie dotarło jeszcze do ciebie, że prowadzenie anestezjologii to nie wszystko, po co tu został ściągnięty Sam Hartman? Kiedy to ostatni raz widziałaś anestezjologa z kardiologii przy operacji na porodówce? Poza tym, czy nie uważasz, że uśpienie mojej pacjentki zabrało mu stosunkowo dużo czasu?

A wiedział, że pacjentka i dziecko są zagrożone. Nie ruszył się, by wam pomóc podczas reanimacji, dopóki go nie zawołałaś. Rae, czy nie wydaje ci się to trochę podejrzane? To wygląda, jakby Sam chciał ukazać Centrum w jak najgorszym świetle. Tak samo zresztą jak i ty...

Bo na pewno już za dużo wypił. Lecz to nijak nie usprawiedliwiało tego, że oskarżał ją i Sama za swoje niepowodzenia. Już chciała powiedzieć mu coś od siebie, ale Sam stanął akurat za nimi.

- Falszywy alarm - powiedział głośno, stukając w swój pager.

- Dzięki Bogu - uśmiechnęła się Rae. Bo podniósł się i wrócił na swoje miejsce.

Rae była jednak zaniepokojona tym, co mówił na temat Sama. Uważała, że Sam zachował się właściwie podczas operacji Noli Payne.

- Jestem zaskoczony, że Howard Marvin nie zjawił się tu dziś wieczorem - odezwał się Bo, na tyle głośno, aby wszyscy go mogli usłyszeć.

Że niby co? - rzuciła do siebie Rae.

April odwróciła się od Bo i mrugając swymi długimi rzęsami zerknęła na Marco.

- A któż to taki, ten Howard Mandn? - spytała.

- To szef programu opieki zdrowotnej, wyjaśnił jej Bo. - Prawda, Marco?

- I niewychowany sukinsyn - dodał Marco całkiem naturalnie.

131

Rae wzdrygnęła się na sam dźwięk tego nazwiska. Wielu lekarzy nie kojarzyło nazwisk z osobami zarządzającymi programem opieki zdrowotnej. Ci ludzie byli jak cienie, bardzo rzadko ich widywano, równie rzadko słuchano - choć ich decyzje miały wpływ na życie wielu milionów ludzi.

- To prawda, ale umie robić pieniądze. Zgodzisz się ze mną, Marco? - Bo zaśmiał się głośno, ale był to śmiech pełen żalu i złości. - Podejrzewam, że nigdy też oczywiście nie rozmawiałeś z Howardem na temat kupna mojego Centrum.

- My leczymy serca, nie odbieramy porodów. Prawda, Sam? - rzekł cicho Marco.

Wzrok Rae wędrował od Bo do Marco i Sama. Czuła się na obcym gruncie, nie wiedziała, o co tu chodzi.

- W dzisiejszych czasach, Marco, trzeba umieć wszystko - odpowiedział mu Sam. Pociągnął łyk wina.

Marco chrząknął i podniósł kieliszek w jego stronę. Bo natomiast odstawił pusty na stół.

- Słuchajcie, chłopaki. Wiem dobrze, że Howard chce się dorwać do mojego Centrum i zamienić je na niezależną miniklinikę kardiologiczną...

- Że co? - wzdrygnął się Marco.

- Słyszałeś, niezależną miniklinikę kardiologiczną.

- Cóż za nedorzecznosc - rzekł Marco.

- Oprócz operacji przepływów omijających - mówił dalej Bo - można też zarobić grube miliony na niewielkich i nieskomplikowanych operacjach serca. Wszyscy wiemy, jak z rozwojem laparoskopii zwiększyło się zapotrzebowanie na chirurgię sercową. Dlatego wszyscy tu obecni chyba wiedzą, że Marco i Howard planują wykupić mnie i otworzyć nowe centrum operacji serca.

- Wiesz coś o tym? - zwróciła się Rae do Sama.

- O czym on mówi? - wtrącił się David.

Wokół stołu rozległy się szmery, a Marco przepłukał winem gardło, nim

się odezwał: - Jeśli to, co mówisz, Bo, jest prawdą, to lepiej byłoby chyba dla ciebie przyjąć ofertę Howarda?

- A więc przyznajesz... - zaczął Bo.

- Niczego nie przyznaję - przerwał mu Marco. - Mówię jedynie, że ktoś taki jak Howard dałby ci mnóstwo pieniędzy za twoje Centrum. Rae pochyliła się nad stołem, aby lepiej go widzieć.

- Myślałam, że chcesz zamknąć porodówkę, a Centrum zostawić otwarte. Przecież to, co teraz słyszymy, nie ma żadnego sensu.

- Marco i tak na tym wygra - szybko powiedział Bo. - Jeżeli zarząd zamknie porodówkę, to oddział Marco rozwinie się jej kosztem. Jeżeli Howard Marwin wykupi moje Centrum i zamieni je w samowystarczalną miniklinikę kardiologiczną, to Marco i tak na tym zarobi. Jakkolwiek by nie patrzeć, zawsze wygra, niezależnie od tego, co się stanie z którymkolwiek z nas.

- Jak już mówiłem, nie mam żadnych planów poza moim oddziałem - zakończył Marco. - A o ofertach możemy mówić, gdy je zobaczymy.

Rae zerkała to na Bo, to na Marco. Kamienny wyraz twarzy Bo przekonał ją, że mówił prawdę. A przynajmniej tak się jej zdawało. Odwróciła się do Sama, ale ten zajęty był kolacją. Wyglądało, że jako jedyny. Albo faktycznie był tak głodny, albo coś ukrywał. Trudno być tak obojętnym na to, co przed chwilą tu nastąpiło.

- Bo, co jeszcze wiesz na ten temat? - zapytała.

- Jak mówiłem - rozsiadł się w krześle, jak gospodarz domu - Howard Marwin chce wydać parę milionów na swój pomysł. Ale brakuje mu nazwiska firmującego to przedsięwzięcie albo jakiegoś znanego kardiochirurga, który by zarządzał tym miejscem. Dlatego chce moje

Centrum. Lokalizacja jest wyśmienita i Centrum jest już rozpoznawalne jako zaplecze medyczne. Chce wykopać stamtąd ciężarne kobiety i wprowadzić sercowców. Nie obchodzi mnie, co mówi Marco, ja wiem, że Howard chce tego dopiąć i być współnikiem szpitala.

- Szpitala? Masz na myśli, że Walker o wszystkim wie? - dopytywała się Rae.

- Mnie nic o tym nie wiadomo - Bo wzruszył ramionami. - Poza tym nie sądzę, aby Howard rozmawiał już z nim. On nie lubi wykonywać żadnego kroku w ciemno. Na razie pracują nade mną, chcą mnie kupić, a w międzyczasie Howard przekonał już Marco do swego projektu. Ponieważ Marco jest szefem kardiologii, on też będzie kierował tym mini-szpitalem. Oczywiście za odpowiednią zapłatą za swoje profesjonalne usługi. A Howard podzieli koszty utrzymania własnej kliniki między siebie i szpital, o ile uda mu się namówić Walkera. Cóż jeszcze można dodać? Jako szef programu opieki zdrowotnej, Howard kierować będzie wszystkich pacjentów z dolegliwościami sercowymi, którzy w tej chwili porzuceni są po różnych szpitalach, do swojej minikliniki.

- Nonsens - odezwał się Marco. - Któż jeszcze słyszał te banialuki?

- Czy to prawda? - zapytała Rae. Bardzo chciała, aby to wszystko okazało się prawdą. Jeżeli Bo sprzeda swoje Centrum, jej kłopoty same się rozwiążą. Centrum przestanie istnieć, a wszystkie pacjentki wrócą na jej oddział. Szpital będzie miał wystarczającą ilość pieniędzy, aby utrzymać oba oddziały i skończy się transport pacjentek karetką.

133

- Sam, czy mógłbyś powiedzieć Bo, że ani ja, ani ty nie mamy żadnych układów z Howardem Marvinem? - zwrócił się do niego Marco.

- Nie mam żadnych układów z Howardem Marvinem - potwierdził Sam. -
Chciałbym się jednak dowiedzieć, gdzie mogę dostać jeszcze to osso
bucotf

April zachichotała, a Rae z coraz większą irytacją spoglądała na Sama.
Czy on nie słyszy, o jakich poważnych sprawach tu mówią? A przez tę
historię Bo, w którą Rae chciała bardzo uwierzyć, przychodziło jej do
głowy coraz więcej pytań niż odpowiedzi.

- Czy istnieje coś takiego jak niezależna klinika kardiologiczna? -
zapytała. - Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałam. Bo dołał sobie
wina.

- Bo, nie masz już dosyć? - zwrócił się do niego Marco.

- Howard już jest partnerem w trzech szpitalach na Wschodnim Wybrzeżu

- odpowiedział jej Bo. - Jak myślisz, skąd by wziął tyle pieniędzy, aby
zaczynać z kliniką w Berkeley?

- Marco - powiedziała Rae - niezależna klinika chirurgiczna brzmi tak
samo źle jak Centrum Porodów. Osobiście jednak wolałabym, abyś przejął
Centrum Porodów. Zdjęłoby mi to wielki ciężar z ramion. Ty rozbudujesz
swój oddział kardiologiczny i zostawisz porodówkę w spokoju, a
wszystkie pacjentki wrócą do mnie.

- Nareszcie do ciebie coś dotarło - zaczął Bo.

- Ale - ciągnęła Rae - jakoś nie widzę kardiologów robiących badania w
klinice, a potem przewożenia pacjentów wymagających natychmiastowej
operacji do Berkeley. Taki pacjent może dostać zawału serca, zanim go
przewiozą karetką. - W tym miejscu pomyślała o dziecku Noli.

- Ależ, Rae, nie słuchałaś uważnie tego, co mówił Bo - Marco złączył
palce i tak podparł sobie podbróbek. - To właśnie cały kunszt planu

Howarda. Widzisz, Centrum Porodów robi teraz świetną robotę oferując porody niemal jak w domu, ale niestety nie mogą robić cesarki. Niezależna klinika kardiologiczna będzie przygotowana na wszystko włączając w to operacje na otwartym sercu. - Zerknął na Bo. - Klinika Howarda będzie ostrzem medycyny, a nie jej odbiciem w średniowieczu.

- To może sprzedałbyś Centrum Howardowi - zwróciła się Rae do Bo. - Wszyscy w ten sposób skorzystają. A kiedy przepisy pozwolą, otworzysz nowe, ale już z salą operacyjną.

- Ja już mam Centrum Porodów i nie planuję go sprzedawać - odpowiedział jej Bo.

- Dlaczego nie możesz robić u siebie cesarek? - wtrącił się Sam.

134

- Bo takie są przepisy - odparł Marco. - Ale jeśli faktycznie pojawiłaby się możliwość utworzenia niezależnej kliniki kardiologicznej, jak to pięknie nam opowiedział Bo, i znalazłby się ktoś taki jak Howard Marvin, pierwszy bym na to poszedł. I mam nadzieję, że byś mnie poparła, Rae...

- O tak - odparła bez wahania.

Bo głośno odstawił kieliszek na stół i wstał ze złością.

- Proszę cię, Bo - zawołał Marco. - Usiądź, co? Przepraszam, że nie jestem zbyt dobrym gospodarzem. Zaprosiłem was, abyśmy przyjemnie spędzili tu czas, ale medycyna sprawiła, że chyba wszyscy jesteśmy trochę skrzywieni. Nie powinniśmy pozwolić, aby polityka szpitalna mieszała nam w głowie.

- Muszę wyjść na świeże powietrze - odezwał się Bo. Rzucił zmiętą serwetkę na stół i ruszył w stronę salonu.

- Deser, zapraszam wszystkich na deser do salonu - zawołała głośno

Marcella. Jak zwykle weszła do jadalni cicho jak duch.

Wszyscy wstali z krzeseł, oprócz Rae. Zaciskając palce na kieliszku ciągle nie mogła w to wszystko uwierzyć. Który z nich mówił prawdę, Bo czy Marco? Poczowała, jak ktoś delikatnie położył jej rękę na ramieniu.

- Proszę, nie wysuwaj zbyt pochopnych wniosków co do April.

Przynajmniej do momentu, aż porozmawiamy o tym na osobności - rzekł cicho Sam.

Patrzyła na niego zamyślona. Randka była ostatnią rzeczą, jaka teraz mogła jej przyjść do głowy.

- Czy Bo mówił prawdę? - odezwała się w końcu. - Czy wyjechałeś z Bostonu z innego powodu niż etat szefa anestezyjologów na naszej kardiologii?

- Mam nadzieję - odpowiedział jej i odszedł.

Co to za odpowiedź? - pytała samą siebie. Dlaczego on zawsze musi być taki tajemniczy?

Zagubiona w myślach przeszła przez salon i stanęła na werandzie.

Błyszczące miasto pogrążone było we mgle, ale nie przyszła tu, by podziwiać widoki. Chciała w spokoju pomyśleć.

Niedługo jednak usłyszała za sobą czyjeś kroki. Odwróciła się i zobaczyła Bo. Podeszedł i oparł się o barierkę.

- Wystając tu, rozmyślałam nad tym, co mówiliście podczas kolacji.

Wierzę ci, Bo. Wierzę, że Howard przedstawił ci taką propozycję. Po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy, nie kłamałbyś. Nigdy nie okłamywałeś mnie i nie sądzę, byś zaczął robić to teraz.

- Wierzysz w to, co mówiłem o Marco? I o Samie Hartmanie? Rae westchnęła tylko cicho.

- Zresztą nie obchodzi mnie, w co wierzysz, a w co nie - dodał, kiedy tak milczała. - Nie pozwolę, aby ktoś mnie kupił albo wykopał z tego interesu.

- Co to miało znaczyć? - zapytała odwracając się do niego.

- Daj spokój, Rae, przecież to widać jak na dłoni, że szukasz dziury w całym odnośnie Centrum. - Delikatnie przejechał dłonią po jej gołym ramieniu. - Ładna sukienka - dodał. - Nie sądziłem, że tak szybko dasz się przeciągnąć na ich stronę.

Rae zrzuciła jego rękę z ramienia.

- Odczep się ode mnie - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- Nie, Rae, to ty odczep się od mojego Centrum - rzekł cicho i odszedł.

Ale zaraz pojawił się Marco.

- Proszę, proszę. Bo wcale nie wyglądał na zadowolonego.

- Pozwól, że spytam jeszcze raz - rzekła, ignorując tę uwagę. - Czy Walker wie, że Howard Marvin chce zamienić Centrum Porodów na mini-klinikę kardiologiczną?

Marco pokręcił głową.

- Tylko mi nie kłam - ostrzegła.

- Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Poza tym Walker to twój kolega, spytaj go sama. Choć na twoim miejscu skoncentrowałbym się na namówieniu Bo, by sprzedał Centrum. W tej chwili, z całym tym szumem wokół niego, ma szansę dostać jeszcze dobrą cenę.

- Łatwiej byłoby nam skoczyć z tej werandy i poszybować jak Super-man.

- No to jest skończonym idiotą.

Stali przez chwilę w milczeniu. W końcu odezwała się Rae:

- Sprawdzaleś karty medyczne pacjentek Bo... Marco oparł się o poręcz

balustrady.

- Piękna noc, prawda? - rzekł. Rae westchnęła.
- Sama widziałam podpisane przez ciebie zapotrzebowanie.
- Niczego nie sprawdzałem - zaprzeczył Marco. - Kto mówił, że je sprawdzałem? Co za karty chorobowe?
- Karty pacjentek Bo. Widziałam twój podpis na zapotrzebowaniu.
- A do czego mnie byłyby potrzebne karty chorobowe kobiet w ciąży?
- Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. I co z nimi zrobiłeś...
- Z kobietami w ciąży? Daj spokój, Rae - zaśmiał się.
- Chcę wiedzieć, co zrobiłeś z kartami chorobowymi tych pacjentek.

136

- Mówiłem ci już, że nie brałem żadnych kart. Jeżeli widziałaś mój podpis, to musiał go ktoś podrobić.

- A niby kto?

- Posłuchaj, Rae, uwierzysz w to, w co będziesz chciała uwierzyć. Ale ja nie miałem najmniejszego powodu, by oglądać karty pacjentek Bo. I tak mam dosyć roboty ze swoimi pacjentami. A tak w ogóle, to rozmawiałem z Howardem Marvinem, ale była to tylko rozmowa, rozumiesz? Żadnych faktów, żadnych obietnic. Dopóki Bo nie sprzeda Centrum, w ogóle nie ma o czym mówić. Lecz ja nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami. Nareszcie, pomyślała. Marco chyba w końcu był z nią szczery.

- A Sam? Też w tym siedzi? - zapytała.

- A jak myślisz? - odpowiedział pytaniem.

Odwróciła się w kierunku zatoki. Niezależnie od tego, że chciała, aby Centrum Porodów zostało zamknięte, smuciło ją, że dzieje się to w taki sposób.

- Czyli: noworodki przeciwko operacjom serca. Początek życia przeciwko jego końcowi, tak?

- Kochanie, chodź, pomóż mi nalewać grappę - zawołała Marcella. Marco delikatnie chwycił Rae za ramię.

- Chodź do środka.

- Ja wiem, Marco, że ktoś przy tym stole kłamał.

- Witam w realnym świecie zarządzania służbą zdrowia - odparł. Kiedy wrócili do salonu, Marcella podała Rae talerzyk z odkrojonym kawałkiem tiramisu.

- Marco powiada, że najpierw tiramisu, a później operacja serca - rzekła z uśmiechem.

Rae nie miała ochoty na deser, ale przyjęła talerzyk od Marcelli i skosztowała niezwykle słodkiego specjału, siadając na stołku przy fortepianie.

- Dziwię się, że Marco nie waży jeszcze dwustu kilogramów - powiedziała. - Ten kawałek wystarczyłby za całą kolację. Marcella drgnęła lekko.

- Czy April pracuje u was w szpitalu? - zapytała nagle.

- Nie sądzę, musiałabym ją znać chociaż z widzenia - odpowiedziała jej szczerze Rae.

- Jesteś pewna? - Twarz Marcelli była niezwykle poważna.

Rae wyczuła, o co tu chodzi. Marcella sądziła, że April jest kolejną zdobyczą Marco. Ale przecież ona przyszła z Samem. Dlaczego kobiety w ten sposób określają swoje uczucia i zamieniają miłość na niepokój.

- Chyba trudno byłoby jej nie zauważyć? - odparła.

Twarz Marcelli przybrała trochę spokojniejszy wygląd. Uśmiechnęła się lekko. - Chyba masz rację.

Odeszła, a wtedy nagle wyrósł Sam, jakby czekał, kiedy pójdzie. Oparł się o fortepian.

- To może człowieka zabić. Odstaw tę grappę i przepłuczmy gardła lekkim winem.

Zabrał talerzyk Rae z szerokiego siedzenia i postawił na pokrywie fortepianu. Wtedy usiadł obok niej. Stołek był wystarczająco szeroki, aby pomieścić trójkę dorosłych osób. Jednak Rae przesunęła się bliżej krawędzi robiąc więcej miejsca dla Sama.

- Nie chciałabym, aby April coś sobie pomyślała - rzekła słodkim głosem. Na środku salonu dwie pary tańczyły w takt muzyki przygrywanej przez trzyosobowy zespół.

- Zapomnij o April - cierpko powiedział Sam. - Chodźmy lepiej zatańczyć. Obiecuję, że będę się starał nie deptać ci po palcach - dodał już cieplej. Nim zdążyła zaprotestować, Sam pociągnął ją na środek parkietu i objął lekko w pól. Mogła się cofnąć, ale już tak dawno żaden mężczyzna jej tak nie trzymał, że prawie zapomniała, jakie to wspaniałe uczucie. Otrząsając, się po chwili przypomniała sobie o planach na dzisiejszy wieczór.

- O co tu chodzi z tym Howardem Mandnem? - zapytała. Nawet w butach na wysokich obcasach była od Sama paręnaście centymetrów niższa. Aby więc do niego mówić, musiała wysoko podnieść głowę. Spotkała się z jego wgapionymi jasnoniebieskimi oczami i lekko uśmiechniętymi ustami.

- Nie słyszałem o nim, aż do dzisiejszego wieczoru - odparł.

- Naprawdę? Przecież ty i Marco jesteście chyba przyjaciółmi? A ta sprawa z niezależną minikliniką kardiologiczną to nie żadna błahostka.

Jeżeli faktycznie ją otworzą i Marco będzie tam rządził, na pewno zechce, abyś został tam szefem anestezyjologów.

- Mam nadzieję, że tak będzie.

Była już zmęczona jego zwodniczym zachowaniem. Zapytała butnie:

- Czy to znaczy, że rozmawiał z tobą o Howardzie, czy nie?

Czuła, jak całe jej ciało sztywnieje pomimo delikatnie kojącej muzyki.

Marco przyciemnił światło i cały salon pogrążył się w delikatnym półmroku.

Sam odezwał się w końcu:

- Marco mówi mi tylko to, co uważa, że powinienem wiedzieć. Ja natomiast chciałbym, abyś ty wiedziała coś na temat April.

138

- Ona mnie nie obchodzi - wyszeptała przez zęby Rae. - Obchodzi mnie tylko los dwojga noworodków z rana i sprawa tych dwóch pielęgniarzy, którzy nie byli ze mną szczerzy. - Przestała tańczyć i odsunęła się od Sama. - Czy oni powiedzieli ci, co się stało dzisiaj rano z Nolą?

- Z Nolą? - zapytał. Delikatnie przyciągnął ją do siebie.

- Z tą „Błogosławioną Matką”.

- Ach, tą. Nie, nic o niej nie mówili. Czy można jeszcze coś powiedzieć na jej temat? Ona już chyba wszystko powiedziała o sobie, nie sądzisz? - Zaśmiał się lekko.

- To dlaczego kłamali? - Rae wcale nie miała ochoty na śmiech.

- Dlaczego kłamali? - powtórzył za nią.

Jej gniew wzrastał z każdą chwilą. Nie miała żadnego dowodu, że pielęgniarze ją okłamali. Jedyne, co nią kierowało, to przeczucie. Byłoby niepoważne, gdyby powiedziała o tym Samowi. Westchnęła więc tylko.

- No dobrze, powiedz mi o tej April.

- Dlaczego pielęgniarze mieliby cię okłamywać?

- To znaczy, że już nie chcesz mi opowiedzieć o April? - rzekła rozdrażniona.

- Ależ chcę, bardzo - zreflektował się Sam - tylko że nie ma zbyt wiele do mówienia. April od dwóch tygodni jest u nas pielęgniarką administracyjną. Marco już roztoczył nad nią swój urok i chciał, aby była na tym przyjęciu. Nie wypadało jednak, by przyszła sama, i ja miałem jej niby towarzyszyć. Z ulgą przyjęła, że April jest kolejną zdobyczą Marco. To, że Sam trafił z nią na przyjęcie, już jej nie przeszkadzało. Chodziło o zasadę, z nią się przecież umówił.

- To przez Marco przybyłem do Berkeley. Jestem mu winny kilka przysług. - Przycisnął ją delikatnie do siebie. - I bardzo się cieszę, że tu przyjechałem.

Położył rękę na jej odkrytych plecach. Tę samą rękę, która dzisiaj rano dała szansę dziecku Noli Payne. Zamknęła oczy i przypomniała sobie, jak ścisnął worek od aparatu tlenowego, pompując w płuca noworodka życiodajny tlen. Ratował noworodka tak, jakby jego życie zależało od tego.

Jakież to przyjemne uczucie być obejmowaną przez niego. Wszystko w pokoju odpłynęło gdzieś daleko - ludzie, przedmioty, światło, nawet napięcie, którego nie mogła się pozbyć od kolacji. Poddawała się tańcowi z Samem. Czowała się wspaniale, a on tak przyjemnie pachniał, tak świeżo. Rae, taniec się już skończył - odezwał się cicho Sam.

139

Raptownie otworzyła oczy. Odkryła, że całym ciałem wisi wręcz na nim, a

na parkiecie nie ma już nikogo. Spojrzała do góry i zobaczyła jego zadowoloną twarz. Trzymał ją jeszcze przez chwilę.

- Czy ja zasnąłam? - zapytała z niedowierzaniem w głosie. Była zbyt zawstydzona, aby się przyznać, co się naprawdę stało.

- Zwykle zasypiasz na stojąco? - zapytał ją ze śmiechem.

- Nie, ja tylko... - zaczęła czując, jak jej twarz zalewa się rumieńcem.

Nie zdążyła dokończyć zdania, bo w ich stronę szybko zmierzała April. Z jej twarzy można było wyczytać, że jest zdenerwowana.

- Marcella bardzo dziwnie na mnie patrzy - powiedziała, chwytając Sama pod ramię.

- Idźcie - rzekła krótko Rae, zadowolona z takiego obrotu wstydlivej dla niej sprawy.

Odnalazła Marco i podziękowała mu za zaproszenie na przyjęcie.

- Ty i Sam byliście tak spleceni na parkiecie... - powiedział Marco, kiedy ona zarzucała na ramiona swoją pelerynkę. - Słyszałem, jak Bo mówił to samo.

Zesztywniała nagle. Tego jej właśnie było potrzeba. Niemożliwym się stawało, by mogła rozsądnie porozmawiać z Bo i nakłonić go do sprzedania Centrum. Kiedy zazdrość go spalała, nic do niego nie docierało. Ale po roku czasu, żeby był zazdrosny o Sama? To naprawdę niedorzeczne!

- Mam nadzieję, że mu wyjaśniłeś, że Sam to tylko dobry kumpel? - powiedziała. - Przecież wiesz, że dużo robi dla swoich przyjaciół i dla przyjaciółek swoich przyjaciół. - Spojrzała na niego wymownie.

- Ależ oczywiście - odparł, rozumiejąc, o co tu chodzi. - Zawsze można liczyć na niego. - W tym momencie odezwał się biper Rae. - Telefon jest w

drugim pokoju - wskazał jej drogę Marco.

Informacja była od Bernie - była w archiwum i Rae powinna z samego rana zobaczyć te karty chorobowe. Coś w nich ją zaniepokoiło.

- Przyjadę zaraz - stwierdziła Rae.

Bernie przypomniała jej, że jest późno i nie spała całą noc. Rae spojrzała na zegarek.

- Jest dopiero za piętnaście minut jedenasta - odpowiedziała - a poza tym nie mam tu towarzystwa...

Czuła się naprawdę samotna. Samotność, jak stwierdziła, była już jej nieodłączną towarzyszką od długiego czasu. Cholerny Sam Hartman, pomyślała. Po co prosił ją do tańca? Rozbudził w niej tylko dawne uczucia.

Odłożyła słuchawkę i ruszyła do drzwi.

Portier czekał na zewnątrz, podał jej kluczyki.

140

- I cóż? Udany był wieczór? - zapytał.

- Jeszcze się nie skończył - odparła wsiadając do samochodu.

Odsunęła na bok wszystkie myśli o Samie, Marco i April. O Howardzie i planach opieki zdrowotnej też już nie myślała. Czekwała na nią Bernie z kartami, które mogą rzucić jakieś światło na sprawy noworodków. Nic nie było w tej chwili ważniejszego.

Zaskoczyło ją jednak, kiedy złapała się na rozmyślaniu, jak dawno nikt nie trzymał jej w ramionach tak delikatnie jak Sam,

Hej, obudź się, śpiochu - zawołała Rae do drzemiącej na pliku kart chorobowych Bernie.

Yvonne, sekretarka administracyjna, dawno już poszła i tylko one dwie

były teraz w archiwum. Lampy jarzeniowe dawały tyle światła, że w pomieszczeniu było jasno jak w dzień. Jak to w szpitalu, stwierdziła Rae. Dopóki nie otworzysz okna albo drzwi, nie wiesz, czy to już noc, czy jeszcze dzień. Niestety, ten interes nie działa w określonych godzinach. Bernie podniosła głowę i poprawiła swój pielęgniarzski czepek.

- To się nazywa medytacja, skarbie, a nie spanie.

- I cóż takiego znalazłaś? - Rae usiadła na krześle obok niej.

- Myślę, że Bo powinien to wyjaśnić - powiedziała prostując ręce nad głową. - Te cztery karty należą do pacjentek, które zostały przyjęte do Centrum Porodów, a zostały przewiezione do nas. Lekarzem prowadzącym każdej z nich był doktor Bo Michaels.

- Yvonne miała zrobić ich kopię - powiedziała Rae wskazując na oryginały kart.

- Rae, słyszałaś, co mówiłam? Bo był lekarzem każdej z nich.

- Wiem o tym, Bernie - odparła, tłumiąc ziewanie. Później sprawdzi swoją przegródkę, czy są w niej kopie tych kart.

- No to co ja, do cholery, tu robię?

- Ale poza niską liczbą Apgar nie wiem, dlaczego te pacjentki zostały do nas przewiezione - dodała szybko Rae. - Kiedy zesłam tu dzisiaj po południu, Bo zabrał te karty.

- To by się zgadzało - rzekła Bernie, udobruchana trochę. Otworzyła pierwszą kartę. - Wszystkie pacjentki zostały tu przewiezione na ce-

141

sarkę. Przysyłali tu chyba wszystkie noworodki z wielkimi głowami. U większości pacjentek rozwarcie miało tylko cztery do pięciu centymetrów.

- Widziała, że Rae chce o coś zapytać, ale powstrzymała ją ruchem ręki. -

Nie, nie było żadnych oznak zagrożenia płodu, jeżeli o to ci chodzi.

- Jesteś pewna? - spytała przekładając leżące karty.

- Zupełnie pewna.

- No to co się z nimi stało, gdy trafiły tutaj, tak jak Nola czy Meredith?

- O, widzisz, kochana, teraz zaczynasz mówić do rzeczy - zauważyła Bernie. Jej oczy nabrały blasku. - Może jednak utrzymam swoją pracę, jeżeli poskładamy to wszystko do kupy.

- Czyżby?

- Każda z pacjentek - Bernie popukała w leżące przed nią karty - przywieziona została tutaj z opadającym tętnem płodu.

- Ale w Centrum Porodów tętno było prawidłowe?

- Tak wynika z ostatnich badań, jakie zostały wpisane w karty. Ale według mnie Centrum nie spowodowało obniżenia tętna.

- I to Bo odbierał porody u każdej z tych pacjentek?

- U każdej jednej.

- A jakieś inne przypadki dystocji barków? - mówiła Rae wertując karty - albo zawinięcia pępowiną?

- Nie ma tu nic takiego - szybko odparła Bernie.

Zrezygnowana Rae przeczesła rękoma włosy. Zwyżka adrenaliny, którą czuła wchodząc na przyjęcie, rozplynęła się już. Nawet świadomość, że znalazła jeszcze cztery niemal takie same przypadki kłopotów z tętnem płodu, nie potrafiła jej zdopingować. Nie miała już siły. Czuła się skołowana. Powinna raz jeszcze zerknąć w te karty, jak zatroskana matka zaglądająca ciągle do swego dziecka. Zmęczenie jednak brało górę.

- Nie mam już siły - powiedziała, wolno podchodząc do swojej przegródki.

Była pusta. Odwróciła się do biurka Yvonne. Znalazła kartkę, że trzeba

skserować karty dla Duprey i Michaela. Zastanowiła się przez moment. - Trzeba je schować - pokazała na karty - bo co będzie, jak te pacjentki trafią dzisiaj na ER-kę... - Nawet głos jej się załamał. Mogła tylko położyć karty z powrotem na swoje miejsce. - Przyjadę tu jutro z samego rana, Bernie. Może te cztery inne też wtedy się znajdą?

- Zajrzę tu w czasie przerwy - powiedziała Bernie. - Ten, kto je zabrał, może poczuje się winny i je zwróci?

- Zadzwoń, jakby się znalazły - rzekła Rae. Czowała, że nie może już utrzymać opadających powiek, a musiała jeszcze dojechać do domu.

- Naprawdę mam dzwonić, jak tylko je znajdę?

142

- Nie myśl sobie, że odbiorę telefon. Mam nadzieję, że o trzeciej nad ranem będę w głębokim śnie.

- Jak znajdę, włożę je do twojej przegródki. A co sądzisz o tym, że Bo był lekarzem odbierającym we wszystkich ośmiu przypadkach? Oskarża cię o zaniedbanie przy dzisiejszych porodach, a sam powinien się najpierw wytłumaczyć z tych tutaj - Wskazała palcem na leżące karty chorobowe.

- Myślałam nad tym - odparła jej Rae. - Dlatego chcę tu przyjechać z samego rana i dokładnie je przejrzeć. Sprawdzić zapis chorobowy pacjentek, raporty z karetki i czy czegoś może nie przeoczyłyśmy, a mogłoby nam pomóc w powiązaniu tamtych spraw z Nolą i Meredith.

- Ale nie wiesz jeszcze, co wspólnego ze sobą mają przypadki Noli i Meredith...

- Nie musisz mi o tym przypominać.

- Zadzwoń do ciebie - Bernie uśmiechnęła się do niej. Wyszły razem z archiwum i zatrzymały się przy windzie.

- Byłabym zapomniała - rzekła Rae. - Czy słyszałaś coś o otwieraniu prywatnej kliniki kardiologicznej? Kumplujesz się z Dusty, może ona coś na ten temat ci wspomniała...

- Otwieraniu kliniki? - Bernie pokręciła głową. - Prywatnej kliniki kardiologicznej? Ile ty wypiałaś na tym przyjęciu?

Rae uśmiechnęła się wchodząc do windy. Reakcja Bernie wyraźnie wskazywała, że przeholowała.

- Może trochę za dużo - odparła.

Wyszła z windy i ruszyła do wyjścia. Jak niemal w każdą piątkową noc izba przyjęć pełna była pacjentów. Lekarze i pielęgniarki w pośpiechu udzielali pomocy. Potężnie zbudowany mężczyzna narzekał na piekący ból w klatce piersiowej, pomarszczona staruszka, kiwając się na krześle, odmawiała udzielenia odpowiedzi na pytania zadawane jej przez pielęgniarkę. Młoda dziewczyna leżąca na noszach skręcała się z bólu, narzekając na brzuch.

Dyżurującą pielęgniarką była Sylvia Height, ta, która przyjmowała Meredith Bey.

- Jak się ma dzieciak? - krzyknęła do przechodzącej Rae. Rae podniosła kciuk do góry i uśmiechnęła się lekko. Nie miała już siły na nic innego.

- Hej, niech pani uważa! - zawołał jakiś głos.

Rae zobaczyła olbrzymi wózek wypełniony workami do kroplówek i zmierzający w jej kierunku. W ostatnim momencie, aby nie zostać przez niego potrąconą, odskoczyła na bok.

- Ślepa pani, czy co?

143

- Przepraszam. - Patrzyła, jak wózek pchany przez jakiegoś mężczyznę

znika za drzwiami.

Widok worków do kroplówek przypomniawszy jej dziwne zachowanie Noli i resztę wypadków minionego dnia. Czy to były tylko wytwory jej przemęczonej wyobraźni, czy też wydarzyło się to wszystko naprawdę? Na zewnątrz wszystko przykryte było białym kożuchem gęstej mgły. Z trudnością mogła dojrzeć zarysy parkingu po drugiej stronie ulicy. Przechodząc przez jezdnię zatrzymała się i uważnie rozejrzała. Nie zapomniała jeszcze, jak Arnie Driver omal nie przejechał jej w pełnym słońcu.

Zawinęła się w cieką pelerynkę. Chciała mieć teraz gruby sweter i ciepłe spodnie, zamiast tego wieczorowego stroju. Jej porsche stał zaparkowany blisko wyjazdu z parkingu. Nagle ujrzała zbliżającego się mężczyznę. Jego pewny chód wydał jej się znajomy. Sam? - pomyślała zaskoczona. Ciągle jeszcze ubrany w czarny smoking, uśmiechał się podchodząc do niej.

- Co ty tu robisz? - pamiętała swoją twarz przytuloną do jego piersi jeszcze po tym, jak muzyka przestała grać. Teraz próbowała ukryć swoje zawstydzenie.

- Przyjechałem po ciebie - rzekł krótko.

Stał i gapił się na nią bez żadnego zawstydzenia. Jakby się znali lata całe i nie mieli przed sobą już nic do ukrycia.

- Czy to twoje auto? - pokazał głową na porsche. Rae kiwnęła tylko głową.

- Marco powiedział mi, że pojechałaś do szpitala.

- Zostałam wezwana. A ty po co tu jesteś?

Nie chciała być nieuprzejma, ale czuła się trochę nieswojo w jego towarzystwie. Zaskakiwało ją zainteresowanie, jakim ją obdarowywał;

zbyt wiele istniało powodów, aby angażowanie się w tę znajomość było rozsądnym posunięciem. Nie znaczyło to jednak, że nie ufała mu.

- Przepraszam - powiedziała, zauważając, że go dotknęła tym pytaniem - nie chciałam, aby to zabrzmiało niegrzecznie. Jest mi miło, że tak się interesujesz moją osobą, ale w tej chwili mam zbyt duży mętlik w głowie...

- Uśmiechnął się tylko i dalej stał sztywno. Denerwowało ją to. Wydawało się, że nie traktuje jej poważnie. - Nie słuchasz, co mówię?

- Co powiesz na kawę, jutro z samego rana?

Pokręciła głową. Chociaż za samą próbę dałaby mu punkt. Podeszła do samochodu.

- Z samego rana muszę być w archiwum - odparła.

144

- Ja mam tam kilka kart do podpisu - uśmiechnął się ponownie. - Może pogadamy przy okazji, a później zjemy razem śniadanie.

Westchnęła ciężko - nie obchodziło już ją, czy słyszał to, czy nie.

_ Nie chcesz chyba umawiać się ze mną o siódmej rano w archiwum? - zapytała.

- O siódmej to faktycznie trochę za wcześnie, zwłaszcza w sobotę. Może lepiej o dziesiątej? To bardziej cywilizowana pora.

Zaczynało ją to już denerwować. Chce się z nią spotkać, czy nie?

- Sobota, poniedziałek, piątek, co za różnica. Dla mnie to wszystko jedno. Zwłaszcza kiedy mam noworodka na intensywnej terapii.

Uśmiech zniknął z twarzy Sama. Teraz dopiero zauważyła, że zdjął muchę i ma rozpięty górny guzik koszuli. Na jego twarzy pojawiło się już zmęczenie po całym dniu, ale przez to wyglądał jakby jeszcze przystojniej.

- Widzę, że medycyna odgrywa główną rolę w twoim życiu - zauważył

cicho.

Była to jednak bardziej obserwacja, niż stwierdzenie faktu. Choć instynkt samoobrony u Rae zareagował błyskawicznie.

- Medycyna jest moim życiem. - Powiedziała to z takim przekonaniem, że nawet sama była zaskoczona. Ale przecież naprawdę tak myślała i nie miała zamiaru zaprzeczać. Dla niego czy też dla kogokolwiek innego wydawać by się mogło, że jest zarozumiała i niezwykle cnotliwa, ale to był problem Sama i reszty, nie jej. Ona podjęła decyzję dwadzieścia pięć lat temu i, zwłaszcza po takim dniu jak dzisiaj, nie miała najmniejszego zamiaru jej zmieniać.

Niestety nie mogła tego wszystkiego wytłumaczyć Samowi. Dla niej zainteresowanie nią było równoznaczne z zainteresowaniem się tym, co się stało dzisiaj rano Noli Payne. Wydawało jej się jednak, że Sam jest bardziej zainteresowany nią, niż całą resztą.

- A co zrobiłeś z April?

- Wysadziłem przed jej domem. Żona Marco dowiedziała się jakoś, że April pracuje w szpitalu, i wdały się obie w małą wymianę zdań. Po czym Marcella poprosiła, abym odwiózł April do domu, skoro to ja z nią przyszedłem. Ciebie już nie było, więc i ja mogłem się delikatnie ulotnić. Stojąc już przy otwartych drzwiach auta, Rae powiedziała:

- Męczysz mnie jeszcze jedno, Sam. Skąd się znalazłeś przy operacji Noli? Jako podpora anestezjologii kardiologicznej powinieneś być na kardiologii, a nie na porodówce...

- Mówisz tak, jakby kardiologia była podstawą egzystencji szpitala.

Uśmiechnął się otwierając jej drzwiczki.

- Nie o to mi chodziło... - zaczęła Rae, wsiadając do samochodu.

- Wiem, wiem - przerwał jej Sam. - Uwierz mi, od lat nie byłem przy cesarce. Ale wszyscy anestezjolodzy z porodówki byli zajęci, a ja w chwili, gdy przyszło wezwanie o anestezjologa, opychałem się pączkami. - Zamilkł na chwilę. - I cieszę się, że tam trafiłem. Jeszcze nie widziałem, aby ktoś zrobił cesarkę w tak błyskawicznym tempie jak ty dziś rano.

- Szybko, ale niezbyt udanie - zauważyła, powoli zamykając drzwi. Sam złapał szybko i przytrzymał je.

- A co z jutrzejszym rankiem, mamy tę randkę czy nie?

- Jesteś nieustępliwy.

- Zazwyczaj nie poddaję się łatwo.

Rae przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik odpalił.

- Dokładnie o siódmej rano - powiedziała pewnym głosem.

- Dobrze. Punkt siódma.

Na pewno nie przyjdzie, uznała zerkając na zmniejszającą się w lusterku sylwetkę Sama. Ale ona tam będzie. W tych kartach jest coś, co może jej pomóc. I nie potrzebuje jego wsparcia, aby to odkryć.

Po przyjeździe do domu delikatnie wyjęła z futerału skrzypce i przez kilka minut grała cicho „Nokturn E-dur” Chopina. Ulubiony utwór matki. Kiedy leżący u jej stóp Leopold zaczął głęboko oddychać, schowała skrzypce i wsunęła się pod prześcieradła.

Wygodnie ułożyła się na materacu. Czując rozgrzewające ciepło zastanawiała się, czy uda jej się wstać z tego wygodnego łóżka. Niestety nie zdążyła sobie odpowiedzieć. Sen błyskawicznie ją otulił.

Obudziła się zlaną zimnym potem. Czuła, jak kropelki spływają jej po karku i między piersiami. Co się dzieje? Czyżbym miała jakiś zły sen? -

głowiła się.

Zegar wskazywał piątą rano. Za oknem księżyc zbliżał się już do linii horyzontu i oświetlał srebrną poświatą ciemne wody zatoki. U stóp jej łóżka śpiący Leopold wypełniał ciszę pokoju swym ciężkim oddechem. Ale nawet widok spokojnie i bezpiecznie śpiącego psa nie zamazał dziwnego uczucia niepokoju, z jakim się obudziła. Czuła, że coś się stało, że ktoś skrzywdził dziecko Noli. Przeciągnęła rękoma po twarzy, jakby chciała

146

zrzucić z siebie resztki snu. W dziesięć minut była już wykąpana i ubrana w dzinsy i jasnoniebieski kaszmirowy golf. Zarzuciła jeszcze czarną skórzaną kurtkę i ruszyła do drzwi.

- Wróć na śniadanie - rzuciła do zaspanego i zaskoczonoego tak wczesną porą Leopolda.

Chciała w spokoju przejrzeć karty chorobowe pacjentek, nim Sam zjawi się w archiwum. Musiała je przeczytać w zupełnym spokoju. Mogły przecież rzucić jakieś światło na te dziwne wydarzenia.

Ostro ruszyła pustą o tej porze 1-80. W sobotni wczesny ranek całą drogę miała prawie dla siebie. Rondo minęła w pędzie i skierowała się do Berkeley Hills.

Pacjenci już opuścili izbę przyjęć. Siedziała tylko zaspana i zmęczona Sylvia Height, a obok niej jakiś pielęgniarz wypisując grafik przejazdów dla karetki, mającej przewozić pacjentów z domów opieki.

- Pani znowu tutaj? - zawołała Sylvia machając na powitanie ręką.

- Nie mam jeszcze dosyć tego szpitala - zażartowała Rae.

W archiwum przeszła obok pustego biurka recepcji. O tej porze była tu

jedyną osobą. Personel archiwum zjawi się dopiero o szóstej. Czowała jednak, że coś jest tu nie w porządku. Drzwi do pokoju z kartami medycznymi były zamknięte. Nigdy jeszcze, jak długo tu pracowała, nie widziała tych drzwi zamkniętych.

Wolno otworzyła je. Przez chwilę jej oczy nie mogły zrozumieć tego, co zobaczyły. Na podłodze porozrzucane były karty chorobowe pacjentów, krzesła leżały poprzewracane. Słuchawki telefonów zwisając na przewodach straszyły swymi czarnymi główkami, a z rozbitego ekranu komputera Yvonne sterczały kawałki szkła.

Stojąc w drzwiach nadśluchiwała, czy ktoś tam jest, i zastanawiała się - chyba po raz pierwszy w życiu - czy grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. Nic jednak tego nie zapowiadało. Wzięła głęboki oddech. Teraz miejsce strachu zajął gniew.

Szybko podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę. Zaczęła wykręcać numer operatora. Musi wezwać ochronę. W tym momencie jej palce i serce zastygły w bezruchu. Na podłodze, pośrodku pokoju zobaczyła czepek Bernie.

Strach jakby sparaliżował jej ciało, słuchawka wypadła z dłoni. Widziała stąd cały pokój oprócz najdalszego rogu, który przesłonięty był regałem wypełnionym grubymi skoroszytami. Wolno podeszła tam. Zatrzymał ją widok leżącej na podłodze Bernie, owiniętej w biały chirurgiczny fartuch z bezwładnie rozrzuconymi nogami.

- Bernie! - krzyknęła przerażona. Opadła na kolana przy niej.

147

Na twarzy Bernie wyraźnie rysowały się sine, opuchnięte ślady. I znowu ogarniająca ją złość wzięła górę nad strachem. Delikatnie, aby nie ruszyć

głowy, przysunęła ucho do nosa Bernie i starała się usłyszeć jej oddech. W tym samym czasie przyglądała się jej klatce piersiowej. Usłyszała delikatny szmer wydychanego powietrza i zobaczyła słaby ruch klatki. Delikatnie dotknęła szyi starając się wyczuć tętno. Pod palcami poczuła wolne i bardzo słabe bicie serca.

Jej własny oddech stał się szybki i urywany, a serce galopowało z niezwykłą szybkością. Nie mogła dać się ponieść emocjom. Bernie potrzebowała teraz pomocy lekarza, a nie szlochów przyjaciółki. Nagle zobaczyła sine pręgi na szyi. Tylko palce człowieka mogły zostawić takie ślady.

Wykręciła szybko numer izby przyjęć. Odebrała Sylvia.

- Tu doktor Duprey - pomimo wielkiego zdenerwowania starała się mówić jak najbardziej spokojnie. Sylvia musiała ją zrozumieć bez powtarzania. - Jestem w archiwum, w pokoju kart medycznych. Potrzebuję natychmiastowej pomocy. Ktoś zaatakował Bernie - wypowiadając ostatnie słowa czuła, jak łzy napływają jej do oczu.

- Już idziemy - rzuciła Sylvia.

Teraz zadzwoniła do strażników. Ręce jej tak mocno drżały, że musiała dwukrotnie wykręcać numer. Ten, który odebrał telefon, miał młody głos. Chciał, by przeliterowała mu nazwisko.

- Do jasnej cholery - zaklęła - rusz dupę i przychodź tu!

W tej samej chwili drzwi otwarły się z hukiem i wbiegła Sylvia, a za nią jeszcze dwie pielęgniarki i doktor Everett Lyon, który jak zwykle do pracy ubrany był w bojówki. Tuż za nimi dwóch starszych pielęgniarzy pchało wózek.

Rae rzuciła słuchawkę.

- Jest tutaj! - krzyknęła i ruszyła do leżącej Bernie. Cudem nie potknęła się o kartoteki.

- Jezus Maria! - Sylvia opadła na kolana obok Bernie, szybko zakładając jej na ramię aparat do mierzenia ciśnienia. - Co jej się stało?

Po drugiej stronie klęczał już doktor Lyon nachylając się nad głową Bernie.

- Co tam masz? - zwrócił się do Sylvii sprawdzając puls na tętnicy szyjnej. Nim Sylvia zdążyła odpowiedzieć, jedną ręką sięgnął do kieszeni po małą latarkę, a drugą podniósł powiekę. Poświecił w nieruchome oczy.

- Popatrzcie na te ślady na szyi - powiedziała Rae mając na uwadze ewentualne niedotlenienie mózgu, a także z obawy jakiegoś wewnętrznego krwotoku.

148

- Co tu się stało? - zapytał Everett. Nie odwracając wzroku od twarzy Bernie, schował latarkę do kieszeni i zaczął delikatnie uciskać jej żołądek.

- Ciśnienie sześćdziesiąt na czterdzieści - poinformowała Sylvia. Jedna z pielęgniarek wkuła igłę w lewe ramię i podłączyła do niej przewód od kroplówki.

- Masz rację, Rae - rzekł Everett, pomagając podnieść Bernie i położyć ją na wózku. - Brzuch jest miękki, myślę, że ma wewnętrzny krwotok...

- Zadzwoń na oddział intensywnej terapii. - Rae ruszyła do telefonu.

- I niech ściągną najlepszego chirurga ogólnego i neurochirurga - krzyknął za nią Everett. Telefon dzwonił i dzwonił.

- Do jasnej cholery, niech ktoś odbierze. - Już chciała odłożyć słuchawkę i zadzwonić do operatora, kiedy ktoś się zgłosił.

- Tu doktor Duprey - szybko przedstawiła całą sytuację.

- Przywieźcie ją tutaj - odpowiedziała pielęgniarka - zaopiekuję się nią na pewno. Bernie to moja dobra koleżanka, zajmę się wszystkim.

- Zespół intensywnej terapii czeka - krzyknęła Rae i wróciła do leżącej na wózku Bernie. Chwyciła jej dłoń, była zimna i lekko wilgotna. Miała nadzieję, że płynąca przewodami ciecz z kroplówki pomoże Bernie przetrwać, aż ją przetransportują na intensywną terapię.

- Puścimy ją przez skaner cytologiczny, zobaczymy, jak groźne są uszkodzenia - odezwał się Everett. - Zajmie nam to kilka minut. Musiała mieć tu ciężką przeprawę. Ktokolwiek to zrobił, nie chciał, aby wyszła stąd o własnych siłach.

Rae próbowała go nie słuchać, ale jego słowa przebijały się przez jej myśli. Nie mogła uwierzyć, że to się stało Bernie. Widziała już ją leżącą na stole operacyjnym. Jeśli na skutek duszenia doszło do skrzepu w mózgu, będą musieli wierceć dziurę w jej czaszce, aby go usunąć. W tym samym czasie muszą też otworzyć całą klatkę piersiową i szukać uszkodzenia wewnętrznych organów, które powodują tak niskie ciśnienie krwi. Miała nadzieję, że będzie to tylko śledziona, bez niej człowiek może żyć. Ale najbardziej martwiła się mózgiem Bernie. Jeżeli się obudzi, czy będzie to ta sama Bernie?

- Wyjdzie z tego, czuję to - powiedziała głośno.

- Lepiej zadzwoń do banku krwi - odezwał się Everett. - Niech przygotowują osiem paczek mieszanki. Wygląda na to, że będzie musiała przejść przez niezłe piekło, aby wyjść z tego...

149

Kiedy zabrali Bernie, Rae ciężko opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Dlaczego zgodziła się, aby Bernie sama przeglądała te karty? Po

co wplątała ją w to wszystko? Przecież to nie Bernie miała obietnicę od Heidi, ona chciała tylko zatrzymać swoją pracę. I trafiła na stół operacyjny.

Chciała z nią jechać na badanie CT, a później na intensywną terapię, ale Everett wolał, by została tutaj i złożyła meldunek ochronie. Siedziała więc teraz z rękoma skrzyżowanymi na piersi, kiwając się na krześle w przód i w tył. Bardzo wiele kosztowało ją puszczenie ręki Bernie na wózku.

Potrząsnęła głową nie wierząc w to wszystko. Tuż przed nią na podłodze leżał czepek jej najlepszej przyjaciółki. Wstała z krzesła, podniosła go i wróciła z powrotem zastanawiając się, kto i dlaczego to zrobił.

Nagle ogarnęła ją fala złości i gniewu. Ścisnęła pięści tak mocno, że paznokcie zrobiły się niemal białe. Bernie była przyjaciółką nie tylko jej, ale i wielu innych osób. Czemu ktoś chciał pobić pielęgniarkę czytającą karty medyczne pacjentów? Czemu to spotkało Bernie...?

Dlaczego tak się stało? Czy był to przypadek, czy może...?

Wolno odwróciła się do przegródki doktora Marco Donavelliego. Wczoraj była pusta, ale nie teraz. Nawet z miejsca, gdzie była, widziała włożone w nią karty chorobowe. Czy to były te cztery brakujące karty?

W swoim portfelu miała jeszcze kartkę zapisaną wczoraj przez Leslie.

Ręce jej drżały, kiedy podeszła, wyjęła ją i porównywała nazwiska z kartki z tymi wypisanymi grubym, czarnym flamastrem na etykietach kart.

Zgadzały się, to były karty pacjentek Bo.

Ręce nagle przestały jej drżeć, stała jak skamieniała. Było tylko jedno wytłumaczenie: osoba, która zwróciła karty, była tą, która próbowała zabić Bernie.

Ale to nie mógł być Marco, powiedziała szeptem do siebie. Nie Marco...

Szybko wyjęła karty z jego przegródki, jej była pół metra dalej. Włożyła je obok czterech, które złożyła tam Yvonne.

- Czy pani doktor Duprey?

Odwróciła się i zobaczyła młodego mężczyznę ubranego w ciemny kombinezon ochrony szpitala. To jego głos słyszała w słuchawce telefonu. Mimo dwumetrowego wzrostu twarz miał niezwykle dziecinną. Nie wyglądał na mężczyznę mogącego kogoś ochronić.

- Mam nadzieję, że niczego pani tu nie ruszała? - zapytał poważnie.

- Sądziłam, że wasze biuro jest jakieś dwadzieścia metrów stąd - rzekła sucho. - Gdzie, do cholery, byliście?

150

Patrzyła, jak rozgląda się po pomieszczeniu, osłupiała wręcz tym, co zobaczył. Szpitale są raczej uważane za miejsca bezpieczne. To pomieszczenie jednak przeczyło temu.

- Niech pan posłucha - zaczęła bardziej spokojnym, proszącym tonem. - Osoba, która tu została napadnięta, to moja najlepsza przyjaciółka. Teraz właśnie jest w drodze na intensywną terapię i chciałabym tam zerknąć. Pisał coś w notatniku. - Policja będzie tu za pięć minut.

- A ja będę z powrotem za dwie, tylko zobaczę i... Ochroniarz przerwał jej ruchem ręki.

- Wiem, co mam robić.

Westchnęła głośno. Nie lubiła, kiedy ktoś się wymądrzał w jej obecności. Uznała, że dalsza rozmowa z nim nie ma sensu. Mogła tylko pogorszyć całą sytuację. Siadła na krześle i opowiedziała mu krok po kroku, co tu spotkała.

- Coś jeszcze? - zapytał, skrzętnie zapisując każde jej słowo.

- Czego jeszcze by pan chciał? Ktoś ją pobił, próbował zabić - odparła z irytacją w głosie. Trudno jej było w to ostatnie uwierzyć. - Czy mogę już iść?

Wtedy usłyszeli pukanie i do pokoju weszło dwóch umundurowanych policjantów.

Starszy z nich był czarny. Miał bardzo krótko przystrzyżone włosy i mocno przyprószone siwizną wąsy. Na widok Rae uśmiechnął się jak ojciec do córki. Drugi był biały i znacznie młodszy z rudymi włosami zaczesanymi mocno do góry.

- Sierżant Lane - odezwał się starszy policjant wyciągając do niej rękę. Uścisk był mocny i pewny, jak u osoby doskonale znającej swoje możliwości. - Mój małomówny kolega - wskazał na młodszego, który rozglądał się już dookoła - to Bruce Mailer.

Rae wyciągnęła rękę i do niego, ale chyba nie miał nawet czasu, by to zauważyć.

- Czy to pani znalazła ofiarę? - zapytał Lane. Rae kiwnęła głową. - Ma na imię Bernie. Tak, to ja ją znalazłam. Czekala, aż sierżant rozejrzy się po pomieszczeniu. Wreszcie skończył, wzdychając ciężko.

- Moje dzieciaki urodziły się w tym szpitalu - rzekł. - Ale pani tu chyba jeszcze nie było, co?

- Mówi pani, że ona była pani przyjaciółką - wtrącił się Mailer, stojąc w rozkroku nad czepkiem Bernie.

- Najlepszą przyjaciółką - dodała, patrząc na jego chudą twarz.

151

- No tak - Lane włożył ręce do kieszeni. - Może przejdziemy do tego drugiego pokoju. Widziałem tam puste stoły, przy których moglibyśmy

usiąść i pogadać.

- A mogę chociaż zadzwonić na intensywną terapię? - zapytała. - Żeby wiedzieć, co się z nią dzieje.

- Będzie prościej i łatwiej, jeżeli najpierw załatwimy nasze sprawy

- odparł sucho Mailer.

Przeszli do pomieszczenia obok. Sierżant Lane przysunął jej krzesło, a sam usiadł na drugim. Kiedy Mailer chodził obok nich wpatrując się w podłogę, Lane rozpoczął przesłuchiwanie Rae od standardowych pytań - jak się nazywa, jak długo pracuje w szpitalu, co tu robi i jak znalazła nieprzytomną Bernie.

- Piąta trzydzieści rano to bardzo wczesna pora na podpisywanie kart chorobowych - wtrącił się Mailer.

- I co z tego - odparła ostro.

- Niech nam pani opowie, co tu się stało - poprosił Lane - od samego początku.

- Opowiedziałam już to wszystko strażnikowi - rzekła sucho.

- Będzie prościej, jeżeli opowie nam to pani jeszcze raz - stwierdził Lane. Zajęło jej to niespełna dwie minuty. Nie opowiedziała im tylko o tym, jak zmieniła miejsce położenia czterech kart chorobowych.

- Czy teraz mogę już iść? - zapytała.

Nagle wokół nich dało się zauważyć wzmożoną aktywność policji. Do pomieszczenia, w którym siedzieli, weszło kilku mężczyzn ubranych w policyjne mundury oraz kilku w założonych na mundury jaskrawych kamizelkach. Dwóch z nich rozciągało i zaczepiało jasnożółtą taśmę zagradzając dostęp do archiwum.

- No cóż, nie widzę na razie powodu, dla którego mielibyśmy panią tu

teraz trzymać. - Lane wstał z krzesła. - Ale gdyby się pani coś przypomniało, proszę do mnie zadzwonić - zapisał numer na skrawku papieru i podał Rae.

Rae wsadziła kartkę do kieszeni spodni i ścisnęła na pożegnanie jego rękę. Mailer nie zwrócił uwagi na jej do widzenia, odwrócił się i odszedł do policjantów krzątających się po archiwum.

- Ja ciągle jednak muszę przejrzeć te karty - odezwała się Rae - a one są tam - wskazała ręką na zagrodzone żółtą taśmą wejście do archiwum.

- Cholera - westchnął Lane drapiąc się ręką po karku. - Będziecie nam tu się kręcić przez cały dzień - dokończył.

152

- Prawdopodobnie tak będzie.

Lane przygładził dłonią wąsy i zawołał jednego z mężczyzn w jaskrawej kamizelce.

- Pozwólcie jej tam wejść. Ona też musi pracować.

- Ja też muszę robić swoją robotę i nikt się tym nie przejmuje. - Spojrzał na nią z dezaprobatą.

Rae nie pozostała mu dłużna mierząc go ostro, gdy zabierała karty ze stołu, i ruszyła w stronę archiwum.

Potem siadła przy tym samym stoliku, przy którym wypytywał ją Lane, odłożyła osiem kart i podeszła do telefonu. Usłyszała, że właśnie przywieziono Bernie i lepiej, żeby się tam na razie nie pokazywała. Na sali operacyjnej jest komplet lekarzy i pielęgniarek. Dwóch neurochirurgów, dwóch chirurgów naczyniowych, dwóch chirurgów ogólnych, personel techniczny i cały zespół pielęgniarek.

Rae podziękowała pielęgniarce i odłożyła słuchawkę; czuła się

przygnębiona, ale tamta miała rację. Personel na sali operacyjnej nie chciałby widzieć tam kogoś obcego przeszkadzającego im.

Zła, usiadła przy stoliku i zaczęła wertować karty, jakby jej życie od tego zależało. Najpierw te cztery, które oglądała już z Bernie, a potem te znalezione rano. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu nie znalazła nic nowego. Tętno serc noworodków było w porządku w Centrum Porodów i podczas transportu. Natomiast kiedy pacjentki dostarczane były na jej oddział, wszystko się diametralnie zmieniało. Jak to się mogło tak dzieć? Co się działo z pacjentkami pomiędzy wniesieniem ich do karetki, a przewiezieniem na oddział? Czyżby Bo miał rację? Czysty przypadek? Jeżeli było jakieś wytłumaczenie, to te karty chorobowe go nie zawierały. A była taka pewna, że odkryją przed nią całą tajemnicę. Czuła się pokonana. Zamknęła ostatni skoroszyt i próbowała pomyśleć nad nowym posunięciem. Ale myśli krążyły tylko wokół Bernie i nie potrafiła się skoncentrować na niczym innym.

O wpół do siódmej, dokładnie na trzydzieści minut przed spotkaniem z Samem, Rae włożyła notatki do swojej przegródki w archiwum i ruszyła w stronę schodów. Z każdą chwilą, jak oddalała się od tego miejsca

153

i policjantów zajętych wykonywaniem swych obowiązków, czuła się coraz lepiej.

Poszła na swój oddział. Musiała sprawdzić, jak się ma po porodzie Angel Lloyd i pozostałe pacjentki. Zwykle tuż przed zmianą pielęgniarki uzupełniały karty chorobowe, ale tego ranka wszystkie stały razem i rozmawiały przyciszonymi głosami pełnymi przejęcia i lęku. Żadna nie reagowała na dzwonek wzywającej pacjentki.

— Dzień dobry — odezwała się Rae wchodząc na oddział. — Może zobaczcie, co się dzieje...

Rita Hale, najmłodsza z pielęgniarek ruszyła do sali. Rae podeszła do biurka i wyjęła kartę Angel.

— Słyszałyśmy, że to pani znalazła Bernie. Czy to prawda? — zapytała przejętym głosem Rita, która zdążyła wrócić od pacjentki.

Rae przysiadła na krześle i zaczęła przeglądać kartę Angel. Ręce jej drżały.

— Nie mogę teraz o tym mówić — odezwała się cicho. Zaraz otoczyły ją i inne pielęgniarki.

— Jak pani sądzi, dlaczego tak się stało? — pytała Rita. — Przecież wszyscy ją tu lubią. Czy zrobił to ktoś ze szpitala? Rae spojrzała w przerażone oczy Rity.

— Ja też się boję. Ale najważniejsze jest, by Bernie wyszła z tego — dodała cicho. Pielęgniarki zaczęły szeptać między sobą. — Powiedźcie mi lepiej, która z was zajmowała się Angel?

Jedna z pielęgniarek podała, że Angel czuje się dobrze, inna dodała, że pozostałe jej pacjentki również.

— Dzięki — Rae wstała z krzesła. Zrobiła kilka kroków, lecz czując wzrok wszystkich pielęgniarek na plecach, zatrzymała się i powoli odwróciła. — Nie wiem, kto mógł to zrobić, i nie mogę też pojąć dlaczego. Ale się dowiem, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w tym szpitalu.

Pielęgniarki wolno pokiwały głowami. Rae odwróciła się i ruszyła do pokoju Angel. Córeczka Angel spała słodko w łóżeczku obok mamy.

Widok dziecka podniósł Rae na duchu. Noworodki były dla niej całym światem, stwarzały nadzieję, że każdy następny dzień będzie lepszy.

— I jak? — spytała Rae, zmuszając się do uśmiechu, gdy siadała na łóżku Angel.

— Mogłabym tu zostać jeszcze dzień? Proszę... — odezwała się z nadzieją w głosie Angel. — Wiem, co mówi moje ubezpieczenie, ale przecież jesteś lekarzem.

Rae ścisnęła ją za rękę.

154

— Zobaczymy, co się da zrobić. Widzę, że bierzesz udział w planie opieki zdrowotnej — powiedziała, zerkając na jej kartę. — Ile dni ci gwarantują?

— Nie wiem — rzekła Angel, wzruszając ramionami. — Ale przy następnym dziecku podpiszę każdemu, kto mi zagwarantuje co najmniej trzy dni. Zapłacę więcej, ale też dostanę więcej.

Rae zaśmiała się lekko: — To się nazywa amerykańskie podejście do sprawy.

— I zamierzam wtedy rodzić ze znieczuleniem — dodała Angel. — Ten naturalny poród mało mnie nie zabił.

Rae znów się uśmiechnęła. Przypomniała jej jeszcze, że po wyjściu stąd, będzie musiała przyjść do niej do kontroli za sześć tygodni.

— Dobrze się czujesz, Rae? — spytała nagle Angel. — Wyglądasz, jakbyś straciła najlepszego przyjaciela. Rae ścisnęła jej rękę.

— Prawie — odparła cicho. — Moja najlepsza przyjaciółka jest właśnie na sali operacyjnej.

Angel pokiwała ze zrozumieniem głową i uśmiechnęła się.

— Miejmy nadzieję, że nie jest w tej samej firmie ubezpieczeniowej co ja i będzie mogła trochę dłużej poleżeć w szpitalu.

Rae życzyła zdrowia jej i dziecku. I poszła do sali kolejnej swojej

pacjentki, Patty West, trzydziestodwuletniej profesor biologii, której ciąża była zagrożona z powodu jej silnej cukrzycy. Rae sztucznie wywołała u niej poród i ucieszyła się, że pomimo wszystkich kłopotów Patty szczęśliwie i bez problemów urodziła dziecko. Zastukała i weszła do pokoju.

Zasłony były zasunięte i w pokoju panował głęboki mrok przesycony zapachem kwiatów. Z kształtów na półce pod ścianą Rae rozróżniła co najmniej dziesięć bukietów.

Cicho podeszła do łóżka.

— Patty? — odezwała się. — To ja, Rae. — Patty nie odezwała się.

Wyglądała, jakby mocno spała. — Patty? — powtórzyła Rae potrząsając ją lekko za ramię.

Patty wolno otworzyła oczy.

— Proszę, pomóż mi — rzekła słabym drżącym głosem.

Przez ciało Rae przebiegł alarmujący dreszcz. Teraz dopiero zauważyła świecącą się nad jej łóżkiem delikatną czerwoną lampkę. Dotknęła jej czoła, było zimne i wilgotne. Spojrzała na stojący obok stolik, był pusty, nie było soku ani krakersów.

— Niech to szlag trafi — zaklęła i wybiegła szybko z pokoju. Zostawiła wyraźną instrukcję, aby zawsze na stoliku był sok i krakersy. Patty

155

miała swoisty rodzaj cukrzycy i poziom cukru w jej krwi spadał bardzo gwałtownie.

W korytarzu była właśnie Georgia Burns, potężna pielęgniarzka, która zawsze nosiła przy swoim stetoskopie małą niemowlęcą buteleczkę.

— O rety, z pani to ranny ptaszek... — zaczęła mówić do Rae.

— Czy nikt tu, do cholery, nie odpowiada na wezwania pacjentek? — krzyknęła Rae, biegnąc w stronę pokoju pielęgniarek. — Chodź tu szybko, potrzebuję kroplówkę i trochę D-50!

Obok niej znalazła się nagle Rita. We trójkę pozbierały wszystko, co było potrzebne Rae. Kroplówkę, przewody, igłę i ampułkę ze skoncentrowanym roztworem glukozy. Szybko wróciły do Patty. Rae przemyła spirytusem jej prawe ramię, a Rita założyła opaskę uciskową. Pewnym ruchem Rae wkuła igłę w żyłę łokciową i szybko założyła kroplówkę. Kiedy Rae przekręciła kurek, zobaczyły, jak roztwór glukozy zaczął wpływać do ramienia Patty. Rae odetchnęła z ulgą, w ciągu kilku sekund Patty otworzyła oczy.

— Rae? — odezwała się.

— Witaj na nowo, skarbie — powiedziała z uśmiechem Rae.

Po powrocie do gabinetu pielęgniarek Rae nie ukrywała swojej złości. Było oczywiste, że Patty dzwoniła po nie, ale żadna się nie ruszyła. Rita usiadła na krześle ze spuszczoną głową.

— To moja wina — zaczęła — nie wiem, jak to się stało, że nie zauważyłam jej wezwania. Robię, co mogę, pani doktor, ale nie wytrzymuję już tego wszystkiego. Mamy bardzo dużo pracy. Tyle pielęgniarek odeszło do Centrum, obcinają nam wszystko, jak mogą. Te, które tu jeszcze zostały, muszą robić wszystko, zabiegi przedporodowe, odbierać porody, zajmować się pacjentkami po porodzie. Gdzie te stare dobre czasy, pani doktor?

Rae pokiwała głową. Wiedziała o tym, tak samo jak reszta personelu szpitala. Wkrótce dowiedzą się też pacjenci.

— To są nasze stare dobre czasy — rzuciła z sarkazmem w głosie. —

Jeżeli wszystko będzie dalej tak szło, to wkrótce będziemy chciały, żeby było chociaż tak, jak jest dzisiaj...

Wypisała zapotrzebowanie na kroplówkę dla Patty i zaczęła się rozglądać za kartami Noli i Meredith. Nie mogła ich jednak znaleźć, zwróciła się więc o pomoc do Georgii.

— Przykro mi, doktor Duprey — odparła Georgia Burns. — Ale doktor Michaels zaznaczył, że są to pacjentki Centrum Porodów i nie ma pani prawa wglądu w ich karty.

— Co? — z niedowierzaniem zapytała Rae. — Ale to przecież ja odbierałam porody tych pacjentek...

156

— Przykro mi, pani doktor, ale... — Georgia spuściła wzrok. Rae wiedziała, że nie ma sensu wyzywać się na niej za głupie zachowanie Bo.

— W porządku — westchnęła ciężko. — Niech tylko doktor Michaels zrobi dzisiaj obchód u swoich pacjentek. Ruszyła do wyjścia.

— Doktor Duprey...

Zatrzymała się i odwróciła do Georgii.

— Słucham? — zapytała.

— Czy to prawda, co mówią o pani? Czy naprawdę lekarze chcą się zebrać, aby wyrzucić panią ze szpitala? Rae poczuła, jak zalewa ją fala złości.

— To znaczy — mówiła dalej Georgia — ja osobiście w to nie wierzę, ale pomyślałam, że mogłabym porozmawiać z kilkoma osobami i... Rae próbowała się uspokoić. Przecież ona chciała jej pomóc.

— Powiedz im, niech zajmą się swoimi pacjentami, a wszystko będzie w porządku.

Georgia uśmiechnęła się i podniosła kciuk do góry.

Z ciężkim sercem Rae wróciła do archiwum. Czuła, jak wszystko wokół niej się wali. Brak personelu wpływał na jakość pracy, jej oddział toczył walkę z programem kardiochirurgii, z Centrum Porodów przywozili im chore dzieci. Ona sama toczyła walkę z Bo i jego Centrum. Po przesłuchaniu wyrzucają ze szpitala. Po szpitalu aż huczało od tej wieści. A do tego jej najlepsza przyjaciółka walczyła o życie na sali operacyjnej. Wzruszyła ramionami, nie podda się. Przechodząc obok pielęgniarek spieszących na dzienną zmianę, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że są one jakby trochę mniej przyjacielskie w stosunku do niej i dziwnie jakoś na nią patrzą.

Przyspieszyła kroku.

W archiwum wyjęła ze swojej przegródki notatnik i wyrwała z niego pierwszych siedem kartek. Zawierały one informacje spisane z kart chorobowych, które przeglądała rano. Na kartkach narysowane były linie oddzielające podobieństwa, jakich się doszukała, dlaczego pacjentka została przewieziona z Centrum do nich i dlaczego liczba Apgar u niemowląt była niska. Próbowwała ułożyć jakąś teorię na ten temat, ale nie mogła. Z chwilą kiedy wyszła ze swojego oddziału, niepokój o Bernie zawładnął całym jej umysłem. Wczoraj nie mogła tego zrobić z powodu zmęczenia, dzisiaj nie pozwalała jej obawa o Bernie.

Wpatrując się w kartki usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się i zobaczyła zbliżającego się Sama. Ubrany był w spodnie koloru khaki, w podob-

157

nym kolorze polo i jasnożółty blezer. Pewny wyraz twarzy i nieodłączny uśmiech powiedział jej, że na pewno nie słyszał jeszcze o tym, co tu się

wydarzyło.

— Witaj — rzekł. — Co słyszeć? Rae spięła wszystkie kartki razem.

— Myślę, że nie będziemy mogli pogadać — odparła krótko. Sam szeroko otworzył oczy. Uznała, że za to, iż wstał tak wcześnie, aby się z nią spotkać, powinna mu się wytłumaczyć.

— Bernie jest ranna. Ktoś ją pobił, kiedy była tu, w archiwum. W tej chwili jest na stole na intensywnej terapii.

— Że co? A kto to jest Bernie? — zapytał Sam.

— Moja najlepsza przyjaciółka — szybko odpowiedziała Rae. — Widziałeś ją wczoraj na sali, kiedy zastępowała mnie przez chwile, jak ratowaliśmy dziecko Noli...

Nagle poczuła, jak z jej twarzy znika maska, pod którą ukrywała całe swoje zdenerwowanie.

— Zaraz, spokojnie — rzekł Sam. — Mam czas, może mi wszystko objaśnisz.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła mu opowiadać. Jego twarz pozostała bez wyrazu. Na koniec spytała:

— Tak tylko dla mojej informacji, czy Marco wychodził z domu po przyjęciu? — Wskazała na plik kart. — Jeszcze o północy brakowało czterech. Dziś rano, kiedy znalazłam Bernie, te cztery były w przegródce Marco.

Wyraz twarzy Sama w dalszym ciągu pozostawał obojętny.

— Dlaczego nie spytasz go sama?

— Pytałam wczoraj, czy złożył zapotrzebowanie na te karty. Mówił, że nie.

— Sama widzisz — odezwał się spokojnie.

Rae przyglądała się jego twarzy. Trudno było cokolwiek z niej odczytać. Odpowiedzi, jakich jej udzielał, były żadne, nie wносиły nic nowego. Prędzej czy później zmusi go jednak, aby wyjaśnił jej wszystko.

— Czy ty nigdy nie dajesz prostych odpowiedzi na proste pytania?

Zapytałam, czy Marco wychodził z domu po przyjęciu?

— Sądziłem, że ci odpowiedziałem — stwierdził spokojnie. — Zobaczmy lepiej, jak się ma twoja przyjaciółka...

Podniósł słuchawkę telefonu. Wykręcił numer i zaczął rozmawiać z jakąś pielęgniarką. Rae przyglądała mu się z rosnącą uwagą.

— Wygląda na to, że mają tam co robić — rzekł, odkładając słuchawkę.

158

Jej oczy rozszerzały się wraz ze strachem.

— Co jeszcze ci powiedzieli?

— Usunęli jej śledzionę i dostała już sześć jednostek krwi. Wygląda na to, że jest gdzieś jeszcze wylew, którego nie mogą znaleźć. Rae uniosła dłoń.

— Bądźmy dobrej myśli — wyrzekła jak jakąś mantrę.

Wzięła głęboki oddech i przysunęła do siebie kartoteki, otworzyła pierwszą. Litery zamazywały jej się przed oczami. Dopiero po chwili zorientowała się, że to jej ręce tak drżą, a Sam przygląda jej się w milczeniu.

Uderzyła pięścią w stół.

— Sam! Do cholery, przestań mi się tak przyglądać. Jeżeli moje ręce chcą drżeć, niech sobie drżą! Jeżeli chcę tu siedzieć i przeglądać te karty, to moja sprawa, jasne? Czego oczekujesz ode mnie? Mam paść na podłogę i płakać?

— Od tego też można zacząć — odparł spokojnie .

— Łzy są bezużyteczne — wykrztusiła. — Wierz mi, że wiem coś o tym. Po chwili odzyskała kontrolę nad swoim głosem.

— Pytałeś, czy możemy razem przejrzeć te karty. Mógłbyś więc przestać przejmować się mną i pomóc mi z nimi?

— Czego mam szukać? — Sięgnął po pierwszą kartę.

— Zobacz, czy się ze mną zgodzisz... — Wytłumaczyła mu, czego doszukała się w tych kartach i że jej wnioski całkowicie zgadzały się z tym, co przekazała Bernie. Wszystkie karty należały do pacjentek przewiezionych do ich szpitala z Centrum Porodów. I wszystkie dzieci urodziły się w Berkeley Hills z objawami zagrożenia płodu.

— Jesteś tego pewna? — zapytał Sam, ze szczerym zainteresowaniem w głosie.

Rae starała mu się wytłumaczyć, że teraz jest tego nawet bardzo pewna, bo wszystkie noworodki urodziły się z bardzo niską liczbą Apgar, a jedno z nich zmarło w tydzień po narodzinach.

Sam ze zrozumieniem pokiwał głową.

— I jedna z matek też zmarła — dodała.

— Przy porodzie? — zapytał z niedowierzaniem. — Czy to się jeszcze zdarza? Która to karta?

— Ta, którą ci właśnie dałam.

Przyglądała się, jak powoli i z uwagą przegląda kartkę po kartce. Twarz, jak zwykle, nie wyrażała nic. Czytał jak naukowiec, spokojnie i dokładnie, nie wyciągając żadnych pochopnych wniosków, zanim nie skończy.

159

Ona robiła to zupełnie inaczej, nie potrzebowała wszystkich informacji. Tak samo dobrze wyciągała wnioski na podstawie zdarzeń lub krótkich

informacji, jak i w oparciu o niezbitą fakty. W ostatnim okresie była świadkiem zbyt dużej ilości komplikacji przy porodach. I Sam miał rację, zgon przy porodzie był już rzadkością. Ostatni taki wypadek w Berkeley zdarzył się dobre dziesięć lat temu, pacjentka miała jednak bardzo mocno zaawansowane zapalenie płuc i żadna ilość antybiotyków nie była w stanie już jej pomóc.

— Tu piszą, że przez długi czas chorowała na nadciśnienie — odezwał się Sam.

— Nikt nie umiera na nadciśnienie sto czterdzieści na dziewięćdziesiąt. A poza tym nigdy nie było u niej stanu przedzucawkowego. Zerknął na nią.

— Wygląda, że znasz już te karty na pamięć.

— Sam, tu naprawdę dzieje się coś niedobrego — odezwała się gwałtownie. — Tak jak coś niedobrego przydarzyło się tym dwóm rodzącym wczoraj rano. Wiem to i wiem też, że Bo również zdaje sobie z tego sprawę. I chyba stara się coś ukryć.

— Na przykład co? — Sam odłożył kartę. Oparty wygodnie o krzesło założył nogę na nogę.

— Nie wiem. Ale cokolwiek to jest, myślę, że Bo stara się zwalić wszystko na mnie. To on jest w kłopotach, ale chce, by na mnie spadło. — Odchyliła się i pokręciła głową. — Nie mogę sobie wyobrazić, jak ktoś mógł napaść na Bernie — dodała ponuro.

— Nie sądzę, aby ktoś chciał na nią napaść — powiedział Sam, rozglądając się po pokoju.

— Tak? Jak więc nazwać to, że ktoś ją pobił...? Sam podniósł dłoń, przerywając jej.

— Nie to miałem na myśli. Sądząc po bałaganie, jaki tu panuje, Bernie

zaskoczyła tu kogoś i dlatego tak się stało. Gdyby ktoś chciał dostać Bernie, nie robiłby tego tutaj.

— Ale tu nikogo nie ma o tak wczesnej porze.

— I Bernie też nie powinno być. Przecież pracuje na porodówce i w czasie przerwy mogła być najwyżej w kawiarence.

— Ale ona mi pomagała.

— Cokolwiek to było — ciągnął Sam — pewnym wydaje się fakt, że gdyby ktoś chciał dostać Bernie, trafiłby do jej domu albo jeszcze gdzie indziej. Nie uważam też, że ten ktoś chciał ją zabić, bo wtedy by to zrobił. Użyłby noża albo pistoletu tylko po to, aby być pewnym...

Rae zamachała ręką. Nie chciała słuchać jakiś potwornych wywodów o tym, co by było, gdyby...

160

— Posłuchaj, ja uważam, że... — opowiedziała mu swoją teorię na temat brakujących kart i jaki widzi tu związek z atakiem na Bernie.

Kiedy skończyła, Sam pokręcił głową. — Myślę, że to szyte zbyt grubymi nićmi — stwierdził stanowczo.

Rae wiedziała swoje. Zauważyła, że jego ciemne brwi nieznacznie się podniosły w pewnej chwili, co mogło znaczyć, że tak do końca to nie odrzuca jej teorii.

— Ale to prawdopodobne...? — zapytała zaciekawiona.

— W pewnym sensie.

— A gdzie poszedłeś, jak odjechałam wczoraj z parkingu?

— Myślisz, że wiem coś, o czym nie chcę ci powiedzieć?

— A czy tak jest?

— A czy ty powiedziałaś mi wszystko?

— Myślisz, że skrzywdziłabym Bernie?!

— A dlaczego ja miałbym to zrobić? — cierpliwie odpowiadał Sam. — Poza tym pamiętaj, że to nie Bo odbierał porody Noli i Meredith. Tylko ty...

Rae zauważyła, jak Sam sprytnie odwrócił sytuację. Nie było to wcale przyjemne.

— No tak, rozumiem — odparła z rezygnacją w głosie. Przez chwilę panowała cisza, żadne nie odzywało się zajęte swoimi myślami.

— Może zrobimy sobie krótką przerwę na śniadanie — odezwał się po chwili Sam klepiąc się lekko po żołądku.

— Chyba masz rację — zgodziła się, ale w tym samym momencie coś przykuło jej uwagę.

— Co jest? — zapytał zdziwiony Sam.

Rae przyglądała się nieczytelnemu podpisowi na raporcie wypisanym przez obsługę karetki. Był taki sam jak na raporcie w teczce Noli Payne. Dziwne, że wcześniej tego nie zauważyła.

— Sam, podaj mi resztę kart...

Podawał je, jedną po drugiej, wszystkie miały ten sam podpis.

— Coś mi się zdaje, że jeden z naszych znajomych pielęgniarzy też ma z tym coś wspólnego — stwierdziła autorytatywnie. Sam przekładał dalej karty. — Trudno to orzec, ale chyba ten podpis należy do Theodore'a McHenry'ego.

— Kogo?

— Mówisz, jakbyś naprawdę nie wiedział. — Oparła się na krzesło. — Przecież to ty nie dalej jak wczoraj pytałeś Theodore'a i jego brata, jak trafić do mnie do domu.

Ponownie przejrzała karty, czekając na reakcję Sama.

161

— Te podpisy niczego nie dowodzą — rzekł. — Założę się, że gdybyś przejrzała wszystkie karty pacjentek przewiezionych tu z Centrum Porodów, znalazłabyś prawie na każdej z nich jego podpis.

— Dlaczego ciągle starasz się ich wszystkich bronić?

— Nie staram się nikogo bronić. Ale zauważ, że wszystkie te pacjentki przewieziono do nas podczas ich zmiany i dlatego jest na tych kartach podpis Theodore'a. Zauważyłem też, że jeden z nich jest jakby szefem i to właśnie Theodore. Przestań ich podejrzewać tylko dlatego, że robią swoje.

— Ale to nie może być jeden wielki zbieg okoliczności — upierała się Rae.

— Przecież ty nawet nie wiesz, co to jest. Co z tego, że wszystkie przypadki odbierał ten sam lekarz? Albo że w każdym z tych przypadków wystąpiło zagrożenie płodu? Mogą to być zupełnie odizolowane przypadki. Zerknij tu, tę pacjentkę przewieziono do nas, bo przez trzy dni trwał pierwszy okres porodu, u tej z kolei nastąpiło nagłe zwiększenie ciśnienia krwi, u następnej w drugim stadium porodu nastąpił stan przedrzucaw-kowy. Ta z kolei miała skomplikowany poród pośladowy, a u tej na odmianę wystąpiła nagła opryszczka narządów rodnych... Rae, poza tym, że przewieziono je do naszego szpitala, one nic nie mają ze sobą wspólnego. A i osiem takich przypadków w ciągu dwóch miesięcy, to żadna wielka liczba.

— Ale dla mnie to dużo — odparła Rae. — Sam, to jest szpital Berkeley Hills. Tu nie rodzą się dzieci z niską liczbą Apgar... — Przerwała. — Jesteś tu przecież tylko dwa miesiące, prawda?

— Może tobie jest potrzebne, by te przypadki miały coś wspólnego — zauważył Sam.

— A może ktoś ma coś przeciwko Centrum Porodów? — odparowała. — Może ktoś chce kogoś wykopać z tego interesu? Ten ktoś mógł wykraść te karty z jakiegoś powodu i próbować je odłożyć z powrotem, sądząc, że nikogo tu nie zastanie. Ale niestety Bernie była i widziała go... — Przyglądała się twarzy Sama usiłując coś wyczytać z niej, ale jak zwykle jego twarz była nieprzenikniona. — Bernie zna Marco, może on wcale nie pojechał do domu April...

Jej myśli galopowały w coraz szybszym tempie, lecz w tym samym momencie Sam wstał z krzesła.

— Obiecałaś wypić ze mną kawę i zamierzam sprawić, abyś dotrzymała swojej obietnicy. Zaczynasz wygadywać głupoty, a ja z pustym żołądkiem nie mogę już ich słuchać. — Zebrał ze stołu wszystkie karty.

— Jeszcze nie skończyłam! — krzyknęła.

Sam spokojnym krokiem podszedł do przegródek i włożył tam karty.

162

— One nigdzie stąd nie pójda, ale my tak.

— Ale muszę się jeszcze dowiedzieć, co z Bernie — próbowała protestować Rae.

— A jak myślisz, gdzie cię zabieram najpierw?

Chyba w żadnym miejscu w szpitalu nie były tak widoczne wizje Wal-kera Stuarta, odnośnie wyglądu szpitala dwudziestego pierwszego wieku, jak na oddziale operacyjnym. Tu było to chyba jeszcze bardziej wyrafinowane niż na oddziale Rae. Każda z sal operacyjnych była tak duża, iż mogła pomieścić dwie różne operacje równocześnie. Lasery, mikroskopowe

wzierniki operacyjne i bogate wyposażenie wideo świadczyły o tym, że nikt na to wszystko nie żałował funduszy. Nawet położenie piętnastołóżkowej sali pooperacyjnej było bardzo uważnie wybrane przez samego Wal-kera. Aby uchronić oddział przed nawałem odwiedzających, sala ta została przeniesiona z czwartego piętra na parter.

Założyli chirurgiczne fartuchy i czepki, a na twarze maski operacyjne. Rae szła wolnym krokiem tuż obok Sama. Przeszli obok pokoju pielęgniarek, w którym, dzięki rozmieszczonym kamerom, był podgląd każdej sali z pacjentem.

— Jest w pokoju numer jeden — powiedziała pielęgniarka.

— Co z nią? — spytał Sam.

Pielęgniarka pokręciła tylko głową i wróciła do przerwanej rozmowy telefonicznej.

— Mam nadzieję, że brak wiadomości to dobra wiadomość — stwierdziła Rae.

— Pokój numer jeden — odezwał się Sam. — Moje królestwo.

— Chciałabym, abyś tego nie mówił — rzekła poważnym głosem. — Podobno tylko najpoważniejsze przypadki tam trafiają.

— Krwiak podtwardówkowy i pęknięta śledziona już się kwalifikują do tego, co słyszałaś.

Ciarki przebiegły jej po karku, kiedy tak bezosobowo powiedział o Bernie. Lekarze, ona też, zazwyczaj w ten sposób mówili o pacjentach, operując jedynie organami pacjentów. Taki ich własny sposób pracy ze śmiercią i życiem nie pozwalający na jakiegokolwiek uczucia. Lecz mimo to wydawało się jej, że mówić o Bernie jak o zbiorze różnych organów było bardzo nie na miejscu.

Każda z sal operacyjnych była wielkości około 17 na 17 metrów.

Przezroczyste ściany umożliwiały lepszą widoczność, lecz tym samym całkowicie pozbawiały pacjentów jakiegokolwiek prywatności. Wiele razy Rae przechodziła obok szklanych ścian i widziała kobiety z szeroko rozłożonymi no-

163

gami podczas wycinania macicy albo mężczyzn z wystającym z członka cewnikiem. Nigdy, aż do teraz, nie myślała o tym, jak ci ludzie się czują leżąc tak na widoku każdego przechodzącego. I właśnie w tym momencie zdecydowała, że w przyszłości każdy taki przypadek będzie zasłonięty kotarą.

Sala numer jeden usytuowana była na samym końcu korytarza. Już z daleka Rae widziała lekarzy i pielęgniarki ruszających się szybko przy stole operacyjnym. Było ich tak dużo, że z trudem mogła zobaczyć leżącą na stole Bernie.

— Gotowa? — zapytał Sam kładąc rękę na drzwiach.

Wzięła głęboki oddech i weszła za Samem na salę operacyjną. Pierwsze, co zauważyła, to nie budzący wątpliwości słodki zapach krwi. Znała go lepiej niż cokolwiek innego na świecie.

Potem uderzyła ją kompletna cisza. Nikt nic nie mówił, każdy zajęty był swoimi czynnościami. To zły znak, pomyślała. Kiedy operacja idzie dobrze, lekarze i pielęgniarki rozmawiają ze sobą. Cisza panowała tylko wtedy, gdy były poważne problemy. Wołałaby usłyszeć tu krzyki i wrzaski lekarzy wołających do pielęgniarek o narzędzia, tak jak to było, kiedy odbierała poród Noli Payne. Cisza tutaj oznaczała, że każdy z operujących miał wszystkie narzędzia pod ręką i całą swą uwagę poświęcał

czynnościom, jakie wykonywał, nie chcąc się rozpraszać własnym głosem. Sam myślał chyba o tym samym, nie odezwał się ani słowem podchodząc bliżej stołu operacyjnego. Rae przeszła obok stolika z narzędziami chirurgicznymi. Jej wzrok padł na sinopurpurową bezkształtną masę wielkości piłki futbolowej, leżącą w metalowej nerce. Przez niewielkie pęknięcie nieśmiało wypływała strużka brunatnej krwi. Śledziona Bernie — pomyślała, a żołądek podszedł jej do gardła.

Zbliżając się do stołu operacyjnego zauważyła, że przy leżącej na nim Bernie pracują dwa zespoły chirurgów. Jeden u szczytu stołu, a drugi w połowie jego długości. Tuż obok stołu zobaczyła stolik z przyrządami chirurgicznymi, jakich nigdy nie używała podczas operacji na swoim oddziale. Była tam piła i zakrwawione połyskujące srebrem wiertło, którym wiercono dziurę w czaszce Bernie. Na podłodze stał kubełek, w którym dostrzegła pasemka srebrzystosiwych włosów. Wywarły one na niej większe wrażenie niż to zakrwawione wiertło. Były one przecież częścią Bernie osoby, a nie Bernie pacjentki.

Poprzez podwieszane do stojaków plastikowe rurki wolno sączyła się krew do ciała Bernie. Mając nadzieję, że główny chirurg uporał się już z wewnętrznym krwawieniem, Rae przysunęła się bliżej stołu. Tak jak sądziła, Bernie była otwarta przez całą długość brzucha, od żeber niemal po

164

samą pachwinę. Czteroklamrowy połyskujący w świetle lamp chirurgicznych metalowy rozwieracz utrzymywał rozcięte brzegi jej ciała daleko od siebie, jak u rozciętej i przygotowanej do patroszenia ryby. Sam podszedł do Rae i delikatnie chwycił ją za ramię.

— Wyprowadź mnie stąd, proszę — odezwała się zdławionym głosem i ruszyła w kierunku drzwi.

Po wyjściu ze szpitala Sam zaproponował jej krótką przejażdżkę swoim granatowym mercedesem. Była zbyt oszołomiona, aby zaprotestować.

Przez pewien czas jechali w zupełnym milczeniu. Rae starała się wyrzucić z pamięci obraz leżącej na stole operacyjnym Bernie

Dlatego zaczęła mu nagle opowiadać o niej. O tym, jak się poznały w szpitalu, i kłóciły na początku. Chciała mu powiedzieć, jak dużo Bernie dla niej znaczy, ale słowa utykały jej w gardle.

Zaparkował przed kawiarnią Raymonda i weszli do środka. Zajęli stolik tuż przy otwartym oknie. Rae była lekko zdziwiona, czując na twarzy ciepły wietrzyk od zatoki. W kawiarni siedziało jeszcze kilka osób, głównie studenci z pobliskiego college'u. Unosił się silny zapach świeżo parzonej kawy i pieczonych bułeczek. Nagle poczuła się bardzo głodna. Zamówiła jajecznicę z dwóch jajek, capuccino bez kofeiny i grzanki. Sam wybrał dużą kawę i podwójną porcję naleśników. Kiedy kelnerka odeszła, spojrzął na Rae i uśmiechnął się.

— I powiedz, czyż tu nie jest pięknie?

— W jaki sposób znalazłeś się w Berkeley Hills? — spytała.

— Żona się ze mną rozwiodła — odparł sucho. — Jej kariera okazała się ważniejsza ode mnie. Ja uważałem, że jest nam razem dobrze, ale ona była odmiennego zdania.

— Długo byliście małżeństwem?

— A jak długo trzeba, by tak skończyć?

Rae westchnęła głośno. Sam znów wykręcił się od odpowiedzi.

— Była prawnikiem — mówił dalej. — Na wszystko trzeba było

odpowiadać tak lub nie... — W jego głosie dało się wyczuć lekki smutek.
— Kochasz ją jeszcze? — zapytała. Za oknem dzieci puszczały latawce.

165

— Ona kochała swoją pracę więcej niż cokolwiek innego na świecie.

— No proszę, znów to samo. Zadałam ci proste pytanie, a ty znów na nie nie odpowiedziałeś. Zresztą nie widzę nic złego w tym, że kobieta kocha swoją pracę. Mężczyźni robią to stale.

— Naprawdę? — rzucił ironicznie.

— Co złego jest w tym, że kobieta wybiera karierę zawodową?

— No to po co wychodzi za mąż?

— A dlaczego ty to zrobiłeś? Jego twarz lekko spochmurniała.

— Życie innego człowieka zawsze powinno być na pierwszym miejscu — odpowiedział cicho. — To jest to, co robimy teraz, siedzimy tu i wpatrujemy się w wody zatoki, nadstawiamy twarze na podmuchy wiatru, patrzymy, jak przesuwiają się chmury i wdychamy morskie powietrze, co jeszcze nam potrzeba? Jeżeli nie potrafimy się cieszyć tym, co tu mamy, to gdzie jest sens naszego pobytu tutaj.

— Powinieneś chyba pracować w Hollywood — skomentowała złośliwie Rae. — Oni lubią tam takie poetyckie banały. Ale życie to krew i odwaga potrzebna do walki ze śmiercią. Tak jak z Bernie na tym stole operacyjnym... — Przerwała, aby uspokoić swój głos. — To Bernie leżąca na tym stole i walcząca o swoje życie pobudza mnie, by dociec, co się stało z tymi pacjentkami z Centrum. Czuję, że muszę to zrobić. O wiele mocniej niż zapach tego morskiego powietrza.

Do stolika podeszła kelnerka i postawiła zamówioną kawę.

— Piękny dzień, nieprawdaż? — odezwała się do nich.

— Wspaniały — przyznał Sam.

— To zależy — dodała cicho Rae.

— Co powiedziałaś? " • Rae czekała, aż kelnerka oddali się od ich stolika.

— Co pięknego w tym widoku jest teraz dla Bernie? — zapytała. — Jakie to ma teraz dla niej znaczenie. Jakie znaczenie ma kolor nieba dla dziecka Noli Payne? Sam, to jest życie, stała walka przeciwko otaczającej nas wszystkim śmierci.

Czuła, jak jej twarz przepełniona jest narastającymi emocjami, a wnętrzości tak puste, że żadna ilość jedzenia nie byłaby w stanie ich wypełnić. Czuła pustkę w sercu, ciągle tę samą od przeszło dwudziestu pięciu lat, a może już teraz większą?

— Hej, Rae, gdzie jesteś? — odezwał się Sam.

Proszę, pomyślała odwracając od niego głowę. Nie pozwól umrzeć Bernie.

— Rae? — ponownie odezwał się Sam.

166

Podparła dłonią podbródek i spojrzała mu prosto w oczy.

— Słuchaj, nie obchodzi mnie, czy moja teoria jest szyta grubymi nićmi, czy też nie. Bernie może umrzeć z powodu czegoś, co ma związek z Centrum Porodów i tyle...

Sam chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu.

— Mam jeszcze prawie dwa tygodnie, aby to udowodnić — mówiła dalej.

— Te osiem noworodków, z których jedno zmarło, jedna pacjentka, która zmarła, dziecko Noli i dziecko Meredith, a teraz jeszcze Bernie... —

Westchnęła. — To nie są tylko dziwne zbiegi okoliczności, Sam. I nie próbuj mnie nawet o tym przekonywać. I ty możesz być w to wszystko zamieszany, przez Marco. Te brakujące karty były wypisane na niego.

— Marco? — zapytał Sam. — Czy ty myślisz...

— Sama nie wiem dokładnie, co mam o tym myśleć — rzekła szybko. — Ale ktokolwiek jest w to zamieszany, odkryję to na pewno.

— Zrobisz wszystko, aby utrzymać swój oddział — powiedział z przekonaniem w głosie Sam.

— Chrzanić oddział! — Uderzyła dłonią w stół. — Udowodnię, że coś złego się tu dzieje, nie dla tego oddziału, ale dla Bernie i tych ośmiu niemowląt, które ledwo uszły śmierci. Dzięki za śniadanie — Wstała z krzesła. — Ale mam coś do zrobienia i nie mogę marnować czasu siedząc tutaj.

Wracali do szpitala nie odzywając się ani słowem. Nim opuściła jego auto, Sam dał jej wizytówkę.

— Dzwon, jak tylko będziesz potrzebowała.

Rae spojrzała na nią: Samuel Arthur Hartman, dr med.

— Przez dwa tygodnie mogę być zajęta, wiesz o tym.

— Tak, wiem — odparł sucho.

Trójkolumnowy monument stał tuż przed nią. Podniosła głowę i poczuła przyjemne ciepło promieni słońca delikatnie muskających jej policzki. Czy o tym mówił Sam? — pomyślała wchodząc do holu szpitala. Może uczucie promieni słońca na twarzy było przyjemne, ale czy to było wszystko?

Zadzwoiła szybko na chirurgię. Bernie ciągle jeszcze była na stole.

— Ale chyba już kończą — usłyszała od pielęgniarki. — Może pani poczekać na nią na intensywnej terapii. Rae odetchnęła z wyraźną ulgą.

— Dzięki Bogu, że wytrzymała operację — powiedziała.

— Teraz musi się jeszcze obudzić — dodała pielęgniarka.

Pacjentki Rae rzadko trafiały na oddział intensywnej terapii. Całe to

miejsce sprawiało, że nie czuła się tu dobrze, zbyt wielu z chorych było tu bliskich śmierci. Znacznie bardziej wolała swój oddział na trzecim piętrze, 167

gdzie niemal co godzinę siedem dni w tygodniu życie się zaczynało, a nie kończyło.

Wydawało jej się też co najmniej niewłaściwe, że najbardziej chorzy pacjenci mają tak przepiękny widok na całą zatokę San Francisco. Wielu z nich leży przez długi czas bez przytomności lub są odurzeni lekami. Nie wiedzą, czy to noc czy dzień i widok, jaki rozpościera się za ich oknem, jest tu bez znaczenia. Z drugiej jednak strony, czy może być coś piękniejszego dla pacjenta, kiedy ze śpiączki otwiera oczy na błyszczące w słońcu wody zatoki. Przypomniała sobie rozmowę z Samem. Może jednak miał rację? Ale wtedy zobaczyła Bernie i znów poczuła absurdalność jego słów.

Bernie leżała w specjalnej kabinie pośrodku sali. Głowę miała zawiniętą plastrami sterylnego opatrunku. Z ust wystawała jej przezroczysta rurka prowadząca do aparatu oddechowego, a z rąk i klatki piersiowej biegły przewody do aparatury monitorującej jej funkcje życiowe. Końcówki aparatu EKG pokazywały bicie serca. Rurkami podłączonymi do pęcherza moczowego wolno spływały kropelki moczu do umieszczonego pod łóżkiem małego białego zbiorniczka.

— To straszne, przerażające — odezwała się pielęgniarka stając u boku Rae.

Rae pokiwała tylko głową. Cienkie białe prześcieradło zsunęło się lekko z Bernie odsłaniając jej małe piersi. Duży chirurgiczny opatrunek przykrywał długie przecięcie ciągnące się od piersi aż po kość łonową.

Rae przykryła jej ramiona i czule dotknęła ciepłego czoła.

— Czy ona w ogóle odzyskała przytomność? — spytała.

Pielęgniarka pokręciła głową.

Obok łóżka stało plastikowe krzesło. Rae usiadła na nim i ujęła dłoń Bernie — czuła, że jej skóra jest sucha i gorąca. Siedziała tak, aż za oknem zobaczyła łodzie powracające do swoich przystani, a zmierzch zapadał nad zatoką.

Wstała wtedy z krzesła — czuła, jak zeszywniały jej mięśnie, a oczy piekły. — Wrócę jutro rano — odezwała się cicho. — A ty zostań tu i czekaj na mnie.

Niedługo potem jechała już w dół Marine Avenue. Minęła połyskującą w zachodzącym słońcu fontannę i wjechała na 1-80. Licznik pokazywał sto na godzinę. Na prawo kudłate chmury kłębiły się w zachodzącym słońcu, czasem przebijał się przez nie promyk słońca i odbijał się w spokojnych wodach zatoki. Tego właśnie potrzebowała. Jasnego promyka, który pomoże jej przetrwać te skołowane i mętne godziny ostatnich dwóch dni. Leopold czekał przy drzwiach. Poklepała go czule po łbie i dała mu jeść. Potem przebrała się w białą bluzę i workowate spodnie.

168

Na kolację wystarczyły jej resztki pasztetu i kromka chleba. Do tego naląła sobie kieliszek czerwonego wina. Przeszła z tym do pokoju i rozłożyła na biurku żółte kartki z notatkami. Chciała porównać informacje z nich z tym, co przemyślała siedząc w szpitalu przy Bernie.

W połowie kolacji wstała z krzesła i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Leopold łypał na nią. Zwykle sama jego obecność uspokajała ją, ale teraz przypominał jej o nieubłaganiu mijającym czasie.

— To nie mogą być zwykłe zbiegi okoliczności, Leopold — odezwała się głośno. Zebrała notatki z biurka i usiadła w swym wygodnym fotelu, a Leopold złożył łeb na oparciu. — Nole i Meredith przywieziono do naszego szpitala tego samego dnia — ciągnęła. — Dziecko Noli miało trzykrotnie owiniętą pępowninę wokół szyi, a Meredith miała dystocję barkową. Inne pacjentki miały nadciśnienie, wysypki, porody kleszczowe, ale u wszystkich objawy zagrożenia płodu występowały dopiero po przewiezieniu do naszego szpitala...

Uszy Leopolda podniosły się do góry, jakby dopiero ostatnie słowa Rae zwróciły jego pełną uwagę.

— Rozmawiałam z Jenny i Fredą — mówiła dalej Rae — ale ani Nola, ani Meredith nie miały wcześniej żadnych oznak zagrożenia płodu. Nawet w karetce, zgodnie z tym, co mówili bliźniacy, w czasie transportu płód miał normalny cykl serca. Kłopoty zaczynały się, kiedy były już u nas. Czy to znaczy, że coś się działo pomiędzy opuszczeniem karetki a przewiezieniem pacjentek na nasz oddział? Ale co i to w tak krótkim czasie?

Pomyślała o Bernie. Mogła być tu teraz tu z nią i przedyskutować wszystko. Bernie na pewno by jej pomogła.

Pomogła przecież tyle razy. Aż zaprowadziło ją to do...

Oparła brodę na dłoniach. Poza Bernie nie miała z kim o tym pogadać. Jej życie ograniczało się do szpitala i domu. Nie miała czasu na nawiązanie bliższych kontaktów z kimkolwiek. Nie miała nawet swojego dziecka, choć tak wiele ich trzymała w ramionach. Pokręciła smętnie głową.

Musiała jak zwykle pozostać sama ze swoimi myślami.

Chociaż, z drugiej strony mogła zadzwonić do Walkera. On był więcej niż

tylko jej mentorem, traktowała go jak przyjaciela. On by wysłuchał wszystkiego. I nie mówiłby, że szyte jest to zbyt grubymi nićmi. Poza tym powinien o tym wiedzieć. Jeśli ktoś celowo krzywdził te dzieci, Walker jej pomoże, by to przerwać.

Zerknęła na leżącą na stoliku wizytówkę Sama. Niby zaoferował jej pomoc, ale przecież nawet na najprostsze pytanie nie chciał udzielić wyczerpującej odpowiedzi.

169

Wzięła wizytówkę do ręki i przyglądała się jej przez chwilę. Mógł chociaż rozwiać jej wątpliwości w sprawie Marco i jego samego. Marco chciał przejrzeć te karty, podpisał zapotrzebowanie. Sam Hartman wie więcej, niż mówi...

Zadzwoń do niego, nim porozmawia z Walkerem. I nie pozwól, by wymigał się znowu od odpowiedzi, nawet jeśli będzie musiała zamknąć go w mieszkaniu, dopóki nie powie jej wszystkiego.

W godzinę później portier Mac zadzwonił, że Sam idzie do niej. Na dzwonek do drzwi Leopold rzucił się z głośnym szczekaniem. Rzadko miała tu gości. Bo miał swój klucz, a Harvey zawsze pukał.

Otworzyła drzwi. Sam ubrany był w białą koszulę, ciemne spodnie i niebieski sweter. Trochę fantazyjnie, jak na taką wizytę, pomyślała.

— Windą trochę się tu jedzie — rzucił z uśmiechem. — Hej, widzę, że od razu mnie polubiłeś — dodał do wachającego jego dłoń Leopolda.

— Nie dodawaj sobie, on wszystkich lubi.

Wprowadziła Sama do pokoju. Słońce właśnie się chowało podświetlając kłębiaste chmury na pomarańczowo. Przez lekko uchylone okno docierał szum aut na 1-80.

— Ładne mieszkanko — zauważył Sam.

— Napijesz się czegoś? — zawołała zza barku.

— Najlepiej wody.

Nasypała lodu do szklanki, dopełniła ją wodą mineralną i wróciła do Sama.

Usiadł wygodnie w fotelu z wysokim oparciem tuż przed oknem, Rae usiadła w takim samym obok. Mimo że siedzieli tuż obok, nie musieli patrzeć prosto na siebie.

— Dzięki — Sam opróżnił szklankę do połowy. — Mówiłaś, że potrzebujesz mojej pomocy...

— Nie powiesz nic, dopóki nie skończę, dobrze? — ostrzegła go. — Chcę, żebyś mi wreszcie powiedział wszystko o Marco i tej jego klinice kardiologicznej. Dlaczego nie mówisz prawdy? W stosunku do kogo lojalni jesteście, ty i Marco? — Przerwała przyglądając się jego reakcji. Jeżeli podniesie brwi lub choć troszkę zmruży te błękitne oczy, będzie wiedziała, że jest w to jakoś zamieszany...

— Mogę już mówić? — zapytał ostrożnie.

— Ale pod warunkiem, że odpowiesz na moje pytanie.

Sam założył nogę na nogę. — Właściwie to jakie to było pytanie?

— Ha, ha — zaśmiała się Rae. — Nie, Sam. Nie tym razem. Mów, co wiesz o Marco i Howardzie Marvinie, i co oni planują w związku z Centrum Porodów Bo.

170

— Ciekawa jesteś, czy Marco próbuje podkopać wiarygodność Centrum Porodów, tak?

Rae próbowała odczytać cokolwiek z twarzy Sama, a i on próbował tego

samego. Nie wydawał się zmieszany. Wpatrywał się tylko w nią lekko pochylony, jakby rozważał, co odpowiedzieć.

— Powiedz mi po prostu to, co wiesz — rzekła sucho. Nie pozwoli mu przejąć inicjatywy.

— Ale to ty odebrałaś dwa ostatnie porody z Centrum — zmrużył lekko oczy. — I to ty równie mocno jak Marco chcesz zamknięcia Centrum. To raczej ja powinienem zapytać, co ty wiesz na ten temat?

— Odpowiedz na moje pytania, a ja, do cholery, odpowiem tobie. — Chociaż bardzo się starała, by nie pokazać narastającego w niej zdenerwowania, nie potrafiła całkowicie zapanować nad głosem. A prowokacyjne pytanie Sama jeszcze ją podenerwowało.

— Marco na pewno sam odpowie ci na każde pytanie dotyczące jego osoby — rzekł.

— Marco chce, aby Bo sprzedał Howardowi Centrum. Sam to słyszałeś u niego na kolacji.

— Mówiłem, że sama go możesz o to zapytać...

— Ale ja pytam ciebie, Sam! Muszę to wiedzieć!

Nie chciała podnosić głosu, ale było w nim coś, co nie pozwalało jej na kontrolowanie emocji. I zdawała sobie sprawę, że nie ma nic wspólnego z Centrum Porodów i całą tą sprawą. Odezwała się znowu, cichym spokojnym głosem: — Sam, proszę, powiedz mi, co wiesz.

— Och, twoje zainteresowaniem moją skromną osobą mi pochwlebia — uśmiechnął się.

— Sam, odpowiedz na moje pytanie...

— No dobrze. — Jakby się jej podporządkował. — Rae, Marco nie jest głupi. Pewnie, że chce dostać część akcji ewentualnej kliniki

kardiologicznej. Ale jakąkolwiek rolę grałby w tej sprawie, nie zrobiłby niczego nielegalnego, a tym bardziej nie skrzywdziłby tych kobiet ani ich dzieci. Jeżeli sądzisz, że jest zamieszany w jakiś spisek przeciwko Centrum, to...

— Tak właśnie myślę — przerwała mu Rae.

Ależ to absurd — powiedział z irytacją w głosie. Rae milczała.

Wpatrywała się w jego twarz.

— I co dalej? — zapytała w końcu. ~- To zbyt niedorzeczne — odezwał się po chwili.

Właśnie, że tak! — krzyknęła. Podniosła się z krzesła i stanęła nad Samem. — Osiem porodów z problemami w ciągu dwóch miesięcy!

171

Sam, nie wiem, jak to było tam, skąd przybyłeś, ale u nas to stanowczo za dużo.

— Może powinnaś porozmawiać na ten temat z Bo.

— Bo nie ma najmniejszego powodu, aby robić cokolwiek złego w swoim Centrum. — Była zaskoczona, że stanęła w jego obronie. — Wierz mi, Sam, on kocha to Centrum bardziej niż wszystko dookoła. Ale coś dziwnego zaczyna się tam dziać, coś, na co powinniśmy zwrócić uwagę. I podejrzewam, że Marco może być w to zamieszany.

— I skoro Marco jest w to zamieszany, to ja też muszę być!

— A jesteś? — zapytała szybko.

No tak, w końcu to powiedziała. A skoro tak, może iść dalej.

— Te karty były wydane dla Marco i w jakiś dziwny sposób trafiły na miejsce, a ty wracałeś w nocy do szpitala.

— I cóż dalej?

— Mogłeś je tam podrzucić. A może jesteś w to zamieszany w jakiś inny sposób? Ci pielęgniarze z karetki nie chcieli ze mną rozmawiać, kiedy zaczęłam zadawać im pytania. Z drugiej jednak strony widziałam, jak ty rozmawiałeś z nimi jak ze starymi przyjaciółmi.

— Aha, więc teraz wprowadzamy jeszcze do tego wszystkiego pielęgniarzy z karetki?

— Właśnie chciałam ci to powiedzieć. Nie jestem pewna co do ciebie czy Marco, ale oni muszą być w to zamieszani!

Sam uniósł brwi ze zdziwienia ale Rae się nie poddawała.

— Te pacjentki były zdrowe w Centrum. Kłopoty zaczynały się po przewiezieniu ich na nasz oddział. Być może działo się z nimi coś w izbie przyjęć, ale nie sądzę, bo Sylvia mówiła, że tętno dziecka Meredith spadło, nim wjechali na oddział...

— Ale raport mówi, że tętno było w normie podczas transportu do szpitala — przerwał jej Sam.

— Nie obchodzi mnie, co mówi raport! — krzyknęła Rae. Przerwała na chwilę i zaczęła na nowo: — Rozmawiałam z tymi bliźniakami i wiem, że skłamali w raportach.

— Skąd wiesz?

— Bo dzwoniłam do Hillstar i dowiedziałam się, że są tam zupełnie nowi...

— I co?

— I nie mogli mi nic innego powiedzieć.

— Ale skąd wiesz, że są w to wszystko wplątani? — Upierał się Sam

— Bo to jedyne rozsądne wyjaśnienie!

Przerwała znowu i czekała, aż jej słowa wywrą jakieś wrażenie. Sam przyglądał się jej z poważnym wyrazem na twarzy. Wyglądało, jakby rozważał, czy konkluzja, do jakiej doszła, może być prawdziwa.

— To jedyne rozsądne wyjaśnienie — dodała tak cicho, że z ledwością sama usłyszała swój głos.

Usiadła na krześle i położyła ręce na kolanach. Czekala, aż Sam coś powie. On przeszywał ją wzrokiem, jakby chciał dostać się do miejsca wewnątrz niej, o którym sama nie wiedziała, że istnieje.

— Dlaczego pielęgniarki z karetki mieliby zabijać dzieci? Dlaczego chcieliby, aby zamknięto Centrum Porodów? Na Boga, Rae, przecież oni z tego żyją. Pewnie zaraz mi powiesz, że w jakiś dziwny sposób są powiązani z planem wykupienia Centrum przez Howarda Marvina i zamiany go na klinikę kardiologiczną.

— Dokładnie to chciałam powiedzieć! — Nie planowała, że to mu powie, ale coraz bardziej traciła spokój i nie była w stanie zachować tego dla siebie.

— Ty chyba żartujesz? — Sam spojrział się na nią z obłędem w oczach.

— Wcale nie żartuję. Pomyśl o tym.

— Nie, to wszystko jest nedorzeczne. Nie kupuję tego. Naprawdę chciałbym uwierzyć, bo wiem, ile to dla ciebie znaczy. Ale to się nie trzyma kupy!

— Dobrze, już dobrze! — krzyknęła Rae. — Wiem, że nie na wszystko mam odpowiedź! Ale to nie znaczy, że nie mam racji! Naprawdę nie wydaje ci się dziwne, że kobiety przywożone do naszego szpitala przez tych właśnie pielęgniarki mają kłopoty z porodem? I to cała dziesiątka?!

— Może to coś niedobrego spotyka je, gdy wjeżdżają do szpitala?

— Sam, ty mnie nie słuchasz. Nie ma ku temu najmniejszych powodów — Przerwała na chwilę. — Posłuchaj, od pewnego czasu wiem, że coś się dzieje wokół Centrum Porodów, lecz do wczoraj nie byłam o tym do końca przekonana. Byłeś na zebraniu zarządu, na przyjęciu u Marco... Nie wiem jak", ale to wszystko ma coś wspólnego z tym, co Marco mówił o Komisji Ochrony Zdrowia.

— No proszę, teraz już Komisja ma z tym coś wspólnego?! — rzekł Sam.

— A co dokładnie?

— Jeżeli Bo uparcie odmawia sprzedaży Centrum, może ktoś z tej Komisji wpadł na pomysł, aby je przedstawić w najgorszym świetle. Wtedy Bo będzie zmuszony je sprzedać. Wiem, że Marco jest twoim kolegą, ale to nie znaczy, że nie jest w to zamieszany. Wczoraj wieczorem zaprzeczył temu, ale zaprzeczał tak mocno, że nie jestem pewna, czy już nie poszedł na Jakieś układy. Przynajmniej Bo uważa, że tak jest.

173

— A może to ty jesteś w jakichś układach?

— Nie bądź śmieszny, Sam.

— Dlaczego, to całkiem logiczne — odparował Sam. — Skoro twój oddział jest zagrożony zamknięciem, możesz źle życzyć Centrum Porodów. A wiedząc, że Komisja chciałaby odkupić Centrum, możesz robić coś, aby ukazać je w gorszym świetle.

— Ale to ja uratowałam dziecko Noli i Meredith!

— To dla mnie jak najbardziej logiczne.

— Nie, to jest wręcz absurdalne. A może ty jesteś w to zamieszany tak samo jak Marco? Prawdę mówiąc te wszystkie przypadki zaczęły się właśnie, jak do nas przyszedłeś. Marco zrobiłby wszystko, aby zamiast

porodów w Berkeley Hills jego program kardiologiczny nabral większego rozmachu. On chyba naprawdę tego chce. Chce zamknąć i porodówkę, i Centrum Porodów! Jaka ja byłam głupia, on właśnie do tego chce doprowadzić!

Sam wstał z fotela i złapał ją za rękę. Stał tak blisko, że czuła bijącą z niego złość.

— Powiem ci, dlaczego przyjechałem do Berkeley Hills. Marco opowiedział mi o pewnej szalonej i samotnej pani ginekolog, która tego potrzebowała...

Objął ją i pocałował, mocno i głęboko. Ku własnemu zdziwieniu oddała mu pocałunek i przylgnęła do niego całym ciałem. Przez ostatnie dziesięć minut klócili się o Centrum Porodów, lecz teraz dopiero stojąc na palcach przytulona do niego, zdała sobie sprawę, że to właśnie Centrum zbliżyło ich do siebie. Nie przyznałyby się do tego, ale to w którymś momencie ich kłótni i rozmów zakochała się w nim. Choć mogło to się stać już wtedy, kiedy go zobaczyła, jak ratował dziecko Noli.

Puścił ją i spojrzał swoimi błękitnymi ciepłymi oczami.

— Czy mam przestać? — spytał.

— Chciałabym móc to powiedzieć — odrzekła. Oddech miała krótki i przerywany.

Tym razem to ona zarzuciła mu ręce na szyję i trzymała tak długo, aż całując, wolno i delikatnie położył ją na podłodze. Tak dobrze znajome jej ściany i przedmioty w pokoju, rozmazywały się w oczach tworząc bezkształtne masy. Czuła, jak serce nabiera galopu.

— Czy powinnam się bać? — wyszeptała słabym głosem.

— A ja? — odpowiedział pytaniem całując namiętne jej szyję.

Pieścił ją tak, jakby miała ciało bogini. Powoli i namiętnie, zawsze zwracając uwagę na jej reakcję. Nagle poczuła, że jest bez ubrania. Chłód podłogi lekko ocucił jej zmysły. Lecz całe jej ciało należało już do niego.

174

W obliczu wydarzeń ostatnich dwóch dni, gdzie dzieci i ich matki były tak blisko śmierci, oraz wypadku Bernie, która niemal otarła się o śmierć, chciała jak najdłużej czuć ciepło jego żywego ciała.

Kiedy więc w nią wszedł, przyłgnęła do Sama i pragnęła, aby ten akt miłości trwał jak zmierzch nad zatoką.

Zdajesz sobie sprawę, że to, co przed chwilą zrobiliśmy, zupełnie o niczym nie świadczy — odezwała się Rae pieszcząc gołe plecy Sama. Jego skóra była lekko wilgotna i ciepła. Pachniał potem i wodą po goleniu.

— Jasne, zupełnie nic — odparł z udawaną powagą.

— A co Marco naprawdę o mnie powiedział?

— A propos czego? — Muskał ustami jej ucho.

— No wiesz, o mnie, jak przyjechałeś do Berkeley.

— Nic.

— Och, przestań, mów, co powiedział — Uśmiechnęła się.

— Że jesteś bardzo uparta i bardzo drobna.

— Stary dobry Marco — zaśmiała się szczerze.

Sam podniósł się na łokciach i spoglądał z góry na jej twarz. Ona również patrzyła na niego tak, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. Twarz miał inteligentną, pełną zaangażowania, ale kształt jego ust wskazywał na lekceważący charakter. Wyraźnie to już odczuła. Kiedy się pochylił, aby ją pocałować, zauważyła w jego oczach jeszcze większą tajemniczość niż podczas pierwszego spotkania. Wydał jej się całkowicie obcy. Kochała się

przed chwilą z całkowicie obcym dla siebie mężczyzną.

Ale dlaczego właśnie teraz? — próbowała dociekać, splatając swoje dłonie z jego. Wyobraziła sobie, że z góry wyglądają jak krzyż utworzony z nagich ciał. Gdyby wierzyła w Boga, ich pozycja byłaby teraz boska. Cudownie boska.

Ale dlaczego kochała się właśnie z Samem Hartmanem? Z mężczyzną, którego jeszcze przed chwilą podejrzewała o udział w jakimś spisku przeciwko Centrum Porodów. Potrzebowała tego, czy też było w nim coś, czemu nie potrafiła się oprzeć?

Zabrzączał telefon. Pociągnęła za przewód, aż słuchawka spadła na Podłogę.

175

— Pielęgniarka przy Bernie mówi mi, że ona odzyskuje przytomność

— usłyszała od sekretarki administracyjnej oddziału intensywnej terapii.

— Prosiła pani, żeby zadzwonić, kiedy zajdzie jakaś zmiana.

— Sam, Sam! — krzyknęła podekscytowana kładąc słuchawkę na widełki telefonu. — Muszę się ubrać, Bernie odzyskuje przytomność.

— Zawiozę cię. — Sam zerwał się na nogi.

Przez moment poczuła się całkowicie zbита z tropu. Stanął przed nią zupełnie nagi i wcale mu to nie przeszkadzało.

— Wyglądasz bosko — odezwał się, patrząc na nią z góry.

Odruchowo chciała się zakryć rękoma, ale zrezygnowała. Prawdę mówiąc wcale nie czuła się zawstydzona, wręcz przeciwnie, czuła się nadzwyczaj dobrze — zbyt dobrze.

— Mam nadzieję, że nie chcesz, abym pojechała do szpitala tak jak jestem

— rzekła zaczepnie. — Tam jest łazienka — pokazała głową.

Sam przeszedł swobodnie przez pokój do łazienki. Patrząc, jak znika za drzwiami, poczuła się lekko zirytowana. Wstała i zebrała z podłogi swoje ubrania. Wystarczy już tego Sama Hartmana. Przecież tam czeka na nią Bernie! Na pewno wyszła z tego.

Szum lecącej z prysznicza wody zaskoczył ją na moment. Poczuła się trochę dziwnie słysząc go przez drzwi łazienki. Miała nadzieję, że te ostatnie jej słowa, nie zabrzmiały zbyt szorstko. To przez to, że wzbudził w niej uczucia, przed którymi tak długo się broniła. Z jednej strony nie była mu obojętna. Z drugiej natomiast, choć się z nim kochała, ciągle podejrzewała, że wie więcej, niż powiedział. Ponadto zaczął to wszystko, kiedy wydawało się, że zapędziła go w kozi róg i musi jej odpowiedzieć na zadane pytania. Celowo, aby odciągnąć ją od niebezpiecznego dla niego tematu? A może miał już to w swoim planie? Czyż miłość nie prowadzi często do czyjejś zguby?

— Następny! — usłyszała, jak Sam krzyknął z łazienki. Ułożyła jego ubranie na łóżku i zaczęła głaskać jego wełniany sweter. I co teraz ma zrobić? — pomyślała. — I jak?

Piętnaście minut zabrało jej, aby wziąć prysznic, ubrać się i być gotową do wyjścia.

— Wracając do tych pielęgniarzy — odezwał się Sam wyjeżdżając z garażu i ruszając w kierunku szpitala. — Nie mówię, że ci wierzę, ale jeśli to prawda, czy sprawdziłaś, w jaki sposób mogliby szkodzić pacjentkom?

— Nie musisz mi wierzyć — odparła, lekko zła. — Ale nie, nie sprawdziłam. Wiem tylko, że muszą dla kogoś pracować...

— Tylko nie zaczynaj znów z Marco, dobrze?

— Marco, Howard Marvin, niezadowolone pielęgniarki obawiające się o swoją pracę...

— Znasz tu jakąś pielęgniarkę, która jest niezadowolona? — przerwał jej Sam.

— A znasz jakąś zadowoloną? — odparowała.

I nagle przyszła jej na myśl Donna Wilson — była zagorzałą przeciwniczką Centrum Porodów, a teraz tam właśnie pracowała. Wtedy wydawało jej się to dziwne, lecz teraz czuła lekkie zaniepokojenie.

— Co się stało? — spytał Sam.

— Jest taka pielęgniarka, która była zagorzałą przeciwniczką Centrum, a teraz tam pracuje.

— Tylko jedna?

— Mam na myśli tę, która wręcz nienawidziła Centrum, a teraz właśnie tam pracuje.

— Może jeszcze ktoś taki jest? Rae pokręciła głową.

— Może ktoś z członków zarządu...

— A twój Leopold? — zaśmiał się. — Może ten pies wcale nie jest najlepszym przyjacielem człowieka?

Nie miała nastroju do żartów. — Pamiętaj też o sobie, doktorze Hartman. Sam tylko zachichotał. Skręcił na parking przy szpitalu.

— Posłuchaj, Rae. Oczywiście żartowałem przed chwilą, ale inni mogą tego nie robić. Musisz być przygotowana, że będą cię oskarżać o wiele różnych rzeczy. Czuję to i nie chciałbym być jedynym, który ci powie...

— Nie obchodzi mnie, co ludzie o mnie myślą — przerwała mu urażona.

— I tego się właśnie obawiam. Rae zapatrzyła się przed siebie.

— Sprawy mogą przybrać zupełnie nieoczekiwany obrót — dokończył. Ruszyła w milczeniu obok niego w stronę zatłoczonego holu szpitala. Choć spała z nim i on przejmuje się całą tą sprawą, wiedziała, że tak długo, jak będzie podejrzewać Marco, tak samo długo nie może w pełni zaufać Samowi.

Pierwszą osobą, którą ujrzała wchodząc na oddział intensywnej terapii, była Mona Stair — pielęgniarka, której niezwykle zgrabna figura lepiej pasowała do wybiegu dla modelek niż do szpitalnego korytarza.

— Słyszałam, że Bernie odzyskuje przytomność — Rae uśmiechając się przeszła obok niej i wzrokiem poszukała leżącej Bernie. Łóżko Bernie zasłonięte było parawanem. Dobry znak, pomyślała. Pacjenci po przebu-

177

dzeniu ze śpiączki zawsze potrzebują trochę prywatności, a Bernie odzyskiwała właśnie przytomność.

Mona nie odwzajemniła jednak uśmiechu.

— Co się dzieje? — zapytała Rae.

— Bardzo mi przykro, pani doktor... To było nieporozumienie... — odparła Mona. — Powiedziałam Belli, sekretarce administracyjnej, aby zadzwoniła do pani, bo stan Bernie się pogorszył, a nie polepszył.

Rae zamarła. Bała się o cokolwiek zapytać, czekała, co dalej powie Mona.

— Trzymamy ją pod kroplówką z dopaminy, aby podwyższyć ciśnienie.

Ostatni wynik z prześwietlenia zawiera ARDS, a kreatynina surowicy krwi jest podwyższona. Chłopaki z urologii myślą o zastosowaniu dializy i... —

Przerwała przyglądając się uważnie Rae. — Pani doktor, dobrze się pani czuje?

Rae przestała jej słuchać. To były wyraźne oznaki zapaści układu

oddechowego, stan płuc Bernie nie rokował niczego dobrego. Niewielu wychodziło z takiego stanu obronną ręką. Dodając do tego niewydolność nerek, sytuacja była bardzo poważna, wręcz krytyczna — może dializa by pomogła, ale to nic pewnego.

— Rae? — odezwał się Sam.

— Sam, proszę, wyprowadź mnie stąd — wykrztusiła.

Stali w milczeniu w ogrodzie na dachu szpitala. Nad nimi chmury przybierały różne odcienie — od granatowych przez sinofioletowe aż do czarnych. Trudno było dostrzec, gdzie kończy się skłębiona pokrywa chmur, a zaczyna ziemia. Z ich prawej strony domy San Francisco stały smutne, jakby obawiały się przepływającej nad nimi potęgi sinych chmur. Rae czuła, że deszcz wisi w powietrzu.

Podniosła kołnierz swetra okrywając szyję. Sam stał zagapiony w chmury.

— Jeszcze wczoraj stałam tu z Bernie — odezwała się głucho.

Sam milczał. Dla Rae znaczyło to więcej niż jakiekolwiek wypowiedziane słowa. Zresztą, cóż można było powiedzieć w obliczu niewinnego cierpienia innych.

— Co sprawiło, że zostałeś lekarzem? — spytał nagle.

Z zaskoczeniem zauważyła, jak dawno nikt nie zadał jej tego pytania.

Poniżej widziała parking szpitala i Centrum Porodów. Dlaczego nie może być inaczej pomiędzy tymi dwoma instytucjami? Dlaczego musi być tak, jak jest? Może gdyby została ordynatorem...

178

Ale jak może zostać ordynatorem, kiedy nie będzie jej oddziału? Jak może być dalej lekarzem, kiedy chcą odebrać jej licencję? I po co to wszystko, kiedy może zabraknąć Bernie.

— No to jak? — rzekł Sam.

— Co jak?

— Jak to się stało, że zostałam lekarzem?

— Och, zwyczajnie. Chciałam pomagać chorym ludziom, i tyle.

— A kto był tą pierwszą osobą, której chciałam pomóc?

— Po co te wszystkie pytania? — odezwała się myśląc o swojej matce. — Sądziłam, że przyszedliśmy tu, żeby choć na chwilę odciąć się od medycyny.

— Wątpię, czy kiedykolwiek potrafisz to zrobić — zauważył Sam. Z założonymi na piersi rękoma wpatrywał się w jakiś odległy punkt. — Podziwiam twoje zaangażowanie — dodał.

Odwróciła głowę do niego. Był poważny i wyglądał na zmęczonego, lecz wyraz jego twarzy wskazywał na niezwykle spokojny. Widać było, że żyje w zgodzie ze sobą i całym otaczającym go światem. Zazdrościła mu tego spokoju.

— Moja matka zmarła, jak miałam trzynaście lat — zaczęła po chwili. — Zmarła w karetce podczas porodu. Byłam tam razem z nią. Urodziła i wykrwawiła się na śmierć. Miałam wtedy taki żółto-bordowy sweter, którym próbowałam wytrzeć rozlewającą się krew, jakby to mogło jej pomóc. Myślę, że to właśnie ona była tą pierwszą naprawdę chorą osobą, którą spotkałam. Tak chorą, że zmarła.

— Zmarła, ale ciągle jeszcze żyje w tobie — rzekł.

Jego słowa dotknęły miejsca w sercu, o którym nie sądziła, że jeszcze tam jest. Miejsca, gdzie zbierały się wszystkie wspomnienia i uczucia.

Uczucia, których doświadcza się w dzieciństwie, a których nie można kupić lub wymienić. Od dawna do nich nie wracała. Wejście tam zostało zamknięte przez ojca podczas pogrzebu matki.

Zapatrzyła się na zatokę. Zbierały się coraz ciemniejsze chmury.

Utworzyły olbrzymią ciemną powłokę, która nakrywała powoli miasto i przygotowywała się do inwazji na nie. Zupełnie jak w jej życiu. Coraz więcej czarnych chmur. To, co było już złe, robiło się jeszcze gorsze. Jak z Bernie.

— Chciałem ci jeszcze coś powiedzieć — odezwał się Sam. — Kiedy cię zobaczyłem, taką małą z delikatnymi dłońmi, operującą Nolę... Widać było, że wkładasz w ocalenie tego noworodka całe swoje serce i wszystkie siły- Nawet gdyby trzęsienie ziemi zrównało ten szpital z ziemią, nie zauważyłabyś tego... I kiedy powiedziałaś, że zostałam lekarzem, by pomagać lu-

179

dziom, uwierzyłem ci. Powinienem ci więc uwierzyć, że przypadek Noli to nie był zbieg okoliczności albo po prostu pech... Rae powoli odwróciła głowę w jego stronę.

— I jeszcze coś chcę ci powiedzieć, ale nie sądzę, że mi uwierzysz. Rae czekała. Sam wziął głęboki oddech.

— Myślę, że się w tobie zakochałem — dodał szybko.

Odwróciła głowę w stronę miasta. Boże, pomyślała, jak przyjemnie jest usłyszeć takie słowa! Oczywiście nie mogła brać tego na poważnie. Lecz wyznanie to nabierało innego znaczenia po tym, jak oznajmił, co o niej sądzi. Zrozumiała, że zakochał się w tej jej części, od której inni mężczyźni uciekali, nie wyłączając Bo. Zamknęła mocno oczy i pozwoliła, aby wyznanie Sama głęboko w nią wniknęło. Ale przecież to były tylko słowa, czyż nie tak?

— Miłość prowadzi do nieszczęścia — odezwała się po chwili.

Naprawdę? — pomyślała.

— I cóż z tego? Życie prowadzi do śmierci, a ludzie ciągle chcą żyć — zauważył Sam.

Nie odpowiedziała mu. Miał rację, to było takie proste, a ona nigdy się nad tym nie zastanawiała.

— Wracajmy do środka. Czuję się już lepiej, dzięki. Podeszli w milczeniu do windy.

— Do domu wrócę taksówką, nie musisz zostawać ze mną. Chcę побыć trochę z Bernie.

— Nie zapomnij побыć trochę z Rae — dodał cicho. Wszedł do windy i pomachał jej.

Patrząc na zamykające się srebrne drzwi, myślała nad tymi słowami.

Czyjaś dłoń potrząsała jej ramieniem. Otworzyła oczy i ujrzała uśmiechniętą twarz Mony. Zaraz po tym poczuła ból w zeszywniałym karku i usłyszała krzyk jakiejś kobiety. Zorientowała się, że siedzi na krześle przy łóżku Bernie.

— Która godzina? — spytała, masując zdrętwiały kark.

— Dochodzi dziesiąta — odpowiedziała Mona.

— Co z Bernie?

— Ciągle tu jest.

Wstała z krzesła i wolno podeszła do łóżka Bernie. Niewielka czerwona plamka przebijała się nieśmiało przez opatrunek na głowie w miejscu, gdzie neurochirurdzy wywiercili dziurę w jej czaszce.

— Znajdę tego, co ci to zrobił — wyszeptała. — Trzymaj się, Bernie, trzymaj się!

Zjechała windą na pierwsze piętro. Korytarz był prawie pusty — tylko kilka ciężarnych kobiet i ich partnerów niosących poduszki. Skończyła się właśnie kolejna lekcja szkoły rodzenia. W ubiegłych latach chętnych było tu o wiele więcej. Zamiast pięciu osób, które przychodziły teraz, było wówczas trzy razy tyle. Ale to już się skończyło, teraz wszyscy chcą rodzić w Centrum.

Z daleka zauważyła, że drzwi do archiwum kart medycznych są otwarte. Marco siedział tam i przeglądał jakieś karty. W archiwum widać było jeszcze ślady porannych wydarzeń.

Zaciekawiona tym, co Marco robił tu o tak późnej porze, weszła do środka.

— Cóż to, Marcella znów cię wyrzuciła? — zapytała głośno. Marco aż podskoczył na krześle.

— Jezus Maria, mogłaś chociaż zapukać — odezwał się odsuwając od siebie karty.

— Czy te karty nie były przypadkiem w mojej przegródce? — zapytała, rozpoznając nazwisko na leżącej na wierzchu karcie. Sięgnęła ręką i przejrzała pozostałe. — Od kiedy to zajmujesz się pacjentkami porodówki?

— A od kiedy ty rozpowiadasz, że próbowałem się pozbyć kilku dzieciaków? — zapytał.

— Nic takiego nie mówiłam...

— Sammy mówił coś innego.

— Co takiego? — zapytała z nieukrywaną złością w głosie. Jak Sam mógł coś takiego zrobić?

— I wiesz co, Rae? Muszę ci powiedzieć, że zgadzam się z nim — ciągnął

Marco prostując się w krzesle. — Przejrzałem te karty i faktycznie każda z tych kobiet miała jakieś komplikacje ciążowe, co spowodowało problemy przy porodzie i kilka chorych noworodków. Ale nie mogę się doszukać tu czegoś, co by wskazywało, że jakiś wariat lata tu naokoło i robi coś tym ciężarnym kobietom, ani też co to miałyby być?

Rae zabrała karty ze stołu.

— Idź do diabła — rzuciła — i weź ze sobą tego swojego przyjaciela Sama. Mówimy tu o noworodkach, o niewinnych bezbronnych stworzeniach, których jedyną pomyłką jest to, że przyszły na ten świat w nieodpowiednim momencie. Załóżmy, że nie jesteś w to wszystko zamieszany. Ale nawet ty musisz przyznać, że coś tu jest nie tak, jak być powinno. Czy może twój oddział jest ci aż tak drogi, że nie chcesz tego potwierdzić?

— A twój? Jest ci obojętny? — zapytał z sarkazmem.

181

Przejrzała szybko karty, czy czegoś w nich nie brakuje. Teraz, kiedy Sam rozmawiał z Marco, wiedziała, że wszystko jest tu możliwe i że została całkowicie sama.

— Aż do dzisiejszego wieczoru byłem cały czas z tobą, Rae — Marco podniósł się z krzesła — Do zobaczenia na przesłuchaniu.

— Poczekaj — zawołała za nim.

— Tak? — odezwał się słodkim głosem.

— Gdzie są raporty pielęgniarzy? Brakuje ich.

— Też się nad tym zastanawiałem.

— Tyje masz, oddaj — natarła na niego ze złością w głosie.

— Pięknie wyglądasz, jak się złościysz, wiesz?

Poklepał ją lekko po głowie, tak jak się klepie małe dziecko za to, że zrobiło coś dobrego. Odepchnęła jego rękę.

— Oddaj te raporty.

— Powiedziałem ci, że ich nie mam. — Złośliwy grymas wykrzywił jego twarz. — I nie chcę słyszeć, że mieszasz mnie w jakieś głupie sprawy — ostrzegł ją. — Cały zarząd tego szpitala siedzi u mnie w kieszeni i niewiele potrzeba, aby skrócili ci łańcuch, na którym brykasz. Wiem też o twojej małej umowie z Heidi. Powiedziała mi o tym wczoraj. Powinnaś się cieszyć, bo ja nie dałbym ci nawet dwóch godzin. Całkiem ci odbiło, jeżeli myślisz, że dalej będziesz tu odbierać porody. Ale wiem, jak bardzo jesteś uparta, i uszanuję to. Trzymaj tylko moje imię z daleka od tego wszystkiego, jasne? Chyba że wolisz, abym zadzwonił w kilka miejsc i poprosił o zwołanie posiedzenia zarządu już w poniedziałek?

Miał ją. Zagonił ją w ciemny kąt i chyba nie znajdziecie już stąd wyjścia. Chociaż ocalenie dalszej egzystencji jej oddziału nie było już głównym motorem jej działań, ciągle jednak potrzebowała czasu, aby wyjaśnić przypadki z noworodkami. I nie wierzyła, że Marco nie ma z tym nic wspólnego.

— A ja dziwnie czuję, że te raporty wrócą tu, zanim wyjdiesz ze szpitala

— rzekła, oddając mu karty.

— Rae, nie przeciągaj struny.

— Ależ Marco, czy powiedziałam, że to ty masz je tam włożyć? — zapytała niewinnym głosem. Stając na palcach pogłaskała go po głowie.

— Pozdrów ode mnie April.

Wychodząc z archiwum czuła, że wszystko się w niej gotuje ze złości.

Ktoś ukradł raporty pielęgniarzy, ale kto? Sam powiedział Marco, że ona podejrzewa go o te wypadki z noworodkami. Pewnie wygadał też, jak spędzili ostatni wieczór. Ciekawe, czy mieli z tego ubaw? Heidi, z kolei, opowiedziała mu o planach nakłonienia położników do powrotu z Centrum do szpitala i że ma dwa tygodnie czasu.

Kiedy się to wszystko wreszcie skończy? — pomyślała ze złością.

Najbardziej jednak męczyło ją pytanie, które jej przed chwilą zadał Marco: „Co się dokładnie stało z tymi noworodkami, że miały taką niską liczbę Apgar?” Gdyby udało jej się to ustalić, odkryłaby, kto to robi, kiedy, jak i dlaczego?

Z pierwszego napotkanego aparatu zadzwoniła do Sama. Nikt nie odpowiadał. Zadzwoniła pod jego numer kontaktowy i ku swojemu zaskoczeniu dowiedziała się, że doktor Hartman w tej chwili operuje. Postanowiła, że później się z nim rozmówi co do Marco. Teraz uznała, że...

— Uwaga, lekarz ginekolog proszony jest o natychmiastowe zgłoszenie się na oddział położniczy, powtarzam, lekarz...

To był głos operatora wewnętrznej sieci informacyjnej. Momentalnie zapomniała o Samie i Marco. Biegiem ruszyła w kierunku schodów.

— Co jest? — zapytała, wpadając do dyżurki pielęgniarek.

— Pacjentka w sali numer dwa, dziecko jest już w kroczu, idzie bardzo szybko.

— Gdzie jej lekarz?

— Doktor Henshaw jest w drodze, ale w ósmym miesiącu nie może się ruszać zbyt szybko. Cieszę się, że pani mogła przyjść — zawołała za wybiegającą już Rae.

Dobrze, że to nie pacjentka Bo, pomyślała z ulgą. I chyba nie została tu przewieziona z Centrum, bo doktor Henshaw rzadko tam kieruje swoje pacjentki.

W pokoju stało około dziesięciu osób — w Berkeley, kiedy poród jest bezproblemowy, rodzina może dodać otuchy rodzącej. Pomiedzy nogami leżącej na łóżku kobiety stała Eva — ta sama, która zemdliała przy porodzie Noli Payne. Główka dziecka była już na wierzchu.

— Okay, wszyscy możecie odetchnąć, jest z nami lekarz — oznajmiła Eva z wyraźną ulgą w głosie.

— Ojej, moje dziecko! — krzyknęła leżąca kobieta.

183

Rae nie miała czasu na przejrzenie karty chorobowej rodzącej, rzuciła tylko na nią okiem i odczytała nazwisko, Irenę Butler.

— Czy w karcie są zapisane jakieś wskazania? — zapytała wkładając rękawice i biały fartuch przygotowany dla niej przez pielęgniarki.

Irenę Butler była dwudziestolatką z krótko przystrzyżonymi włosami i mimo że leżała właśnie na stole porodowym, usta miała pomalowane jaskrawą czerwoną szminką. Pozostałe osoby przyglądające się porodowi również były bardzo młode, niemal każda z nich ubrana była w skórzaną kurtkę lub kamizelkę.

— Jest w stanie przedrzucawkowym — poinformowała Eva. — Ciśnienie sto sześćdziesiąt na sto dwa.

Rae zajęła miejsce, gdzie przed chwilą stała Eva, i czekała na kolejny skurcz.

— Pani Butler, jestem doktor Duprey. Wszystko jest w jak najlepszym porządku, niech się pani o nic nie martwi. — Spojrzała na Evę. — Czy jest

na siarczanie magnezowym?

— Tak, dostaje dwa gramy na godzinę — odpowiedziała Eva.

Siarczan magnezowy pomaga w powstrzymaniu ataków rzucawki, które mogłyby wystąpić, a szczególnie w czasie porodu. Problem był jednak w tym, że zazwyczaj po porodzie siarczan magnezowy rozluźniał mięśnie macicy, co zwiększało ryzyko krwotoku poporodowego.

— Długo to jeszcze będzie trwało? — zapytał jeden ze stojących młodych mężczyzn.

— A jak myślisz, Bozo? — odezwała się jego towarzyszka uderzając go lekko w tył głowy.

— Jeszcze raz — odezwała się Rae. Wpatrywała się w brązowe oczy leżącej, jakby chciała, aby tamta zapomniała o wszystkim i patrzyła tylko na nią. — Teraz — powiedziała spokojnym, pewnym głosem.

Irenę wzięła głęboki oddech, jak dziecko szykujące się do skoku na głęboką wodę. Parła mocno, aż widać było niebieskie żyłki na jej szyi. Główka dziecka wolno wysunęła się do przodu. O to właśnie chodzi, ucieszyła się Rae.

— Teraz ramiona — szepnęła cicho.

Irenę znowu parła i tak ramiona dziecka pokazały się w pełnej okazałości.

Tuż za nimi wolno i dostojnie wysunęła się reszta ciała noworodka.

Dziecko westchnęło nabierając powietrza w płuca. Wszyscy na sali też odetchnęli z ulgą.

— Gratuluję. — Rae uśmiechnęła się szeroko, podając Irenę ruszającego małymi rączkami noworodka. Cieszyła się z naturalnego porodu.

184

Przecież to takie proste i piękne — pomyślała spoglądając wokół, po

uśmiechniętych twarzach. Sama czuła się taka szczęśliwa. Cieszyła się nowym życiem i nadzieją, jakie ze sobą niosło. Nie było nic piękniejszego, jak niewinne i nieskoordynowane ruchy noworodka i szczęśliwy wyraz twarzy matki patrzącej zaskoczonymi oczyma na swoje dziecko. Widok ten zawsze wzruszał obecnych przy porodzie, czasami na długo pozostawał w ich pamięci, nieraz na całe życie, ale zawsze chociaż na kilka sekund, zawsze.

Rae podała nożyce do przecięcia pępowiny mężczyźnie, którego uznała za ojca, ten jednak wskazał na stojącego obok — ten wyglądał, jakby dopiero co stał się pełnoletni. Spokojnie i cierpliwie prowadziła jego drżące dłonie w stronę przerwy pomiędzy szczypcami zaciśniętymi na pępowinie dziecka. Kiedy przeciął, krew z jednego z przeciętych końców pępowiny chlapnęła na fartuch Rae. Zawiązała pępowinę. W świetle lamp z macicy wysunęło się purpurowe łożysko. Rae sprawdziła, czy Irenę nie doznała jakiś uszkodzeń macicy, wszystko było w porządku. Odwróciła się w kierunku stolika z narzędziami i sięgnęła ręką po jałową gazę.

Wtedy usłyszała i poczuła uderzenie ciepła zalewającego jej nogi.

Odwróciła się błyskawicznie. Niemal metrowej średnicy plama krwi rozciągała się tuż pod nogami Irenę. Jeszcze więcej wsiąkało w biały fartuch Rae. Nie osłonięte części jej ubrania wyglądały, jakby ktoś wylał na nie kubek czerwonej farby. Szybko, lecz delikatnie wcisnęła rękę między rozszerzone jeszcze nogi Irenę. Doskonale wiedziała, jak szybko i mocno może krwawić macica po porodzie. To tak, jakby zdjąć pokrywkę z pięciolitrowej puszki farby, a następnie gwałtownie odwrócić ją do góry nogami.

— Eva, podajmy jej trochę oxytocyny — poprosiła spokojnym głosem.

— Boże — jęknęła Eva — to chyba nie jest mój najlepszy dzień. Palce Rae wyczuły miękki początek szyjki. Szybkim ruchem, jeszcze głębiej wcisnęła zaciśniętą pięść w mokrą czeluść macicy.

— Och! — krzyknęła z bólu Ireneę.

— No dobrze, wszyscy wyjść, ojciec może zostać! — rozkazała stanowczym głosem. — Przepraszam, nie chciałam pani tak urazić — spokojnie i delikatnie zwróciła się do Ireneę. — Ale proszę wytrzymać jeszcze chwilę.

Krew ciągle wypływała z krocza. Niewielkie krwawienie po wypadnięciu łożyska jest zazwyczaj zjawiskiem normalnym, ale to krwawienie było już sprawą bardzo poważną. Często powodem jest nie obkurczająca się macica. Podanie oxytocyny powinno w takim przypadku pomóc, ale nie zawsze. Jeżeli macica wypełniona jest skrzepami krwi, to nawet oxytocyna nie pomoże. W kilka sekund później okazało się, że macica nie tylko się nie obkurcza, ale jest także wypełniona skrzepami krwi.

185

Prawą ręką wolno zaczęła wyciągać skrzepy z macicy i wrzucać je do stojącego obok łóżka pojemnika. Lewą ręką masowała brzuch Ireneę. W dalszym jednak ciągu nie następował skurcz mięśni macicy.

— Eva, dodaj jeszcze dziesięć jednostek oxytocyny — rzuciła Rae, nie przestając masować brzucha Ireneę. Jej prawa ręka w dalszym ciągu usuwała skrzepy z macicy. Spojrzała na monitor śledzący ciśnienie krwi, jeszcze było stabilne, ale jak długo takie będzie, jeśli nie uda jej się zatrzymać krwawienia? Będzie wtedy musiała operować, aby zablokować tętnicę podbrzuszną, która doprowadza krew do macicy. Gdyby i to nie przyniosło pożądanego rezultatu, będzie zmuszona wyciąć macicę, albo

Irenę wykrwawi się na śmierć.

— Jest już oxytocyna! — zawołała Eva.

Dodatkowa działka oxytocyny powinna doprowadzić do skurczu mięśni macicy w ciągu kilku minut.

— Może podamy trochę Metherginu? — zapytała jeszcze Eva.

— Nie, Methergin może jeszcze podnieść ciśnienie — orzekła Rae. —
Poczekajmy na działanie oxytocyny. Wtedy zobaczymy, co dalej.

Gdyby ktoś podał jej matce oxytocynę albo Methergin, nie zmarłaby wówczas w karetce.

Przyglądała się Evie, jak wpuszcza z małej fiołki oxytocynę do przewodu kroplówki. Jeszcze mocniej i szybciej zaczęła masować brzuch Irenę.

— Trzymaj się — zwróciła się do jęczącej Irenę. — Dajemy ci coś, co ' pomoże twojej macicy skurczyć się, a to zatrzyma krwawienie...

Pomoże twojej macicy skurczyć się...

Szybko odwróciła głowę w stronę Ewy, która właśnie wpuszczała do pojemnika kroplówki bezbarwny płyn. Oxytocyna była bezbarwna tak samo jak płyn w kroplówce i nie widać było, czy cokolwiek zostało wpuszczone do pojemnika.

— ...a to zatrzyma krwawienie — dodała wolno jak w transie. Eva ścisnęła pojemnik, aby wymieszać oba płyny. Oxytocyna powoduje skurcze...

Myśli Rae nabierały coraz większej szybkości. Eva otworzyła zaworek kroplówki, a tym samym zwiększyła szybkość przepływu płynu w kroplówce.

Im większa dawka oxytocyny, tym większe wywołuje skurcze...

— Eva, poczekaj! — krzyknęła Rae. Eva spojrzała zaskoczona na Rae.

— Mam nie podawać? — zapytała.

— Oxytocyna — mówiła podniecona Rae. — To tego używali...

186

— Doktor Duprey, o czym pani mówi? — Eva wyraźnie była zaniepokojona zachowaniem Rae.

Ta z trudem opanowała myśli i wróciła do Irenej. Musiała zatrzymać to krwawienie, zanim przeanalizuje swe nowe odkrycie.

— Doktor Duprey, czy wszystko w porządku? — ponownie odezwała się Eva. — Mam nadzieję, że nie chce pani się odgryźć na mnie i zemdlec tutaj? — zażartowała, lecz nie bezinteresownie.

— Wydaje mi się, że to ja tu zemdleję — odezwał się blady mąż Irenej.

— Nic mi nie jest — odparła Rae. — Weź go stąd i posadź gdzieś na kanapie.

Poczuła na dłoni wciśniętej w macicę Irenej, że oxytocyna zaczyna pracować i mięśnie powoli się kurczą. Czuła też, jak zmniejszyło się krwawienie i w końcu ustało.

— Znow się udało — odezwała się Eva.

— Bardzo się z tego cieszę.

Rae odwróciła się i zobaczyła doktor Mattie Henshaw, która wypowiedziała te słowa. Twarz Mattie była czerwona i zgrzana.

— Przepraszam, że się spóźniłam, ale przejście z parkingu do windy było dla mnie zabójcze.

— Jest cała twoja — rzekła z uśmiechem Rae.

Złożyła gratulacje obojgu rodzicom i zaczęła rozpinąć zamek swojego zakrwawionego fartucha. Mimo że starała się zachować spokój, jej ręce jeszcze drżały ze zdenerwowania.

Wyszła z sali i oparła się o ścianę. Nic dziwnego, że u Noli Payne

wystąpiły komplikacje przedporodowe i dziecko niemal zmarło. Silne skurcze porodowe macicy wywołane oxytocyną mają za zadanie wywołać poród — sprawić, aby był łatwiejszy, lub też zatrzymać krwawienie poporodowe. Ale oxytocyna podana w odpowiednio wysokiej dawce powoduje, iż skurcze macicy są bardzo częste, co z kolei może doprowadzić do całkowitego odcięcia tlenu dla noworodka. Podczas normalnego porodu skurcze macicy powodują pięćdziesięcioprocentowe zmniejszenie dopływu tlenu. W momencie zwiększenia siły i częstotliwości skurczy tlen może zostać odcięty całkowicie.

Zamyślona i skoncentrowana wpatrywała się w podłogę. Chciała się mylić, ale niestety wszystko wskazywało na to, że miała rację. Oxytocyna spowodowała zwiększenie skurczy u pacjentek przywożonych z Centrum, co doprowadzało w efekcie do komplikacji porodowych. Nie mogła się mylić. Tak właśnie było.

Myśli nabierały rozpędu. Były jeszcze inne rzeczy, które należało wyjaśnić, gdyby jej podejrzenia dotyczące oxytocyny się sprawdziły.

Jeżeli to

187

pielęgniarze podawali ją pacjentkom, a nie robili tego w karetce, to gdzie i kiedy?

Z pewnością nie w firmie, która dostarczała kroplówki, bo wtedy w całym mieście działałoby się to samo. Jeżeli pielęgniarze nie robili tego w karetce, to może w magazynie? Co by znaczyło, że wielu innych pielęgniarzy jest w to zamieszanych. Czy mogła pozwolić sobie na stwierdzenie, że spisek jest aż tak rozgałęziony?

I co z teorią, że ktoś płacił bliźniakom za ich usługi? Na pewno nie była to

firma, w której pracowali, bo jaki interes miałyby w tym, aby zamknąć Centrum Porodów? Nie sądziła też, aby Marco był tak głupi i wtajemniczał w to aż tyle osób.

Może jednak się myli co do oxytocyny? Ta teoria rodzi przecież tyle pytań bez odpowiedzi. Z drugiej jednak strony za chwilę może być przywieziona następna pacjentka z Centrum. Co się stanie, jeśli ma rację? Następna ofiara? Nie można mówić tylko o jednej ofierze, na porodówce zawsze trzeba liczyć podwójnie.

Chciała zadzwonić do Sama, ale przecież niedawno operator poinformował ją, że operuje. Może zadzwonić do Walkera? Ale co mu powie bez dowodów? Będzie wyglądała żałośnie, nie potrafiąc udzielić wyczerpujących odpowiedzi. A Bo? Nie chciała do niego dzwonić, ale jednak musiała. Przecież tylko on mógł wstrzymać kierowanie swych pacjentów do szpitala — chociaż do momentu wyjaśnienia tej sprawy. Rozmawiając z nim musi być bardzo ostrożna. Po ostatnim spotkaniu na przyjęciu u Marco wydawało się, że Bo przestał już się przejmować swoimi pacjentkami. Pewnym też było, że jej sprawy całkowicie go nie interesują.

Była już jedenasta w nocy. Choć nie dzwoniła do niego do domu przeszło rok, pamiętała ten numer jak swój.

— Tu Bo. Nie mogę odebrać. Zostaw wiadomość po sygnale — usłyszała w słuchawce.

Serce jakby jej zastygło. Ścisnęła mocniej słuchawkę, musiała szybko się zdecydować, czy zostawić wiadomość czy nie? Wzięła głęboki wdech:

— Bo, mówi Rae. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale muszę z tobą porozmawiać, to bardzo ważne...

— Cześć — odezwał się głos w słuchawce. — Brałem właśnie prysznic.

— Możemy się spotkać?

— Rae, wiesz, która jest godzina?! — odpowiedział zimno.

— Nie zadzwoniłabym przecież, gdyby to nie było aż tak ważne... —

Czekała, aż coś powie. — Proszę Bo, muszę z tobą porozmawiać.

188*

Błagała go o spotkanie, to lubił. Lubiał, kiedy prosiła go o coś.

— Dobrze, będę tu na ciebie czekał — odparł.

Bo mieszkał w domu na wzgórzach rozciągających się ponad hotelem Claremont. Hamując przed podjazdem przyglądała się łamanym kształtom domu i dużej ilości okien wychodzących na zatokę. Ten dom był kiedyś dla niej ucieczką od otaczającego ją świata, lecz szybko stał się jej więzieniem. Czowała wtedy, jak otaczający posiadłość mur zamyka ją w swoich betonowych szponach.

Dom miał blisko tysiąc metrów powierzchni, lecz i to było za mało, aby uciec przed dziwnymi nastrojami Bo i ciągle powiększającej się w niej nietolerancji. Powiedziała Bernie, że Bo ją zostawił z powodu jej poronienia, ale tak naprawdę to ich stosunki zepsuły się dużo wcześniej. Bo powitał ją przy drzwiach.

— Dzięki, że zgodziłeś się ze mną zobaczyć. — Rae szybko weszła do pokoju. Chciała, aby to spotkanie nie trwało za długo. — Muszę jeszcze raz porozmawiać z tobą o Centrum... — Widziała, jak Bo westchnął głęboko siadając w fotelu. — Bo, uwierz, że jest mi bardzo trudno o tym mówić, ale coś złego dzieje się z twoimi pacjentkami...

— Rae, już raz powiedziałaś, co myślisz o Centrum i o mnie — przerwał jej ze zniecierpliwieniem.

— Bo, tu chodzi o noworodki — mówiła coraz szybciej. — Ktoś próbuje je skrzywdzić. Ktoś dodaje do waszych kroplówek oxytocynę. Dlatego ostatnio jest tak dużo problemów z porodami.

— Jezus Maria, Rae — odezwał się Bo przewracając oczyma. — Stać cię na więcej, mogłabyś wymyślić coś lepszego.

Faktycznie, to co powiedziała, zabrzmiało niedorzecznie.

— Bo, naprawdę tak jest. To jedyne sensowne wytłumaczenie. Nola wyjechała z Centrum z normalnym tętnem. Na oddział trafiła z rzadkoskurczem. Meredith parla w Centrum przez dwie godziny. Do nas na oddział dojechała z główką dziecka wiszącą jej między nogami. I jeszcze te osiem innych przypadków, gdzie wyjeżdżając z Centrum wszystko było w normie, a na oddział trafiały z problemami. A twoja pacjentka, która zmarła dwa tygodnie temu? Jej macica była całkowicie poszarpana — mówiła szybko, obawiając się, że Bo jej przerwie. Lecz on słuchał jej w milczeniu. — Bo, do czasu, aż to się wyjaśni, proszę cię, a raczej błagam, zamknij Centrum.

Powiedziała to w końcu. Wyłożyła na stół swoją najsilniejszą kartę. Teraz był jego ruch.

— Dlaczego ktoś miałby sobie zadawać tyle trudu? — zapytał sceptycznie.

189

— Po to, aby Centrum wypadło jak najgorzej — odpowiedziała szybko. — Żeby wykopać cię z interesu. Posłuchaj, jeżeli ty byś mnie coś takiego powiedział, prawdopodobnie pomyślałabym, że straciłeś rozum, ale nie zostawiłabym tego tak jak jest. Nie, gdyby chodziło o niewinne dzieci. — Wcześniej też mówiliśmy o niewinnych dzieciach. Widocznie teraz

twój poziom zainteresowania osiągnął nowy, znacznie wyższy punkt.

— Okay — rzekła Rae. — Wiem, że jesteś dobrym lekarzem, Bo. Zawsze stawiałeś dobro pacjenta na pierwszym miejscu. Chociaż przejrzyj jeszcze raz te karty chorobowe...

— Czy myślisz, że tego nie zrobiłem?! — krzyknął Bo. — Przeglądałem je ze sto razy. Nie miałem dotąd w swej karierze przypadku śmierci! przy porodzie. Czy ty wiesz, jakie to uczucie patrzeć na wykrwawiającą się na śmierć kobietę? Wiesz, jak trudno jest spojrzeć w lustro następnego< dnia i każdego innego? Zmarła, nim zdążyliśmy położyć ją na stół — a ja ; mimo to ją operowałem, przecież musiałem coś zrobić! Jej macica była rozszarpana, jakby eksplodował w niej granat. I dlatego, Rae nie pozwolę ci siedzieć tutaj i opowiadać jakichś głupot, że ktoś zrobił to celowo, aby wykopać mnie z interesu!

Rae aż do teraz nie zdawała sobie sprawy, że śmierć tej kobiety wywarła na nim tak duże wrażenie.

— Ale o to właśnie chodzi, Bo — powiedział trochę spokojniejsza. — Przeglądałam te karty wczoraj. Podanie oxytocyny mogło wywołać taką reakcję. Autopsja tego nie wykaże, bo oxytocyna zostaje we krwi minutę albo dwie.

— W dupę sobie wsadź tę twoją oxytocynę! — krzyknął Bo. — Jej macica nie wytrzymała, bo miała wycinanego mięśniaka. Każdy wie, że nie można pozwolić kobiecie rodzić, jeżeli miała wyciętego włókniakomięśniaka macicy. Rzecz w tym, że ona mi tego nie powiedziała. Kiedy zapytałem o bliznę na brzuchu, odparła, że to po operacji torbieli, gdy miała dwanaście lat. Jej karta chorobowa zaginęła, mogłem tylko polegać na tym, co sama mówiła. Skąd mogłem

przypuszczać, że tak bardzo chciała rodzić w Centrum? Zachowywała się najzupełniej normalnie, nigdy nie dała mi żadnego powodu, abym mógł powiedzieć, że kobiety po usunięciu torbieli mogą rodzić tylko przez cesarskie cięcie. Ale mimo to czuję się winny. Rae, czuję się tak, jakbym to ja ją zabił, a nie jakaś cholerna dawka oxytocyny...

Chciała podejść do niego, przytulić go i spróbować trochę uspokoić, ale wiedziała, czym to się może skończyć. Bo mógł odebrać to jako zachętę do czegoś więcej. Chciała mu powiedzieć, że dobrze wie, co znaczy patrzeć na wykrwawiającą się na śmierć kobietę i w żaden sposób nie móc jej pomóc.

190

Odkryła nagle, że przez siedem lat, jak była razem z Bo, nie powiedziała mu, co się stało z jej matką. A Samowi opowiedziała wszystko od razu. Ciekawa była, czy i o tym Marco już wie?

— Wierz mi — odezwał się Bo — że dopóki nie zobaczysz, jak twój pacjent umiera, a ty nie jesteś w stanie mu pomóc, to prawdę mówiąc, nie wiesz jeszcze, co znaczy być położnikiem... Rzecz jasna, że przejrzałem te cholerne karty. Jak myślisz, co ja tam robiłem tamtego dnia, kiedy się spotkaliśmy w archiwum? Dlaczego tak się wściekłem na wieść, że brakuje tych czterech kart? Rae, ja nie mogę spać. Boję się zasnąć, bo jak tylko zasnę, to przed oczami widzę zakrwawioną podłogę na sali operacyjnej i tę umierającą kobietę. — Usiadł ciężko na sofie i ukrył twarz w dłoniach. Rae zaczęła coś mówić, ale przerwał jej ruchem ręki. — Mówiłem ci już, żebyś zostawiła moje Centrum w spokoju. Teraz chcę, abyś i mnie zostawiła w spokoju.

— Ale Bo... — zaczęła.

— Dobranoc, Rae. Idź już.

W holu swojego domu zobaczyła czekającego na nią Sama.

— Jesteś ostatnim, z kim chciałabym się w tej chwili spotkać — odezwała się chłodno. Spojrzała na zegarek. Była minuta po północy.

— Czy mogę wejść, tylko na pięć minut? — zapytał Sam. Miał swój granatowy sweter, przewieszony przez ramię.

— Dam ci dwie, więc dobrze pomyśl, co chcesz powiedzieć, abyś nie marnował czasu.

Weszli do windy, w milczeniu dojechali na jej piętro. Kiedy podeszli do drzwi i nie usłyszała Leopolda, zrozumiała, że Harvey wziął go do siebie.

— Dlaczego powiedziałeś o wszystkim Marco? — zapytała wkładając klucz do zamka.

— Bo to mój przyjaciel — odpowiedział Sam. — I chciałem usłyszeć od niego kilka odpowiedzi.

— Jestem pewna, że doskonale wiesz, jak je zdobywać — zauważyła sarkastycznie.

Odwróciła się na odgłos kroków na korytarzu.

— Czy nie brakuje ci przypadkiem psa? — zapytał Harvey. — Jemu na pewno brakuje ciebie.

Leopold powąchał, po czym polizał dłoń Sama.

— To Sam Hartman, Harvey. Sam, to jest Harvey Polk, mój nauczyciel gry na skrzypcach.

— Zapomniałem, że Rae gra na skrzypcach — odezwał się Sam, ściskając rękę Harveya.

191

— To jest już nas dwóch — odparł Harvey, wracając do swojego

apartamentu.

Wpuściła Sama do przedpokoju i stanęła z założonymi rękoma.

— No słucham.

— Rozmawiałem z Marco o tym, co mi powiedziałaś. Uważa, że to wszystko jest niedorzeczne.

— Nie interesuje mnie opinia Marco ani twoja.

— Rozumiem, ale przyszedłem tu, aby ci powiedzieć o Donnie Wilson.

Rae aż się cofnęła.

— Rozmawiałaś z Donna Wilson?

— Zaprosisz mnie do środka? — spytał. Zaprosiła i wskazała na te same dwa fotele, w których siedzieli wcześniej.

— Wiem, że chciałaś rozmawiać z Donna — tłumaczył Sam — ale ta twoja teoria o tych wydarzeniach sprawiła, że sam poszedłem do Centrum zadać kilka pytań.

— Coś takiego?

— Zapytałem, czy była wczoraj w pracy. Powiedziała, że nie. Wypytałem więc, czy zna bliźniaków. Potwierdziła i spytała, co chciałbym o nich wiedzieć? Wtedy nadeszła inna pielęgniarka, Freda, no i trochę się namieszalo. Nie wyrzuciły mnie, ale dały do zrozumienia, że mój dalszy pobyt w Centrum nie jest już mile widziany. Nie sądzę jednak, aby Donna była w to jakoś zamieszana. Myślę, że była szczerą. Zresztą sprawdziłem, faktycznie nie było jej wczoraj w pracy.

Rae siedziała w milczeniu stukając palcami o poręcz fotela. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

— Wiesz, Sam, byłoby mi o wiele łatwiej, gdybym wiedziała, po czyjej jesteś stronie...

— Sądziłem, że po tamtym wieczorze wiesz, po czyjej jestem stronie — odpowiedział cicho.

— Masz na myśli po tym, jak spaliśmy ze sobą, czy po tym, jak zdradziłeś mnie przed Marco? — zapytała ostrym głosem. Sam wstał nie odpowiadając na jej pytanie.

— Moje dwie minuty się skończyły. Odprowadziła go do drzwi. Czowała się trochę nieswojo po tym, co powiedziała. Może naprawdę chciał jej pomóc?

— Dzięki za informacje o Donnie — odezwała się bardziej przyjacielskim tonem. — Miałeś rację, muszę porozmawiać jeszcze z wieloma osobami o bardzo wielu rzeczach. Problem jednak w tym, że mam tak dużo do zrobienia, a tak mało czasu mi zostało.

192

Sam pokiwał głową.

— Rozumiem cię doskonale. Och, zostawiłem sweter w pokoju, czy mogłabyś...

Rae odwróciła się i wróciła do pokoju. Kiedy wzięła z fotela sweter, z kieszeni wyleciały jakieś luźne kartki. Schyliła się, aby je podnieść, i zamarła w bezruchu. Na każdej kartce widniało Raport z przewozu pacjenta. Szybko wsunęła je pod fotel i wróciła do Sama.

— Coś się stało? — spytał przyglądając się jej uważnie.

— Nie, wszystko w porządku. Jestem po prostu trochę zmęczona — odpowiedziała podając mu sweter. Chciała, aby jak najszybciej poszedł, zanim zacznie się czegoś domyślać. — Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze?

— rzekła lekko zdenerwowanym głosem.

— Myślę, że to musi mi wystarczyć. Mogę? — uśmiechnął się i nachylił,

aby ją pocałować.

Zamknęła oczy. Dotyk jego ciepłych i miękkich ust przywołał wspomnienie o tym, jak niedawno z wielką pasją oddawała mu swoje ciało. Uczucia płynące z serca często powodują, że robi się różne głupie rzeczy, a ona właśnie taką zrobiła.

Nic dziwnego, że Sam był teraz taki pomocny. Prawdopodobnie razem z Marco już wcześniej to wszystko dokładnie zaplanowali. A ja się w nim zakochałam... — pomyślała smutno, wolno zamykając drzwi.

Wyjęła spod fotela luźne kartki. Były to kopie raportów z karetki przewożącej pacjentki z Centrum. Rozpoznała nazwiska czterech pacjentek, to ich kart brakowało. Przyjrzała się im uważnie. Na każdej widniały zapiski i notatki dokonane przez Sama. Godziny przewozów były podkreślone, a przy liczbie określającej wysokość tętna postawiono po kilka kropek. Podpisy pielęgniarza były ujęte w czerwone kółka. Odłożyła kartki na biurko i przetarła oczy — czuła, jak bardzo jest zmęczona. Była już pierwsza w nocy. Dlaczego Sam tak szczegółowo je przeglądał?

Nagle przyszło jej do głowy, że Sam mógł poprosić Yvonne o zrobienie kopii, zanim te karty zaginęły. Może miał jakiś dobry, szczerzy powód, aby to zrobić?

Wstała i ruszyła do sypialni. Może rano to wszystko będzie wyglądało mniej skomplikowanie — tym bardziej, że planowała ponownie złożyć wizytę pielęgniarzom.

I muszę też zadzwonić do Donny Wilson — pomyślała tuż przed zaśnięciem.

siebie i Leopolda całe nadbrzeże Emeryville Marina. Oczywiście dzielili poranne Emeryville z mewami.

Spojrzała wzdłuż betonowej ścieżki. Fale zatoki leniwie uderzały o betonowe nadbrzeże, a prywatne żaglówki spokojnie kołysały się zacumowane do plastikowych boi. Pomyślała o Samie, o tym, co mówił na temat życia. Jak bardzo chciała w to wierzyć i żyć tak na zawsze. Ale niestety nic nie trwa wiecznie, pomyślała ze smutkiem. Nauczyła się tego już dawno temu. Więc po co w to wierzyć?

— Chodź, piesku! — zawołała na Leopolda, który podskakiwał zadowolony goniąc mewy.

Wrócili do domu. Nasypała do miski Leopolda suchej karmy z worka prawie tak wysokiego jak ona. Chrupał, a Rae przyrządziła sobie śniadanie. Płatki zalane zimnym mlekiem, jabłko, sok pomarańczowy i filiżanka gorącej czarnej kawy.

W połowie śniadania do jej mieszkania zajrzał Harvey.

— Byłaś z nim na spacerze i dałaś mu już jeść? — zapytał zaskoczony.

— Przecież to mój pies — odpowiedziała.

Harvey usiadł przy niej, nalał sobie kawy i poczęstował się płatkami.

— Co myślisz o Samie? — zapytała nie przerywając jedzenia.

— Całkiem miły facet. I chyba całkiem poważnie myśli o tobie.

— O tak.

— Zostajesz dziś w domu? — zapytał Harvey dolewając sobie kawy.

— Harvey, powiedz mi, co robisz, kiedy chcesz komuś zaufać, a nie potrafisz?

— Oj, to proste — wzruszył ramionami. — Ufam sobie.

Reszta śniadania upłynęła im w milczeniu. Słyszeć było tylko głośne

chrupanie Leopolda, który ze smakiem opróżniał miskę.

Pół godziny później Rae zaparkowała porsche na szpitalnym parkingu. Na wschodnim stoku Berkeley zaczęły się zbierać ciemne chmury zasłaniając słońce, które jeszcze godzinę temu ogrzewało ją i Leopolda podczas porannego spaceru.

Naprzeciw drzwi do izby przyjęć stała zaparkowana karetka Hillstar. Z izby przyjęć wyszli bliźniacy, ściskając plastikowe kubki z kawą. Gdyby nie to, że jeden był troszkę cięższy od drugiego, można by pomyśleć, że obok jednego z nich ktoś niesie lustro.

194

Zapomniała, który jest który i musiała czekać, aż podejdą, aby odczytać ich imiona z plastikowych identyfikatorów. Przyszło jej też na myśl, że mogą jej nie poznać. Widzieli ją tylko raz i to jeszcze ubraną zupełnie inaczej. Teraz miała niebieskie džinsy, biało-niebieską bluzkę i czarną skórzaną kurtkę.

— Dzień dobry — odezwała się z uśmiechem do większego z nich. To Leonard, kierowca, mało rozmowny podczas ich pierwszego spotkania. Czekala, czy na jego twarzy pojawi się sygnał, że ją rozpoznał. Tuż po tym w jego oczach pokazał się wyraz niechęci do rozmowy.

— Słucham? — zapytał ponuro.

— Z samego rana potrzeba trochę czasu, zanim mój brat stanie się człowiekiem — wtrącił się Theodore. — Jak tam ramię tego dzieciaka?

— Właśnie idę to sprawdzić.

— Uważam, że zrobiła pani dobrą robotę — stwierdził Theodore. — A ta pielęgniarka, rety, myślałem, że będziemy musieli jeszcze ją ratować...

— Czego pani chce? — zapytał Leonard.

— Tak naprawdę to niczego — odparła Rae, siląc się na nonszalancki ton głosu. Musiała być bardzo ostrożna jeżeli nie chciała zbyt szybko ich spłoszyć. — To znaczy, idę właśnie zobaczyć się z matką tej dziewczynki. Wczoraj wspomniała o czymś, co wydaje mi się trochę niezrozumiałe. Pewno nie będziecie wiedzieć, o co chodzi, ale ona jest położną w City Hospital i nie rozumie, dlaczego zmieniliście jej kroplówkę w karetce...?

— Kłamie — przerwał jej szybko Leonard.

— No cóż, nie wydaje mi się, aby „kłamie” było tu odpowiednim słowem. Mówiła też, że miała doskonałą opiekę w karetce — dodała gładko, obserwując reakcję bliźniaków. Ci rzucili sobie krótkie spojrzenie, które tylko dla nich było zrozumiałe. — Mówiłam jej, że musiała się pomylić, ale ona obstaje przy swoim. Twierdzicie więc, że nie zmienialiście jej kroplówki, tak?

— Dokładnie tak — odparł z uśmiechem Theodore.

— W porządku, tyle chciałam wiedzieć.

— To dobrze — krótko stwierdził Leonard i ruszył w kierunku kabiny. Rae odsunęła się kilka kroków ustępując miejsca Theodore'owi, który skierował się do szoferki.

Leonard otworzył drzwi kabiny. Spojrzała do środka i zobaczyła przytwierdzone do podłogi nosze. I zobaczyła też tam swoją matkę; czuła, jak nogi.

195

— Myślałem, że już skończyliśmy — odezwał się zniecierpliwiony Leonard.

— Urządzacie jeszcze wycieczki swoją bryczką? — spytała.

— Pewnie, że tak! — krzyknął Theodore z szoferki. — Kiedy tylko pani

zechce.

— A teraz?

Leonard przesłał bratu spojrzenie pełne niezadowolenia.

— Przestań, Theodore, nie teraz.

— Niech pani wskakuje — odezwał się Theodor, nie zwracając uwagi na brata.

Dla wielu wejście do takiej karetki nie byłoby niczym niezwykłym, ale dla niej to było jak wejście do klatki z lwem. Musiała jednak zdobyć się na odwagę i przewyciężyć strach. Robiła to przecież dla noworodków. Czuła się trochę zbita z tropu, bo to przecież Theodore podpisywał raporty i to on zakładał pacjentkom kroplówki z oxytocyną. Dlaczego więc był dla niej taki uprzejmy? Może chciał ją zmylić, aby nie dociekała za bardzo? A może to Leonard za wszystko odpowiada? Zachowywał się przecież nadzwyczaj podejrzanie.

— No cóż, proszę, jeśli pani chce tu wejść — rzekł.

Co się dzieje? Teraz nawet Leonard ją zaprasza. Ciężko przełknęła ślinę, nie miała już wyboru.

Wolno weszła do kabiny. Theodore przeszedł z szoferki i pomógł jej wejść. Uchwyt jego dłoni był bardzo mocny. Z łatwością podniósłby taką kobietę jak Nola, pomyślała Rae.

Jak tylko znalazła się w środku, poczuła zwiększające się tempo oddechu i pot spływający po karku. To było szalone, ale wszędzie widziała krew — jak dwadzieścia pięć lat temu.

— Nic pani nie jest? — zapytał Theodore. — Wygląda pani, jakby potrzebowała trochę tlenu.

— Nie mogę długo tu zostać — odezwała się lekko drżącym głosem.

Otarła dłonią pot z czoła i rozejrzała się wokoło. Kabina wyglądała jak miniatura sali operacyjnej. Na bokach umocowane były zapakowane w plastik narzędzia, ścianka z zaworami tlenowymi, aparat ciśnieniowy i koc służący do przykrycia pacjenta na noszach. Z jej prawej strony szary materac skrywał coś, co przypominało ramę okienną. Tuż przed nią były przymocowane do podłogi nosze — na takich przywieziona została Nola i Meredith. Kabinę od szoferki oddzielały oparcia dwóch wysokich foteli, jeden dla kierowcy, a drugi dla pasażera. Pomiedzy fotelami było tak mało miejsca, że z trudnością przecisnęłoby się między nimi małe dziecko.

196

— Wszystko tu ma swoje miejsce, prawda? — zauważyła Rae, ponownie ocierając czoło z potu.

— Na pewno dobrze się pani czuje? — spytał Theodore.

— Jasne — zapewniła go Rae.

— No cóż, skoro pani tak mówi. Może coś objaśnić?

Rae zauważyła pojemnik kroplówki wraz z przewodami, zawieszony na haku tuż przy ścianie z zaworami tlenowymi. Opakowanie ochronne było zdjęte. Kroplówka wyglądała tak, jakby była już przygotowana dla następnego pacjenta. Gdyby tylko mogła ją dostać i sprawdzić na zawartość oxytocyny. Faktycznie Meredith nie mogła widzieć, czy Theodore wpuszczał coś do kroplówki przed podłączeniem przewodów do jej wenflonu, bo zrobił to już wcześniej.

Ale jak ma zdobyć tę kroplówkę, kiedy już przedtem jej odmówili?

— Mogę to zobaczyć? — pokazała na wiszący worek.

— Oczywiście, proszę bardzo — Theodore podał jej worek kroplówki.

Trzymała go w rękach, które ciągle jeszcze drżały, jakby z zimna. Czowała,

że im dłużej przebywa w kabinie karetki, tym gorzej się czuje. Przekładała worek z ręki do ręki nie widząc w nim nic podejrzanego.

— Cóż, chyba już pójdę — odezwała się w końcu podając worek Theodore'owi. Musi być jakiś sposób, aby dostać taki worek do sprawdzenia.

Theodore powiesił worek na haku. — Szkoda, że nie może pani zostać z nami dłużej.

— Bardzo wam dziękuję — powiedziała. — O, mogę zobaczyć, jak działa wasze radio? — zapytała zniecierpliwiona.

— To najlepsza rzecz w tej karetce — rzekł z uśmiechem Theodore i zaczął przeciskać się między fotelami.

Wtedy Rae złapała wiszący worek i wyskoczyła z karetki.

— Co jest! — krzyknął za nią Leonard.

Wyskoczyła z karetki, pognąła w stronę parkingu i ukryła się pomiędzy samochodami. Upewniwszy się, że żaden z nich jej nie goni, odnalazła swoje auto i wrzuciła worek na tylne siedzenie. Siadając za kierownicą przysięgła sobie, że już nigdy, ale to nigdy nie wejdzie do karetki. Przez jakiś czas siedziała trzymając zaciśnięte na kierownicy dłonie i czekała, aż oddech stanie się bardziej równy i spokojny. Ze skrytki wyjęła chusteczki higieniczne i wytarła spływający po twarzy pot.

Pierwsza część została wykonana, teraz musi znaleźć laboratorium, które przeprowadzi test na obecność oxytocyny w kroplówce. Sięgnęła po telefon komórkowy, wykręciła numer operatora w szpitalu i poprosiła o połączenie z laboratorium.

197

Przedstawiła się i zapytała, czy wie, kto wykonuje testy na obecność

oxytocyny. Czekala przez chwile, az wreszcie laborant podal, ze u nich w szpitalu takich testow sie nie robi.

— Wiem o tym — zawolala lekko zdenerwowana. — Dlatego pytalam, czy wiesz, kto takie testy robi?

Znow czekala sciskajac nerwowo sluchawke. Niestety, laborant odpowiedzial, ze nikt w laboratorium szpitalnym nie wie, kto i gdzie taki test moze wykonac.

Spodziewala sie tego. Wiedziala, ze tego typu testy sa niezwykle rzadko przeprowadzane, chyba ze podczas jakichs badan naukowych.

Wspaniale, pomyslala. Miala worek z plynem, ale nie mogla go nigdzie sprawdzic. Na wprost byl budynek Centrum Porodow. Podjechala na parking po przeciwnej stronie stojacej karetki. Blizniakow w niej nie dostrzegla.

Donne Wilson zlapala przy windzie w srodku Centrum.

— Donna! — zawolala. — Nie masz jakiejz zapasowej kroplowki?

— Boze, wy chyba tam juz ledwo zipiecie, skoro brakuje wam nawet kroplowek.

Rae zasmiała sie cicho; chciala, zeby to bylo takie proste.

— Jest jakaś szansa, że wrócisz do nas? — zapytala, odbierajac worek z plynem z rak Donny. Wygladal calkiem normalnie, nie zauwazyła w nim niczego nadzwyczajnego.

— Jak tylko zamkna to miejsce — odpowiedziala.

— Zamkna? — Rae spojrzala na Donne starajac sie nie okazywac zainteresowania.

— Mowilam, ze nie siedze tu, bo chce, ale dlatego, ze musze.

— Coś mi się przypomniało — zaczęła wolno Rae. Nie chciala, aby

Donna nabrała jakiś podejrzeń. — Słyszałaś coś, że Bo chce sprzedać Centrum i zrobić tu klinikę kardiologiczną?

Donna zmrużyła oczy.

— Nie, nic takiego nie słyszałam — odparła po chwili.

— Na pewno?

— Jeżeli tylko dostanę z powrotem swoją pracę w Berkeley Hills, to nic mnie nie obchodzi, co zrobią z tym miejscem. Mogą nawet salon piękności, nic mi do tego — spojrzała uważnie na Rae. — Ale to wcale nie znaczy, że chcę przyspieszyć te zmiany — dodała. — I wcale mnie nie obchodzi, co doktor Hartman o tym myśli...

Rae pokiwała głową. Wierzyła w to, co mówiła Donna.

— Cóż, dzięki za kroplówkę. Mam nadzieję, że wkrótce znów cię zobaczę w szpitalu.

198

Sam mówił jednak prawdę, stwierdziła.

Z dwoma workami płynu szybko jechała wzdłuż 1-80. Teraz musiała znaleźć miejsce, gdzie mogłaby sprawdzić ich zawartość, nim stawi się na przesłuchaniu.

Pół godziny później, już w swoim mieszkaniu, sięgnęła po telefon. Harvey wziął Leopolda do siebie, miała więc niczym nie zmałowany spokój. Przed nią leżała lista telefonów laboratoriów w całym stanie Kalifornia oraz w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Gdy sięgała po słuchawkę, telefon nagle zadzwonił.

To był Sam. — Mam ci coś ważnego do pokazania.

— Nie może to poczekać do jutra? — zapytała. Jutro jest poniedziałek i mógł przyjść na oddział lub do jej gabinetu, nie chciała go u siebie w

domu.

— Na pewno będziesz chciała zobaczyć to już dzisiaj. Jego głos brzmiał naprawdę poważnie. Co miała do stracenia? Nie pozwoli mu przecież więcej się oszukiwać.

— Dobrze, Sam, ale na krótko, bo jestem bardzo zajęta.

Czekając na niego, dzwoniła do laboratoriów. Niestety nikt nie wykonywał tego typu badań. Była już na samym dole listy numerów w Kalifornii, kiedy laborant z San Diego powiedział jej, że mogą przeprowadzić taki test. Omal nie wyskoczyła z fotela.

— Jak długo to będzie trwało? — zapytała niezwykle podekscytowana.

— Chwileczkę, zaraz się dowiem. — Słysząc było, jak laborant rozmawia z kimś. — Około dwóch tygodni, licząc od momentu otrzymania płynu.

— Dwa tygodnie! — jęknęła Rae — Proszę! Potrzebuję te wyniki znacznie szybciej... — Niestety laborant odłożył słuchawkę, nim dokończyła kwestię.

Dzwonek do drzwi. W całym tym podnieceniu zupełnie zapomniała o Samie. Co takiego ważnego go sprowadza?

Stał w drzwiach z jakąś gazetą.

— To dla ciebie — powiedział podając jej „Magazyn Lekarski”.

Usiedli w fotelach. Czuła się okropnie i nie miała ochoty na żadne żarty, a tu Sam uśmiechał się dając jej jakieś głupie czasopismo do czytania.

— Pracowałem trochę w domu — rzekł. — Zaznaczyłem dla ciebie stronę pięćdziesiątą drugą. Taki artykuł na pół strony o szpitalu w Rushing River, gdzie zwolniono kilka pielęgniarek i położnych. Jakie były te-

199

go skutki, można się domyślić: pacjentki na oddziale położniczym

skarżyły się na opiekę.

Rae przewracała strony szukając tego artykułu. Sam wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— Potem — ciągnął Sam — ilość porodów z cesarskim cięciem gwałtownie wzrosła...

— Czy chcesz, abym to przeczytała, czy nie?

— Zaoszczędzam ci trudu. Oparła się wygodnie o oparcie i rozłożyła gazetę na kolanach.

— No to mogłeś mi to podać przez telefon — rzekła.

— Zaczęto się zastanawiać — ciągnął Sam niezrażony — co się dzieje i dlaczego tak nagle zwiększyła się liczba cesarskich cięć. Stwierdzono, że dzieje się to z powodu komplikacji przedporodowych, a nie wielkości noworodków, jak u Noli Payne...

— Mów dalej, słucham. — Nagle zaczęło ją to interesować. Złożyła gazetę i słuchała.

— Pielęgniarki, które tam zostały, starały się, jak mogły — kontynuował Sam — ale rodzących w Rushing River było naprawdę dużo i co najmniej połowa z nich to były matki „pierworódki”. Wszyscy wiemy, że około siedemdziesiąt procent z nich dostaje oxytocynę, aby w końcu urodzić. Pielęgniarki podawały więc oxytocynę pierwszej pacjentce, następnie drugiej i po jakimś czasie miały cztery czy pięć takich na oxytocynie i wtedy zaczynały się problemy. Każda z nich dostawała zbyt dużą dawkę i tętno płodu gwałtownie spadało...

— Mogły po prostu odstawić oxytocynę z kroplówki — przerwała mu Rae.

— Niby tak. Tylko często zdarzało się, że wracając od ostatniej pacjentki,

już było za późno, aby to zrobić u pierwszej i tak dalej. Zabierały je więc na salę operacyjną i tam rodziły. Jeżeli zerkniesz do artykułu, zauważysz, że w tym czasie znacznie zwiększyła się ilość noworodków z niską liczbą Apgar, a także ilość noworodków i matek na oddziale intensywnej.

Rae zaczęła studiować tekst.

— Jedna z kobiet zmarła z powodu rozerwania macicy? — ze zdziwieniem spojrzała na Sama.

— Jej dziecko również. Dokładnie tak samo, jak było z pacjentką Bo.

Rae szybko przeczytała artykuł do końca. Krople deszczu cicho pukały w okno.

— Skąd to masz?

200

— Z biblioteki szpitalnej. Poprosiłem, żeby mi wyszukali informacje dotyczące komplikacji przedporodowych. Z całego materiału tylko to mnie zainteresowało...

Spoglądał na nią, jakby czekał, co mu odpowie. Czy on znów udaje? Czy naprawdę teraz dostał ten artykuł z biblioteki, czy też już wcześniej go miał i razem z Marco obmyślili cały ten plan? Co z fotokopiami raportów? Dlaczego jej o nich nie powiedział?

Najbardziej jednak zastanawiał ją fakt, że przecież nic mu nie wspominała o stosowaniu oxytocyny, dopóki sama jej nie użyła. Dlaczego więc tak szybko się tym zainteresował? Może przyszło mu to na myśl, jak rozmawiał z bibliotekarką w szpitalu? Albo, co wydawało jej się bardziej prawdopodobne, wiedział, że prędzej czy później ona na to wpadnie i odkryje to, co on już wie, a wie, bo przecież sam to wszystko zorganizował.

— I co teraz będziesz robić? — spytał. Wstał z fotela rozglądając się uważnie po dywanie.

— Szukasz czegoś? — spytała.

— Nie, niczego nie szukam — rzucił jakby od niechcienia. Mogła zapytać go o te znalezione raporty, ale brakło jej odwagi. Czy złodziej jest lepszy od kłamcy? — pomyślała.

— Chciałeś coś jeszcze? — zapytała.

— Tak, chciałem zapytać, czy zjemy dziś razem kolację? Wstała z fotela i oddała mu czasopismo.

— Muszę wykonać jeszcze parę telefonów i przemyśleć kilka spraw — odpowiedziała mu. — Pytałeś, co będę robić. Mam bardzo dużo do zrobienia, ale nie wymaga to żadnego towarzystwa.

Widziała, że dotknęły go te słowa. Była wyjątkowo nieuprzejma. Jeszcze wczoraj kochała się z nim, a teraz już drugi raz wyrzuca go z mieszkania. Nie mogła mu jednak powiedzieć o swoim planie dostania się do magazynów zaopatrujących karetki. Musiała się tam dostać, a nie mogła mu jeszcze zaufać. Musiała mieć kroplówkę z magazynu po to, aby dowiedzieć się, czy oxytocyna jest dodawana już tam, czy też robią to sami pielęgniarze.

Odprowadziła go do drzwi.

— Och, całkiem bym zapomniał — rzucił. — Słyszałem, że rozmawiałaś dzisiaj z Theodore'em. Czy zauważyłaś coś szczególnego w jego oczach? Tak jak wtedy, gdy z nimi pierwszy raz rozmawiałem, tak i dzisiaj zauważyłem to samo.

— Czy wtedy to był naprawdę ten pierwszy raz? Zerknął na nią ostro, nim odparował:

— Sama sobie znajdź na to pytanie odpowiedź. Wracając jednak do tego, co mówiłem. Źrenice Theodore'a są bardzo małe, dużo mniejsze niż* u brata.

Rae wymownie spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta.

— Jest też szczuplejszy niż Leonard i mogę się założyć, że coś bierze.

— ciągnął Sam.

Do czego on zmierza? Czy próbuje podrzucić jej kolejną szaloną myśl?!

— Theodore może brać różne rzeczy — mówił dalej Sam. — Jednak] utrata wagi, długie rękawy i pomniejszone źrenice pozwalają mi sądzić, że | bierze narkotyki. Można brać je latami i nikt nie będzie o tym wiedział, Jednak te długie rękawy coś mi mówią. Widziałaś ich kiedyś w koszulkach?

— Ubrania pielęgniarzy zawsze mają długie rękawy — odparła znużona.

— Wszyscy wiedzą o ćpunach z ulicy. Tych, co się chowają po parkach, bo nie mają gdzie się podziać, i nigdy nie wiedzą, czy działka,, którą biorą, nie będzie przypadkiem ich ostatnią. Ale wielu uzależnionych od heroiny...

— Od heroiny? — przerwała mu z niedowierzaniem w głosie.

— Wielu uzależnionych od heroiny — ciągnął Sam — ma stałą pracę, | chociaż przez jakiś czas. Muszą tylko nosić długie rękawy i trzy albo cztery razy w ciągu dnia znaleźć się samemu w łazience.

Nie wierzyła Samowi, ale to chyba od Bernie słyszała, że bliźniaki nigdzie długo nie zagrzewają miejsca.

— Kierowca karetki ćpunem? — rzekła z niedowierzaniem w głosie,

— Podejrzewam, że są też i lekarze ćpuny. Ty sam częstonosisz długie rękawy. Ja też prawie zawsze mam coś z długimi rękawami i pewnie ze

cztery razy na dzień zamykam się w łazience.

Sam pogłaskał ją po głowie jak dziecko. Sięgnął po krzesło obok.

— Czasami myślę, jak możesz robić, to co robisz, będąc taką naiwną?]

Jasne, że heroina nie wybiera zawodu. Mój brat też był anestezjologiem j w Bostonie, a brał dwanaście razy na dzień.

— Twój brat? — zapytała całkowicie zaskoczona.

— Najpierw to była morfina, Theodore mógł z łatwością zacząć od tego.

Oczywiście mój brat nie miał żadnych problemów ze strzykawkami i igłami tak samo jak Theodore. Rae, byłem kiedyś równie naiwny jak ty teraz. Widywałem się z nim każdego dnia i nie wiedziałem o tym, aż do momentu, kiedy przedawkował i pielęgniarka znalazła go martwego, zamkniętego w szatni.

Rae dotknęła delikatnie jego policzka. — Tak mi przykro, Sam.

202

— Mnie też. — Uśmiechnął się smutno. — Ale nie mówię ci tego, by wzbudzić twoją sympatię. Naprawdę uważam, że Theodore może być uzależniony, a tacy ludzie bywają niezwykle niebezpieczni. Proszę cię więc, uważaj...

— Możemy wziąć go na test — zasugerowała Rae. — Ale czy należy tu przekładać jego problem nad wszystko inne...?

— Skłonić go do takiego testu nie będzie łatwo, ale nie to mnie martwi.

Zastanawiam się, czym płaci za to Uzależnienie od heroiny mają zawsze z tym problem.

— No właśnie! — podchwyciła Rae. — Ktoś mu musi płacić.

— Ale kto?

Rae siadła na krześle obok niego.

— Posłuchaj — zaczęła — nie wiem, czy on bierze, czy nie. Trzeba to sprawdzić, ale założmy, że tak jest. Cały czas myślałam nad powodem, dla którego ci pielęgniarze mieliby to wszystko robić. Jeśli więc to on wykonuje czyjś plan i bierze za to pieniądze lub działki, nie jest dla niego istotne, z jakiego powodu to robi. Jedyne, co ma zrobić, to wpuścić do kroplówek oxytocynę. Nie ma silniejszej motywacji do działania jak narkotyk.

— A heroina jest najgorsza — smutno dodał Sam. — I ktoś, kto powinien pomagać potrzebującym, równie dobrze może im zaszkodzić. Na heroinę trzeba wydać dużo pieniędzy, więcej, niż pielęgniarz może zarobić.

— Ktoś więc płaci mu tyle, aby mógł sobie na nią pozwolić. Za to musi przygotować kilka kroplówek w magazynie i zabrać je do swojej karetki. A płaci mu ktoś, kto chce, aby Centrum zostało zamknięte.

— To całkiem możliwe — potwierdził Sam. — Ale kto?

Patrzyli na siebie, jakby poszukiwali odpowiedzi na zupełnie różne pytania. Deszcz gnany wiatrem coraz mocniej uderzał o szyby, a niebo przecięła błyskawica.

— Może jednak porównamy swoje wiadomości podczas wspólnej kolacji?

— spytał Sam.

— No cóż... — Rae zawahała się. Mówiła już przecież, że ma plany na dzisiaj. Z drugiej jednak strony chciała, a nawet musiała z nim porozmawiać o tych znalezionych raportach. Musiała to zrobić, żeby czuć się dobrze w jego obecności, a bardzo tego chciała.

— Mam układy w Chez Panisse — odezwał się kusząco.

— Ale Chez Panisse jest zamknięte w niedzielę.

— Nie dzisiaj. Przyjechał nowy szef kuchni z Florencji i Alice zrobiła

wyjątek w tę niedzielę.

— Jak na kogoś, kto jest tutaj dopiero kilka miesięcy, masz już niezłe układy — zauważyła z uznaniem.

203

— Lubię jeść — odparł. — Możemy się tam spotkać za godzinę?

Pokiwała głową. Prędzej czy później musiała z nim o tym porozmawiać.

— Sam, ale jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać, i jeżeli nie będziesz ze mną szczery...

Sam zmarszczył brwi i otworzył drzwi. — Chez Panisse za godzinę, Tam odpowiem na wszelkie twoje pytania.

Po wyjściu Sama Rae uznała, że ma jeszcze wystarczająco dużo czasu, by się przebrać na spotkanie z nim i odwiedzić magazyn Hillstar. Parę minut później odświeżona, siedząc już w swoim aucie zadzwoniła na informację, aby dowiedzieć się o adres Hillstar.

Deszcz mocno uderzał o szyby i dudnił po masce samochodu. Wolno jechała 1-80 szukając zjazdu na Richmond Street. Zamyślona skreśliła w Raymond. Zastanawiała się, kto płaci Theodore'owi MacHenry'emu, i jaki znaleźć powód, aby dostać się do magazynu Hillstar? Dojeżdżając do bramy zauważyła, że cały teren otoczony był wysokim ogrodzeniem z siatki, wjazd na parking był zamknięty, musiała więc zadzwonić, aby ją wpuszczono. Zaparkowała obok innych mokrych i błyszczących się w świetle | lamp samochodów.

Za głównym budynkiem, który wyglądał jak szkolny internat, stało zaparkowanych co najmniej trzydzieści karetek. Przechodząc obok nich starała się nie patrzeć w tamtą stronę — jedna karetką nie opuszczała jej myśli od dawna, a tu było ich tak dużo.

Po wejściu do biura magazynu Rae przywitała się z młodą kobietą ubraną w obcisłą i nader krótką sukienkę.

— To pani dzwoniła tu niedawno? — zapytała znudzonym głosem kobieta, kręcąc na palcu swe rude włosy.

Rae była trochę zaskoczona, że nie widzi tu żadnych kroplówek ani też innego sprzętu, jaki zazwyczaj leży porozkładany w magazynie.

Pomieszczenie wyglądało raczej na typowe biuro. Wyjątkiem byli kręcący się pielęgniarze i magazynierzy. Głównie młodzi, dobrze zbudowani mężczyźni.

— Ładne miejsce — zagadnęła Rae, zastanawiając się, gdzie przechowywane są pojemniki z kroplówkami.

204

— Ja wolałabym gdzie indziej spędzać niedzielny wieczór, ale każdy ma swoją robotę — odrzekła ziewając. — O co chodzi, pani doktor? Na pewno obie mamy lepsze rzeczy do robienia niż patrzeć się tu na siebie. Rae nie wiedziała, jak poprosić ją o kroplówkę; ukraść z karetki było w miarę łatwo, ale z magazynu to już zupełnie inna sprawa.

— No cóż, zastanawiałam się właśnie... — zaczęła trochę nieśmiało.

Sięgnęła po portfel i wyjęła z niego pięćdziesiątkę, położyła ją na biurku.

— Czy to pokryje koszt jednego litra płynu Ringera?

Oczy kobiety zabłysły na moment. Spojrzała na banknot, następnie na Rae. W końcu sięgnęła ręką po banknot i szybko wsunęła za biustonosz.

— Wygląda na to, że mój wieczór nie jest jeszcze tak do końca stracony — rzekła z satysfakcją w głosie. — Już pani przynoszę. — Weszła do pokoju obok i szybko wróciła niosąc woreczek z przezroczystym płynem. — Chyba nie trzeba tego kwitować...

Podawała Rae woreczek, a ta schowała go do przygotowanej już plastikowej torby.

— To będzie taka nasza tajemnica — powiedziała. Chciała już schować portfel do torebki, ale wyjęła z niego jeszcze jeden taki sam banknot.

— A może dowiem się jeszcze, czy wasi pielęgniarze są sprawdzam, czy nie zażywają narkotyków? — Położyła banknot na stole.

Oczy kobiety zwęziły się lekko i twarz przybrała poważny wygląd.

— Zaraz, czy pani nie jest czasem gliną? — spytała chowając szybko banknot.

Rae bez słowa wyjęła jeszcze jeden banknot. — Za tę małą przysługę również nie potrzebuję pokwitowania.

— Nie, dzięki Bogu, nie sprawdzają żadnego z... — Zabrała kolejny banknot rozglądając się nerwowo. — Czy jeszcze w czymś mogę pani pomóc?

Rae odwróciła się i zobaczyła wchodzącą starszą kobietę. Miała bardzo delikatne rysy twarzy i prawie zupełnie siwe włosy.

— Dzięki, to już wszystko.

Starsza pani podeszła do nich i usiadła za biurkiem.

— Moja wnuczka — powiedziała. — Co ja bym bez niej zrobiła?

Młoda kobieta mrugnęła do Rae. — Nie pracuję tutaj, pomagam tylko trochę babci.

Rae pokiwała potakująco głową. — Daleko zajdziesz. Tylko nie strać tego wszystkiego w jednym miejscu.

Siedząc w samochodzie, drżącymi z podniecenia rękoma wyjęła z torebki szkło powiększające i zaczęła sprawdzać powierzchnię plastikowego woreczka. Późna pora i padający deszcz nie ułatwiały jej zadania. Jeżeli

się pospieszy, zdąży jeszcze zadzwonić do laboratorium, które miało przeprowadzić test na pierwszym worku. I powie, że prześle im nie jeden, ale trzy woreczki do badania.

Słuchając walącego o dach auta deszczu, wystukała numer laboratorium w San Diego. Tym razem telefon odebrał inny laborant. Wyniki mogą być już za pięć dni, jeżeli tylko zgodzi się pokryć dodatkowe koszty.

Co to pieniądze robią z ludzi, pomyślała odkładając telefon. Pełna optymizmu włączyła silnik i wolno skręciła w 1-80. Z powodu deszczu ulica była zupełnie pusta, szybko minęła rysującą się w ciemnościach zabudowę uniwersytetu, skręciła w Cedar i ruszyła na zachód.

Zastanawiała się, gdzie mieszka Nola Payne i co ją skłoniło, by rodzic w Centrum.

Restauracja mieściła się na Shattuck Avenue, a do jej dwupiętrowego budynku prowadziła szeroka, wysadzana krzewami aleja. Chwalona była przez wszystkich i niełatwo tu było znaleźć wolny stolik. Głównymi jej gośćmi byli mieszkający na stokach Berkeley właściciele domów powyżej pół miliona dolarów. Co najważniejsze jednak — i wszystkim się niezwykle podobało — to fakt, że można było tu przyjść ubranym zarówno w strój wieczorowy jak i sportowy.

Rae szybko wbiegła po szerokich drewnianych schodach do kawiarni, sala obiadowa była na pierwszym piętrze.

— Rae, wieki cię tu nie widziałem! — zawołał na jej widok Alex, główny kelner restauracji.

— Witaj, Alex, jak się ma mały George? — zapytała.

— Powinienem dostać moje pieniądze z powrotem — odezwał się z

udawanym grymasem. — Najlepiej, żebyś go wsadziła z powrotem tam, skąd wyszedł.

— To ty już z dwulatkiem nie dajesz sobie rady? — zaśmiała się Rae.

— Mów lepiej, cóż cię do nas sprowadza?

Zanim Rae zdążyła odpowiedzieć, do Alexa podeszła młoda kelnerka:

— Alex, twoja żona dzwoni. Chodzi o syna...

— A widzisz, nie mówiłem! — powiedział, łapiąc się za głowę. Po jego odejściu do Rae podszedł inny kelner.

— W czym mogę pani pomóc? — zapytał.

— Jestem tu umówiona z panem Samem Hartmanem — odpowiedziała.

— Ach tak — rzekł kelner, sprawdzając książkę rezerwacji. — Tak, pan Hartman ma zarezerwowany stolik, ale o ile sobie przypominam, to dzwonił, że przyjdzie troszkę później. Pan Hartman jest lekarzem, nieprawdaż?

206

Rae kiwnęła głową. — Dziękuję, poczekam w kawiarni. Ruszając w stronę kawiarni Rae zauważyła schodzącego po schodach Walkera Stuarta.

— Proszę, proszę — zawołał rozkładając w powitalnym geście ręce. —

Czekam właśnie na Denise i mam teraz nadzieję, że jak zwykle się spóźni, co pozwoli nam na chwilę rozmowy.

Świetnie, że go tu spotkała. Miała mu do powiedzenia milion spraw, nie wiedziała tylko, jak to zrobić.

Kelner zaprowadził ich do stolika.

— Cieszę się, że cię zobaczyłem — powiedział Walker, kiedy usiedli.

Ubrany był w czarny blezer i ciemne spodnie. Śnieżnobiała jedwabna koszula podkreślała jego srebrzystą, krótko przystrzyżoną brodę.

— Ja też się cieszę — odpowiedziała Rae. — Oszczędzi mi to jutrzejszej wizyty w twoim biurze.

— Posłuchaj, Rae, ja byłem nawet dzisiaj w biurze... Otrzymałem właśnie kopię raportu Arniego Drivera i jego wniosek o wszczęcie postępowania przeciwko tobie.

Rae kiwnęła głową, ale nim mogła coś powiedzieć, Walker już mówił dalej:

— Jak wrócisz do domu, na sekretarce znajdziesz wiadomość ode mnie. Dzwoniłem tuż przed przyjściem tutaj. Jeżeli jest coś, co mogę w tej sprawie zrobić, to proszę, powiedz mi. Niestety nie mogę wezwać do siebie Drivera i powiedzieć mu, co o tym wszystkim myślę. Prawo szpitalne mówi, że powinienem być o tych sprawach poinformowany, ale nie mogę brać w nich udziału.

— Wiem o tym, Walker — odpowiedziała Rae. — Ale mam o wiele ważniejsze sprawy, o których chcę z tobą porozmawiać, niż to moje przesłuchanie.

— Nie mów tak, Rae. Cóż może być ważniejsze od tego, że jakiś dureń chce wykluczyć z personelu mojego szpitala najlepszego lekarza?

— Walker, zapewniam cię, że traktuję to wszystko bardzo poważnie. Sądzę jednak, że to wszystko jest ze sobą powiązane, moje przesłuchanie, problemy z noworodkami, napad na Bernie...

— Znałaś ją dobrze?

— Bernie Brown to moja najlepsza przyjaciółka.

— Żartujesz! Mam na myśli tę pielęgniarkę, którą... Rae, bardzo cię przepraszam, nie wiedziałem, że to twoja przyjaciółka...

— Walker, ona nie miała wrogów — powiedziała cicho Rae. Walker

westchnął głęboko i rozejrzał się po sali. '— To już wiem, kto ją tam znalazł.

207

— Masz jakieś wieści od policji? — spytała. Nagle poczuła, że szampan, jaki zamówił Walker, zupełnie stracił smak. Walker pokręcił głową.

— Nie, nie mam żadnych. Nasza ochrona z nimi współpracuje, dają im wszystko, czego zażądata, wydruki komputerowe, wszelkie zapisy, listy pracowników...

Przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu, aż odezwała się Rae: — Jest jeszcze gorzej, niż myślisz.

— No to mów.

Rae przedstawiła mu swoją teorię dotyczącą oxytocyny i podejrzenia co do pielęgniarki z karetki. Walker słuchał w skupieniu. Od czasu do czasu kiwał tylko głową i kręcił nóżką kieliszka.

— ...i ten, kto chce, aby Centrum miało kłopoty związane z noworodkami, zaatakował też Bernie — zakończyła Rae.

Pociągnęła łyk szampana i czekała, co teraz powie Walker.

— No cóż, wygląda na to, że to u nas coś źle działa. Matki przewożone są z Centrum bez problemów, kłopoty zaczynają się u nas. Oznacza to, że nasze raporty odnośnie porodów będą wyglądały bardzo źle. Mam jednak nadzieję, że nie opowiedziałaś swojej teorii zbyt wielu osobom?

— Ale powiedz mi, Walker, co ty o tym sądzisz? Powiedz mi, że jeszcze nie zwariowałam.

— Ty nie, ale twoja historia tak — odparł jej zamyślony.

— Ale to przecież możliwe...

— Posłuchaj, Rae — Walker pochylił się nad stołem. — Chcę uwierzyć w

to, co mi opowiedziałaś, ale chyba nikt tak bardzo jak ja nie chce, aby to cholerne Centrum zostało zamknięte. A jeżeli jest tak jak mówisz, to dlaczego nie sprawdzić poziomu oxytocyny w krwi pacjenta?

— Widzisz, dlatego ty jesteś szefem administracyjnym szpitala, a ja lekarzem. — Klepnęła go po dłoni. — Oxytocyna jest wspaniałym lekiem dla kogoś, kto chce zabić kobietę w ciąży, nikt nie przeprowadza badań na jej poziom we krwi, poza tym jest to lek, który pozostaje w krwi pacjenta nie dłużej jak 2-3 minuty. Wygląda jak woda i można ją wstrzyknąć do kroplówki w każdym momencie, i nikt tego nie zauważy. — Pokazała na paznokiec u swego małego palca. — Fiolka z oxytocyną jest tej wielkości. Każdy ją może z łatwością ukryć i tak samo łatwo ukraść. Jest ich pełno na porodówce i intensywnej terapii. Nawet sprzątaczką może swobodnie schować kilka fiolek do kieszeni.

Walker gładził dłonią swą siwą brodę.

— Rae, na miłość boską, mam nadzieję, że się mylisz.

— Ciągłe jeszcze mi nie wierzysz? — zapytała.

208

— Jeżeli ci uwierzę, będę musiał poinformować o tym policję — odpowiedział. — A oni będą chcieli dowodów, aby przekonać się, czy to prawda. — Pokręcił głową. — Rae, jesteś najlepszym położnikiem, jakiego mamy. Wiesz, jakim cię darzę szacunkiem, ale szczerze mówiąc, to, co słyszę, przeraża mnie. Boję się o ciebie, jesteś przepracowana i masz jeszcze na głowie jakiegoś dupka, który próbuje wykluczyć cię z kadry lekarskiej naszego szpitala, i jeżeli mu się uda, staniesz przed komisją stanową, a wiesz, jacy oni potrafią być.

Rae pochyliła się do niego.

— Walker, w medycynie lekarz często korzysta z intuicji. Na przykład pacjentka, która miała cesarkę dwa dni temu, może wyglądać zupełnie w porządku, ale trochę dziwny wyraz jej twarzy i lekko skrócony oddech może mnie zastanowić, czy przypadkiem nie pojawił się płucny zator powstały wskutek skrzepu krwi w jej nodze. Gdyby to nie przyszło mi do głowy, nie nakazałabym badania krwi na poziom tlenu, które mogłoby mi wykazać jego niski poziom. Niski poziom tlenu we krwi oznaczałoby badanie perfuzji wentylacyjnej, które potwierdziłoby pojawienie się płucnego zatoru, a taki zator może człowieka zabić. Teraz możemy podać pacjentce heparynę i go rozpędzić. Widzisz, Walker, gdybym jednak nie usłuchała swojego instynktu i nie nakazała badań, ten zator zabiłby pacjentkę.

Czekała, czy Walker to zrozumiał.

— Nie wiem, Rae, co o tym sądzić, intuicja to jedno, a głupota to drugie.

— Walker, powiedz mi, czy znasz Howarda Marvina? — zapytała.

— To kawał skurczybyka — odparł Walker będący ciągle pod wrażeniem historii o oxytocynie.

— Też tak słyszałam. A wiesz coś o jego planach kupna Centrum Porodów i stworzenia tam kliniki kardiologicznej?

— Co?

— Nie rozmawiał o tym z tobą? To znaczy, nie próbował cię przekonać, abyś się przyłączył do niego? Tak właśnie mówił Bo i jeszcze, że Marco miałby prowadzić tę klinikę.

— Nie, Rae. Howard Marvin nigdy ze mną na ten temat nie rozmawiał.

— Ale gdyby się do ciebie z tym zwrócił, rozważyłbyś taką możliwość? po tym wszystkim, co ci powiedziałam, przedłożyłbyś program Marco

mój? Walker odstawił kieliszek z szampanem na stół.

209

— Jeżeli byłąby taka możliwość, a porodówka w dalszym ciągu przynosiłaby tylko straty, cóż, chyba tak. Ale zadałaś czysto teoretyczne pytanie, a my mamy coś zupełnie realnego na głowie, nie sądzisz? Mamy twoje przesłuchanie, porody z poważnymi problemami i wariata, który napadł na twoją przyjaciółkę. Hej, czy ty mnie słuchasz?

— Tak, oczywiście, ale myślę, że Howard jest w jakiś sposób zamieszany w całą tę historię. Walker westchnął.

— To prawda, że kawał skurczybyka z niego, ale w interesach, Rae. Ty natomiast oskarżasz go o morderstwo, czy ty tego nie zauważasz?

Dziewczyno, jeżeli dalej będziesz mówić o jakimś spisku przeciwko noworodkom, to w końcu cię zamkną... Na pewno były problemy z porodami, ale ja to widzę inaczej. Były z powodu złej opieki, jaką miały te pacjentki w Centrum. Zresztą to właśnie powiedziałaś Heidi, prawda? Czy nie jest to właśnie powód, dla którego obiecałaś ściągnąć stamtąd swoich ludzi? Rae, trzymaj się tego. Pokaż Centrum Porodów z jak najgorszej strony, nie wymyślaj teorii, które ukażą nasz szpital, a także i ciebie, w złym świetle.

— Walker, tu nie chodzi o to, jak my wyglądamy.

— Proszę cię, Rae, nie bądź dzieckiem. I na miłość boską, nie rozpowiadaj o tym, a zwłaszcza nie mów o swoich podejrzaniach na przesłuchaniu. Nie wierzę w to, co napisał Arnie, i jestem całkowicie po twojej stronie, ale wyobraź sobie, co on o tym pomyśli, i cała reszta lekarzy, którzy tam będą...

Przerwał i pomachał ręką nad głową. Rae spojrzała i zobaczyła Denise stojącą obok Alexa. Ubrana była w elegancki czarny kostium z dzianiny.

— Obiecasz mi to? — spytał Walker.

— Nie mogę — odparła, opierając się o wysokie oparcie krzesła. Czuła się teraz jak rozdrażniony dzieciak, a nie jak zastępca ordynatora oddziału.

Walker dopił szampana i wstał od stolika.

— Jeszcze z tobą nie skończyłem — zaznaczył. — Musimy pogadać. Tylko pomyślę, jak przemówić Arniemu do rozsądku. Nie chcę, aby mój najlepszy położnik został usunięty ze szpitala za to, że ratuje noworodki. Ale proszę cię, Rae, nie gadaj już o tych pielęgniarzach z karetki ani też o jakimś spisku przeciwko noworodkom.

Bardzo chciała, aby Walker jej uwierzył. Teraz musiała zadać sobie trudne pytanie: jeżeli Walker jej nie uwierzył, to jak przekona o tym swoich kolegów?

* * *

210

— Mam nadzieję, że otrzymałaś moją wiadomość — powiedział pięć minut później Sam, siadając na krześle naprzeciwko niej. — To Marco zadzwonił do mnie i prosił, bym zaczął operację zastawki aorty, nim zjawi się dyżurny anestezjolog.

Sam spojrział na pusty kieliszek stojący tuż przed nim i na prawie pełny Rae, których kelner nie zdążył jeszcze sprzątnąć ze stołu po odejściu Walkera. Nie mogła nie zauważyć, jak w pewnym momencie podniósł do góry brwi. Wielu lekarzy wracających z oddziału reanimacyjnego ma właśnie takie pompatyczne spojrzenie. Wynika ono chyba z faktu pewnego pobudzenia organizmu po ratowaniu cudzego życia, zmieszanego z

uczuciem, że to ktoś inny, a nie ja, otarł się o śmierć.

Niestety ona nie podzielała jego samopoczucia, zdawała się wręcz przytłoczona faktem, iż Walker nie uwierzył w jej teorię.

— Rozmawiałam przed chwilą z Walkerem — odezwała się. —

Opowiedziałam mu swoją teorię, a on tylko sobie popijał.

— Dlatego twój kieliszek jeszcze jest pełny.

— Bardzo zabawne — wzdrygnęła się.

— Posłuchaj, Rae, nie możesz oczekiwać od ludzi, że od razu w to uwierzą.

— Właśnie, że mogę! — rzekła, patrząc mu zaczepnie w oczy. — Zrobię wszystko, aby uwierzyli. Walker po prostu nie chce w to uwierzyć, tak samo jak ty, do czasu jak przeczytałeś ten artykuł.

— Nie poddajesz się tak łatwo, prawda?

Wzięła do ręki kartę. — Mówisz, że spóźniłeś się, bo Marco poprosił cię o przysługę? A czyż nie ty mówiłeś, że to lekarz powinien znaleźć w swoim życiu miejsce na medycynę, a nie vice versa.

Zerkała znad karty, próbując dostrzec, jakie wrażenie zrobią na nim te słowa.

Sam zamyślił się przez chwilę.

— Trafiony, zatopiony — odparł.

Złożyli zamówienie: pół tuzina ostryg, a na potem risotto z kałamarnic dla Rae. Sam wybrał sałatkę z pieczarek jako przystawkę, a do tego pieczoną przepiórkę i kremową polentę.

— I butelkę Dolcetto — rzekł jeszcze do kelnera. Odwrócił się do Rae. —

Wracając do wczorajszego wieczoru — zaczął. — Tuż przed moim wyjściem od ciebie odniosłem wrażenie, że coś cię denerwuje, a wręcz

złości. I zastanawiam się cały czas, czy to z mojego powodu.

Powiedziałem lub zrobiłem coś nie tak?

— Cały czas mówisz i robisz rzeczy, które wyprowadzają mnie z równowagi — odparła myśląc o znalezionych kartkach z raportami.

211

— Ale wczoraj było zupełnie inaczej. Jak coś masz do mnie, mówisz to od razu. Bardzo to w tobie cenię. Nie ma zgadywania i domyślania się, o co chodzi... Moje małżeństwo było takie, ciągle musiałem się domyślać, o co chodzi żonie.

Rae sięgnęła do torebki i wyjęła z niej złożone kartki. Położyła na stole wpatrując się w jego twarz.

Sam wolno wyciągnął po nie rękę. Przejrzał kartki, lecz zanim dotarł do ostatniej, już na nie nie patrzył, a wpatrywał się w jej twarz. Nigdy wcześniej nie widziała go zdenerwowanego, ale wiedziała, że właśnie teraz taki jest. Nie zrobiło to na niej większego wrażenia, chciała usłyszeć jego wytłumaczenie.

— Wszędzie ich szukałem — powiedział cicho.

Do stolika podszedł kelner przynosząc przystawki. Sam złożył kartki i wsunął je do bocznej kieszeni marynarki. Wziął do ręki widelec i zaczął jeść grzyby.

— Wspaniale — rzekł.

— I co mi powiesz? — zapytała.

— A jak twoje ostrygi?

— Znalazłam te kartki u siebie w pokoju na podłodze.

— Niebo w ustach — zamruczał z rozkoszą Sam.

— Po co ci one?

— Dlaczego tak późno mi je oddałaś? I dlaczego nie wspomniałaś nic o nich u siebie w domu?

Rae wzięła przekrojoną cytrynę i ściskając ją w milczeniu skropiła sokiem ostrygi. Używając małego widelczyka, wydłubała jedną z muszli i umoczyła w sosie redezowym.

— A dlaczego ty nic nie powiedziałaś?

— Bo nie wiedziałem jeszcze, co z tymi dziećmi.

— Sam, co robiłeś z tymi raportami? — naciskała. — To te same raporty, które Marco, albo ktoś inny, wykradł z kart chorobowych pacjentek!

— Myślisz, że to ja?

— Nie, ale...

— No dobrze — zaczął Sam. — Słuchaj uważnie, bo nie powtórzę.

— No to słucham.

— Jak pewnie pamiętasz, byłem podczas operacji Noli. Byłem tam, zanim ty się zjawiałaś. Nola krzyczała z bólu jak wariatka. Później narodziło się to nieszczęsne dziecko. Po tym wszystkim spotkałem tych dwóch pielęgniarzy w kawiarence. I byłem dla nich miły, bo chciałem się dowiedzieć, dlaczego Nola tak wrzeszczała. Wtedy to zauważyłem zwężone źrenice u Theodore'a. Wiedziałem już, że musi coś brać... Nie obchodzą mnie spe-

212

cialnie inni pacjenci, staram się zajmować swoimi, ale kiedy usłyszałem o Meredith, i to nie od ciebie, ale od Marco, zapamiętaj — zacząłem się zastanawiać, jak to jest możliwe, że w ciągu niespełna dwóch godzin w najlepszym szpitalu w całym stanie zdarzają się dwa przypadki z problemami porodowymi. I wtedy zjawiałaś się ty, ze swoją teorią o

oxytocynie, i pokazałaś palcem na mnie, Marco i na Howarda.

Powinienem się wściec, ale wiedziałem, żeby nie brać tego zbyt osobiście. Tym bardziej, że ty tak bardzo się tym przejmowałaś. To, co powiedziałaś, wydawało mi się niezwykle głupie, ale twoje podejrzenia w stosunku do pielęgniarzy... No cóż, może i tak. Problem jednak w tym, że na razie nie mogę pojąć, w jaki sposób mogą wstrzykiwać oxytocynę do kroplówki. Zwłaszcza po tym, jak rozmawiałaś z doświadczoną położną, która potwierdziła, że nic takiego nie widziała.

Rae nie mogła uwierzyć w to, co mówił Sam. Była niezwykle zaskoczona. Nagle okazało się, że Sam nie tylko słuchał wszystkiego, co mu mówiła, ale sam się nad tym zastanawiał. Teraz dopiero patrząc na niego z zainteresowaniem i zaskoczeniem uwierzyła, że mówi prawdę.

— W zasadzie się zgadzam. Meredith jest pewna, że nie wstrzyknęli niczego do kroplówki — z zapalem podjęła Rae. — Ale kiedy Nola Payne zobaczyła, jak pielęgniarka zmienia jej kroplówkę, dostała szału.

— I tego właśnie nie mogę zrozumieć — przyznał Sam.

— Sam, tylko pomyśl, to nie jest wcale żaden problem. Jeśli ktoś chce to zrobić, nie potrzebuje wiele czasu. Wystarczy, że wstrzyknie oxytocynę wcześniej, kiedy worek jest jeszcze zapakowany, a następnie zawiesi kroplówkę i podłączy ją do żyły.

Przez kilka sekund Sam gapił się na nią w milczeniu.

— Niesamowite, dlaczego ja wcześniej o tym nie pomyślałem. Przecież igła do oxytocyny jest tak cienka, że nikt nawet nie zauważy otworu, jaki zrobiła w worku.

— Nie zauważy gołym okiem. Dlatego pojechałam dzisiaj do magazynów Hillstar ze szkłem powiększającym.

— Pojechałaś tam, sama?

— I nie zauważyłam żadnych dziur w worku, który tam dostałam.

Przez chwilę siedzieli w zupełnym milczeniu. Czekala, aż Sam przemyśli to, co mówiła. Była przekonana, że w końcu zaakceptował jej teorię, co się mogło dzieć z pacjentkami z Centrum Porodów. Miała jednak jeszcze sporo pytań do niego.

— Sam, wiem, że już cię pytałam o Marco i Howarda Mantina. Co ich łączy?

213

— Marco nie powiedział mi, czyj to pomysł z tą kliniką kardiologiczną — westchnął Sam. — Wiem tylko, że wiąże z tym poważne plany.

Zaproponował mi nawet objęcie stanowiska głównego anestezjologa, jeśli to wszystko dojdzie do skutku.

— A więc rozmawiał o tym z Howardem — stwierdziła Rae.

— Rae, ty mnie nie słuchasz. Czy ja wspomniałem cokolwiek o Howardzie? Nie mogę nawet powiedzieć, że Marco planuje jakąkolwiek współpracę z ludźmi z biura opieki zdrowotnej. Zresztą, do piątkowego poranka ja nie wiedziałem nawet, że jest to w jakiś sposób połączone z zamknięciem twojego oddziału.

Rae kiwnęła głową.

— A te raporty?

— Yvonne skopiowała je dla mnie, chciałem spokojnie przejrzeć je w domu. Tylko nie rozpowiadaj o tym. Obiecałem, że nikt się nie dowie.

Poczuła, że podczas tej kolacji z Samem jest jej dobrze i przyjemnie, pomimo tak poważnego tematu. Nie czuła się zmęczona. Sam, w przeciwieństwie do Bo, nie zmuszał jej do niczego. Jednak przyjaźń z nim

wydawała się jej niebezpieczna. Był przecież lekarzem, a wiedziała już z doświadczenia, że bliska przyjaźń z lekarzem jest pełna problemów. No i był biały.

Z drugiej jednak strony, był przecież mężczyzną. Z krwi i kości, tak jak każdy inny. Miał przecież rozum, serce i duszę — i ponad wszystko, ponad wszystkich mężczyzn, jakich знаła, miał tę swoją duszę we właściwym miejscu.

— Sam — odezwała się cicho — jedźmy już do domu. Nie chcę żadnego deseru. Chcę ciebie...

Przez następne dwie godziny kochali się bez opamiętania. Lecz tym razem wiedziała, że nie było to z samej potrzeby uprawiania miłości, lecz wynikało to z wzajemnego zrozumienia i zafascynowania. Jej serce rozmawiało z jego, a jego z jej. I tak powinno być, myślała zadowolona.

— Czy zawsze w tak przyjemny sposób traktujesz podejrzanych? — zapytał z uśmiechem, przerywając jej myśli.

— Masz prawo zachować milczenie — odezwała się pochylając usta nad jego twarzą. — I masz prawo być ciągle atrakcyjny i...

Reszta jej słów zatopiła się w potoku jego pocałunków. Powodem, dla którego wreszcie zdecydowała się mu zaufać, był fakt, że w końcu zdecydowała się zaufać samej sobie.

214

PRzez kilka następnych dni, czekając na wyniki z laboratorium w Sandiego, Rae starała się wykonywać swoje normalne obowiązki w szpitalu. Do San Diego wysłała trzy worki z płynem Ringera. Jeden wyciągnięty z Centrum Porodów, drugi skradziony z karetki i trzeci „kupiony” z magazynu Hillstar.

Po wydarzeniach kilku ostatnich dni, praca w szpitalu wydawała jej się jednak inna, mniej przyjemna. Nie było już tyle pozdrowień i powitań w holu. Pielęgniarki i lekarze spoglądali na nią z coraz mniej ukrywaną podejrzliwością. Czasami nawet wydawało się jej, że słyszy za plecami szepty, w których często pojawiała się jej imię.

Dokładnie wiedziała, o czym mówią.

Jak słyszała od Jessiki, pielęgniarki intensywnej terapii opiekującej się dzieckiem Noli Payne, Arnie Driver przez cały tydzień rozpowiadał w szpitalu, że Rae specjalnie opóźniała poród dziecka Noli, a poród dziecka Meredith starała się jak najbardziej skomplikować.

Dzień wcześniej, po porannym zakończeniu przyjmowania pacjentek, Sam po raz kolejny zadzwonił pytając, czy ma wolne popołudnie. W ciągu ostatniego tygodnia widywali się dosyć często i Rae zawsze z przyjemnością zgadzała się na spotkania.

— Przykro mi, ale dziś nie mogę — odpowiedziała na jego kolejne zaproszenie. — Przez cały tydzień próbuję porozmawiać z pielęgniarzami, ale ciągle ich nie ma. Dowiedziałam się, że mieli kilka dni wolnych, choć dzisiaj wrócili do pracy. Tylko że to cholerne przesłuchanie jest już jutro. Moja asystentka dzwoni co jakiś czas do laboratorium, ale jeszcze nic nie mają...

— To może przyszedłbym do ciebie teraz...? — zapytał nieśmiało Sam.

— Spotkajmy się za pół godziny w holu przy izbie przyjęć. — Odłożyła słuchawkę i zaczęła zbierać dokumenty z biurka.

— Przepraszam, że przeszkadzam — odezwała się Bobbie zaglądając do gabinetu. — Dzwoniłam do San Diego, ciągle nic.

— Jeszcze trochę czasu mamy — rzuciła Rae, wychodząc.

Popołudnie było słoneczne, a powietrze zdawało się kryształowo czyste. Wspaniała pogoda na grę w piłkę, pomyślała. Sam już czekał, niedaleko karetki Hillstara, w swoim fartuchu chirurgicznym i machał do niej.

— Leonard jest sam — rzekł, kiedy się zbliżyła.

215

Rae wolno podeszła do karetki. Tylne drzwi były otwarte, a w kabinie Leonard zawieszał na stojaku nową kroplówkę.

— Hej, pamięta mnie pan? — spytała z uśmiechem. Nagle pomyślała, że wcale nie powinna być taka miła. Bliźniacy kłamali jej przecież w żywe oczy.

Leonard upuścił worek z płynem, ale szybko go podniósł i wolno odwrócił się w jej stronę.

— Czego pani chce? Przyszła pani ukraść znowu litr płynu? — rzekł złośliwie.

Przebiegło jej przez myśl, aby wejść do karetki, lecz szybko przypomniała sobie reakcję po ostatnim pobycie. Sam stanął obok niej z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

— Chcę wiedzieć, dlaczego pana brat powiedział, że nie zmieniał kroplówki u Meredith, skoro to zrobił?

— Niech pani stąd idzie.

— Meredith jest położną, zapomniał pan?

— Mówiła pani wiele rzeczy.

— Ona tego nie odpuści. Mąż Meredith jest prawnikiem. — Spojrzała na Sama i puściła do niego oczko. Chyba mogła skłamać?

— I co z tego? — Leonard nie odrywał się od swojego zajęcia.

— Jej mąż jest prawnikiem specjalizującym się w uchybieniach procedur

medycznych — kłamała dalej. — I wierzy żonie, a nie pana bratu.

Leonard zeskoczył na ziemię i oparł się o barierkę, przy której stała karetka.

— No dobrze — odparł wycierając chusteczką spocony kark. — Założmy, że tak było. I co z tego, że zmienił kroplówkę? Przecież to nasz obowiązek, tak mamy zapisane w regulaminie pracy. A pani niech tu więcej nie przychodzi, przecież to pani spieprzyła wszystko. — Przeszył ją wzrokiem. — Wszyscy to mówią, pani doktor. — Oparł się o karetkę. — Chce pani jeszcze o coś zapytać?

— Dlaczego zmienił jej kroplówkę? — spytała ponownie. Starła się zachować spokój, ale czuła, jak bezczelność Leonarda wyprowadza ją z równowagi. Arnie faktycznie nie próżnował przez cały ten okres i zdążył już z nimi porozmawiać. Ale nie wiedział, z kim zaczął.

— Niby skąd, do cholery, ja mam to wiedzieć? Nawet jeżeli zmienił, co worek słonej wody ma wspólnego z problemami, jakie były przy porodach?

Po raz pierwszy Rae poczuła, że Leonard mówi prawdę i faktycznie może o niczym nie wiedzieć. Mógł kłamać, że Theodore zmieniał czy też nie zmieniał kroplówki, ale wydało jej się bardzo prawdopodobne, że nie

216

wiedział, jakie konsekwencje niosła za sobą ta zamiana. Stał tak zagapiony, jakby właśnie od niej oczekiwał wyjaśnienia.

— Może w kroplówce było coś więcej niż słona woda? — rzekła Rae.

Wielkie dłonie Leonarda zacisnęły się w równie wielkie pięści. Odwrócił się do Sama.

— Niech pan ją stąd lepiej zabierze — powiedział zaciskając zęby.

— No nie, ja sam się jej boję — odparł Sam.

— Niech pan posłucha. — Rae podeszła krok bliżej. Leonard miał prawie dwa metry wzrostu, musiała więc podnieść głowę, aby widzieć jego twarz.

— Wysłałam worek, który zabrałam z waszej karetki, do analizy. I będę wiedzieć, czy oprócz słonej wody było tam coś jeszcze. Niech pan więc przestanie ochraniać brata. Doskonale pan wie, co się dzieje, i wie pan też, że odpowiedź znajdzie się w tamtym worku.

— Nic nie wiem — rzucił krótko Leonard.

— Więc niech pan mi to udowodni. Niech mi pan pozwoli obejrzeć te worki. — Zerknęła do środka karetki i ruszyła do niej.

Leonard, mimo swej olbrzymiej postury, był jednak szybszy i zagroził jej drogę.

— Gdzie jest to laboratorium? — zapytał.

— Niech mi pan zejdzie z drogi! — krzyknęła, próbując go odepchnąć.

Leonard chciał ją złapać, lecz w tym samym momencie Sam stanął przed nim..

— Dobrze już, dobrze — zawołał Leonard podnosząc ręce do góry. — Ale skąd mam mieć pewność, że to pani nie wpuściła czegoś do tych worków, aby ratować swoją skórę?

— A gdzie jest teraz pański brat? — zapytał Sam.

— Mam nadzieję, że bardzo daleko. — Odwrócił się do karetki.

— O, na pewno — odezwał się Sam. — Strzał w żyłę zabrał go do bajecznej krainy.

— Odpieprzcie się — zamruczał Leonard.

Słowa Sama wywarły na nim jednak wrażenie. Rae zauważyła, jak nagle zaczęły mu drżeć ręce, gdy chciał wejść do kabiny.

— Ile heroiny może dostać za swoją wypłatę braciszek? — nie ustępował Sam.

— Zostawcie mnie w spokoju.

— Ciągłe się gdzieś wymyka. Chodzi do toalety częściej, niż my wszyscy razem wzięci — nie dawał za wygraną Sam. — Dlatego też jest taki niski i o wiele szczuplejszy, chociaż to brat bliźniak. I jeszcze te jego oczy, Leonard, te oczy go zdradzają...

217

Leonard wszedł w końcu do kabiny i zanim któreś z nich zdążyło coś dodać, zamknął drzwi od wewnątrz.

Po mało przyjemnym spotkaniu z Leonarde, Rae wróciła na oddział.* Sprawdziła, jak się czują jej pacjentki, i podeszła do najbliższego telefonu, i Wybrała numer laboratorium w San Diego i cierpliwie czekała. Po krótkiej chwili otrzymała połączenie się z technikiem w laboratorium i zapytała* o postępy.

— Ale dlaczego pani dzwoni? — zapytał zdziwiony. — Przecież odwołała pani te badania.

Rae ścisnęła słuchawkę z całych sił.

— Jak to odwołałam, kiedy? — Czuła, jak krew coraz szybciej krąży w jej żyłach. — Kto powiedział, że odwołałam to badanie?

— Czy pani jest doktor Duprey?

— Tak, ale nie odwoływałam tego cholernego badania! — Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. — Nie obchodzi mnie, kto dzwonił, znajdźcie te cholerne worki i zróbcie mi tę analizę! Mielicie na to tyle czasu! — niemal krzyczała już do słuchawki.

Technik próbował tłumaczyć jej, że worki te trafiły najpierw do innego

laboratorium i tam przeleżały. A gdy mieli zacząć badania, ktoś zadzwonił i odwołał wszystko, i teraz nie ma pojęcia, gdzie one mogą być.

Najprawdopodobniej są właśnie w drodze na śmieci.

Pod Rae ugięły się nogi. Czuła, że za chwilę serce wyskoczy jej z piersi. — Spróbuję je odszukać, ale nie mogę nic obiecać — usłyszała na koniec. Odłożyła słuchawkę. Była zła na samą siebie. Jak mogła być tak głupia i powiedzieć Leonardowi, co zrobiła ze skradzionym workiem. Od tego czasu minęła przeszło godzina. Wystarczająco, aby znaleźć laboratorium, które przeprowadza tego typu badania, tym bardziej, że jest tylko jedno w całym stanie.

Ale przecież nie mówiła Leonardowi, jaką analizę mieli wykonać — pomyślała idąc w stronę parkingu. Skąd więc mógł wiedzieć, jakiego szukać laboratorium, skoro nie wiedział, że chodzi o oxytocynę? Po ich rozmowie musiał więc sam przyjrzeć się workom i wywnioskować, o co chodzi, dlatego zadzwonił i odwołał badanie, aby nie być podejrzanym o współudział.

Pozostało tylko jedno wyjście: skorzystać z rady Bo i iść na policję.

Odnalezienie posterunku policji w Berkeley nie było problemem, choć gdyby nie stało przy nim kilka policyjnych samochodów, nie zauważyłaby go. Był to stary budynek pomalowany na biało na Milvia Avenue.

218

Zaparkowała swoje porsche i dotarła do wejścia, gdzie były dwie klatki schodowe. Wybrała tę po lewej. Najpierw rzuciła jej się w oczy duża tablica informacyjna tuż przy biurku dyżurującej policjantki. Czytając ją poczuła się trochę nieswojo: Wydział Zabójstw, Wydział Narkotykowy i inne.

Chyba tak samo czują się pacjenci wchodzący do szpitala, pomyślała. Tam też na tablicy informacyjnej są takie nieprzyjemne nazwy: Bank Krwi, Kostnica.

Policjantka z warkoczykiem uśmiechnęła się do niej.

— Chciałabym złożyć raport — powiedziała. Nie miała pojęcia, jak ma to zrobić, ani też nie była pewna, czy to, co chce zrobić, nazywa się właśnie złożeniem raportu.

— A jaki to raport? — spytała uprzejmie policjantka.

— Taki, jak się składa, gdy ktoś chce zabić kobietę w ciąży — powiedziała szybko. Policjantka spojrzała na nią z pewnym niedowierzaniem. — Jestem lekarką, pracuję w szpitalu i mówię całkiem poważnie.

Tamta podała kartkę papieru, już nie uśmiechała się do niej.

— Oczywiście, proszę to wziąć, usiąść tam i napisać wszystko. Rae usiadła przy okrągłym stoliku i zaczęła pisać.

— Hej, czy to doktor Duprey? — odezwał się nagle jakiś mężczyzna.

— Jestem sierżant Lane, pamięta mnie pani?

— Sierżant Lane — Rae wstała z krzesła i wyciągnęła do niego rękę.

Udało mi się, pomyślała, nie będę musiała tego wszystkiego pisać. —

Próbuję właśnie napisać raport o pewnych podejrzanych sprawach w szpitalu — dodała głośno. — Ale czy mogę nie pisać, tylko porozmawiać od razu z panem?

— Moje biuro jest tuż nad nami, zapraszam.

Kiedy szli schodami do góry, zapytał o Bernie. Wytłumaczyła mu, że rozpoczęli dializę, a teraz muszą po prostu czekać, co będzie dalej.

Sierżant Lane z kolei powiedział, że śledztwo jest w toku i próbują właśnie zlokalizować miejsce pobytu byłego męża Bernie.

— Ale Bernie nie widziała się z nim od wielu lat — rzekła, siadając przy małym biurku. Spojrzała wokół siebie na skąpo umeblowany pokój.

— To pańskie biuro? — zapytała.

— Tu właśnie rozmawiamy z ludźmi — odpowiedział sierżant. W tym samym momencie usłyszeli puknięcie w drzwi. — Och, Mailer, wchodź i rób notatki.

Rae nie przywitała się z młodym policjantem, mając jeszcze w pamięci, że podejrzewał ją o współudział w napadzie na Bernie. Im mniej będzie się do niego odzywać, tym lepiej, pomyślała.

— No dobrze, to słuchamy — rzekł sierżant Lane.

219

Cała historia zabrała jej dziesięć minut.

— Czy coś jeszcze? — zapytał sierżant.

— Nie, to wszystko. I co teraz?

Młody policjant wyduł wargi wypuszczając głośno powietrze.

— Mailer, przestań — strofował go sierżant Lane.

— Nie wierzycie mi, prawda? — rzekła cicho. * >

— Wierzyć czy nie wierzyć nie należy do nas... — zaczął Lane.

— Oczywiście, że pani nie wierzymy — przerwał mu Mailer. — Widzi pani, po tym co mówiła nam pani w szpitalu, trochę się tam rozejrzeliśmy. Jest pani zastępcą ordynatora oddziału położniczego...

Rae kiwnęła głową.

— Cóż, wygląda na to, że pomiędzy pani oddziałem a Centrum Porodów są pewne zgrzyty.

Oczy Rae zwęziły się w wąskie szparki. Wiedziała już, do czego zmierza.

— Ale... — zaczęła.

— Niech pani go posłucha do końca — odezwał się dobrodusznie Lane.

— Wie pani, jacy ci młodzi są niecierpliwi.

— Wiemy też, że nie darzy pani Centrum Porodów specjalną sympatią, doktor Duprey.

— Dobrze, już rozumiem. — Wstała z krzesła. — Może mi pan oddać ten formularz? Chciałabym jednak złożyć oficjalne doniesienie o tej sprawie. Nie było sensu przedłużać tej dyskusji. Ale jeżeli wypełni ten formularz, będą musieli się tym zająć, chociaż sprawdzić to wszystko.

— Chcielibyśmy pani pomóc — odezwał się Lane. — Ale skoro to sprawa medyczna, dlaczego nie zgłosi pani tego do departamentu zdrowia?

— Bo jestem całkiem przekonana, że tam nie mają wydziału do spraw zabójstw — odpowiedziała ostro.

Szybko wypełniła wszystkie rubryki i krótko opisała to, co im powiedziała.

— Proszę, teraz to już wasza sprawa. — Zebrała swoje rzeczy i skierowała się do wyjścia. — Miło mi się z panami rozmawiało.

— Potrzebujemy dowodów, a nie domysłów! — krzyknął za nią Mailer.

— To wy jesteście od znajdowania dowodów! — odparowała Rae.

220

Po opuszczeniu posterunku czuła się okropnie, ale tak naprawdę nie mogła ich za to winić. Mogła przewidzieć reakcję tych, co na co dzień zajmują się morderstwami i narkotykami, na jej próbę wyjaśnienia działania oxytocyny na macicę i porodowe ciśnienie krwi. Im bardziej się starała, tym gorzej to wyglądało. A przecież Sam, Marco i Walker ostrzegali ją przed reakcją osób postronnych na jej teorię.

Teraz musiała złapać Leonarda i wypytać co do odwołania jej badań. Była

też ciekawa, czy znalazł otwory po igłach w plastikowych pojemnikach. Najpierw jednak sprawdzi, czy Sam skończył już operację, powinna mieć go przy sobie.

W holu szpitala trzy ciężarne ze swoimi towarzyszami czekały na wycieczkę po oddziale porodowym. Rae zauważyła, jakie były podekscytowane. Za kilka tygodni trzymając w ramionach swoje dzieci nie będą w ogóle zwracały uwagi na to, gdzie się znajdują.

— Dobrze cię znów widzieć uśmiechniętą — usłyszała za sobą niski męski głos.

Odwróciła się. Walker.

— Masz chwilę czasu? — spytała.

Usiedli na jednej z obitych skórą kanap znajdujących się w holu. Chciała mu opowiedzieć, co ją spotkało na posterunku, ale przypomniała sobie, jak prosił, aby nikomu nie opowiadała tej historii. Nie chcąc narażać się na krytykę, opowiedziała tylko o swoim podejrzeniu w stosunku do Leonarda.

— Czekaj, o jakim ty badaniu mówisz? — przerwał jej Walker.

— Ojej, zapomniałam, że ty nie wiesz... — Szybko opowiedziała mu o wysłaniu płynu Ringera do analizy.

— I jemu o tym powiedziałaś? — pokiwał głową. Wyraźnie widziała, jak Walker ukrywa swe niezadowolenie. Odetchnęła jednak z ulgą, że nie zamierza jej za to strofować.

— No dobrze — rzekł spokojnym już głosem. — Wracając do twojego przesłuchania, którym się bardziej przejmuję niż ty, czy masz już coś przygotowane, poza tymi wynikami badań?

— Nic.

— No właśnie, dokładnie tak jak przypuszczałem. Wierzę, że to, co robiłaś, nie odbiegło w żaden najmniejszy nawet sposób od techniki medycznej i wydaje mi się, że powinnaś komisji dokładnie opowiedzieć co robiłaś krok po kroku, a ufam, że wszystko będzie dobrze. Nikt nie zo-

221

staje odsunięty od swoich obowiązków jedynie za to, że jest znakomitym lekarzem.

— Tylko że tam będzie parę osób, z którymi mam na pieńku. Arnie jest na mnie zły, że wsiadłam na niego podczas operacji Noli. Bo, jak sam powiedziałaś, jest gotów zwalić wszystko na mnie, byle ratować swój tyłek. Marco z kolei jest wściekły, że oskarżyłam go o kradzież kart.

— Kradzież kart? Kart chorobowych pacjentów?

— Tak, choć to już nie ma znaczenia. Dzwoniłam też do laboratorium i uprosiłam ich, aby odnaleźli te worki, które im przesałam, i ponowili badanie. Jestem pewna, że je znajdą, Walker. Chociaż nie wiem, czy zdążą na czas, to znaczy przed moim przesłuchaniem.

— Jak zwykle jesteś optymistką.

— Ja nazwałabym to raczej desperacją.

W tym momencie odezwał się jej biper. Numer 619 wskazywał na kierunkowy z San Diego, drżącymi palcami włączyła przewijanie ekranu wyświetlacza. Odczytała wiadomość: „Worki zostały znalezione. Testy w to-] ku”.

— Widzisz, Walker? — Schowała biper do torebki. — Módlmy się teraz, aby wyniki przyszły na czas.

— Sądziłem, że nie wierzysz w żadne modlitwy. — Walker zerknął spod oka.

— Bo tak jest — odparła. — Ale ty się możesz pomodlić.

— Proszę cię, Rae. Cała twoja kariera wisi na włosku, a ty sobie żartujesz. Czasami czuję się, jakbym był twoim ojcem. Chcę ci dać najlepszą radę, na jaką mnie stać.

— Nie zawiodę cię, ojczulku. — Poklepała go po ramieniu.

— Mówię poważnie, Rae.

— A ja idę na intensywną terapię. Mam tam spotkanie z pielęgniarkami. Zostawiła go w holu. Jak to zwykle bywa z ojcami, musiał zaakceptować fakt, że Rae robi to, co uważa najlepsze dla siebie.

Zanim zaczęła szukać pielęgniarki, zadzwoniła na oddział operacyjny, aby się dowiedzieć, czy Sam jest już wolny. Niestety ciągle jeszcze był obecny przy operacji. Odłożyła słuchawkę i zdecydowała, że sama pójdzie na to spotkanie.

— Pani doktor, słyszała pani o naszej ostatniej pacjentce z Centrum? — zawołała, mijając ją, Sylvia Height. Rae stanęła jak wmurowana.

— Mówisz o Meredith? O tej z dystocją barków...

222

— Nie, mówię o tej, którą przywieźli dzisiaj. Pacjentka doktora Michaela. Rozerwana macica. Jest w bardzo złym stanie, a dziecko ledwie udało się uratować.

Rae chwyciła ją za ramiona.

— Gdzie ona jest? — zapytała.

— Na intensywnej terapii, ona umiera — dodała cicho.

Ponownie zadzwoniła na oddział operacyjny i zostawiła wiadomość, aby Sam spotkał się z nią na intensywnej terapii. Następnie, skacząc po kilka schodów na raz, pobiegła zobaczyć pacjentkę.

Za oknami widać było niezliczoną ilość gwiazd mieszających się ze światłami miasta. San Francisco wyglądało jak czarodziejskie miasto z krainy Oz. W sali, gdzie była teraz Bernie, leżała młoda kobieta.

— To nie do pomyślenia — odezwała się Loudres, pielęgniarka dyżurna — ona ma tylko dwadzieścia dwa lata i dwuletnie dziecko w domu. Jej mąż przed chwilą stąd wyszedł. Kompletnie załamany... — Kiwała głową. — Boże, przecież to równie dobrze może mnie się przydarzyć, jestem w szóstym tygodniu.

Rae podeszła do leżącej kobiety. Twarz miała napuchniętą, jakby napompowaną płynem, który w nią wleto podczas operacji. Otwarte oczy błyszczały w świetle jasnych lamp, a z prawie sinych ust wystawała rurka inhalacyjna podłączona do wentylatora. Z nabrzmiałej szyi, niczym wąż, wił się przewód cewnika Swan-Ganza. Na ramionach i nogach widać było purpurowe ślady od ukłuc.

Rae wzięła jej spuchniętą dłoń w swoje ręce. Była bezwładna i ciepła tak jak całe ciało. Za szerokim odsłoniętym oknem żywo błyszczały i migotały światła wielkiego miasta.

— Wykrwawiła się — Loudres podeszła do Rae. — W pewnej chwili, nie wiadomo dlaczego, rozerwało jej macicę. Nim zdążyliśmy cokolwiek zrobić, już było po wszystkim, wyleciała z niej chyba cała krew.

— Gdzie jest jej karta? — spytała zniecierpliwiona, a Loudres spojrzała na nią zaskoczona. — Gdzie jest ta cholerna karta?

Nie chciała krzyknąć, ale ta kobieta umierała z powodu pękniętej macicy, klasycznego powodu przedawkowania oxytocyny. Cholerny Bo! — pomyślała kierując wzrok na kartę chorobową.

Pacjentka nazywała się Allison Border. W momencie, kiedy zaczęła

przeglądać kartę, do sali wszedł Sam.

— Mój pacjent jest na by-pasie. Mam dziesięć minut.

— Usiądź, coś ci przeczytam — powiedziała ze złością w głosie. Szybko przeglądała kartę. — O, tu, posłuchaj — zaczęła głośno czytać informacje z Centrum Porodów.

223

Centrum Porodów stwierdzało, że u pacjentki występowały normalne skurcze porodowe, ale zauważono wczesne oznaki przedrzucawkowe i zdecydowano się przewieźć ją do szpitala. Raport z karetki, podpisany przez Theodore'a McHenry'ego, podawał, że podczas transportu pacjentka miała skurcze w okresach dwu-trzy minutowych. Był również dopisek, że przed przyjazdem do szpitala zaczęła uskarżać się na bóle podbrzusza. Sylvia, pielęgniarka przyjmująca ją, wpisała informację o raptownym spadku tętna u dziecka.

— Czyli jak poprzednie wypadki — stwierdziła Rae.

Na zakończenie przeczytała Samowi notatkę Bo, w której stwierdzał, że u pacjentki wystąpiło nagle pęknięcie macicy. Obok dopisał: rozpoznanie i postawił znak zapytania.

— Zabiłabym go za to — dodała ze złością. Sam wziął od niej kartę i zaczął przeglądać.

— Myślę, że tego już za dużo — rzekł.

— Przecież go ostrzegałam! — wrzasnęła Rae. Biedna dziewczyna, pomyślała. Co za straszne uczucie, czuć rozlewającą się w brzuchu krew. I już nie ujrzy swego dziecka...

— Masz rację, Sam, to już ostatni taki przypadek. Przysięgam, że nie dopuszczę, aby to się powtórzyło...

— Zadzwoń do ciebie — przerwał jej Sam, wyłączając pikającego bipera. Stał jeszcze przez chwilę niezdecydowany, co ma zrobić. Zostać z Rae, czy wracać na swój oddział.

Pomachała mu ręką, gdy przechodził obok biurka pielęgniarki i zniknął za szerokimi drzwiami.

— Nie chciałam na ciebie krzyknąć — przeprosiła Loudres.

— Wiem, nie ma o czym mówić.

— Mam nadzieję, że ona się wkrótce obudzi — Rae odwróciła głowę w przeciwną stronę sali, gdzie leżała nieprzytomna Bernie.

— Dobrze, że chociaż jej encefalogram jest w normie — rzekła Loudres patrząc na pacjentkę Bo. — Chcemy jeszcze jutro z samego rana zrobić jej EEG, chociaż nie ma wielkich nadziei... — Głos jej się załamywał. — Czasami to nie cierpię tej pracy — westchnęła.

Rae powiedziała, żeby zerknęła jeszcze na resztę pacjentów i odpoczęła trochę. Co za praca, pomyślała. Ile muszą wytrzymać te pielęgniarki i lekarze na intensywnej terapii, kiedy wielu z ich pacjentów wywożonych jest stąd w plastikowych workach. Nie to, co u niej na porodówce, którą pacjentki opuszczają uśmiechnięte z noworodkami przy piersi.

Drzwi otwarły się z hałasem i zobaczyła Bo w białym chirurgicznym fartuchu.

224

— Bo, ile jeszcze kobiet musi umrzeć, żebyś mi w końcu uwierzył? — odezwała się głośno, aby usłyszały ją także pielęgniarki.

Minął ją, jakby niczego nie słyszał. Podszedł do łóżka Allison. Rae widziała jednak, jak zacisnął szczękę. Ruszyła za nim.

— Ostrzegam cię, Rae. Nie zaczynaj od nowa — rzekł, nie podnosząc

głowy. Cicho i spokojnie.

Staneła z drugiej strony łóżka, naprzeciw niego.

— Ile jeszcze potrzebujesz takich przypadków? Jak myślisz, co tym razem się stało, że rozerwało jej macicę?

— Miała stan przedrzucawkowy — odpowiedział, starając się zachować spokój. W dalszym ciągu nie podnosił głowy. Wyglądało, jakby mówił do siebie.

— Do jasnej cholery, Bo. Stan przedrzucawkowy nie powoduje pęknięcia macicy!

— Czy wszystko w porządku? — odezwała się Loudres.

— Tak, wszystko świetnie — odezwała się Rae.

Lourdes westchnęła i odeszła na bok.

Bo wolno podniósł głowę, wkładając ręce do kieszeni.

— Rae, sama sobie niszczysz karierę. Ale moje Centrum zostaw w spokoju. Zaczynaj ze mną podczas przesłuchania, a potraktuję to jako własną wojnę przeciwko tobie i zniszczę cię.

— Bo, tu nie chodzi o przesłuchanie!

— Teraz wychodzę stąd na chwilę — mówił zdenerwowanym głosem — kiedy wrócę, nie chcę cię tu widzieć, jasne?

— Bo, nie możesz pozwolić, aby to się ciągle powtarzało. Czy ty naprawdę nie widzisz, co tu się dzieje?

— Pilnuj swojego — dodał. — I pamiętaj: Centrum Porodów jest moim dzieckiem i nie dam ci go zmarnować.

Odwrócił się szybko i wyszedł z sali. Rae patrzyła za nim, ta wściekłość go zaślepiała. Loudres podeszła zmartwiona.

— Kiedy jej mają zrobić EEG? — zapytała Rae.

— Mówili, że jutro.

Rae podsunęła krzesło do łóżka Allison i ponownie wzięła jej bezwładną dłoń w swoje ręce.

— Co z jej mężem? — zapytała. Loudres pokręciła głową.

— Jest załamany. Zszedł na dół zadzwonić do kogoś i napić się kawy. Pięć minut później Rae poczuła delikatny uścisk na swoim ramieniu. Bez odwracania się wiedziała, że to Sam.

— Mój pacjent jest ciągle na baypasie.

225

— Bo był tu przed chwilą.

— I co?

Zanim zdążyła coś powiedzieć, odezwał się jej biper. Puściła rękę Allison i odczytała wiadomość.

— Mam dla ciebie dobrą wiadomość, że laboratorium odnalazło te worki. Ale mam też złą, że wyniki będą jutro o drugiej.

— A dlaczego to zła wiadomość?

— W samo południe Bo zamierza mnie ukrzyżować.

Tej nocy spała bardzo niespokojnie i rano obudziła się z bólem głowy.

— Widzisz, Leonard, jeszcze nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej

— powiedziała połykając dwie tabletki aspiryny.

Wzięła szybki prysznic, założyła czarny kostium i białą jedwabną bluzkę.

Przed przesłuchaniem musiała jeszcze przyjąć pełną poczekalnię pacjentek. To tak ją pochłonęło, że nie miała kiedy pomyśleć, iż od dzisiejszego południa zależy jej dalsza kariera lekarza. Była w pełni zaangażowana w to, co robiła, wysłuchiwała opowieści pacjentek, wykonywała badania miednicy i zlecała badania ciążowe. Przed samym

południem, po przyjęciu ostatniej pacjentki, ruszyła do łazienki poprawić makijaż.

— Rae... — zawołała wtedy Bobbie.

Odwróciła się. Bobby stała w drzwiach z kartą medyczną pacjentki formularzem transferowym w ręku. Spojrzała na nazwisko.

— Anna Johnson? Chce się przenieść do Centrum Porodów? — Wzięła kartę i formularz. — Odbierałam porody jej dwójki dzieci... — dodała patrząc pytającym wzrokiem.

— Najpierw nie chciała mi powiedzieć dlaczego — tłumaczyła Bobbie.

— W końcu jednak udało mi się z niej wydusić. Przyznała, że słyszała plotki o tym, iż nie wyszło ci z kilkoma ostatnimi porodami. Zbyt mocno się wstydziła, aby przyjść z tym do ciebie, i zdecydowała, że będzie lepiej, jeśli przeniesie się do Centrum.

Rae wyjęła szminkę z torebki i weszła do łazienki. Bobby stanęła w drzwiach.

226

— Niech to szlag trafi! — krzyknęła Rae wypuszczając szminkę z drżącej ze złości ręki na podłogę. — Dlaczego nie dała mi szansy, abym jej to wszystko wytłumaczyła. Chociaż, gdybym to ja słyszała takie plotki o swoim lekarzu, zrobiłabym to samo. Ale jeśli dałaby mi szansę, mogłabym ją przekonać, że najbezpieczniejszym miejscem do porodu jest w tej chwili szpital, a nie Centrum Porodów. Jeżeli tam coś by się jej stało i musieliby ją przewieźć tutaj...

Nie chciała myśleć o tym, co by się wydarzyło w takim przypadku. Anna Johnson była jedną z jej ulubionych pacjentek. Była prawie w tym samym wieku co Rae, a ponadto była jedną z najlepszych czarnych fotografek

profesjonalnych w kraju. Miała dwie córki, sześciolletnią Lizę i siedmioletnią Kim.

— Trudno — próbowała pocieszyć ją Bobbie — Anna jest stworzona do rodzenia dzieci. Na pewno wszystko będzie w porządku. Skoncentruj się na przesłuchaniu i skop im wszystkim tyłki.

Podniosła szminkę z podłogi i nie spoglądając już w lustro włożyła ją do torebki.

— Masz już przygotowane swoje papiery? — zwróciła się do Bobbie, która szła za nią. Zebrała z biurka notatki na przesłuchanie. — To może być nasz ostatni dzień razem.

— Jeżeli usuną cię z personelu szpitala, to robię kurs na szambonurka — odparła Bobbie — Nie chcę mieć nic wspólnego z medycyną, skoro wyrzucają najlepszych lekarzy.

Rae spojrzała na nią z za biurka

— To znaczy, że się o mnie nie boisz?

— To raczej oni powinni być w strachu — orzekła Bobbie i wyciągnęła kciuk do góry.

Rae, podbudowana pewnością i spokojem swojej sekretarki, wyszła z gabinetu. Była już za pięć minut dwunasta. Szybko przebiegła przez ulicę. Ku swemu zaskoczeniu poczuła, że brakuje jej tchu, a nogi zrobiły się ciężkie, jakby były odlane z betonu. Wiedziała przecież, że jej szansę są po połowie i miała tylko nadzieję, że nie ostatni raz przyszła do Berkeley Hills Hospital jako lekarka. Jeżeli jednak zostanie wykluczona z personelu, będzie mogła wejść tu dopiero, gdy wygra apelację w Stanowej Izbie Lekarskiej, a to może potrwać co najmniej kilka tygodni. Nie mogła na to pozwolić, zbyt dużo kobiet i dzieci cierpiałoby przez ten czas. Nawet

gdyby wygrała apelację, może nie mieć gdzie wrócić! Czy będzie miała jeszcze swoje pacjentki? Co się stanie z jej marzeniem, aby zostać ordynatorem oddziału? Na pewno do tej pory zatrudnią już kogoś na to miejsce.

227

Do obaw o Nolę, Meredith i Allison doszła jeszcze obawa o Annę Johnson. Zamyślona stanęła przed dużymi srebrnymi drzwiami prowadzącymi do sali posiedzeń. Spojrzała na nie i poczuła powracającą energię i spokój. Korytarz był cichy i pusty. Domyśliła się, że wszyscy jej koledzy — teraz jej sędziowie — są już w środku i czekają na nią. Jak to wszystko będzie wyglądało? Czy będą sprawiedliwi?

Wzięła głęboki oddech, przekręciła gałkę u drzwi i pewnym krokiem weszła do środka.

— Oto i nasza pani doktor Duprey! — zawołał Arnie. Siedział na szczycie długiego stołu prezydialnego i ręką wskazał jej wolne krzesło kilka miejsc dalej.

Idąc tam szybko rozejrzała się po sali i oceniła sytuację.

Jej ława sędziowska składała się z dziewięciu lekarzy. Znała ich wszystkich. Był tam oczywiście Arnie, przyglądający się jej wyzywającym wzrokiem, był patolog, radiolog, internista i chirurg. I było też trzech ginekologów, którzy w większości przyjmowali swoje pacjentki w Centrum, i oczywiście był też Bo.

Nastrój na sali był bardzo poważny. Kilka razy brała już udział w tego typu przesłuchaniach, ale nigdy jeszcze jako oskarżona. Wiedziała, jak lekarze bardzo nie lubią osądzać swych kolegów. Za tymi drzwiami wszyscy byli normalni, żaden z nich nie był pozbawiony ludzkich uczuć

jak gniew czy zazdrość. Tu jednak stawali się innymi ludźmi, wiedzieli, że każdemu z nich, jakkolwiek dobrze starałby się wykonywać swoje obowiązki, zawsze może przytrafić się coś nieoczekiwanego, co może go doprowadzić na tę salę.

Ponownie spojrzała na zebranych, starała się rozpoznać, ilu podjęło już taką samą decyzję jak Arnie i ilu będzie musiała przekonać, że to, co przydarzyło się pacjentkom Centrum, to nie były zwykłe przypadki.

Arnie poprosił wszystkich o spokój i zaczął tłumaczyć, że zwołał to zebranie, aby pozbawić doktor Duprey możliwości prowadzenia dalszej praktyki lekarskiej w tym szpitalu jako ginekologa i położnika.

Opowiedział też swoją wersję wydarzeń podczas operacji Noli Payne.

— Nie potrafiła nawet odróżnić stopy noworodka od jego dłoni — mówił lekceważącym tonem — bez wątpienia potrzebowała więcej miejsca w macicy, aby bezpiecznie wyjąć dziecko. Odmówiła jednak wykonania T-cięcia. Asystująca jej pielęgniarka starała się dać jej do zrozumienia, iż nie czuje się najlepiej — jak się później okazało, była w ciąży — ale doktor Duprey nie zwróciła na to najmniejszej uwagi i kiedy tamta zemdląła krzycząc na pozostały personel wyraziła swoje niezadowolenie.

228

Wśród kolegów Rae nastąpiło poruszenie. Nikt jednak, poza Bo, nie patrzył w jej stronę. A Arnie przeszedł do swojej wersji przypadku z Meredith. Tłumaczył, w jak nieodpowiedzialny sposób Rae próbowała odebrać poród jadąc na wózku razem z pacjentką, zamiast poczekać na przewiezienie jej na salę porodową. Według niego, Rae całkowicie straciła kontrolę nad tym, co robi, gdy zdecydowała się złamać obojczyk dziecka.

— Nikt jeszcze, z kimkolwiek do tej pory rozmawiałem, nie próbował

odebrać porodu z dystocją barków na jadącym wózku. Matka dziecka była bardzo oburzona zachowaniem doktor Duprey, tym bardziej że jest ona położną...

— Ależ to kłamstwo! — nie wytrzymała Rae.

— Wyjaśnisz to, jak przyjdzie twoja kolej.

Rae przyglądała mu się nienawistnym wzrokiem. O tak, już ona im wyjaśni.

— Może powiedziałbyś nam, do czego zmierzasz? — zapytał nagle chirurg. — W końcu jednak odebrała oba te porody, prawda?

— Tak, ale nie o to tu chodzi.

— Może ja spróbuję wam to wszystko wytłumaczyć — odezwał się Bo. Arnie kiwnął głową w jego kierunku i usiadł na swoim krześle. — Nie mówimy tu o pomyłce w sztuce lekarskiej. Powinniście jednak wiedzieć, że Rae obiecała zarządowi tego szpitala, iż zrobi wszystko — podkreślam wszystko — aby zachować oddział położniczy w tym szpitalu i w jak najgorszym świetle pokazać Centrum Porodów. Umówiła się z prezesem zarządu, że w ciągu dwóch tygodni udowodni, że brak możliwości wykonywania operacji w Centrum Porodów może być bardzo niebezpieczny dla pacjentek. Próbuje wykazać, że coś bardzo złego dzieje się z pacjentkami podczas transportu z Centrum do szpitala. Jeżeli jej się to uda, wszyscy położnicy przyjmujący swoje pacjentki w Centrum przeniosą je do szpitala i w ten sposób zmusi mnie do zamknięcia Centrum Porodów. Zresztą kilka razy już prosiła, a raczej żądała, bym to zrobił.

— Rae, czy to wszystko prawda? — Zwrócił się do niej chirurg, niespokojnie spoglądając na zegarek.

— Która część z tego? — odpowiedziała mu pytaniem. Przez salę

przebiegł cichy pomruk.

— Rae — ciągnął Bo — nie potrafiła jednak znaleźć nic złego w transporcie pacjentek, a brak możliwości wykonywania cesarskiego cięcia nigdy nie stanowił dla nas żadnego problemu. Zdecydowała się nawet przyjść do Centrum i nakłonić moje najlepsze pielęgniarki, aby przyznały, że coś złego się tam dzieje. Niestety nie udało jej się to. Jestem pewny, że kiedy Rae będzie przedstawiała swoją wersję...

229

— Przestań udawać Perry Masona — przerwał mu patolog. — Przejdźmy do rzeczy.

— Dzięki — szepnęła Rae. Poprawiła się wygodniej w krześle.

Świadomość, że na tej sali ktoś jest za nią, polepszyła jej samopoczucie.

— Pozwólcie, niech skończy — zawołał Arnie.

— No cóż — ponownie odezwał się Bo — kiedy nie udało jej się w Centrum, postanowiła udowodnić, jak niebezpieczny jest transport. Zamiast więc szybko operować Nolę Payne i odebrać rodzące się dziecko, zwlekała podczas operacji, czekała z odbiorem noworodka aż do ostatniego momentu, nie dając mu szansy na przeżycie do końca tygodnia. Słowa Bo spadły na nią jak kamienie. Nic, co do tej pory powiedział, nie zabolalo tak mocno jak oskarżenie o celowe opóźnianie porodu dziecka Noli. Doskonale wiedziała, że kłamie, i musiała przygotować sobie obronę. W ostatnim czasie była tak zajęta, że nawet nie sprawdziła, jak się naprawdę czuje dziecko Noli. Zastanawiała się, czy Bo mówił prawdę, czy kłamał. A jeżeli nie kłamał? Biedne dziecko — pomyślała — biedne małe dzieciątko...

Opuściła głowę, ale słowa Bo szybko ją rozbudziły. Spojrzał po sali

sprawdzając, czyjego słowa odniosły właściwy skutek.

Usatysfakcjonowany oparł się o stół i mówił dalej.

— Mogę was jednak zapewnić, że Centrum Porodów ma zabezpieczoną salę operacyjną do przeprowadzania cesarskiego cięcia. Zastanawiacie się zapewne, jakie znaczenie ma dla Rae, czy Centrum Porodów będzie otwarte, czy też nie? — Na sali ponownie przebiegł szum zainteresowania. Bo spojrzał na nią. — Dla doktor Rae ma to olbrzymie znaczenie. Jej życiowym marzeniem jest zostać ordynatorem oddziału położniczego w dużym szpitalu. W tym szpitalu. W najlepszym w całym stanie Kalifornia. Na początku tego roku podjęto decyzję, że od początku przyszłego zostanie ordynatorem tego oddziału. Ale jeżeli nie uda jej się sprowadzić pacjentek i lekarzy z Centrum do szpitala, oddział ten decyzją zarządu zostanie zamknięty. W związku z tym, jak może zostać ordynatorem nie istniejącego oddziału?

— Ty sukinsynu! — zawołała wstając z krzesła. — Jak możesz mówić coś takiego!

Bo stał jednak niewzruszony patrząc na nią niewinnym wzrokiem — jak kot, który przed chwilą połknął kanarka. Jak zwykle udało mu się zapędzić ją w kozi róg. Spojrzał na siedzących.

— Wnoszę, aby usunąć doktor Rae Duprey z personelu medycznego naszego szpitala.

230

— Nie tak szybko — odezwała się Rae. Nie mogła pozwolić, aby siedzący tu mieli czas na zastanowienie się nad ostatnimi słowami Bo. Wstała i rozłożyła przed sobą fotokopie kart chorobowych.

Bo usiadł, skrzyżował ręce na piersi, jakby czekał na zaczynające się

przedstawienie. Rae spojrzała po sali. Teraz wszystkie oczy zwrócone były na nią, jakby domagały się wyjaśnień. Na początku tego spotkania wszyscy wyglądali, jakby gdzieś się spieszyli, a tu wpadli tylko na chwilę. Teraz wyglądali jak prawdziwa ława sędziowska czekająca na wyjaśnienia oskarżonej.

Rae wyprostowała się, wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić.

Przez blisko piętnaście minut opowiadała o szczegółach związanych z przypadkiem Noli i Meredith. Potem omówiła osiem przypadków porodów pacjentek z Centrum z niską liczbą Apgar, podkreślając przy tym bardzo wyraźnie wszystkie podobieństwa pomiędzy poszczególnymi przypadkami. Na koniec zostawiła przypadek pacjentki z rozerwaną macicą, która umierała właśnie na oddziale intensywnej terapii.

— Ona wcale jeszcze nie umiera — wtrącił się Bo. Zignorowała go i podkreśliła, że gdyby te pacjentki były przyjęte do szpitala, to wszystkie te problemy nie miałyby miejsca.

— O ile dobrze zrozumiałem — odezwał się lekarz internista, około sześćdziesiątki z pękami siwych włosów sterczących mu nad uszami i z założoną dużą staromodną muchą — to, co nam tu pani powiedziała, oznacza, że wszystko stało się z powodu transportu pacjentek z Centrum do naszego szpitala, tak? — Rae kiwnęła głową. — Muszę więc przyznać, iż faktycznie jest to trochę dziwne.

— Zawsze zdarzają się jakieś komplikacje w okresie ciąży i porodów — wtrącił Bo.

— Rozumiem — rzekł internista.

— A cóż innego może się tu dziać? — powiedział chirurg, zerkając na zegarek. — Daj spokój, Rae, jeżeli trzymasz coś w zanadrzu, to kładź to

na stół.

— No właśnie, Rae, dlaczego im nie powiesz? — rzekł Bo. — Powiedz im, na pewno bardzo ich to zainteresuje.

Wszyscy patrzyli teraz na nią. Ich oczy były pełne oczekiwania, a raczej nadziei, że to, co ukrywa, całkowicie oczyści ją z oskarżeń, jakie rzucił na nią Bo. Inną sprawą było osądzanie lekarza, który postawił złą diagnozę. Ale celowe działanie na szkodę pacjenta było już sprawą prawie kryminalną i powinno być ukarane z całą surowością.

Wzięła głęboki oddech. Czuła, jakby miała za chwilę skoczyć z trampoliny umieszczonej pięćdziesiąt metrów nad wodą. Walker ostrzegał ją,

231

aby nie podnosiła sprawy oxytocyny na tym przesłuchaniu nie mając żadnych dowodów ani też wyników testów. Nie wiedziała, czy jeśli zacznie o tym mówić, bezpiecznie wyląduje w wodzie skacząc z trampoliny, na której teraz stała.

Wiedziała jednak, że jeśli nie postawi dobra pacjentek nad swoją karierą, nie będzie mogła z tym żyć. W końcu była lekarzem, a jej życiowym motto było „Ocalić życie”. Jako lekarz wiedziała, co ma zrobić.

— W porządku, panowie, chcecie odpowiedzi, to ją dostaniecie — powiedziała głośno.

Przez następne dziesięć minut wyjaśniała im swoje podejrzenia na temat oxytocyny. Starła się mówić jak najbardziej spokojnie, zdawała sobie sprawę, że brzmi to może nedorzecznie, jeśli nie po prostu głupio.

Wiedziała, że wielu z tych, którzy teraz słuchali, zazwyczaj nie przywiązuje najmniejszej uwagi do tego, co mówią kobiety, nawet jeżeli są lekarzami. A teraz mówiła do nich niska, czarna kobieta, która doskonale

zdawała sobie sprawę, że i tak długo już jej słuchali.

Starła się, aby wszystko było uporządkowane i wydarzenia następowały jedno po drugim. Mówiła konkretnie i pewnie, z trudem jednak zachowując spokój. Walker na pewno byłby z niej dumny, że tak spokojnie i rozważnie mówiła o tym wszystkim.

— To nie są normalne komplikacje porodowe — podsumowała. — Ktoś celowo je stwarza. I nie jest to na pewno Matka Natura.

Na sali panowała przez chwilę całkowita cisza, a potem jakby ktoś wypuścił rój pszczół, wszyscy zaczęli mówić jednocześnie:

— Myślę, że coś w tym jest.

— Ona jest szalona.

— Wiedziałem, że coś tu śmierdzi.

— To absurd.

— Bo, co się tam u ciebie, do cholery, dzieje?

— U mnie? Co tu się dzieje, a nie u mnie?!

Arnie wstał i uderzył pięścią w stół nakazując spokój. Nikt niestety nie zwracał na niego uwagi. To samo zrobił Bo, starając się przekrzyczeć głośno mówiących kolegów.

— Panowie, uspokójcie się! — krzyczał. — Rae wymyśliła całą tę historię ze spiskiem przeciwko noworodkom tylko po to, aby utrzymać swój oddział. Jak ją znam, użyje wszelkich możliwych sposobów, aby wyrzucić mnie na ulicę. Niech sobie w dupę wsadzi cały ten spisek. Jeżeli istnieje jakaś osoba, która ma powód, aby zaszkodzić moim pacjentkom, to właśnie na nią patrzycie.

232

— Dlaczego im nie powiesz, gdzie byłeś, jak Nola rodziła?! — krzyczała

Rae. Stała na palcach i wymachiwała rękoma. — A ty, Arnie, powiedz im, dlaczego nie pozwoliłam ci zaintubować tego dzieciaka?

— Do jasnej cholery! — krzyczał Bo. — Uspokójcie się, niech to się wreszcie skończy. Wnioskuje, aby ją wykluczyć z personelu szpitala.

— Kto jest za przyjęciem wniosku?! — krzyknął Arnie uderzając pięścią w stół.

— Usunąć! — krzyknął ktoś.

— Popieram — odezwał się ktoś inny.

— Czy ktoś chce jeszcze zabrać głos? — krzyczał Arnie. Na sali zapanował spokój. Rae i Bo patrzeli na siebie.

— Ostrzegałem cię — odezwał się Bo. — Teraz się doigrałaś. Rae wolno usiadła na krześle. Wszystko zostało już powiedziane, nie miała już nic do dodania.

— Głosujcie — rzekła.

— Proszę cię o opuszczenie sali — odezwał się Arnie. Rae wstała i wolnym krokiem ruszyła do drzwi. Zanim jednak wyszła, odwróciła się jeszcze do swoich kolegów.

— W mojej sprawie głosujcie, jak chcecie — powiedziała poważnym głosem. — Ale cokolwiek zrobicie, nie zapominajcie o tych niewinnych dzieciach.

Na zewnątrz stała i nerwowo wpatrywała się w podłogę. Jak mogła dopuścić, aby ktoś decydował o jej losie? Ilu z nich jest z nią? Ilu straciła, a ilu zyskała?

Spojrzała na zegarek, minęło już piętnaście minut. Im dłużej trwało głosowanie, tym większą miała nadzieję. Gdyby wszyscy byli zgodni, już dawno by skończyli.

W końcu drzwi się otworzyły i stanął w nich Arnie.

— Wejdz, podjęliśmy już decyzję.

Wyraz jego twarzy nie powiedział jej nic, tak samo jak oblicza pozostałych osób.

— I cóż? — zapytała.

— Wynik głosowania jest sześć do trzech — powiedział Arnie.

Rae, gdyby mogła, wyszarpałaby mu z gardła resztę słów. — Sześć do trzech przeciwko tobie — dokończył. — Ale co z moimi noworodkami?!

— krzyknęła. — Co z moimi pacjentkami, z tą kobietą, która umiera, bo ktoś próbował ją zabić! Ile jeszcze ich musi umrzeć, abyście w końcu zaczęli coś robić?

— Ogłaszam zebranie za zakończone — rzekł Arnie

— Niech was cholera! — krzyczała. — Nie możecie tego zrobić.

233

— A właśnie to zrobiliśmy — stwierdził zadowolony Bo. Arnie wstał z krzesła i stanął obok niej. Wszyscy pozostali lekarze, oprócz Bo, również wstali i szybko wyszli z sali.

— Możesz złożyć formalne odwołanie od naszej decyzji, jeżeli chcesz — powiedział Arnie.

— Ale te dzieci... — zaczęła.

— Daj spokój, Rae — odezwał się Bo. — Wiemy przecież doskonale, że nie chodzi tu o żadne dzieci. Przynajmniej nie w tym stopniu, jak usiłujesz nam wmówić.

— Twoimi pacjentami zajmie się inny położnik — poinformował ją Arnie.

— I oczywiście poinformujemy o twoim zawieszeniu stanową radę lekarską...

— Możesz mnie nawet zgłosić do samego gubernatora, ty dupku. Ale na tym się nie skończy...

— Pozdrów ode mnie doktora Hartmana — rzucił Bo. Klepnął przyjacielsko Arniego i obaj wyszli z sali.

— Dlaczego ty nie pozdrowisz swoich pacjentek! — krzyknęła za nim. Nagle poczuła, że wszystko zawało się w gruzy.

Medycyna i szpital to całe moje życie — powiedziała do Sama. — Nie mogę im na to pozwolić... — Spotkali się w kawiarence szpitalnej. Na stole przed nimi stał otwarty kartonik jogurtu z wystającą z niego łyżeczką, a obok leżało nadgryzione jabłko. — Co gorsza, jeżeli Centrum będzie dalej otwarte, oni nie przestaną zabijać. — Wzięła z ręki Sama jabłko. Ugryzła. Rozkosz. — Żebyś miała już te wyniki... Aha, zapomniałam, Bo przesyła ci pozdrowienia.

— Nie wiem dlaczego — zaczął Sam, podając jej kartonik z jogurtem — ale czuję, że ta rozgrywka w żaden sposób cię nie przystopowała.

Rae włożyła łyżeczkę jogurtu do ust. Potem następną i jeszcze jedną. Skończyła jogurt z wielkim apetytem. Myśl o tym, że ma przy sobie Sama, który wierzy w nią, dodawała wigoru.

— Masz rację — odezwała się, wycierając chusteczką usta. — Potrzeba znacznie więcej niż zawieszenie, aby mnie zatrzymać.

— I skąd ja to wiedziałem...?

234

W tym momencie odezwał się biper Rae. Odczytała informację. Wyniki testów były gotowe.

— W samą porę — skwitowała sarkastycznie. — Muszę zadzwonić do laboratorium...

Wróciła po jakichś dwóch minutach. Sam skończył właśnie jej jabłko.

Usiadła w krześle i założyła ręce na piersi.

— Worek z Centrum Porodów jest czysty, tak samo jak ten, który dostałam za pięćdziesiątkę z magazynu.

— Za pięćdziesiątkę?! Jezu, chyba oszalałaś! A ten z karetki?

— Jak myślisz?

— Była oxytocyna?

— Wystarczająco, aby zmusić krowę do rodzenia. — Pokręciła głową. — A oni mi nie wierzyli — spojrzała na Sama. — Muszę znaleźć Bo. Z laboratorium mają mi przesłać faksem wyniki badań. Teraz będzie musiał mi uwierzyć.

— Nie bądź tego taka pewna — ostrzegł ją Sam.

— Oj, przestań, Sam, jaki będzie miał wybór, jeżeli... — przerwała widząc podchodzącego do ich stolika uśmiechniętego Marco.

— Hm, przykro mi, że to wszystko tak się zakończyło — powiedział zatrzymując się przy nich i siadając na krześle obok Sama. — Naprawdę mi przykro.

— I widzę właśnie, jak bardzo jesteś tym zasmucony — rzekła Rae.

— Możesz się zgłosić do komisji odwoławczej — zauważył Sam.

— No właśnie — podtrzymała Rae — a jak już będziesz w komisji, to możesz się zgłosić na przewodniczącego. Z twoim poparciem uda nam się odwrócić to wszystko. No co, umowa stoi?

Marco wydał wargi i oparł się wygodnie.

— Hej, Sam. Czy nie powiedziałaś tej małej, aby trzymała język za zębami podczas przesłuchania?

Sam chwycił Marco za ramię. — Długo jesteśmy kumplami, ale jak

jeszcze raz coś takiego powiesz, będziesz patrzył na mnie z podłogi.

Powstali obaj przy stoliku, patrząc na siebie spod przymrużonych powiek.

Rae wstała również

— Chłopaki, morderca jest ciągle na wolności — odezwała się i ruszyła w kierunku drzwi.

— Zaraz, Rae! — krzyknął za nią Sam. — Dokąd idziesz? Zatrzymała się, aby mógł ją dogonić. — Do Centrum Porodów, spotkać się z Bo.

Sam chwycił ją delikatnie za podbródek.

— Nie wydaje mi się, aby to był dobry pomysł.

235

— Może masz rację, ale w tej chwili to jest jedyna rzecz, jaką mogę zrobić. Życz mi powodzenia — odwróciła się.

Nagle zamarła. Na wprost niej szła niska otyła kobieta z jasnymi włosami. Miała na sobie nieokreślonego koloru jasny szlafrok i kapcie obszyte futerkiem w cętki. Nola Payne miała być wypisana już kilka dni temu, czuła się już o wiele lepiej.

Rae zauważyła, że nie idzie w kierunku wind, które mogłyby zabrać ją na oddział położniczy, ale skręciła w prawo i zniknęła za jakimiś drzwiami.

Poszła za nią. I zobaczyła drzwi do kaplicy szpitalnej, których nigdy przedtem tu nie zauważała. Wewnątrz Nola siedziała na jednym z kilkunastu niebieskich krzeseł. Wpatrzona w jasno oświetlony witraż przedstawiający boski ogród nad brzegiem morza. Mały drewniany mostek zawieszony w powietrzu nad wodą znikał za horyzontem. Ponad mostkiem kłębiaste chmury otwierały się na słońce.

Rae, która nie była w kościele od czasu śmierci matki, przycupnęła w ostatnim rzędzie. Wokół panowała niezmacona cisza. Aż trudno jej było

uwierzyć, że tuż za tymi drzwiami był huczący niepokojem i życiem szpital.

Głowa Noli była nisko pochylona; Rae wiedziała, że modli się o swoje dziecko. Niezależnie od swego dziwnego stroju i zachowania, wyglądała jakby posiadała głęboki wewnętrzny spokój i ufność w to, co czyni.

Jak bardzo Rae chciałaby posiadać taką ufność. Niestety przedwczesna śmierć matki nauczyła ją, że niczemu i nikomu nie może ufać, życie to jeden wielki chaos, jest wszystkim i niczym. Wiecznym pytaniem: czy gdzieś tam naprawdę jest Bóg?

Nagle złożyła dłonie razem i podniosła je do piersi.

— O Boże, proszę, bądź tam i dodaj mi sił — wyszeptała.

Biuro Bo znajdowało się na końcu holu izby przyjęć. Szklany stół, niklowane meble i obite skórą fotele kontrastowały z wystrojem w Centrum Porodów, jak stwierdziła Rae.

— Zaraz tu będzie — powiedziała Jenny, pielęgniarka opiekująca się Nolą Payne podczas jej pobytu tutaj. — Prosi, aby pani na niego zaczekała.

Może filiżankę herbaty?

236

— Nie mówił, jak długo? — zapytała Rae.

_ Mamy miętową i rumiankową, jaką pani woli? — Jenny nie odpowiedziała na pytanie.

Rae wzruszyła ramionami. W cholerę z tą Jenny.

— Może być miętowa, dziękuję.

_ Pani doktor, może by pani przysłała do pracy do City Hospital?

No tak, już wszyscy wiedzą — pomyślała. Zmusiła się do uśmiechu.

— A mogę trochę miodu do herbaty...?

Zdażyła wypić już drugą filiżankę, kiedy wszedł Bo. W żółtym fartuchu obowiązującym w Centrum. Na szyi, w miejscu którego nie przykrywała maska, widać było plamkę zakrzepłej krwi. Podsunął sobie krzesło i z szeroko rozstawionymi nogami usiadł naprzeciw Rae.

— Szukasz pracy? — zapytał.

Rae odstawiła filiżankę na szklany stół i wyjęła z torebki raport z laboratorium.

— Wysłałam tam trzy worki z płynem Ringera. Jeden stąd, którego wynik jest negatywny, kolejny z magazynów Hillstar, wynik także negatywny. Trzeci worek był z karetki Hillstar, która przewozi twoje pacjentki do szpitala. Było w nim tyle oxytocyny, że wystarczyłoby do porodu wszystkich dzieci w Stanach w ciągu jednej minuty.

Bo ze spokojem godnym podziwu przeczytał raport.

— I co z tego? — zapytał oddając jej kartkę.

— Jak to co? Oznacza to, że masz tutaj pielęgniarzy, których myśli zajęte są zupełnie czymś innym, niż przewożeniem pacjentek z Centrum do mojego szpitala.

— Rae, ten twój szpital już cię nie chce — rzekł Bo. _ I uważam, że ktoś im za to płaci — mówiła, nie zwracając uwagi na to, co powiedział.

— Za co im płaci?

Chciała wstać z fotela i wyjść, ale opanowała się — musiała skończyć tę rozmowę, cokolwiek by nie powiedział.

_ Posłuchaj, Bo, tu nie chodzi o mnie czy o ciebie. Musisz zamknąć Centrum, chociaż na jakiś czas, aż to wszystko się wyjaśni i znajdziemy tego, który za wszystko odpowiada.

Bo zaczął się bezczelnie śmiać. Czowała, jak krew w niej zaczyna się burzyć.

— Wiesz, jesteś niesamowita i niezwykle oryginalna. Tylko ty mogłaś wpaść na pomysł, aby wykraść z karetki pojemnik z kroplówką, naszpikować go oxytocyną i wysłać do badania, genialne! Naprawdę genialne!

237

Odchylił głowę do tyłu i śmiał się uderzając dłońmi w uda. Nagle, tak samo szybko jak zaczął się śmiać, wyprostował się i spoważniał. Jego twarz pokryła się grymasem, który dobrze znała. Wyrwał jej z ręki kartkę. Trzymała ją jednak o sekundę za długo i ostry brzeg przeciął jej skórę pomiędzy palcami prawej ręki. Przycisnęła krwawiące miejsce lewą ręką. — Jediną osobą, która mogła to zrobić — rzekł Bo — jesteś tylko ty. Nie znam nikogo w tej chwili bardziej zdesperowanego od ciebie, kto mógłby zrobić coś takiego.

— Bo, proszę, posłuchaj mnie... — Naprawdę w tej chwili czuła się bardzo zdesperowana. Ale musiała zachować zimną krew, jeśli chciała go przekonać o swojej racji.

— Naprawdę tak myślę — ciągnął Bo. — Znam cię i wiem, że zrobisz wszystko, aby osiągnąć zamierzony cel. Jeżeli więc nie masz nic innego do pokazania...

Rae wskazała na trzymaną przez niego kartkę. Krople krwi spadły na biały papier.

— Pokazuję ci to, co powinieneś zobaczyć!

— Wystarczy! — krzyknął Bo. Wstał i zmiażdżył w ręku trzymaną kartkę. — Sprawdziłem te cholerne przypadki, rozmawiałem z pielęgniarkami i pielęgniarzami i nikt nie ma zielonego pojęcia o jakimś przedawkowaniu oxytocyny. Nie wspominając faktu, że miałaś okazję wypowiedzieć się na

ten temat podczas przesłuchania. I kto ci uwierzył?

— Trzy osoby mi uwierzyły.

— Gówno prawda! Oni ci nie uwierzyli, tylko zlitowali się nad tobą.

Poczuła nagle, jakby ktoś dał jej w twarz.

— Zlitowali się? — zapytała z niedowierzaniem.

— Wyglądałaś żałośnie.

Żadne słowa nie były w stanie przekonać Bo. Jej oczy zwęziły się w wąskie szparki.

— Umrze więc jeszcze więcej kobiet — powiedziała ze złością.

— A Centrum Porodów będzie otwarte — dodał Bo.

— Ale...

— Wyjdź już lepiej. — Jego głos był zimny jak lód. Podeszedł do drzwi i otworzył je. — Wynoś się z mojego biura!

Rae podniosła z podłogi zmiętą kartkę i schowała do torebki. Bez słowa, nie patrząc na niego, wyszła z biura.

W szpitalu natknęła się w windzie na Sama. Opowiedziała mu o wszystkim.

— Dobrze się czujesz? — Sam ruszył z nią na oddział intensywnej terapii, bo Rae chciała zobaczyć, jak się czuje pacjentka z rozerwaną macicą.

238 \

— Tak, Sam, wszystko w porządku — odpowiedziała.

— To dobrze, tylko to się teraz liczy. Przyjdę tu za chwilę do ciebie — rzekł kierując się na oddział chorób wieńcowych.

Na miejscu zatrzymała się najpierw przy łóżku Bernie. Pielęgniarka, która właśnie myła Bernie, poinformowała ją, że leczenie dializą przebiega na razie dobrze.

— Czy są jakieś oznaki, że odzyskuje przytomność? — zapytała Rae.
Pokręciła głową i pokazała w kierunku leżącej naprzeciwko pacjentki Bo.
— Ale chociaż żyje, a nie jak tamta...

Rae podeszła do pacjentki Bo. Przy łóżku siedziała starsza kobieta. Do żółtej wzorzystej sukienki miała zarzucony na ramiona różowy szal. W palcach ścisnęła różaniec, który Rae początkowo wzięła za kolorowy sznurek z koralikami. Bez wątpienia kobieta płakała.

Rae wróciła do pielęgniarki.

— Jej matka. Właśnie jej powiedziano, że są już wyniki EEG. Niestety to była zła wiadomość.

Rae podeszła do starszej kobiety. Lourdes, pielęgniarka, którą wczoraj poznała, ustawiała monitory. W oczach miała łzy.

— Najtrudniej jest to zrobić, kiedy są takie młode — powiedziała.

— Co zrobić? — wyszeptała Rae.

— Wyłączyć respirator — powiedziała cicho patrząc na starszą kobietę.

Oczy Rae zrobiły się okrągłe jak dwie piłki pingpongowe, nie wiadomo, czy z przerażenia, czy też może ze zdziwienia. Chociaż sama była lekarzem, nigdy jeszcze osobiście nie brała udziału w celowym zakończeniu cudzego życia. Było to przeciwieństwem wszystkiego, czego się uczyła i o co tak uparcie walczyła.

— Poczekaj chociaż na jej męża.

— On już się z nią pożegnał — odpowiedziała Lourdes.

Rae ciężko usiadła na krześle obok łóżka Allison. Wzięła w swoje ręce jej dłoń, była ciągle ciepła i trudno było jej sobie to wyobrazić — serce ciągle pracuje, ale mózg niestety zakończył już swoje działanie.

— Pani Taylor — odezwała się cicho Lourdes. — Czy pani jest gotowa?

— Czy doktor Michaels wie o tym? — zapytała jeszcze Rae, jakby chciała jak najdłużej odciągnąć ten przykry moment. — Czy nie powinien być przy tym jakiś lekarz?

— Jej lekarz prowadzący wydał już polecenie. Doktor Michaels jest nieuchwytny. Powiedzieli nam w Centrum, że już wyszedł. Ale lekarz nie

239

musi przy tym być. Wystarczy, jak wyda polecenie przez telefon. Zawsze tak robią...

— Przecież to moje dziecko — odezwała się pani Taylor patrząc na nie zażawionymi oczyma. — Jak mogę być kiedykolwiek gotowa na coś takiego?

— Pani Taylor — cicho zwróciła się do niej Rae — pani wprowadziła ją na ten świat, teraz musi pani jej pomóc z niego zejść. Tam na dole ma pani wnuczka. Myślę, że Allison chciałaby, aby pani do niego poszła.

Szlochając, z ustami zakrytymi chusteczką pani Taylor podeszła do córki. Po raz ostatni poprawiła jej włosy i pogłaskała po policzku.

— Kocham cię, Allis, bądź dzielna — nachyliła się, pocałowała ją w zamknięte oczy. Podniosła się i ruszyła do wyjścia.

Lourdes pochyliła się nad łóżkiem i wolnym ruchem wyjęła wtyczkę z gniazdka.

Czy to możliwe, aby było to tak proste? — zastanowiła się Rae, patrząc w okno. W dalszym ciągu trzymała dłoń Allison w swych rękach. Za oknem cicho i spokojnie słońce chowało się za wierzchołek góry Tam.

Oddech Allison stawał się coraz krótszy, a przerwy coraz dłuższe.

Wydawało się, że nie oddycha, ale ciężko wzdycha. Coraz ciężej i ciężej.

Słońce zaszło już za szczyt góry, pierś Allison podniosła się i opadła po raz

ostatni.

Rae podniosła się z krzesła i w tym momencie usłyszała za sobą jakiś hałas. Odwróciła się sądząc, że to Lourdes wróciła. Jednak zamiast niej zobaczyła Bo.

— Odejdź od mojej pacjentki — warknął.

— Ona już nie żyje, Bo — odparła, trzymając jeszcze jej rękę.

— Puść ją, Rae. Ostrzegam cię.

Rae ścisnęła dłoń Allison. Nie chciała żadnych kłótni przy łóżku zmarłej.

— Ty jesteś tu szefem — rzekła cicho.

Lecz zanim wyszła, naciągnęła jeszcze na twarz Allison białe prześcieradło, którym była przykryta.

Wzięła głęboki oddech i skierowała się do drzwi.

Po tym spotkaniu z Bo, Rae poszukała Sama i opowiedziała mu o Allison i o swoim najnowszym planie.

— Ci z posterunku powiedzieli mi, żebym wróciła, jak będę miała dowody, a nie tylko wymyślone teorie — powiedziała klepiąc torebkę, gdzie schowała raport z laboratorium.

240

— Nie chcę cię zranić, Rae — odezwał się Sam — ale policja też może nie uwierzyć w twój dowód. I oni mogą ci powiedzieć, że sama wpuściłaś oxytocynę, a później wysłałaś do badania.

Rae wzruszyła ramionami. Jakby słyszała Bo.

— To w takim razie będę musiała ich przekonać, że mówię prawdę...

Godzinę później siedziała już w biurze sierżanta Lane. Pokazała mu raport z laboratorium i patrzyła, jak z zainteresowaniem go przeglądał. Mailer natomiast spojrzał tylko podejrzliwie i poprosił ją o numer telefonu do

laboratorium. Lane z kolei chciał numer telefonu do szefa lekarzy w jej szpitalu.

Nerwowo wbijała paznokcie w drewniany blat biurka słuchając jego rozmowy z Arniem. Arnie na pewno powiedział mu o jej zawieszeniu, ale nie przejęła się tym. Według niej mieli do czynienia z morderstwem, czyli z czymś, co leżało poza władzą szpitala.

— Rozumiem, dziękuję za poświęcony mi czas, doktorze Driver — mówił Lane do słuchawki. — Tak, ja też postawiłem na Raidersów. — Odłożył słuchawkę i spojrzał na Rae. — Wygląda na to, że mamy tu pewien problem...

W kilku słowach opowiedział Mailersowi o zawieszeniu Rae. Oczy młodego człowieka rozjaśniły się.

— Nie przyszłam tu rozmawiać o mnie — odezwała się Rae zakładając ręce na piersi — przyszłam tu prosić, abyście dowiedzieli się, kto zabija nasze pacjentki...

— Ach tak — przerwał jej Lane. — A doktor Driver powiedział mi, że ta kobieta zmarła na skutek jakichś komplikacji porodowych.

— Rozerwało jej macicę! Dlatego zmarła! — krzyknęła Rae. Wyrwała z rąk Mailersa raport i rzuciła go na stół. — Dostała taką samą dawkę oxytocyny, jaka jest tutaj, i dlatego teraz leży w plastikowym worku. Mailer oparł się o krzesło. — Nie ma morderstwa, nie ma sprawy, pani doktor.

— Nie ma morderstwa? — odezwała się zdziwiona. Mailer przeszedł na drugą stronę stołu i usiadł na krześle naprzeciwko niej. Wziął leżącą na stole kartkę i złożył ją na pół.

— Wypełniamy nasze obowiązki i sprawdzamy skargi naszych obywateli

— powiedział spokojnie. — Kiedy usłyszeliśmy o zgonie młodej kobiety dziś po południu...

— Słyszeliście o tym? — zapytała Rae. — Więc po co ten cały cyrk.

— Nasz koroner to cwany gość — mówił dalej Mailer. — Sam stwierdził i dostał też oficjalną przyczynę śmierci od jej lekarza...

— Od jej lekarza?

241

— Tego, z którym rozmawiał przed chwilą sierżant. Potwierdził diagnozę. Śmierć wskutek powikłań porodowych. — Oddał Rae jej raport, wstał z krzesła i wyszedł wolno z pokoju.

— Naprawdę chciałbym pani pomóc, doktor Duprey — powiedział sierżant Lane — naprawdę chciałbym...

Rae włożyła raport do torebki i wstała z krzesła.

— To nie ja potrzebuję pomocy — odezwała się. — Niestety, ci co jej potrzebują, nawet o tym nie wiedzą.

Siedziała w swoim pokoju z jedną nogą przewieszoną przez poręcz fotela. W lewej ręce trzymała kieliszek z winem. Siedziała tak już prawie pół godziny. A może nawet godzinę? Sama nie wiedziała. Nigdy jeszcze nie czuła się tak pokonana. Nawet po śmierci matki. Przecież wtedy podjęła najważniejszą decyzję w swoim życiu: ratować rodzące matki i ich dzieci. Teraz zawiodła, bo nie ocaliła życia pacjentce Bo. Po zawieszeniu jej w prawach lekarza nie była już nawet położnikiem.

Jak mogła to wszystko tak zepsuć? Nawet gdyby chciała i próbowała z całych sił, nie potrafiła przekonać nikogo, że nie postradała zmysłów. Bo odmówił zamknięcia Centrum. Położnicy w dalszym ciągu będą przyjmować tam swoje pacjentki i narażać je na niezwykle ryzykowną

przejażdżkę karetką. Policja? No cóż, sądziła, że sierżant Lane jej pomoże, ale sama musiała przyznać, iż dała mu zbyt mało konkretów. Potrzebowała więcej dowodów, coś takiego, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że ona to sfabrykowała.

— Ale gdzie ja zdobędę taki dowód? — zapytała leżącego na podłodze obok niej Leopolda.

Usłyszała delikatne puknięcie w drzwi i do mieszkania wszedł Harvey.

— Czuję jakąś dziwną wibrację dochodzącą z tego miejsca — powiedział. W rękę trzymał skrzypce i smyczek. — Skoro ty nie chcesz do mnie przyjść, pomyślałem sobie, że to ja przyjdę do ciebie.

— Harvey, nie mam czasu — odparła i napiła się wina. Harvey wszedł jednak do jej sypialni i wyszedł stamtąd niosąc pokrowiec z jej skrzypcami. Wyjął skrzypce i podał jej.

242

— Odlóż ten kieliszek — poprosił. Kiedy się nie ruszyła, podszedł i wyjął jej kieliszek z dłoni, i podał skrzypce.

Zaczął stroić swój instrument, a ona swój. Nie dlatego, że chciała grać, ale jak to sama sobie wytłumaczyła, z przyzwyczajenia.

Od jak dawna już nie grałam? — zastanowiła się trzymając szyjkę skrzypiec w dłoni. Przypomniała sobie, że ostatnio to było w noc, kiedy odebrała poród u Noli Payne.

— Wiesz, Rae, że nasze serca rozmawiają z nami przez muzykę — rzekł Harvey, siadając obok niej na sofie.

— To właśnie dzięki mojemu sercu jestem teraz w takich kłopotach...

— No to zapomnij o kłopotach, graj.

Zaczął grać nokturn E-dur Chopina. Jego grube, nieco niezgrabne palce

szybko przesuwają się po szyjce skrzypiec prawie nie dotykając strun. Z niewielkiego drewnianego pudełka wydostawały się przepiękne dźwięki. W połowie utworu dołączyła do niego. Nie mając przed sobą nut musiała się mocno skoncentrować, aby mu dorównać. Wkrótce mieszkanie wypełniło się słodkimi dźwiękami skrzypiec. Dźwiękami, o których matka mówiła, że pochodzą z niebios. Muzyka, powtarzała, to głos Boga na ziemi.

Ostatnia nutka wybrzmiała na skrzypcach Rae.

— Lepiej ci? — zapytał Harvey.

— Powiedz mi, co ty robisz, kiedy nikt ci nie chce uwierzyć? — spytała.

Opowiedziała mu o przesłuchaniu, o Allison i o policjantach. Harvey słuchał wpatrzony w okno, wiedziała jednak, że odbierał każde jej słowo.

— Muszę kogoś przekonać, że mam rację, nim następna osoba zginie — powiedziała na koniec.

— Mnie przekonałaś.

— Tak? To gdzie byłeś dziś w południe? — Kiedy przegrywała trzy do sześciu. Wstała i spojrzała w okno. Na ciemnym niebie jasno świecił pełny księżyc. Patrząc na niego czuła, jak blisko jest rozpaczy. — Mówią, że gdy jest pełnia księżyca, rodzi się więcej dzieci — rzekła do Harveya.

— Myślę, że powinnaś coś zrobić. Nie ocalisz nikogo siedząc w domu.

— Uśmiechnął się do niej.

Harvey miał rację, rozczulanie się nad sobą do niczego jej nie doprowadzi.

— Coja bym bez ciebie zrobiła? — rzekła, odprowadzając go do drzwi.

— W moim wieku — uśmiechnął się całując ją w policzek na pożegnanie

— nie zadaję sobie już tego pytania. Zamknęła drzwi i oparła się o nie.

— Leonard, wychodzę. Zostali mi pielęgniarze, z którymi muszę porozmawiać.

Jadąc 1-80 zadzwoniła do Sama, aby spotkali się w holu szpitala.

Przyjechał tuż za nią.

— Karetka tam stoi — powiedziała.

Pokonując hol opowiedziała mu o wizycie na posterunku.

— Tylko nie mów mi, że mnie ostrzegłeś.

— No dobra, jaki masz plan na dzisiejszy wieczór dla bliźniaków?

— Może głupio wyjdzie, że jako lekarz nie wiem, że po heroinie nie prowadzi się samochodu, ale oni nie muszą o tym wiedzieć... Leonard siedział w szoferce karetki.

— Na miłość boską, co znowu? — zapytał na jej widok.

— Może pan wyjść na chwilę? — poprosiła.

— Czy to nie może poczekać?

— To nie zajmie dużo czasu — stwierdził Sam. Leonard wolno wysiadł z szoferki. Gdy tylko postawił nogi na ziemi, natychmiast przystąpiła do ataku.

— Nieźle, zabiliście kolejną kobietę. Jak się człowiek czuje po takiej zbrodni?

Szare oczy Leonarda spoglądały raz na nią, raz na Sama.

— Jaką kobietę?

— Widziałeś ją? — nie ustępowała Rae. — Tuż przed śmiercią? Pięknie wyglądała, co? Widziałeś, jaka była napompowana? Wyglądała jak kaszanka pełna krwi.

Oczy Leonarda robiły się coraz większe ze zdziwienia. — O czym pani mówi? Nikogo nie zabiłem.

— Nie zabiłeś. To jak nazwiesz pompowanie kroplówek taką ilością oxytocyny, że macica pacjentki wybucha, zanim położą ją na stół? — wypluwała słowa jak z karabinu.

— Rozerwało jej macicę? — Wyraźnie pobladł. — Ona zmarła?

— A nie tego oczekiwałeś? — Widziała, jak zaczyna się pocić. — Nie taka jest umowa? Brat ci nie wyjaśnił?

Leonard zaczął się chwiać na nogach. — Ona nie umarła, ona nie mogła umrzeć...

— Jest już zapakowana w plastikowy worek i leży w kostnicy.

— To niemożliwe, jak to się mogło stać?

— Każdy może być uzależniony od heroiny, ale nie musi zabijać, aby ją zdobyć. Leonard, czy ty nie widzisz, że on z ciebie zrobił mordercę?

— Nie jestem żadnym mordercą! — krzyknął Leonard. Przestał nerwowo dreptać w miejscu i wbił w nią oczy. — Nie mam pojęcia, o czym

244

mówicie! Mój brat nie zrobił nic złego, niczego nie wpuszczał do kroplówek. Możecie je sprawdzić. — Ruszył szybko do tylnych drzwi karetki i otworzył je szeroko. — Proszę, sprawdzajcie, weźcie sobie kilka. Rae podeszła do drzwi. Myśl o wejściu do środka zmroziła jej krew w żyłach.

— Sam, czy mógłbyś?

Sam wskoczył do środka. — Co mam zrobić?

— Sprawdź pojemnik, w którym przechowywane są worki —

poinstruowała go nie zwracając uwagi na wpatrującego się w nią

Leonarda. Nie mogąc dłużej znieść jego wzroku, odwróciła się plecami. —

Mógłbyś mi podać kilka z nich?

— Proszę — powiedział wychodząc z karetki i trzymając w wyciągniętej ręce trzy worki. Wszystkie były jeszcze zapakowane w folię ochronną.

— Potrzebuję latarkę — powiedziała biorąc je od niego.

Sam sięgnął do kieszeni i podał jej małą latarkę w kształcie długopisu.

Uważnie obejrzała worek świecąc sobie latarką i po chwili rzuciła go Leonardowi. Ten złapał worek jedną ręką patrząc na nią ze zdziwieniem. Rzuciła mu jeszcze latarkę.

— Popatrz przy samym wylocie.

Leonard oglądał worek raz z jednej, raz z drugiej strony. — Nic tu nie widzę.

— Nie widzisz dziurki? Nie widzisz dziurki, którą zrobił Theodore wstrzykując do worka oxytocynę?

— Tak, tak! Widzę! — krzyknął. I dodał już ciszej: — Ale to o niczym nie świadczy. On nie mógłby nikogo zabić.

— Więc kto zrobił tę dziurkę? Jeżeli nie on, to ty musiałeś to zrobić — odezwał się Sam.

Leonard kręcił się nerwowo.

— A właściwie to gdzie jest twój brat? — spytała Rae.

— Ma teraz przerwę.

— Przerwę na zastrzyk, co?

— Dajcie mi spokój! — krzyknął Leonard.

— Dać ci spokój? On nie dał spokoju tym pacjentkom — mówiła Rae. — Powinieneś był słyszeć jej ostatni oddech. Ciężki i długi, jakby w pokoju, w którym umierała, brakowało powietrza. A tak chciała być matką. I już nie zobaczy swojego dziecka. Czy ty masz dzieci?

— Dobrze, już dobrze! — Oparł się o kabinę karetki i ukrył twarz w

dłoniach. — Nie wiedziałem, co się dzieje. Przysięgam, że nie wiedziałem.
— Oddał worek i latarkę Rae. — I wiem, że mój brat też o tym nic nie wie. Zawieszamy tylko te worki, naprawdę. Nic do nich nie wpu-
245

szczamy. Te dzieci... te kobiety. Obaj się zastanawialiśmy, co się dzieje. Ale nigdy bym się nie ośmielił zabić noworodka. Mój brat... ma dwójkę] dzieci. On też by na to nie poszedł. Nie wiem, co mamy zrobić, aby udowodnić, że to prawda?

— Przestań go ochraniać! — rzucił Sam. — Wiem, co znaczy mieć brata ćpuna. Powiedz nam, dla kogo pracuje. Kto mu płaci za wstrzykiwanie oxytocyny?

— Pracujemy dla Hillstar! — krzyknął Leonard. — Oni nam płacą za jazdę karetką.

— Przestań kłamać — rzekła Rae. — Kłamałeś już o Meredith. Że nie zmienialiście jej kroplówki. Później udawałeś, że z pacjentkami nic się nie dzieje, a teraz kłamiesz mówiąc o swoim bracie!

— Bałem się. Jesteśmy nowi w firmie. Nie chciałem stracić pracy. Naprawdę nie wiedziałem, co się dzieje z tymi pacjentkami, i niech mnie szlag trafi, jeżeli ja miałbym za to pokutować...

— Ale twój brat bierze narkotyki — zaczął Sam łagodniej. — Człowiek uzależniony robi różne rzeczy. Może faktycznie nic o tym nie wiedziałeś.

— Ja naprawdę nic nie zrobiłem — mówił płaczącym głosem Leonard.

— Zdesperowani ludzie mogą wiele — dodała Rae. — wciągnąć innych.

— Zabijać noworodki też?

— Każdego — stwierdził Sam — nawet samego siebie. Leonard pokręcił głową. — A przysięgał mi, że już nie bierze, kiedy dostaliśmy tę robotę.

— Oni zawsze tak mówią. — Sam położył rękę na jego ramieniu. Leonard spojrział na niego i na Rae. — Ale mój brat zawsze się tak przejmował, jak tętno u dziecka spadało...

— Może mu płacano, żeby się tak zachowywał — podsunęła Rae.

Leonard otarł łzy z oczu. Wyglądał żałośnie, stwierdziła Rae.

— I co ja mam teraz zrobić? — spytał.

— Jedź ze mną na policję.

— A co z bratem? — zapytał niepewnie. — Muszę najpierw z nim porozmawiać.

— Porozmawiasz z nim później.

— Nie — powiedział gwałtownie. — Nie mogę tego zrobić. To mój brat, bliźniak... my wszystko robimy razem.

— Dobra — westchnęła Rae — porozmawiaj najpierw z nim.

— Ale co ja mam mu powiedzieć? A jeżeli się mylicie?

— Nie myślę się.

246

— To niech pani idzie ze mną. Powie mu pani, że znalazła dziurki w workach i chce zadać kilka pytań. Jak zobaczę, że coś jest z nim nie tak, to uwierzę i zabiorę go na posterunek. Ale chyba go nie zamkną? Przecież tu chodzi o tego, kto wszystko finansuje...

— Dobra, już dobra — przerwała mu Rae. — Zbierajmy się.

— Rae, może nie — odezwał się Sam.

— Nie mam innego wyboru! — odparła.

— W takim razie idę z tobą — stwierdził Sam.

— To gdzie się spotkamy? — zapytała Leonarda.

— U mnie w domu. Za jakąś godzinę Theo ma przyjść po płyty

kompaktowe.

— Możemy lepiej tu, w szpitalu — zauważył Sam.

— Nie, u mnie w domu albo...

— Dobra, zgoda — zdecydowała.

— Rae, proszę cię, nie... — upierał się Sam.

— Sam, już ci powiedziałam, że nie mam wyboru!

Zapisała na kartce adres Leonarda.

Gdy szli w stronę szpitala, odezwał się biper Sama. Nastąpiło gwałtowne pogorszenie stanu zdrowia pacjenta i konieczna była natychmiastowa operacja.

— Nie idź nigdzie beze mnie — ostrzegł ją.

— Ale ty tam będziesz strasznie długo — zaprotestowała.

— No to pójdziemy tam jutro.

— Jutro może być już za późno.

Sam był wyraźnie zły. — Rae, czasami trzeba postawić siebie ponad wszystko inne. Mam nadzieję, że dojdiesz do tego, nim będzie za późno...

Pochylił się, pocałował ją i szybko ruszył w stronę windy.

Rae sprawdziła adres z kartki. Leonard mieszkał na West Berkeley, dziesięć minut drogi od szpitala. Miała więc co najmniej czterdzieści minut czasu. Mogła iść do automatu po colę. Nareszcie coś się ruszyło!

Do automatu musiała przejść przez całą kawiarenkę. W rogu przy jednym ze stolików zauważyła Marco i Walkera bardzo żywo o czymś rozmawiających. Nim się napełnił jej kubek, Marco stał nad Walkerem z twarzą pełną gniewu i wymachując palcem, po czym odwrócił się i ruszył do wyjścia.

— Może to ostatnia rzecz, jaką robię w tym pieprzonym szpitalu —

powiedział przechodząc obok niej.

— Mnie by to wcale nie przeszkadzało — odparła i ruszyła do stolika Walkera.

247

O cokolwiek się kłócili, nie jej interes. Miała wystarczająco swoich zmartwień. Zresztą, czy mogli się kłócić o coś naprawdę istotnego? To porodówkę mają zamknąć, a nie kardiologię. Zwłaszcza teraz, gdy winę za wszystko przypisano jej. Centrum Porodów zostanie, a zamkną jej oddział. Ktoś złapał ją od tyłu za ramię. Marco.

— O co chodzi? — zapytała.

— Rae, Walker to twój dobry kumpel. Rozumiem, że jest ciężko przestraszony przez ten skaner MRI z Kentucky, ale to chyba nie jest wystarczający powód, aby nie dotrzymać obietnicy, jaką mi złożył. Powiedziałem mu, żeby ze mną nie zaczynał. Zapłaci za to i to sporo. Rae nie miała zupełnie pojęcia, o czym Marco mówił.

— Wolę porozmawiać z Walkerem niż z tobą. — Odepchnęła jego rękę.

— Ten dureń przepuszcza taką życiową szansę przez te swoje grube paluchy — mówił dalej. — Powiedz mu to.

— Marco, o czym ty, do cholery, mówisz? — Odwróciła się i nie czekając na odpowiedź, odeszła.

Walker dopijał akurat kawę.

— Jeszcze trochę i zostaniesz położnikiem, jak będziesz tak przesiadywał w szpitalu — zażartowała podsuwając sobie krzesło. Spojrzała na niego, był tak samo zły jak Marco. Zaraz, zaraz — pomyślała — o czym to Marco mówił? O jakimś skanerze z Kentucky? Gdyby Walker chciał mi powiedzieć coś na temat tego skanera, to by to zrobił. Widocznie to nie

moja sprawa. Ważniejsze było porozmawiać na temat pielęgniarzy.

— Zastanawiasz się pewnie, o co nam poszło? — odezwał się Walker.

Była ciekawa, ale nie chciała tego pokazać.

— Marco zawsze robi niepotrzebne sceny — rzekła jakby od niechcienia.

— Ja mam co innego do obgadania... — Przerwała widząc, jak Walker aż się pali, by jej powiedzieć. — No dobrze, mów najpierw, o co wam poszło?

Walker pochylił się do niej i położył ręce na stole.

— Ale pamiętaj, że to super tajne, jasne? Rae pokiwała głową.

— Zadzwoił do mnie Howard Marvin, szef komisji opieki zdrowotnej.

Chciał przedyskutować sprawę niezależnej kliniki kardiologicznej.

— Kiedy zadzwonił?

— Dzisiaj po południu.

Rae pochyliła się nad stołem i stukając palcami o blat czekała na dalszy ciąg. — I co mu odpowiedziałeś?

— Że właściciel nie zamierza sprzedać Centrum Porodów. On doskonale o tym wiedział, ale Marco nalega, abym mimo to spotkał się z Howar-

248

dem. Wydaje mi się, że Marco ma jakiś plan, aby zmusić Bo do sprzedania Centrum.

Oczy Rae zwięziły się w wąskie szparki. — Jaki plan?

— Spokojnie, Rae, odetchnij. Nie mówimy tu o twojej teorii spiskowej...

— No to mów, co to za plan? — Czowała, jak narasta w niej obawa, że Marco jest zamieszany w całą tę aferę. Miał motyw i pieniądze. Te cztery zaginione karty chorobowe były wypisane na jego nazwisko. A jeżeli Marco był w to zamieszany, to... nie, Sama już przecież wykluczyła.

— Marco nie chciał mi tego powiedzieć.

— A skąd wiesz, że to nie jego robota te wypadki na porodówce?

— Bo twoja teoria nie jest warta funta kłaków! — odparł ze złością. —

Rzecz w tym, że on mnie szantażuje. Mówi, że jak nie spotkam się z Mandnem, to zabierze swoich pacjentów do City Hospital. Wiesz, że jeżeli to zrobi, cały nasz szpital można będzie spuścić razem z wodą w kiblu.

— Ale dlaczego nie chcesz się z nim spotkać? Co masz do stracenia?

— Nic, poza moją pracą — odpowiedział już trochę spokojniej. — Zarząd zakazał mi spotykać się z Marvinem, dopóki Bo nie sprzeda Centrum.

Jedynym wyjściem jest moja rezygnacja. Jak wiesz, w planie jest zamknięcie twojego oddziału. Bo zagroził, że poda do publicznej wiadomości, że nasz szpital zawalił leczenie pacjentek przysłanych z Centrum, a ty masz być pierwszą osobą, którą chce o to oskarżyć.

Powiedziałem Marco, że nigdy na to nie pozwolę, zbyt wiele dla mnie znaczysz...

— Powiedz mi, Walker — przerwała mu Rae — czy Marco zarobi więcej prowadząc klinikę kardiologiczną dla Howarda? Walker westchnął i podrapał się po brodzie.

— Policzmy. — Zamyślił się. — Myślę, że co najmniej podwoiłby swój dochód. A w tej chwili ma już siedem zer z tyłu... — Gwizdnął cicho. — Jezus Maria, nic dziwnego, że straszy, że odejdzie... Ale może do mnie przyjść, jeżeli Bo zmieni zdanie. Czyli że powinienem rozejrzeć się za dwu-pokojowym mieszkaniem na Maui i przejść na wcześniejszą emeryturę.

— Mam nadzieję, że to Maui da więcej korzyści niż Kentucky — rzekła przypominając sobie, co Marco powiedział na temat skanera. Walker

uśmiechnął się blado.

— Widzę, że Marco nie umie też trzymać języka za zębami. Dobrze, że chociaż ta cholerna Komisja nie miesza po drugiej stronie Pacyfiku...

Widziała, że Walker nie chce kontynuować tej sprawy ze skanerem.

Rzadko zresztą rozmawiali na tematy finansowe i nie sądziła, aby teraz było to potrzebne.

249

— Komisja Zdrowotna — rzekła zde gustowana — ma wszystkich za nic. Przyszli do Berkeley, najpierw skłócili między sobą lekarzy, a później napuścili ich na administrację i zarząd szpitala...

— Skoro o naszym podwórku — rzucił Walker — zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby anulować decyzję rady lekarskiej co do ciebie. W pierwszym rzędzie osobiście skopię Bo tyłek...

— Spokojnie, posłuchaj: przyszły wyniki badań tych trzech worków. Znaleźli oxytocynę w jednym z nich, w tym, który zwędziłam z karetki.

— Żartujesz? Jesteś tego pewna? — Patrzył na nią z niedowierzaniem.

— Od samego początku mówiłam, że coś się dzieje. Spokojnie, Walker, nie denerwuj się tak, bo mi zaraz przypominasz Bo.

Walker pogładził się po brodzie. — Przepraszam, ale naprawdę mnie to zaskoczyło.

— Wierzysz mi teraz?

— Czy Bo wie o tym?

— Powiedziałam mu o tym osobiście w jego biurze.

— Coś takiego! I Centrum Porodów jest jeszcze otwarte? Rozumiem, że brak dowodu na tak niedorzeczną teorię to jedno, ale kiedy...

— Moja teoria nie była niedorzeczna od samego początku!

— I masz ten dowód, a on dalej nie zamyka Centrum.

— O tym właśnie chciałam porozmawiać. Mam się spotkać z tymi dwoma pielęgniarzami. Leonard widział otwory po igle w workach i przyznał też, że jego brat bierze narkotyki. Ktoś musi płacić za jego uzależnienie — ten, komu zależy na wstrzykiwaniu oxytocyny do kroplówek. Umówiłam się z Leonardem u niego w domu. Obiecał, że nakłoni brata do mówienia.

Wtedy zabiorę go na posterunek i udowodnię im...

— To znaczy, że narkoman jeździ naszą karetką?! — Walker nie mógł uwierzyć.

— Na to wygląda — potwierdziła.

— I to on wstrzykuje oxytocynę i zabija nasze noworodki?

— I kobiety w ciąży — dodała.

— To niemożliwe! — rzekł podniesionym głosem, wstając z krzesła.

— Posłuchaj, Walker... — Musiał jej uwierzyć. Nie miała już żadnego innego wyjścia, musiała powiedzieć mu o swoich planach.

— Nie, to ty posłuchaj — rzekł siadając na krześle. — Nigdzie nie pójdziesz. Powiedziałaś, że jeden z nich jest narkomanem, a obaj są zamieszani w tę sprawę z oxytocyną. Czy nie uważasz, że coś kombinują? Chcą cię zwabić w pułapkę. Spotykanie się z nimi jest zbyt niebezpieczne.

250

Sam mówił to samo, pomyślała i dodała głośno: — No to chodź tam ze mną.

— Nigdzie nie pójde i ty też nigdzie nie pójdziesz. Dzwonię do ich przełożonego i wzywam go zaraz na rozmowę. Tak to zrobimy.

— Nie mamy czasu na takie dyrdymałki! — podniosła głos, wstając z krzesła.

— Usiądź, Rae.

Obeszła stół, pochyliła się i uściskała go. — Przepraszam, nie chciałam na ciebie krzyczeć. Ale ja już nie jestem tą małą dziewczynką ze szkoły medycznej. Zresztą Sam powiedział mi dokładnie to samo.

— Sam? Jaki Sam? — zapytał Walker.

— Sam Hartman. — Wróciła na swoje krzesło. — Ten nowy anestezjolog.

— Ten, którego ściągnął tu Marco? — Podniósł brwi. Przez jego twarz przebiegł wyraz z wątpienia lub też może podejrzenia. Rae kiwnęła głową.

— Co ty masz wspólnego z Samem? — zapytał ostrożnie. Rae założyła ręce na piersiach. — Miał iść tam ze mną, ale wezwali go na oddział.

— Jakież to wygodne...

— Byłam z nim, kiedy go wezwali — odparła, jakby chciała bronić Sama.

— Uważaj, Rae. Nie zaufałbym Marco pod żadnym pozorem, a z tego, co widziałem na zebraniu, znają się chyba już bardzo długo. I to nie przypadkowo...

— Myślałam już o tym — powiedziała z większym przekonaniem, niż naprawdę czuła. — Ufam mu, przynajmniej do tego stopnia, że...

— Uważaj, komu ufasz — przerwał jej wstając z krzesła. — Miłość często przysłania prawdę.

— Kto tu mówi o miłości? — Czuła, jak krew uderza jej w policzki.

— Jak nazywają się ci pielęgniarze? Nie chcę, żeby jakieś ćpuny jeździły moimi karetkami.

Rae podała mu nazwisko.

— Marco powiedział mi, że straciłeś dużo na jakimś skanerze w Kentucky i dlatego obawiasz się wejść w układ z Marvinem. Powiedz mi, gdyby tak nie było, czy zgodziłbyś się na współpracę z nim?

— Już późno — odparł przecierając dłońmi oczy.

— Walker, powiedz mi, muszę to wiedzieć — nalegała.

— Rae, Marco odebrał to wszystko na opak — zaczął Walker. — Bez namysłu zainwestowałbym w spółkę z Marvinem, gdyby to przyniosło ko-
251

rzyści dla szpitala. Ale rzecz w tym, że on chce, abyśmy wyłożyli na ten cel pięć milionów dolarów. Byłaś przecież na ostatnim zebraniu zarządu i wiesz, że nie mamy takiej sumy. Gdyby spuścił do dwóch, to może by nam się udało... A co do tego skanera, to sama wiesz, jak to jest: raz wygrywasz, raz przegrywasz. Mam nadzieję, że znajdzie się jeszcze coś, na czym będziemy mogli zarobić. Najważniejsze jest to, kto na końcu będzie górą...

— Teraz najważniejsze są pacjentki z Centrum. — Zerknęła na zegarek. — Dlatego idę na spotkanie z Leonardem. Nie mogę pozwolić, aby tym kobietom działa się krzywda.

— Pozwól, że ja się tym zajmę — nalegał Walker.

— Pogadamy o tym jutro — rzekła, podnosząc się od stolika.

Idąc w stronę drzwi czuła jakiś niepokój. Nie wiedziała, czy był on spowodowany nadchodzącym spotkaniem, czy też podejrzliwością Walkera w stosunku do Sama. Podejrzliwością, której ona pozbyła się zaledwie parę dni temu.

Wychodząc ze szpitala Rae, jak zwykle, skróciła sobie drogę do parkingu przez izbę przyjęć. Zbliżała się dziewiąta wieczór. Na izbie przyjęć było cicho i spokojnie. Pielęgniarki uzupełniały karty chorobowe i inne dokumenty. Everett Lyon, lekarz dyżurny, badał pacjenta leżącego na wózku.

Rae była już blisko wyjścia, gdy usłyszała dźwięk syreny z karetki. Narastał szybko, a potem żółto-czerwone światło zaczęło odbijać się w szklanych drzwiach izby przyjęć.

— To ta karetka, na którą czekamy? — zapytał Everett.

— Nie, to z Centrum Porodów! — odparł zaskoczony portier.

Rae przyspieszyła kroku. Karetka z Centrum Porodów nie powinna używać syreny, chyba że...

Zaczęła biec. A przed nią był już Everett i pielęgniarki. Stali już przy otwartych drzwiach karetki, kiedy ona tam dotarła. Ledwo dyszała.

Na wózku wyjętym z karetki leżała jej pacjentka, Anna Johnson. Twarz miała szarą, a czoło pokryte kropelkami potu. Łapała się za gardło, jakby brakowało jej powietrza.

— Co się, do cholery, znów stało? — krzyknął Everett.

252

Rae spojrzała na twarz Anny. Jej usta i policzki zaczynały przybierać lekko purpurowy kolor.

Boże, tylko nie to, pomyślała ze strachem. To by znaczyło, że Anna dusi się z braku powietrza. Taki gwałtowny brak tlenu mógł powstać na skutek zablokowania płuc jakimś obcym ciałem. Co gorsza, żyły na jej szyi były naprężone jak liny przytrzymujące statek, znak, że serce również pracowało niezwykle ciężko.

— Przed minutą wszystko było jeszcze w porządku — mówiła przestraszona pielęgniarka z karetki.

— Nie mogę oddychać — wykrztusiła Anna podnosząc głowę. Nagle jej twarz pociemniała jak noc i ciężko uderzyła głową o zagłówek.

— Niech pani stąd odejdzie! — krzyknęła jakaś pielęgniarka. — Przecież

została pani zawieszona, nie wolno tu pani przebywać. Proszę odejść albo zawołam ochronę!

Rae zignorowała ją, chwyciła wózek i pomogła wepchnąć go do środka.

— Czy jest tu ktoś, kto mógłby ją zaintubować? — krzyknęła. W myślach szybko próbowała zlokalizować źródło tych objawów. Miała do wyboru trzy możliwości: atak serca, zator płuc albo...

— Doktor Duprey! Wzywam strażnika! — krzyczała pielęgniarka.

— Boże, ona ma w płucach płyn owodniowy! — krzyknęła Rae.

Nie musiała analizować, jak niebezpieczny to był przypadek. Jedną z najgorszych komplikacji w położnictwie. Przypadki tego typu miały prawie stu procentowy wskaźnik umieralności w położnictwie. Stara teoria mówiła, że oxytocyna powodowała tak gwałtowne skurcze macicy, że często płyn owodniowy był wyciskany z pęcherza do naczyń krwionośnych szyjki macicy, a stamtąd dostawał się do całego krwioobiegu powodując załamanie czynności serca i płuc. Natomiast nowa teoria twierdziła, że u pacjentki w czasie porodu występują alergiczne reakcje na wprowadzane do jej organizmu leki. Nikt niestety nie wiedział, skąd to się bierze i jaki ma wpływ na organizm. Ale reakcja organizmu jest wówczas podobna do szoku anafilaktycznego występującego po podaniu penicyliny osobie uczulonej na ten lek. W tej chwili nie było ważne, która teoria jest prawidłowa, rezultaty były takie same.

Everett wprowadził już do przetyku tubę inhalacyjną i zaczął pompować powietrze do płuc.

Jedną z pielęgniarek przyłożyła palce do szyi Anny sprawdzając tętno. Rae chwyciła stetoskop i przyłożyła go do brzucha szukając tętna dziecka.

— Jeszcze żyje! — krzyknęła. — Jedyna szansa to szybko ją przenieść na

stół!

253

Pomimo rozpaczliwych wysiłków Everetta, purpurowy kolor nie zniknął z twarzy. Żyły na szyi Anny wręcz nabrzmiały. Rae była coraz bardziej przekonana o swojej diagnozie.

— Martin! — krzyczała pielęgniarka. Rae nie odchodziła na krok od wózka.

— To Anna Johnson! Musimy ją natychmiast przewieźć na salę operacyjną i podłączyć do respiratora! — Tak dużo się naczytała o oxytocynie, że rozpoznawała jej działanie bez najmniejszych wątpliwości.

— Doktorze Lyon! — nalegała pielęgniarka. — Doktor Duprey została dzisiaj zawieszona.

— Ona umiera! Czy tego nie widzisz? — rzuciła zdesperowana Rae odpychając pielęgniarkę.

Młody czarny strażnik podszedł do Rae i chwycił ją za ramię.

— Doktor Duprey, musi pani stąd odejść... Rae chwyciła wózek jeszcze mocniej.

— Jeżeli one jeszcze dłużej będą się tak zastanawiać, będziesz wywoził tę kobietę stąd w plastikowym worku — mówiła przez zęby. — Musimy ją podłączyć do respiratora! Popatrz na nią. Umiera na twoich oczach, podoba ci się to?

Everett ponownie przyłożył palce do szyi Anny.

— Cholera — jęknął.

— Czego się spodziewałeś? — powiedziała Rae i odepchnęła pielęgniarkę.

— Jej serce przestaje pracować! — Wyrwała się strażnikowi, lecz na jej drodze stanęła znów ta pielęgniarka. Cofnęła trochę wózek do tyłu i

uderzając nim w pielęgniarkę, utorowała sobie drogę. Ocalić życie, ocalić życie! — dudniło jej w głowie. Nic więcej się teraz nie liczyło.

— Doktorze Everett, niech pan coś zrobi! — krzyczała pielęgniarka.

— Niech to szlag trafi! — zaklął Everett. — Dzwonię na intensywną terapię.

— Nie stój tak, do cholery! — krzyknęła inna pielęgniarka do tej, którą przed chwilą potrąciła Rae. — Pomożesz mi czy nie?

— Szybciej! — krzyknęła Rae. — Spotkamy się na dole, na „ER-ce”.

Ruszyła biegiem. Jej serce waliło jak stutonowym młotem, wręcz jakby słyszała jego głos odbijający się od pustych ścian. Jeżeli się pośpieszą — myślała biegnąc — Anna może być pod respiratorem za jakieś dziesięć minut. Wtedy ma szansę na przeżycie i ona, i dziecko.

Na dole przy schodach przez podwójnie oszklone drzwi dojrzała Sama pochylającego się nad pacjentem.

— Sam, poczekaj! — zawołała wchodząc na salę operacyjną, tę, gdzie operowali też Bernie.

254

— Rae? Co... — zaczął zaskoczony jej widokiem.

— Potrzebuję twój respirator! Wiozą tu pacjentkę — mówiła, z trudem łapiąc oddech. — Z Centrum Porodów. Sam, ona ma blokadę płuc płynem owodniowym. Jeżeli nie podłączymy jej do respiratora, umrze...

Drzwi otwarły się z hałasem i na salę wjechał wózek pchany przez Everetta i pielęgniarce. Ta, która tak bardzo nie chciała dopuścić Rae, siedziała teraz okrakiem nad Anną i robiła masaż serca.

— Gdzie? — rzucił krótko Everett.

Rae spojrzała na pacjenta na stole, potem na Sama.

— Sam, ona umrze — błagała — respirator to jedyna jej szansa. Czytałam o takich przypadkach... kobieta zmarła, ale udało się uratować dziecko, Sam, proszę.

Spojrzał na pacjenta, który nie mógł się zorientować, o co chodzi.

— Diana! — krzyknął do pielęgniarki. — Wezwij jeszcze jeden zespół do pana Billingsa. Doktor Duprey ma pacjentkę, która natychmiast potrzebuje respiratora. I zadzwoń po doktora Donavelliego, szybko!

— Ale doktor Duprey została zawieszona — odpowiedziała ta niezbyt pewnie.

— Idę się przebrać — rzuciła Rae.

Zajęło jej to niecałe trzydzieści sekund. Zostawiła swoje rzeczy i wróciła na salę. Blisko dziesięć osób przygotowywało się już do operacji. Sam odłączył tubę inhalacyjną od pojemnika Ambu i podłączył ją do wentylatora inhalacyjnego. Twarz Anny w dalszym ciągu była purpurowa, a żyły na szyi nabrzmiałe. Leżała już na stole z odkrytym brzuchem i piersiami. Niemal cała jej klatka piersiowa, brzuch i podbrzusze polaną były złotym płynem dezynfekującym Betadine.

Rae założyła rękawiczki. Na szczęście, następny respirator był już przygotowany dla pana Billingsa, pacjenta Marco. Zespół operacyjny szybko przygotowywał wszystkie niezbędne instrumenty i aparaturę, której wystarczyłoby na wykonywanie trzech operacji jednocześnie.

— Ale my nic nie wiemy na temat noworodków — rzekła nerwowo pielęgniarka zakładając Rae chirurgiczny fartuch. Rae podeszła do stołu.

— Gdzie jest Marco?

— Już idzie — odpowiedział jej Sam. >

— Dlaczego pan Billings jest w korytarzu? — odezwał się zdziwiony

Marco wchodząc na salę operacyjną.

Rae chciała coś odpowiedzieć, ale Sam ją uprzedził.

— Musimy podłączyć tę pacjentkę do respiratora. Następuje stopniowe zatrzymanie pracy serca.

255

Marco wyciągnął przed siebie ręce, a pielęgniarka założyła mu fartuch. — Nie wiedziałem, że mamy w planie jakąś kobietę.

— To nie jest planowa operacja, a ona jest w ciąży — odparł Sam.

— W ciąży? Jak wysoko? Zresztą, cholera z tym. Jakie ma ciśnienie?

— Nikt nie wie na pewno. Wszystko, co na razie wiemy, to to, że była pod kroplówką. Nic więcej. Jeszcze jedno, jak tylko ją podłączymy, Rae musi ją ciąć.

Bez słowa Marco podszedł do stołu i stanął naprzeciwko Rae. Przyłożył końcówkę aparatu ultrasonograficznego do klatki piersiowej Anny i wpatrywał się w monitor stojący za Rae.

— To jej serce? — zapytał z niedowierzaniem.

— Ciesz się, że nie twoje — rzekł Sam.

Nawet Rae nie mająca praktyki kardiologicznej wiedziała, że serce widziane na monitorze ultrasonograficznym było zbyt mocno napompowane, aby utrzymać człowieka przy życiu.

— Skalpel! — wrzasnął Marco i po chwili już połyskującym w jasnym świetle ostrzem przeciął klatkę piersiową Anny.

Rae chciała wytrzeć niewielką ilość krwi, która rozlała się po przecięciu, ale zreflektowała się i czekała na instrukcje od Marco. Nic przecież nie wiedziała o otwieraniu klatki piersiowej pacjenta. Pozbawiona tlenu krew była koloru soku z czarnych jagód, a nie koloru truskawek, jaka powinna

być.

— Piła! — zawołał Marco.

Pielęgniarka techniczna podała mu coś, co przypominało Rae pistolet do wbijania kołków w ścianę, a nie narzędzie chirurgiczne. Na jednym z jego końców był mały haczyk i pięciocentymetrowe ząbkowane ostrze.

— Sam, płuca w dół — rzekł krótko. Wbił haczyk tuż ponad górną krawędź mostka i w kilka sekund przeciął go na pół. Towarzyszący tej czynności dźwięk przypominał pracę piły tnącej drzewo. Niewiele krwi towarzyszyło temu cięciu, lecz sala wypełniła się zapachem przypalonego mięsa.

— Sam, masz już heparynę? — pytał Marco. Dwoma rękoma złapał za rozcięte brzegi klatki piersiowej i odsunął je od siebie, jakby otwierał swą torbę lekarską na całą jej szerokość.

— Heparyna podłączona! — krzyknął Sam.

Kiedy Marco wraz z pielęgniarką zakładali retraktory na przecięte brzegi mostka, Rae nożyczkami przecięła prześcieradło przykrywające podbrzusze Anny. Nie wiedziała, czy Anna i jej dziecko przeżyją to wszyst-

256

ko, ale jak tylko Marco podłączy ją do respiratora, musi być gotowa do wyjęcia dziecka.

Marco, pospiesz się — błagała w myślach, patrząc na jego ręce poruszające się w otwartej klatce piersiowej.

Przeciął już cienką powłokę osierdzia i odsłonił grube ścianki aorty wystającej z lewej komory serca jak pięciocentymetrowej średnicy biała rura. To serce powinno teraz intensywnie pracować, a nie drgać żałośnie.

Pokryte było żółtawą powłoką tłuszczu, spod którego przebijała się czerwona tkanka przypominająca psie ucho. Patrząc na nie, Rae pomyślała, jak śmierć jest zawsze blisko człowieka. Odległa tylko o jedno uderzenie serca lub tylko o krótką przejażdżkę karetką...

— Jest już heparynizowana? — zapytał Marco.

— Cała twoja — odparł Sam.

Chciała, aby Marco się pospieszył, lecz wiedziała, że robił wszystko najszybciej jak mógł. Nigdy wcześniej nie widziała go operującego. Patrząc teraz na jego ręce poruszające się z niezwykłą wprawą w otwartej klatce piersiowej, nie mogła opanować uczucia podziwu i respektu dla niego.

— Nici — powiedział krótko. W niespełna pół minuty wprowadził delikatny szew w wystającą aortę. Wiedziała, jak niebezpieczny był to zabieg. Gdyby wbił igłę zbyt głęboko, krew trysnęłaby aż do sufitu. Pracowała z krwią przez cały czas. Kobieta mogła się wykrwawić na śmierć w ciągu dziesięciu minut z powodu krwotoku macicy, ale tu wystarczyłoby pół minuty, aby wykrwawić się przez maleńką dziurkę w najważniejszej magistrali człowieka.

Marco przeciął maleńki otworek w środku wprowadzonego szwu i wbił w to miejsce dwucentymetrową plastikową rurkę.

— Trzymaj to i nie ruszaj — powiedział do niej.

— Nawet nie drgnę — obiecała trzymając rękoma przezroczystą rurkę, w której widać było, jak krew powoli pcha do góry znajdujący się w niej płyn. Gdy tylko krew dotarła do końca rurki, Marco szybko założył klamrę poniżej i zatrzymał jej ruch.

— Czy to naprawdę ty, Rae? — odezwał się nie podnosząc głowy.

— Czekalam, aby móc coś w końcu zrobić — odparła.

Marco chwycił w palce wystającą tkanę w kształcie psiego ucha. — Kiedy ostatnio widziałaś uszko prawej komory? — spytał. Nim zdążyła mu odpowiedzieć, że ostatni raz widziała to na lekcji anatomii w szkole, już zadał nowe pytanie: — Jak długo jest w takim stanie?

— Zbyt długo, około pięciu minut — odpowiedziała z trudem utrzymując spokój.

257

— Pamiętaj, Marco, że musimy jeszcze wyjąć dziecko — przypomniał Sam.

— Jak mógłbym zapomnieć o czymś takim?

— Gdy będziesz gotowy, ja też — dodała Rae.

Marco nawet szybciej niż poprzednio wprowadził następny szew.

Skalpelem przeciął mały otwór. Tym razem Rae włączyła się do operacji i kiedy pokazały się pierwsze krople krwi z prawej strony serca, wcisnęła w przecięcie następną plastikową rurkę, która miała być podłączona do aparatu płuco-serce.

— Chodź do mnie, Henry — zawołał Marco. Kiedy rozmawiał z technikiem, Rae stukała palcem w rurkę, aby wytrącić znajdujące się tam pęcherzyki powietrza. — Nie musisz tego robić — rzekł do niej — ta idzie do maszyny.

Od czasu kiedy Annę wwieziono do sali operacyjnej, minęły cztery minuty. Technik obsługujący pompę podszedł do stołu. Marco podłączył dwie wystające z aorty rurki do dwóch trzymanyh w ręku przez technika, następnie zwolnił zaciski. Zobaczyła, jak krew wolno ruszyła w kierunku płuco-serca, gdzie otrzyma odpowiednią dawkę tlenu i wróci do krwiobie-

gu pacjentki.

— Co się z nią stało? — Marco spoglądał na Rae znad maski przysłaniającej mu usta i nos.

— Wolę nie mówić — odparła. Odwróciła się do technika włączającego maszynę, która wyglądała na niezwykle skomplikowane urządzenie. Prostokątne szklane pudło ze srebrną podstawką o rozmiarach pudełka na klocki z niezwykłą ilością pokręteł i migocących światełek.

— Rae uważa, że pacjentka miała blokadę spowodowaną płynem owodniowym — powiedział Sam.

— Nie uważam, ja to wiem — rzekła nie odwracając głowy od urządzenia. Była zbyt przerażona, aby spojrzeć na leżącą Annę. Jeżeli maszyna nie zadziała i krew Anny nie zostanie dotleniona...

— Pęcherzyk! — z niedowierzaniem odezwał się Marco. — Przeciąłem tę kobietę na pół z powodu...

— Poziom tlenu we krwi się zwiększa — przerwał mu Sam.

Rae spojrzała ponad przykrywający Annę materiał. Jedno, co mogła zauważyć, to czubek jej głowy. Wystarczyło. Wyobraziła sobie, jak natleniona krew przepływa pomiędzy macicą i łożyskiem. Dzięki kawałkowi nie zakrytego czoła widziała, jak jego kolor zmienia się z purpurowego na różowy, z koloru śmierci na kolor życia.

Marco nie przestając pracować zdążył już połączyć wystającą rurkę z tętnicą większą ilością szwów.

258

— Później porozmawiamy o leczeniu zatorów spowodowanych płynem owodniowym — odezwała się Rae. — To na pewno jest...

— Sam, co byś powiedział na tętnicę udową, aby sprawdzić faktyczne

ciśnienie — przerwał jej Marco.

— Nie mam nic przeciwko temu, jak na razie to jadę w ciemno.

— A co byście powiedzieli na wyjęcie dziecka? — odezwała się Rae. Nie czekając na ich odpowiedź, jednym ruchem skalpela rozcięła brzuch Anny. Dwadzieścia sekund później miała już otwartą macicę. — Przyciśnij tutaj — rzekła do Marco, wyjmując główkę dziecka z miednicy. Patrząc na kolor krwi wiedziała, że maszyna pompująca ją pracuje sprawnie. W kilka sekund później wyjęła krzyczącego chłopca.

Też chciała krzyżeć i skakać z radości, ale westchnęła tylko z ulgą i oczyściła jałowym opatrunkiem usta i nos noworodka. Marco przyglądał się, jak podawała dziecko pielęgniarce.

— Głos to on ma niezły.

— Prawda? Czyż nie jest milutki? — rzekła z uśmiechem. W ciągu kolejnych paru minut zdążyła zaszyć rozcięty brzuch.

— Tylko nie rozpowiadajcie, że położnik przeprowadzał operację razem z kardiochirurgiem. Za to możecie wylądować za bramą — żartował Sam.

— Ooops, przepraszam, Rae.

— Kiedy będzie można ją odłączyć od maszyny? — zapytała pielęgniarka.

— Myślę, że można to już zrobić. — Sam zerknął na monitor.

Rae też spojrzała i zobaczyła, jak wielka nastąpiła zmiana. Serce Anny było już normalnych rozmiarów i poruszało się rytmicznie. Technik przełączył kilka gałek i usłyszeli cichy szum zatrzymującego się urządzenia.

Serce Anny pracowało samodzielnie.

— Sam, mój chłopcze, jesteś geniuszem — odezwał się Marco.

— Tobie też tym razem nieźle poszło.

— Jak teraz ją zszyjesz? — spytała Rae. Przecież nie skończyli jeszcze operacji, a ona miała do znalezienia sprawcę tego wszystkiego.

Marco zamiast jej odpowiedzieć, przeciągnął grubą igłę ze stalową nitką pomiędzy żebrami pacjentki. Założył około sześciu takich szwów i wszystkie je ściągnął zamykając klatkę piersiową.

— Pani doktor, panie doktorze — odezwał się Sam, pochylając nad stołem — uratowaliście właśnie kolejne życie. — Z boku dał się w tym momencie słyszeć cichy płacz dziecka. — O, przepraszam, chyba raczej dwa — dodał z uśmiechem.

259

Rae odeszła od stołu i zaczęła ściągać gumowe rękawiczki. Marco zrobił to samo.

— Marco — odezwała się — dziękuję ci.

— Masz u mnie dług — odparł — mam tylko nadzieję, że to dziecko będzie miało matkę, która nauczy je czegoś...

O tym samym pomyślała Rae. Serce Anny pracowało samodzielnie, ale' nie sposób było przewidzieć, jakie nastąpiły zmiany w mózgu przez jego niedotlenienie podczas podłączania jej do płuco-serca. Czy Anna w ogóle odzyska przytomność? I czy będzie mogła być matką dla swojego nowo narodzonego syna?

— Jej mąż czeka na zewnątrz — poinformowała ich pielęgniarka. — Kto będzie z nim rozmawiał?

— Bardzo proszę, pani doktor — powiedział Marco odsuwając się na bok.

— Ja mam jeszcze tutaj pana Billingsa.

— To, co najgorsze, zawsze spada na mnie. — Ruszyła w stronę drzwi.

— Rae, kiedy będę mógł ją zobaczyć? — zapytał Tim Johnson, mąż Anny.

Wiadomość o operacji przyjął bardzo spokojnie. Lecz nie zdołał ukryć drżenia rąk ani łez w kącikach oczu.

— Prosto stąd przewiozą ją na oddział intensywnej terapii — tłumaczyła Rae. — Będziesz mógł ją tam zobaczyć, Tim, ale musisz wiedzieć, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć, jaka będzie, gdy się obudzi...

— Jeżeli w ogóle się obudzi — przerwał jej Tim.

— Tak mi przykro.

— Jak to się mogło stać? Cóż mogło pójść nie tak? — dociekał Tim.

— Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. — Wstała z krzesła. Położyła mu rękę na ramionach. — Idź teraz na porodówkę zobaczyć syna. Jak tylko czegoś się dowiem, zaraz dam ci znać.

Wróciła na salę operacyjną wypełnić kartę zaleceń dla Anny. Czuła się trochę zdenerwowana. Mogła jednak tylko sobie wyobrazić, jak czuł się mąż Anny. Jego żona niemal otarła się o śmierć, a właściwie bez tętna była już klinicznie martwa.

Cała operacja zajęła im niespełna pół godziny i jeżeli będzie miała szczęście i się pospieszy, zdąży na spotkanie z bliźniakami. Nagle odkryła, że Annę przywieźli z Centrum inni pielęgniarze. Założyła jednak, że musieli oni w jakiś przypadkowy sposób użyć kroplówki zawierającej oxytocynę.

— Podpiszesz za mnie te zalecenia — poprosiła Sama — zapomniałam, że jestem przecież zawieszona i nie mam prawa tego zrobić.

260

— Skąd wiedziałaś, że ma zator płynem? — spytał z ciekawym Sam.

— Przywieźli ją z Centrum. To jedyne, co mogło jej się przytrafić, jeżeli uwierzysz, że dostała zbyt dużą dawkę oxytocyny.

— Czyżby nie podobało ci się moje pismo? — rzekł, widząc jak mu się przygląda.

— Muszę jeszcze iść na spotkanie — powiedziała wstając.

— Jutro, proszę cię, nie idź tam dzisiaj.

— Jeżeli jest coś, co chcą mi powiedzieć, to muszę to usłyszeć dzisiaj.

Sam, nie widzisz, co się dzieje? Od dwóch tygodni nie było żadnych kłopotów z porodami, a w ciągu ostatnich dwóch dni aż dwa. Wydaje mi się, że ktokolwiek chce zamknąć Centrum, robi się coraz bardziej niecierpliwy. Nie mogę czekać aż do jutra.

— Ale nie możesz iść tam sama.

— A odprowadzisz mnie chociaż do samochodu? — zapytała proszącym głosem.

Czekała, kiedy Sam podszedł do telefonu.

— Mam dziesięć minut — odpowiedział kładąc słuchawkę. Idąc w stronę izby przyjęć, Rae myślała, jakie zada pytania bliźniakom.

— Zadzwoń do mnie, jak już tam dotrzesz — prosił Sam — i jak będziesz wychodzić także.

— Halo, pani doktor! — usłyszała męski głos. Spojrzała w tamtą stronę. To był strażnik, który chciał ją przedtem zatrzymać.

— I jak poszło? — zapytał.

— Wszystko w porządku. Dziękuję, że nie wyrzuciłeś mnie ze szpitala — uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

— No cóż, ona naprawdę bardzo źle wyglądała — powiedział ściskając jej dłoń.

Chciała coś dodać, ale kątem oka zobaczyła młodą pielęgniarkę z karetki biorącą z dużego pojemnika worki z płynem Ringera do kroplówek.

— Na razie, Martin — rzekła do strażnika i ruszyła w drugi koniec izby przyjąć. Zaskoczony Sam poszedł za nią.

— Przepraszam... — odezwała się do młodej pielęgniarki. Ta odwróciła głowę w jej kierunku.

— Pani doktor, dobra robota — uśmiechnęła się do Rae — słyszałam, że uratowała ich pani oboje. Naprawdę nie wiem, co się stało. Było wszystko dobrze i nagle...

Rae położyła rękę na plastikowym pojemniku.

261

— Co pani chce z tym zrobić? Sądziłam, że zaopatrujecie się w to w swoim magazynie na Elmwood Street.

— Stamtąd bierzemy wszystkie inne, ale te dla Centrum Porodów bierzemy stąd — zatrzymała się i pokazała wiszącą na pojemniku kartkę „CP”. — Wszystkie kroplówki używane dla pacjentek Centrum bierzemy właśnie stąd.

— Kto mi powiedział, że kroplówki dla Centrum są pobierane z magazynów Hillstar? — zapytała spoglądając na Sama.

— Nikt nie mógł pani tego powiedzieć — odpowiedziała jej pielęgniarka.

— Od dawna jest podpisana umowa pomiędzy nami i szpitalem.

Wszystkie kroplówki używane dla Centrum są składowane i pobierane tutaj. Mówią, że to dla wygody.

Rae chwyciła ją za ramiona.

— Jest pani tego pewna? Absolutnie pewna?

Mocno zaskoczona kiwała głową. — Tak, pani doktor, jestem całkowicie pewna.

— Przepraszam — powiedziała Rae puszczając ją. Pielęgniarka odwróciła

się i w pośpiechu ruszyła ku wyjściu. — Chwileczkę! — krzyknęła za nią Rae. Podbiegła i wyrwała jej worek. — Proszę, czy mogłaby mi pani dać ten, a wziąć inny z drugiego pojemnika?

— Nie mogę tego zrobić, pani doktor. Mam wyraźne polecenia...

— A kto wydał te polecenia? — Nie ustępowała Rae. Ten, kto wydał takie polecenie, namówił zapewne i Theodore'a do wstrzykiwania oxytocyny

— Zaraz, a cóż ja takiego zrobiłam? — spytała zupełnie zaskoczona pielęgniarka.

— Nic, naprawdę nic — zapewnił ją Sam. — Ale czy jednak nie mogłaby pani odłożyć ten worek i wziąć z tego drugiego pojemnika?

Dziewczyna odwróciła się i wzruszyła ramionami. — Myślę, że tak, jeżeli to też jest płyn Ringera, dla mnie liczy się sztuka.

Kiedy pielęgniarka wyszła, Rae złapała się za głowę.

— Nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia. Przecież to ja założyłam, że kroplówki dla Centrum pobierane są z magazynów Hillstar. Ale w takim razie, Sam... Kto z izby przyjęć płaci Theodore'owi?

— A kto powiedział, że to ktoś z izby przyjęć? — Wziął od niej worek i zaczął mu się uważnie przyglądać. — Popatrz na to...

— Niech to szlag trafi! — Widziała maleńki ślad po igle. Ślad był tak mały, że nie sposób go było zauważyć nie wiedząc, czego się szuka.

Przejrzeli jeszcze kilka worków i znaleźli pięć, w których były minimalne dziurki.

262

— Musimy się ich pozbyć — powiedziała Rae.

Spojrzeli oboje na pojemnik z workami. Było ich tam około dwudziestu.

— Może lepiej zamknij je w swojej szafce — zaproponował Sam.

— Nie mam czasu — odparła wzruszając ramionami. — Spóźnię się na spotkanie z bliźniakami. I nie wiem, czy jeszcze mam tu szafkę, ale ty możesz je schować do swojej. Masz jeszcze pięć minut.

— Zabierze mi to więcej niż pięć minut, aby je wszystkie schować.

Rae podeszła do drugiego pojemnika i wyjęła z niego białą taśmę szerokości około trzech centymetrów. Przykleiła taśmę do pojemnika, wyciągnęła pisak i skreśliła na niej: Zabrudzone! Nie używać!

— To powinno na razie wystarczyć. Jak skończysz, to możesz wrócić i je zabrać.

— Hm, tak właściwie to ja jeszcze nie mam swojej szafki. Obiecali, że mi wstawią, ale na razie korzystam na spółkę z Marco.

— O rety, już dobrze — westchnęła. Schowała pisak do torebki. Mogą zdecydować później, co z tym zrobić.

— Bardzo dużo ludzi przewija się przez izbę przyjęć — zauważył Sam.

— Każdego dnia? Zresztą, ile dni potrzeba, aby zabić kilka noworodków.

— Nawet każdego dnia może to zrobić tutaj setka ludzi.

— Więc lepiej znajdziemy tę osobę lub osoby i to szybko. Dwa poważne przypadki w ciągu dwóch dni, ile będzie jutro?

Zamiast jednak odejść, zatrzymała się owładnięta nową myślą. Szybko zaczęła zrywać przyklejoną taśmę.

— Może kto inny to robi, a kto inny zaopatruje ten pojemnik? Może ten zabójca wstrzykuje tylko płyn do kilku worków, jak się tylko tu pokażą? To tłumaczyłoby, dlaczego jest ich tutaj tylko sześć, a nie wszystkie dwadzieścia. Wcale nie potrzeba dużo czasu, aby to zrobić. Wymieńmy tych sześć na nowe, to znaczy bez dziur. I zaczajmy się, aby zobaczyć, kto się tu będzie kręcił...

Wyjęła sześć worków z pojemnika i wcisnęła je między pojemnik i ścianę. Następnie na miejsce tych wyjętych zaczęła wkładać nowe, sprawdzając, czy i w tych nie ma żadnych nakłuc.

— I myślisz, że ten ktoś zjawi się tu dziś w nocy?

— A jesteś pewny, że go tu nie będzie?

— Kto będzie robił jako czujka?

Pamiętała, że ma się spotkać zaraz z pielęgniarkami, a Sam musi iść na salę operacyjną.

— Poproszę jedną z pielęgniarek — podsunęła.

263

— Nie sędzę, aby ci któraś uwierzyła. Wszyscy już wiedzą, że jesteś zawieszona.

— Pamiętaj, że jesteś po mojej stronie. Nie mów tak.

— Próbuję ci tylko uświadomić, na co się porywasz. Miałaś rację z tym zatorem, ale maniak na wolności, to już zupełnie inna sprawa.

— Sam, idź już lepiej. Przestań mnie denerwować. Znajdę kogoś, nie martw się o to.

— Uważaj — powiedział, całując ją w policzek — w dalszym ciągu nie wiesz, z kim walczysz.

Po odejściu Sama miała dylemat: iść na spotkanie czy pilnować pojemnika. Od momentu, jak zjawiała się w izbie przyjęć, napływało tam coraz więcej ludzi. Wielu z nich było dziwnie poprzebieranych. Patrząc na nich uświadomiła sobie, że przecież dzisiaj jest Halloween.

Westchnęła ciężko i spojrzała na zegarek, powinna być u Leonarda dwadzieścia minut temu.

— Jest tam! — Rozpoznała głęboki głos Arniego. Obok kroczył strażnik.

— Mógłbym cię w tej chwili aresztować za napad i pobicie pielęgniarki — powiedział Arnie.

— Arnie, zostaw mnie w spokoju.

Próbowała przejść obok niego. Poczowała jednak rękę na ramieniu. Spojrzała i zobaczyła stojącego tuż za nią strażnika.

— Naprawdę przykro mi, że muszę to zrobić — rzekł pełnym winy głosem.

— Mnie wcale nie jest przykro — rzucił Arnie. — Nie miałaś prawa operować tej pacjentki. Czy już nie pamiętasz? Nie masz żadnych praw w tym szpitalu. Wyjdź stąd sama albo każę Martinowi cię wyrzucić, a jeżeli on tego nie zrobi, to sam to zrobię z przyjemnością.

Co za dureń — pomyślała, patrząc na jego czerwoną ze złości twarz.

Nawet ten prawie śmiertelny przypadek nie skłonił go do przemyślenia, że może jednak coś jest w jej teorii.

Z gracją, jak panna młoda, podała ramię strażnikowi.

— Będę zaszczycona, jeżeli odprowadzisz mnie do drzwi — powiedziała słodko.

— A jak cię tu jeszcze raz zobaczę — krzyczał za nimi Arnie — to zadzwonię na policję!

— Przykro mi z powodu tego wszystkiego — odezwał się Martin, kiedy wyszli przed szpital.

— Nic nie szkodzi, Martin. Robiłeś, co do ciebie należało. Teraz ja muszę zrobić, co do mnie należy.

264

— Naprawdę, doktor Duprey. Widziałem, jak przywieźli tę kobietę. Byłem niemal pewny, że ona umrze. Gdyby nie pani... No cóż, nie jestem

lekarzem, ale siedzę tu już tyle, by wiedzieć, że nie miałaby szans, gdyby nie pani diagnoza.

Była mile dotknięta jego słowami. — Dzięki — rzuciła.

— Jeżeli będzie coś, co mógłbym dla pani zrobić, cokolwiek, wystarczy pani słowo...

— Hm, jest coś, o co chciałabym cię poprosić. Mógłbyś przypilnować pojemnika na kroplówki dla Centrum Porodów? I zanotować, kto się do niego zbliży lub przy nim zatrzyma...

Twarz Martina przedstawiała w tym momencie jeden wielki znak zapytania. Nie odezwał się jednak ani słowem.

— Wrócę tu trochę później — ciągnęła. — Pamiętaj, chcę wiedzieć o każdym, kto zbliży się do tego pojemnika. Dobrze?

— Załatwione, pani doktor — odparł Martin.

Uśmiechnęła się jeszcze do niego i wsiadła do samochodu. Przyciskając mocno gaz ruszyła w kierunku West Berkeley.

przejechała Marin Avenue i skręciła w San Pablo. Im bardziej w dół ulicy, tym domy były mniejsze i mimo ciemności widać było coraz mniej zadbane ogrody, a samochody stały brudne i odrapane. Zerknęła znowu na kartkę z adresem. Przy Ellis Street skręciła w prawo i zatrzymała się przy drugim od rogu domu.

Przed pokrytym brązową dachówką domem Leonarda nie stał żaden samochód. Zauważyła jednak motocykl stojący w otwartym garażu. Na drewnianej werandzie pomiędzy dwoma filarami wisiał rozwieszony hamak, a pod nim leżały hantle.

Nim zastukała do drzwi, rozejrzała się uważnie wokoło. Nie posłuchała rady Sama, aby tu nie przychodzić, ale chciała zachować ostrożność. We

wszystkich oknach domu widać było zapalone światła. Wzięła to za dobry znak.

Nagle usłyszała cichy głos pękającej gałązki. Z zamarłym ze strachu sercem odskoczyła od drzwi i ukryła się w cieniu. Uspokoiła się jednak na widok podchodzącego do niej białobrzozowego kota.

265

— Cholera — mruknęła, schylając się, aby go pogłaskać — nie rób mi więcej takich numerów, dobrze?

Zastukała do drzwi, lekko się uchylły. Nasłuchiwała dochodzących ze środka dźwięków, ale tam panowała kompletna cisza. Zastukała ponownie. Nikt się nie odezwał.

— Leonard, to ja, doktor Duprey! — zawołała przez częściowo uchylone drzwi. Kiedy znów nie usłyszała żadnego głosu, lekko pchnęła drzwi. Zaskrzypiały cicho na nie naoliwionych zawiasach. — Leonard? — zawołała ponownie, tym razem trochę głośniej. — Czy jest tu kto? — Odetchnęła głęboko i weszła do środka.

Rozglądając się przeszła przez pokój. Może bliźniacy już wyszli nie czekając na nią? Pokój był umeblowany w typowo kawalerski sposób. Drewniane porysowane meble, 32-calowy telewizor, jakiś zwiędły kwiatek w doniczce i porozrzucane magazyny sportowe. Z prawej strony były uchylone drzwi, wystawała zza nich stara lodówka. Ruszyła tam, gdzie wydawało jej się, że będzie sypialnia. Z lewej strony była łazienka, wisiały tam niebieskie ręczniki. Naprzeciw znalazła otwartą toaletę z podniesioną deską, typowy widok w kawalerskim domu. Dalej w korytarzu był pokój wypełniony sprzętem do ćwiczeń. Szerzej otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Na małym stoliku, oprawione w drewnianą ramkę stało zdjęcie

bliźniaków w krótkich sportowych spodenkach. Byli na nim tak do siebie podobni, że niemożliwym było orzec, kto jest kto. Wyglądali tak młodo. I obaj byli świetnie zbudowani, jak przystało na nastolatków.

Pozostały jej tylko jedne drzwi, za którymi spodziewała się odnaleźć Leonarda. Zastukała delikatnie. Żadnego ruchu. Zastukała ponownie, już mocniej sądząc, że Leonard pewnie zasnął czekając na nią.

— Wchodzę! — powiedziała głośno. — Lepiej się ubierz.

Pchnęła drzwi. Pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to był szeroki ślad krwi tuż przed nią. Podążyła wzrokiem za nim i zobaczyła leżącego na łóżku Leonarda. Odróżniła go od Theodore'a tylko po masywnej budowie.

Szybko rozejrzała się po pokoju. Może ten, kto to zrobił, jeszcze tu był? Pamiętała, jak wielką uwagę przykładali do szczegółów policjanci, którzy przyjechali do szpitala po wypadku z Bernie. Dlatego uważała, aby nie stanąć na czerwonej plamie na podłodze, gdy szła do łóżka.

Starła się zachować zimną krew, czuła jednak, jak powoli zalewa ją fala paralizującego strachu. Ręce zaczęły drżeć, a serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Strach narastał.

Leonard też leżał bez koszuli i widać było, że jego klatka piersiowa to jedna krwawa rana. Nie dotykając niczego, pochyliła się i przyłożyła palce do jego szyi starając się wyczuć puls. Niestety.

266

Ktoś zrobił to niedawno, ciało było jeszcze ciepłe. Szybko się wyprostowała. Przecież ona mogła być następna!

Na nocnym stoliku stał telefon. Drżącymi rękoma podniosła słuchawkę.

Nim jednak wykręciła numer, usłyszała głos policyjnej syreny.

Szybko ruszyła do drzwi i pokonawszy korytarz dotarła do drzwi

frontowych. Tuż za jej porsche zatrzymał się z piskiem opon policyjny radiowóz, policjant wyskakujący z niego ścisnął broń w rękę. Poznała, że to Mailer, który już dał jej się we znaki.

— Niech pan to odłoży! — krzyknęła.

— Stać! Nie ruszać się! — wrzasnął do niej Mailer.

Tuż za samochodem Mailera zatrzymał się kolejny wóz policyjny.

— Co pani tu robi, doktor Duprey? — spytał, zerkając na policjantów wysiadających z radiowozu.

Nie miała najmniejszego zamiaru wdawać się w jakąkolwiek dyskusję. Był na tyle głupi, żeby odstrzelić jej głowę, gdy tylko się poruszy. Stała więc tak nie rozumiejąc, dlaczego ten głupiec trzymają na muszce, kiedy prawdziwy morderca odchodzi sobie w spokoju.

Do Mailera dołączył kolejny policjant z wycelowanym w nią pistoletem. Miał plakietkę: David Nunn. Spojrzał na nią i na Mailera oczekując wyjaśnień.

— Sąsiad zadzwonił do nas mówiąc, że słyszał strzały — odezwał się Mailer, nie spuszczając z niej oczu. — Kiedy tu przyjechaliśmy, doktor Duprey właśnie wychodziła z tego domu.

— Byłam z nimi umówiona — odezwała się szybko. — Gdy weszłam do tego domu, jeden z nich już nie żył.

— Przytrzymaj ją tutaj. Zobaczę, co się tam stało — powiedział sierżant Nunn.

Wyszedł z domu po paru minutach.

— Wezwę chłopaków, żeby zebrali ślady, a ty ją zabierz.

— Niby gdzie? — spytała, patrząc, jak Nunn idzie w kierunku radiowozu. Na pewno nie do więzienia — pomyślała.

Mailer wyjął kajdanki i podszedł do niej.

— Pan chyba żartuje — odezwała się przerażona. — Mówiłam, że miałam z nimi umówione spotkanie. Kiedy tam weszłam, już nie żył. Mailer złapał ją za rękę, szybko i brutalnie wykręcił ją do tyłu. Poczula, jak przez cały bark przebiegł ostry palący ból. Zanim się zorientowała, zrobił to samo z drugą ręką i zatrzasnął kajdanki. Ścisnął je mocno, aż poczuła, jak metal wrzyna się w skórę.

— Mailer — zawołał wtedy sierżant Nunn — zdejmij to, ona nie jest podejrzanym, tylko świadkiem.

267

— Jeszcze tego nie wiemy — odpowiedział mu Mailer.

— Ale ja wiem! — krzyknęła odwracając się do niego. — Ściągać to cholerne żelastwo!

Mailer zamruczał coś pod nosem i zdjął z jej rąk kajdanki. Jak przy zakładaniu, tak i teraz starał się zadać jej jak najwięcej bólu.

— Co ja takiego wam zrobiłam? — zapytała masując obolałe nadgarstki.

— Niech pani wsiada. — Otworzył drzwi od radiowozu. Spojrzała na siedzenie; jeżeli tam wsiądzie, to nawet bez kajdanek będzie się czuła jak kryminalistka.

— Mówiłem, niech pani wsiada — powtórzył nieuprzejmie i położył jej rękę na głowie. Trzymając tak wepchnął ją do środka.

Siedzenia zrobione były z jakiegoś dziwnego czarnego plastyku, zupełnie gładkie z wyjątkiem dwóch niewielkich występów po bokach.

— Czy w te rowki mają się zmieścić moje biodra? — zapytała złośliwie.

— Pewnego dnia założę pani te kajdanki z powrotem i długo ich nie] zdejmę.

Kiedy odjeżdżali na posterunek, pod dom Leonarda docierały kolejne wozy policyjne. Wolą się nie ruszać przez całą drogę. Aż do pokoju przesłuchań.

— Jak długo będę musiała tu zostać? — spytała wtedy, ale Mailer odwrócił się od niej i ruszył ku wyjściu. — Zaraz, muszę zadzwonić! — krzyknęła za nim.

Wyszedł bez słowa, a ona pochyliła się na krześle i ukryła głowę w dłoniach. Zanim się tu zjawiała, myślała, że jej następna wizyta będzie w towarzystwie bliźniaków, którzy wyznają, jak zatruwali oxytocyną kroplówki. Teraz siedziała tu jako „świadek”, jak to określił sierżant Nunn. I było niemal pewnym, że Mailer postara się go przekonać, że to ona jest głównym podejrzanym.

Podniosła głowę na znajomy męski głos w pokoju obok. Kiedy siadała w korytarzu, słyszała, że odbywa się tam jakieś zebranie, była jednak zbyt pochłonięta myślami, aby się przysłuchiwać.

— Tak więc moje panie — rozpoznała głos sierżanta Lane'a — jeśli kiedyś będziecie miały pecha i znajdziecie się w roli zakładniczki z pistoletem przyłożonym do skroni, o tak... — Rae nie widziała, co się dzieje za ścianą, ale potrafiła sobie wyobrazić, jak sierżant Lane demonstruje to, co przed chwilą mówił, jakiejś rozchichotanej ochotniczce. — ...pamiętajcie, że zawsze możecie puścić oko do obecnego w pobliżu policjanta. On powinien rozpoznać wasz znak. Czekać, aż wam da sygnał, że zrozumiał,

268

i wtedy udajcie omdlenie. — Rae usłyszała stłumiony dźwięk osuwającego się na podłogę ciała i cichy chichot obecnych tam kobiet. — Napastnik

będzie zaskoczony i prawdopodobnie odsunie pistolet od waszej twarzy. Tak jak to przed chwilą widziałyście. Wystarczy to funkcjonariuszowi, aby podejść i obezwładnić napastnika.

— A co się stanie, jeżeli funkcjonariusz nie zdąży? — zapytał jakiś kobiecy głos.

— Następne pytanie proszę — odparł Lane. W pokoju rozległy się śmiechy.

Tak powinnam zrobić — Rae przypomniała sobie wycelowaną w nią broń Mailera.

Lekcja zakończyła się szybko i trzydzieści kobiet wyszło z pokoju, a za nimi Lane.

— Sierzancie — Rae wstała z krzesła — nastąpiła straszliwa pomyłka, muszę z panem porozmawiać.

— Doktor Duprey? — był wyraźnie zaskoczony.

— Czekalem na pana, sierzancie... — rzekł, podchodząc do nich, Mailer.

— Sierzancie, muszę zadzwonić... — nalegała Rae.

— A może znajdziemy jakieś spokojne miejsce i porozmawiamy — przerwał im Lane.

Przeszli do pokoju, gdzie Rae wypełniała raport o Centrum Porodów. Mailer spytał, skąd zna pielęgniarzy i po co tam poszła. Opowiedziała mu ostatnią rozmowę z Leonardem, jak to się umówili i jak Leonard sam widział dziury w workach z płynem Ringera.

— I jestem przekonana, że jego morderca jest też odpowiedzialny za śmiertelne przypadki z Centrum Porodów — zakończyła.

Obaj patrzyli na nią z niedowierzaniem. Nie było to dla nich nic nowego, niczym ich nie zaskoczyła. Powiedziała im więc wszystko, co wie, ale i to

nie wystarczyło. Nie miała nic więcej do zrobienia ani też do powiedzenia.
— Aresztujecie mnie? — Patrzyła na pełne niewiary twarze policjantów.

; — Naprawdę chciałbym pani w to wszystko uwierzyć, doktor Duprey
— odezwał się Lane — ale to brzmi tak niezwykle...

— To jest po prostu niedorzeczne — dodał sucho Mailer.

— W takim razie pożegnam się z panami — wstała z krzesła. — Muszę wrócić do szpitala i sama złapać tego mordercę. — Wzięła swoją torebkę i ruszyła w kierunku wyjścia.

— Niech pani nie wyjeżdża z miasta! — zawołał za nią Mailer.

269

Dwadzieścia minut później, kiedy zwalniała wjeżdżając w Marin Ave-nue, odezwał się jej biper. Miała nadzieję, że to Martin z informacjami, kto się kręcił przy kroplówkach.

Jedną ręką włączyła podświetlenie wyświetlacza. Wiadomość pochodziła od Theodore'a McHenry'ego. Dowiedział się właśnie o śmierci brata i koniecznie chciał się z nią spotkać. Podał numer telefonu, pod którym można go było znaleźć. Bez namysłu wystukała go.

— Doktor Duprey? — zawołał Theodore. Jego głos drżał i brzmiał, jakby był bardzo przestraszony. — Dzięki Bogu, że panią znalazłem!

Dowiedziałem się właśnie, że Leonard nie żyje. Boże, ktoś go zastrzelił!

— Gdzie teraz jesteś? — spytała. — Musimy porozmawiać.

— Nie mogę uwierzyć, że Leonard nie żyje. Rozmawiałem z nim przez telefon. Opowiedział mi o wszystkim, co pani mówiła, ale przysięgam, że nic nie wiem o tych dziurkach w kroplówkach.

— Ale Leonard sam je widział! — krzyknęła do słuchawki. — Mogę ci je pokazać — mówiła szybko. — Te same, które widział Leonard. Obiecuj

mi, proszę, że później pójdziesz ze mną na policję.

— Boję się, doktor Duprey — odparł drżącym głosem. Słysząc było, że płacze.

— Posłuchaj, Theodore — powiedziała Rae wjeżdżając na parking. — Czy możemy się spotkać w szpitalu?

— Boję się ruszyć gdziekolwiek!

— Za dwadzieścia minut — powiedziała, wciskając hamulec.

— Może ten, kto zabił Leo, chce zabić i mnie.

— Siedź w karetce, tam będziesz bezpieczny. Spotkamy się przed izbą przyjęć.

— Nie mogę...

— Możesz! Za dwadzieścia minut przed izbą przyjęć. Czekam!

Nie wiedziała, co o tym sądzić. Czuła, że Theodore jest w to zamieszany, mimo że mocno zaprzeczał. Ktoś mu płaci chyba tylko za Używanie tych kroplówek, a nie za wstrzykiwanie do nich oxytocyny. On może nie wiedzieć, jakie są tego konsekwencje, liczą się tylko pieniądze na kolejną dawkę. Ale ważne było, że w końcu zdecydował się jej pomóc. A ktoś odpowiedzialny za to wszystko był coraz bardziej zdesperowany. Już nie ograniczał się do bezbronnych kobiet i dzieci. Każdy był zagrożony.

Pytanie, kto następny?

Nim postawiła nogę na chodniku, знаła odpowiedź.

Już nikt. Jak długo ona o tym wszystkim wie i może coś zrobić, nie będzie nowej ofiary.

Z torebką pod pachą ruszyła biegiem w stronę szpitala.

270

Po drugiej stronie ulicy zauważyła karetkę Hillstar zaparkowaną

naprzeciw izby przyjąć. Theodore tam na nią zaczeka. Przedtem porozmawia jeszcze z Martinem, nim zejdzie ze służby. Przypomniała sobie ostrzeżenie Sama. Dobrze by było mieć jakąś ochronę podczas spotkania z Theodo-re'em. Przecież sam mógł zabić brata.

W szpitalu wykręciła z telefonu wewnętrznego do Sama. Pielęgniarka wyjaśniła, że jest przy operacji serca.

— Proszę mu powiedzieć, że jak tylko skończy, czekam na niego przed izbą przyjąć — poprosiła Rae. — I że to niezwykle ważne — dodała. Ale pielęgniarka chyba nie słyszała jej ostatnich słów, bo odłożyła szybciej słuchawkę. Miała nadzieję, że zapisała wiadomość dla Sama.

Następnie zadzwoniła do Walkera. Rzadko się zdarzało, aby pracował o tak późnej porze, ale skoro widziała się z nim tak niedawno, może będzie jeszcze u siebie w biurze.

— Rae? — rzekł zaskoczony. — Właśnie miałem iść do domu.

— Walker, muszę się z tobą natychmiast zobaczyć — nalegała. Walker, choć niechętnie, zgodził się na spotkanie. Kiedy weszła do jego biura, siedział przy biurku nad wydrukami komputerowymi.

— Próbuję znaleźć sposób, aby uszczęśliwić Marco — odezwał się nie podnosząc głowy. Pewnie ciągle jeszcze myślał o tej sprzeczce z nim. Rae usiadła ciężko na krześle naprzeciw niego. Czekwała, aż podniesie głowę znad notatek.

— Jeden z bliźniaków nie żyje — rzekła sucho.

— Jakich bliźniaków? — spytał, odkładając długopis.

— Tych pielęgniarzy... — W miarę spokojnie opowiedziała mu, co się wydarzyło. O znalezieniu ciała Leonarda, o krwi na podłodze, o jej odwiedzinach na policji i rozmowie z Theodore'em.

— On do ciebie zadzwonił? — spytał z niedowierzaniem w głosie.

— Właśnie na mnie czeka — odpowiedziała mu Rae. Walker wstał i zamknął drzwi do biura. — Czy ty jesteś szalona? Masz zamiar się z nim spotkać?

— Czekaj na mnie przed izbą przyjęć — tłumaczyła rozumiejąc jego obawy. — Ale najpierw muszę porozmawiać z jednym z ochroniarzy. Przyszłam tu poprosić, abys poszedł ze mną, a nie dyskutować nad tym.

— A co ma do tego ochroniarz? — Walker wyglądał na trochę zdezorientowanego. Wstał i usiadł na biurku tuż przy niej. Wytłumaczyła mu.

— Dlatego tu wróciłam. Jeżeli będę musiała sama tu stać przez całą noc, to będę stała, ale w końcu dorwę tego, co to robi. Wierz mi, że następnym razem te dupki, Mailer i Lane, będą musieli mi uwierzyć.

271

— Rae, tylko spokojnie — rzekł, machając przed nią rękoma. — Powoli i spokojnie. — Zaczął chodzić po pokoju. — Rae, muszę ci przypomnieć, że ostatnie, czego możemy sobie tu życzyć, to zszargana reputacja na pierwszej stronie „The Oakland Tribune”...

— Walker, ale tu nie chodzi o naszą reputację!

— Z tego co słyszę, stoi za tym Centrum Porodów albo i City Hospital. Ale ktokolwiek to jest, nie pozwolę mu obrzucać błotem tego szpitala po tym, czego tu dokonaliśmy.

— A mnie nie obchodzi, czy opiszą to w gazecie, czy też nie!

— Ale powinno cię obchodzić — podniósł głos Walker — przecież sama to wszystko zaczęłaś, a teraz będziesz odbierać porody w swoim gabinecie, zamiast tutaj na oddziale.

— Jak do tej pory to było jedyne miejsce, gdzie przychodziły na świat żywe. — Nerwowo stuknęła palcami o oparcie fotela. — Spotkam się z Theodore'em z tobą albo bez ciebie. Idziesz czy nie?

— Oczywiście, że idę — odparł — ale daj mi pomyśleć chwilę. To wszystko jest niemożliwe, nie do uwierzenia.

Wstała z fotela, za dużym oknem na wprost niewinnie błyskały jasne światła Centrum Porodów.

— Nie znam innego sposobu, aby cię przekonać — dodała. — Gdybym umiała inaczej, zrobiłabym to już kilka dni temu.

— W porządku, Rae. Jeżeli naprawdę wierzysz w to, co mówisz, będę z tobą. I niech nas Bóg broni, jeżeli masz rację.

— Dzięki, Walker. — Chciała go uściskać, ale zamiast tego patrzyła jak pochyła się nad swoim biurkiem.

— Idź, zaraz dojdę. Zadzwoń tylko na policję — powiedział. — Ale nie rób nic, jeśli ten pielęgniarz zjawi się przede mną.

— Lepiej niech się zjawi — mówiła, idąc do drzwi. — W przeciwnym razie my ruszymy po niego.

Mijając izbę przyjęć nagle zdała sobie sprawę, że przecież nie pomyślała, jak to wszystko może się odbić na opinii szpitala. Nawet jeśli złapie mordercę, on na pewno będzie się bronił i sprawa się obróci przeciwko niej i szpitalowi. Nic więc dziwnego, że Walker miał takie opory przed

272

uwierzeniem w jej historię. Jeśli gazety to opublikują, która z kobiet będzie chciała tu rodzić?

— Widziałaś gdzieś Martina? — spytała recepcjonistkę, młodą kobietę z jaskrawo wymalowanymi ustami i czapce czarownicy na głowie.

Ze zdumieniem odkryła po chwili, że wszystkie pielęgniarki mają takie kapelusze.

— A gdzie jest pani przebranie na Halloween? — odparła pytaniem recepcjonistka.

— Muszę znaleźć Martina — powtórzyła zniecierpliwiona. — Ma teraz przerwę?

— Martin też nie założył kostiumu. — Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

— Mówiłam mu...

— Nie to mam teraz w głowie — niecierpliwie rozglądała się Rae.

— Fajnie by wyglądał w stroju królika...

— Gdzie on, do cholery, jest?! — krzyknęła. Wszystkie pielęgniarki spojrzały na nią.

— Ma przerwę — usłyszała od którejś z nich.

Rae mruknęła „dzięki” i odeszła. Aż do drzwi czuła, jak młoda recepcjonistka odprowadza ją wzrokiem. Przez kolejne dziesięć minut drzwi na izbę przyjęć otwierały się i zamykały, ale Martina nie było nigdzie widać. Jak długo można mieć przerwę? — głowiła się Rae.

Na zewnątrz widziała zaparkowaną karetkę. Spojrzała na zegarek, minęło już dwadzieścia minut, Theodore na pewno czekał. Wróciła do recepcjonistki.

— Gdy Martin się pokaże, niech czeka tu na mnie, dobrze?

— Jak pani każe, pani doktor — odparła recepcjonistka lekko obrażonym głosem.

Wychodząc na zewnątrz myślała, czy ta recepcjonistka cokolwiek przekaże Martinowi.

Noc była wprost wymarzona na obchody święta Halloween — chłodno i

gwieździście, a księżyc tak świecił, że niepotrzebne były uliczne latarnie.

Podeszła do karetki i na palcach zajrzała do szoferki.

Pusto. Theodore jeszcze nie przyszedł albo już poszedł.

— Niech to szlag trafi! — zakląła uderzając pięścią w drzwi.

Odwróciła się i wolno ruszyła w stronę izby przyjęć. Jediną szansą teraz była rozmowa z Martinem. Miała głęboką nadzieję, że na jego liście znajdzie mordercę.

Nagle drzwi od izby przyjęć otworzyły się i wyrósł przed nią Theodore.

Westchnęła głęboko.

273

— Rety, już myślałam, że przyszłam za późno.

— Wskakuj — rzucił krótko. Zaskoczona jego tonem potrząsnęła głową.

— Posłuchaj, Theodore... — zaczęła.

Podszedł do karetki i szybko otworzył tylne drzwi. — No już, ja za ba.

Rae stała jak wryta. Coś było nie tak. Głos Theodore'a brzmiał inaczej przez telefon. Zaczęła się wolno cofać.

— Właśnie sobie przypomniałam, że muszę iść...

— Wchodź — warknął przez zaciśnięte zęby i wyciągnął rękę, aby ją złapać.

Była jednak szybsza, odwróciła się błyskawicznie i ruszyła do ucieczki.

Lecz była zbyt przestraszona, aby jej się to udało. Theodore dopadł ją po kilku krokach i wbił lufę pistoletu tak mocno między żebra, że z trudem mogła złapać oddech.

— Dobrze już, dobrze — wyszeptała drżąc ze strachu.

Bała się go, ale jeszcze bardziej przerażała ją myśl o wejściu do karetki.

Wolno zbliżała się do otwartych drzwi. Czowała, jak z każdym krokiem jej

nogi miękną. Następny krok, oddech miała krótki i przerywany, brakowało jej powietrza. Słyszała, jak dudni jej serce, jeszcze jeden krok. Bicie serca zagłuszało wszelkie inne dźwięki, nie słyszała już kompletnie nic. W końcu poczuła, jak traci resztę samokontroli, tuż przed nią były otwarte drzwi karetki.

— Wchodź — nakazał Theodore.

Ale nie mogła wejść, sparaliżowana strachem nie mogła się już nawet poruszyć. W ustach miała tak sucho, że z trudem przełykała ślinę.

Theodore wcisnął jej lufę pistoletu między żebra. Ból był tak okropny, że znów zaparło jej dech w piersiach.

— Powiedziałem włąz, suko!

Skręcona z bólu i strachu sięgnęła ręką do uchwytu. Bezwładna ręka ześlizgnęła się jednak z niklowanej powierzchni. Spróbowała jeszcze raz i chwyciła mocno rączkę. Podniosła stopę i postawiła na stopniu.

Theodore pchnął ją do środka i wskoczył tuż za nią. Z hukiem zatrzęsnał drzwi.

— Przesuń się do przodu — rozkazał.

Pomiędzy siedzeniami była duża konsola z radiem i głośnikami, z trudem przecisnęła się na przednie siedzenie. Czowała, jak galopująca krew rozsadza jej żyły. Oddech stawał się coraz krótszy.

Dlaczego nie posłuchałam Sama albo Walkera? — pomyślała. — Gdzie oni, do cholery, teraz są?

274

— Czego chcesz? — zapytała głośno. Starła się panować nad głosem.

Nie odpowiedział jej. Wyglądało, jakby nawet jej nie słyszał. W fluorescencyjnym świetle przyrządów z tablicy rozdzielczej zauważyła, że

jego piegi są wyraźniejsze, jakby były mocniej ukrwione. Chyba niedawno wziął porcję heroiny. Co gorsza, w jego oddechu wyczuła kwaśny zapach przetrawionego alkoholu.

Chwycił lewą ręką kierownicę, a prawą, nie puszcżając pistoletu, przekręcił kluczyk w stacyjce. Spojrzała przez okno w nadziei, że ktoś zauważył, jak wepchnięto ją do karetki. Niestety, jak na złość, przed izbą przyjęć nie było akurat nikogo.

Karetką ruszyła z miejsca. Noc wypełniła się wyciem syren i błyskiem świateł. Nikt tu nie mógł podejrzewać, że ją porwano. Tak jak nikt nie podejrzewał, że przez ostatnie dwa miesiące w tejże karetkce kobiety przechodziły horror.

Ostro skręcili na końcu podjazdu, lecz zamiast jechać w prawo do Centrum, ruszyli na Marin Avenue. Silnik wył na wysokich obrotach wspinając się stromą ulicą. Jak mu uciec? Dokąd jadą? — zastanawiała się, wpatrzona w migające za szybą światła latarni.

Bez poparcia Leonarda nie ma teraz żadnego dowodu.

Karetką z wyciem syreny przejechała pierwszy znak stopu.

— Zapnij się. Po co ryzykować — odezwał się do niej z udawaną troską. Nie miała zamiaru zapinać pasów mając za kierowcę pijanego narkomana. Nagle zauważyła, jak jego dłoń spada na jej twarz. Poczwała w ustach słodki smak krwi.

— Prosiłem grzecznie — rzekł chłodno. Poszukała ręką pasów i zapięła je. Karetką nabrała szybkości. Nie rozumiała dlaczego, ale nagle jakby się uspokoiła i zapanowała nad myślami.

— Gdzie jedziemy? — spytała, zerkając na jego pistolet.

— Żadnych pytań! — wrzasnął.

Odwróciła wzrok od pistoletu i patrzyła przed siebie.

— Uważaj! — krzyknęła, gdy w zaparkowanym przy chodniku aucie zaczęły się otwierać drzwi.

Za późno. Karetka walnęła w nie, wyrywając z trzaskiem.

— Skurwiel! — krzyknął przez okno.

Słyszała jeszcze, jak urwane drzwi tłuką się po betonowej ulicy. Wcisnęła się mocniej w siedzenie i chwyciła ręką uchwyt. Spojrzała na klamkę. Nie, powiedziała do siebie. Gdyby wyskoczyła, zabije się lądując na chodniku.

275

— Proszę cię, Theodore — odezwała się. Uznała, że jedynym ratunkiem była próba udobruchania go. — Możemy ci pomóc. Rozmawiałam z naszym szefem, jest skłonny ci pomóc.

Theodore zaśmiał się. Zabrzmiało to jak śmiech umysłowo chorego, pełen goryczy i złości. — Nagle wszyscy chcą pomóc biednemu Theodo-re'owi!

— Naprawdę, uwierz mi.

— Zamknij się! — krzyknął.

Kątem oka zauważyła podniesioną rękę. Odruchowo uniosła swoją, ale była zbyt słaba. Poczula, jak wielka dłoń spada na jej twarz, a zęby wbijają się w wargi. Znów poczuła ten słodki smak krwi w ustach. Pomyślała o Bernie — czy jej oprawca też najpierw bił ją po twarzy...

Karetka była już w połowie drogi ze wzgórza. Prawą ręką otarła krew z rozciętych warg. Znów spojrzała na uchwyt otwierający drzwi. Lepiej na chodniku niż z rąk tego maniaka. Gdyby tylko udało jej się otworzyć drzwi, nim zdąży ją złapać. Ale musiałyby też odpiąć pasy tak, żeby tego nie zauważył.

Podejmując ryzyko, powoli przesuwiała rękę w kierunku klamry od pasów.

Gdy wydawało jej się, że już odpina pasy, Theodore złapał ją za rękę. Ścisnął tak mocno, że czuła, jak palce wbijają jej się w żyły. Krzyknęła z bólu.

— Tak samo krzyczała tamta pielęgniarka — powiedział. — Nie, ona krzyczała głośniej.

— Próbowalesz zabić Bernie? — spytała z niedowierzaniem.

— Tak, chyba tak miała na imię — mruknął.

Widząc oczyma wyobraźni, jak Bernie walczy o życie, poczuła narastającą wściekłość. Wyciągniętymi rękoma próbowała złapać za kierownicę, lecz tym razem Theodore uderzył ją w twarz kolbą pistoletu. Ból rozsadzał głowę, a do tego jeszcze tyłem uderzyła o drzwi.

— Mówiłem jej, żeby pilnowała swojego nosa — ciągnął Theodore — a ona wciąż zadawała te swoje głupie pytania. Tak samo jak ty.

Jak nigdy w swoim życiu Rae pragnęła teraz być potężnie zbudowanym mężczyzną, który wolno zamęczyłby Theodore'a na śmierć.

— Zastanawia mnie, dlaczego brat tak martwił się o ciebie? — rzekła zaintrygowana.

— Bo mnie kochał! — krzyknął. Zamachnął się, lecz tym razem zdążyła się uchylić.

— Wcale cię nie kochał — dodała złośliwie. — Chciał cię oddać w ręce policji. Tak mi powiedział.

— Zamknij się! — warknął. — Na pewno tak nie mówił.

276

— A niby dlaczego mieliśmy się dzisiaj spotkać? Doskonale wiedział, co robiłeś, te wszystkie dziury w kroplówkach...

— Ty kłamliwa suko!

— Chciał zeznać, że to ty mordujesz te kobiety i dzieci — mówiła szybko, nie chciała mu dać ani chwili do myślenia. — Miał już dosyć krycia tego wszystkiego, twoich narkotyków i twoich kłamstw.

— On chciał tylko, żebym z tym skończył! — Nie krzyczał już, ale mówił głośnym drżącym głosem. — Ale nie rozumiał, co to znaczy być uzależnionym. Musiałem brać co trzy godziny, tak jak dziecko musi ssać pierś. On nie chciał mnie zrozumieć... — Przerwał i otarł rękawem spocone czoło. — Ale na pewno nie pozwolę się zamknąć.

— Kto ci kazał to robić? Kto za to płacił?

— Na ulicy to nie leży — odezwał się po chwili. — Próbowałem jakoś dogadać się z Leo. Mówiłem mu, że powinniśmy być razem. Tak jak dawniej. Powiedziałem mu to nawet dzisiaj wieczorem... Ale jego interesowały tylko te pieprzone bachory.

Nowa fala strachu przebiegła przez jej ciało.

— To ty go zabiłeś? — zapytała.

— Dlaczego nie chciałaś nas zostawić w spokoju? Dlaczego się wszystkiego czepiałaś? — mówił kołysząc się w przód i w tył.

— Ale Leonard był twoim bratem!

— Wszystko, co robiłem, to od czasu do czasu zmieniałem kroplówki w drodze do szpitala — mówił, nie zwracając na nią uwagi. — Co w tym złego? Ale on mnie nie chciał słuchać. Oskarżał o zabijanie tych kobiet... i dzieci. A ja nikogo nie zabiłem, ja tylko zmieniałem te cholerne kroplówki.

— A kto wstrzykiwał w nie oxytocynę? — naciskała Rae.

— Mówiłem ci już, że nie wiem o żadnej pieprzonej oxytocynie! To samo powiedziałem jemu. Miałem tylko zmieniać kroplówki, kiedy mi kazał, to wszystko.

— Kto? — pytała podekscytowana. — Kto ci kazał je zmieniać?

— Nie miałem innego wyboru, musiałem go zastrzelić — powiedział szlochając. Wcisną nagle pedał gazu i samochód ostro ruszył do przodu.

— Kto wstrzykiwał oxytocynę do kroplówek i zabijał te kobiety i dzieci?

— domagała się odpowiedzi.

Ale Theodore odpląnął do swojego świata, mrucząc coś pod nosem. I przyśpieszał jadąc ciemnymi ulicami miasta.

Rae intensywnie szukała sposobu, jak do niego dotrzeć. Klakson przerwał jej myśli. Podniosła głowę i zobaczyła jadące na wprost nich volvo.

277

Próbowała chwycić za kierownicę, ale Theodore ją odepchnął. Jej oczy nie mogły oderwać się od nadjeżdżającego auta. Była pewna, że karetka z całym impetem uderzy w nie.

W ostatniej sekundzie Theodore skręcił kierownicą w prawo i uniknął zderzenia. Ale w tym samym momencie zobaczyła wyjeżdżającego z prawej strony vana.

— Uważaj! — krzyknęła.

Niestety było już za późno. Karetka uderzyła prosto w tamtego. Trzymając się kurczowo siedzenia, Rae słyszała ostry dźwięk tłukącego się szkła i wyginanych blach. Przerażonymi oczyma patrzyła, jak uderzony van odbija się od maski karetki i przewracając na dach szoruje z przenikającym uszy piskiem po jezdni. Karetka również się przechyliła na bok, ale Theodore ruszył kierownicą i wyprostowała się; skacząc na kołach pognała z piskiem opon do przodu.

— Tak, tak! — zagrzemiał Theodore. — Kochałem brata. Kochałem go ponad wszystko na świecie.

— Twój brat nie żyje i ty go zabiłeś! — krzyczała Rae.

— Ja nie! To twoja wina! — wrzasnął, wycierając rękawem nos. — Ty zmusiłaś mnie do tego. Ale to już nieważne. On czeka na nas, na ciebie i na mnie. Mówiłem ci, że go kochałem.

Włączył syreny i jeszcze mocniej wcisnął gaz. Rae tylko zerkała na licznik. Kolejne skrzyżowania śmigwały przed oczami. Aż zobaczyła przed sobą betonową fontannę. Zerknęła na niego, nie mógł jej nie widzieć.

— Zabijesz nas! — krzyknęła.

Wskaźówka szybkościomierza podnosiła się. Lewą ręką trzymał kurczowo kierownicę, a w prawej pistolet. Na jego twarzy malował się kamienny spokój. Wzrok miał wlepiony w zbliżające się betonowe słupy fontanny.

— Czyje życie próbujesz uratować teraz, doktor Duprey? — krzyknął wpatrzony w betonowe bloki.

— Swoje, ty pieprzony kretynie! — wrzasnęła Rae, sięgając ręką do klamry pasa. Odczepiła pas i całym ciałem rzuciła się na niego.

W tym samym momencie usłyszała strzał. Przednia szyba pękła na drobne kawałeczki. Instynktownie odwróciła twarz i schyliła głowę. Poczowała ból, jakby w kark wbijały się jej setki gwoździ. Theodore wrzasnął, puścił kierownicę i złapał się za twarz. Domyśliła się, że kawałki pękniętej szyby wbiły mu się w nią.

Przewyciężając piekący ból podniosła się i chwyciła za kierownicę, z całych sił skręciła w lewo. Poczowała, jak karetka ostro skręca w bok i uderza o wysoki betonowy krawężnik fontanny.

278

To już koniec, umieram — pomyślała z niezwykłą pewnością.

Słyszała kłujący w uszy dźwięk rozrywanej blachy i poczuła, jak cały

samochód podskakuje wysoko w górę. Trzymając kurczowo kierownicę miała tylko nadzieję, że karetka zdąży się zatrzymać, nim uderzy w fontannę. Znowu usłyszała przeraźliwy dźwięk rozrywanej blachy i poczuła, jak karetka zmienia kierunek. Wiedziała, że nie ma już ratunku, widziała przed sobą szare betonowe bloki.

Nagle wszystko ucichło. Karetka stanęła.

Wolno podniosła głowę. Trafiła na kierownicę, syknęła z bólu. Kawałki szkła spadły jej na głowę i po plecach ześlizgnęły się na siedzenie.

Spojrzała do góry. Tam gdzie jeszcze przed chwilą był sufit, zobaczyła rozbitą szybę. Powoli, podnosząc do góry ręce wy dostała się przez nią na zewnątrz.

Około dwudziestu metrów od karetki ujrzała grupkę poprzebieranych dzieci. Wpatrywały się w nią osłupiałymi oczyma. Zerknęła w drugą stronę. Na jezdni leżał Theodore. Twarz miał zwróconą w jej kierunku. W jasnym świetle księżycy zobaczyła jego nieruchome, martwe oczy.

Zeskoczyła z karetki i kuśtykając zaczęła szybko odchodzić od samochodu.

— Hej! — krzyknęło za nią któreś ze stojących dzieci. Nie miała jednak czasu, aby się zatrzymać. Nie chciała, aby policja ją tu znalazła i połączyła ze śmiercią kolejnego pielęgniarza.

Trafiła na podwórko domu, w którym nie paliły się żadne światła. Zza żywopłotu usłyszała podjeżdżające na syrenie samochody policyjne i karetkę. Skradając się bocznymi uliczkami odchodzącymi od Marin Avenue ruszyła w stronę wzgórza.

Rozmyślała nad słowami Theodore'a. Mówił, że tylko zmieniał kroplówki, nie wstrzykiwał oxytocyny. Jeżeli nie on, to kto?

Pulsujący ból w głowie nie pozwalał na dalsze dociekania. Usłyszała syrenę, odwróciła się i zobaczyła wolno jadący policyjny samochód z reflektorami szperającymi dokoła. Wskoczyła w jakieś krzaki. Gdy tamci przejechali, wyszła i najszybciej jak mogła ruszyła do oddalonego o kilometr szpitala.

Jedyną szansą na złapanie mordercy było pilnowanie przez całą noc pojemnika z kroplówkami. Tylko jak? Przecież nie mogła wejść do szpitala, była zawieszona i nie miała prawa tam przebywać.

Musiałyby być niewidzialna.

Na tyłach szpitala była rampa załadunkowa. Obok była winda, którą przewożono zwłoki ze szpitalnej kostnicy. Stąd odbierały je wozy domów
279

pogrzebowych i biura koronera. Gdyby tylko było trochę ciemniej, myślała spoglądając na księżyc.

Stojąc niedaleko rampy widziała, jak koroner wyciąga z samochodu wózek obity czarnym płótnem i czeka na windę. Drzwi windy otworzyły się z lekkim hałasem i mężczyzna ubrany na czarno wepchnął wózek do środka. Biegiem dopadła do windy i nim się zamknęła, była już w środku.

— Zaraz, tu nie wolno wchodzić! — zaprotestował mężczyzna.

— Ale już weszłam — odparła zdyszana.

— Tylko że...

— Posłuchaj — przerwała mu — spóźniłam się do pracy, rozumiesz? Jak szef mnie zobaczy, wywali z roboty. Muszę jakoś się dostać do środka...

Patrzył na nią ze zdziwieniem w oczach.

— Te sztywniaki, co na mnie czekają na górze, wyglądają lepiej od ciebie!

Co ci się stało? — zapytał.

Drzwi windy otworzyły się na wprost kostnicy. Poczula wyraźny zapach formaliny.

— Dzięki za podwiezienie — rzuciła, wychodząc z windy.

Wolno ruszyła korytarzem. Dwadzieścia metrów dalej było wejście na oddział ginekologiczno-położniczy. Co za ironia losu, pomyślała. Jak blisko siebie były... Kostnica, gdzie z płaczem kończyło się życie, i porodówka, gdzie z uśmiechem rodziło się nowe. Może tak to powinno być — życie i śmierć oddalone od siebie o kilka metrów, o kilka uderzeń serca.

Dotarła do drzwi, za którymi znajdował się pokój sprzątaczek. Otworzyła je i podeszła do umywalki. Szybko zmyła z siebie zakrzepłą krew. Zrzuciła ubranie i zdjęła z wieszaka biały fartuch, założyła go na siebie i sięgnęła po stojące obok wiadro ze szczotką. Wrzuciła swoje ubranie do kosza i spojrzała w lustro.

Świetne przebranie — powiedziała do siebie. Nikt nie zwróci uwagi na czarną sprzątaczkę. W szpitalu, w którym zatrudnionych jest przeważająca ilość białych, to normalny widok. Będzie niewidzialna.

Przez kolejną godzinę kręciła się w pobliżu pojemnika na kroplówki i nikt nie zwrócił na nią uwagi. Karetki podjeżdżały i odjeżdżały, pielęgniarki obsługiwały pacjentów, ale nikt nawet się nie zbliżył do pojemnika.

Miejsce, które czyściła, wyglądało już jak biała plama. Minuty mijały niczym godziny. Marzyła już o położeniu się. Ale co będzie, jak w tym czasie przyjdzie tu morderca? A może czekał, aby ona, sprzątaczką, w końcu stąd odeszła?

Spojrzała na zegar. Dochodziła piąta rano. Nie mogła sobie pozwolić na sen, musiała jednak wyjść zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Sta-

nęła przed wejściem do szpitala i z zamkniętymi oczyma wdychała zimne poranne powietrze.

— Hej, doktor Duprey! — usłyszała za sobą męski głos. Już chciała się odwrócić, ale przypomniała sobie właśnie, że nie jest żadną doktor Duprey, tylko czarną sprzątaczką. Zamiast się więc odwrócić, spuściła głowę i wpatrywała się w stojące przed nią wiadro.

— Świetne przebranie, doktor Duprey.

Tym razem musiała już popatrzeć. Tuż obok niej stał uśmiechnięty Martin.

— Gdzie byłeś? Szukałam cię — odezwała się przyciszonym głosem. — Zrobiłeś listę?

Martin wzruszył ramionami i włożył ręce do kieszeni.

— Prawdę mówiąc, nie było takiej potrzeby. Nikt się nie zbliżał do tego pojemnika.

— Osoba, której szukam, ma milion powodów, aby zbliżyć się do tego pojemnika. Dlatego muszę wiedzieć o wszystkich, ktokolwiek chociaż przechodził koło niego.

Martin podał jej zmięty kawałek papieru. — Prawie wszyscy przechodzili koło niego w drodze do toalety. Ale zrobiłem to, o co pani mnie prosiła.

Na kartce było wypisanych kilka nazwisk. Pielęgniarki, lekarze — prawie wszyscy z izby przyjęć.

— To wszystko?

— Jeszcze jedno z drugiej strony.

Odwróciła kartkę. Zaskoczona spojrzała na niego.

— Jesteś pewny, że widziałeś doktora Hartmana? Martin pochylił się nad kartką i sam przeczytał nazwisko.

— To ten nowy lekarz, prawda? Musiałem nawet popytać, jak się nazywa, bo go nie znałem. Ale tak naprawdę to tylko on zatrzymał się przy tym pojemniku.

Trudno jej było w to uwierzyć. — Jesteś pewny, że to był on?

Martin wyprostował się i wypiął pierś do przodu. — Tak samo jak tego, że pani jest doktor Duprey, a nie sprzątaczką!

— Widziałeś, co robił z tymi workami?

— Chciałem go o to zapytać, ale kiedy zobaczył, że idę w jego stronę, to zaraz odszedł. Chyba ktoś go wezwał, bo słyszałem jego biper... Pani doktor, dobrze się pani czuje?

Rae złapała swoją szczotkę i wiadro i szybko ruszyła do drzwi szpitala.

To nie może być Sam, proszę, tylko nie Sam...

281

Mijając izbę przyjęć próbowała sama siebie przekonać, że Sam nie mógł być zabójcą. To niemożliwe, mówiła do siebie. Przecież przez cały czas był przy operacji. Co innego udawać sprzątaczkę, jak to było w jej przypadku, ale być w dwóch miejscach jednocześnie? Musiała to sprawdzić. Podeszła do telefonu i wykręciła numer oddziału operacyjnego. Udała pielęgniarkę pytającą, czy doktor Hartman jest ciągle jeszcze przy operacji. I usłyszała, że będzie wolny dopiero za jakąś godzinę.

— Dziękuję — rzekła nieco uspokojona. — Nie wiem, jak on może długo wytrzymać przy tych operacjach — dodała.

— Och nie, doktor Hartman zawsze robi sobie krótką przerwę, gdy tylko pacjent zostanie podłączony do maszyny — życzliwie dodała pielęgniarka.

— I wychodzi z oddziału?

— Na pół godzinki.

Odwiesiła słuchawkę i wróciła do pojemnika. Przyjrzała się leżącym na wierzchu workom. Wzięła jeden do ręki i poczuła, jak oblewa ją zimny pot. W worku była mała dziurka, sprawdziła jeszcze dziesięć innych, w każdym znalazła to samo.

— I co, znalazła pani to, czego szukała? — zapytał podchodząc do niej Martin.

Cały czas był krok przede mną. Mówiłam mu o wszystkim — westchnęła, biorąc do ręki szczotkę. — Chyba to prawda, że widzimy tylko to, co chcemy zobaczyć, i wierzymy w to, w co chcemy uwierzyć...

Odwróciła się od pojemnika i ruszyła w stronę biura Walkera. On był szefem szpitala — będzie wiedział, co trzeba zrobić.

Zamyślona i zdruzgotana minęła korytarz. W biurze Walkera było ciemno.

Weszła i zapaliła światło. Walker mógł tu się zjawić dopiero za parę godzin, a nie mogła przecież czekać. Musiała mu powiedzieć o Samie.

Zastanowiła się, czy Walker zadzwonił na policję, tak jak mówił, i przekonał ich o jej podejrzeniach. Czy wiedział już o śmierci Theodore'a? Czy policja dzwoniłaby do niego w środku nocy z informacją o śmierci pielęgniarza w wypadku samochodowym?

Podniosła słuchawkę telefonu i powoli wykręciła jego numer domowy, Usłyszała krótki przerywany sygnał. Spróbowała jeszcze raz, ciągle to samo. Z kim Walker mógł rozmawiać o piątej rano? I wtedy skojarzyła, że przecież jego córka studiowała w Nowym Jorku i często właśnie o tej porze

282

do niego dzwoniła. Odłożyła słuchawkę. Za chwilę spróbuję jeszcze raz, zdecydowała.

Cieężko usiadła w jego fotelu. Ogarnęło ją wspomnienie ciepłych rąk Sama pieszczących jej ciało. Czy te same dłonie mogły wstrzykiwać śmiertelny płyn do kroplówek? Wydało jej się to wręcz niemożliwe. Ale Martin zapisał jego nazwisko, a Sam miał motyw i sposobność.

Nie mogła jednak uwierzyć, że to jego właśnie z taką zawziętością poszukiwała? Czy to nie on mówił jej, że na tym właśnie polega miłość. Wierzyć słowom ukochanej osoby, a nie cisnącym się w oczy faktom? Zerknęła na telefon. Odechciało jej się dzwonić do Walkera. Bo cóż mu powie? Walker nie uwierzył w nic z tego, co mówiła, a Sam tak... Przynajmniej tak mówił, a może chciał ją tylko zmylić? Czy tak kłamał tylko po to, żeby zamknąć Centrum Porodów? Czy tak tego pragnął, bardziej niż...

Nagle pukanie do drzwi zmroziło jej krew w żyłach, zaparło dech. Kto wiedział, że ona tu jest? Czy ktoś ją śledził?

Usłyszała dźwięk naciskanej klamki i drzwi wolno się otworzyły.

Zerwała się z fotela i błyskawicznie złapała za swój rekwizyt. Spuściła w dół głowę bojąc się spojrzeć, kto wchodzi do pokoju.

— Jest tu ktoś? — usłyszała kobiecy głos.

Znajomy, ale była zbyt przestraszona, aby myśleć, do kogo należy.

— Chciałam tu posprzątać.

To była Claudia! Rae szybko podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko.

Uśmiechnęła się do niej z ulgą.

— A ty kto? — spytała zaskoczona Claudia.

— To ja, Claudio. Zarząd tak nam obciął pensję, że musiałam wziąć dodatkową robotę! — odparła z uśmiechem Rae.

— Doktor Duprey?

— Jest przecież Halloween!

Odsunęła się od drzwi ustępując jej miejsca. Claudia się jednak nie ruszyła. — A co pani tu robi o tej porze?

— Chciałam porozmawiać z Walkerem i skoro go nie było, pomyślałam, że zadzwonię stąd.

— Złociutka, to pani nie ma w domu telefonu?! — Claudia dalej była zaskoczona.

— Ale szybciej zadzwonię stąd — rzekła ze śmiechem Rae. — Wejdz i sprzątaj, jeśli chcesz.

— Mogę tu wrócić później...

— Nie, proszę, przyda mi się towarzystwo.

Claudia jeszcze raz z niedowierzaniem spojrzała na Rae.

283

— Pani naprawdę jest doktor Duprey. Dziecko drogie, naprawdę mnie pani nabrała...

Weszła do środka i włączyła swój odkurzacz.

Rae wykręciła numer Walkera. Wzruszyła ramionami słysząc ten sam zajęty sygnał.

— Proszę, proszę. Pan Stuart zostawił otwartą szafkę, nigdy tego nie robił.

Rae zerknęła na Claudię stojącą przed oszkloną szafką Walkera.

— Posłuchamy pozytywki? — spytała, podchodząc do niej.

— Oj, złotko, panią chyba coś trapi — zaśmiała się Claudia. Rae pomyślała o czekającej ją rozmowie z Walkerem. Westchnęła głęboko i wzruszyła ramionami.

— Powiedz mi, Claudio, dlaczego zawsze musimy ranić tych, których kochamy?

— To nie tak, prawdziwej miłości nic nie skrzywdzi. Bóg nad tym czuwa. Jak bardzo Rae chciała jej uwierzyć.

— No, już skończyłam. Pan Stuart to porządny chłop, nigdy nie mam tu za dużo do roboty.

— Na pewno nie chcesz posłuchać? — Rae stała ciągle przy szklanej szafce. Drzwi faktycznie były lekko uchylone.

— Nie mam czasu, kochaniutka. Ledwo się wyrabiam z tym, za co mi tu płacą — mówiła ciągnąc odkurzacz w stronę drzwi.

Po jej wyjściu Rae otworzyła jednak szafkę i wyjęła z niej małą aksamitną kołyskę. Walker na pewno sprawi, że wszystko wróci do normy, jeżeli tylko zarząd zgodzi się pozostawić jej oddział. Na pewno zrobi wszystko, aby jej oddział był najlepszy w całym stanie.

Delikatny aksamit pieścił jej palce. Otworzyła kołyskę i stwierdziła, że tajemny schowek był również otwarty. Delikatna kołysanka powinna ją uspokoić i przynieść ulgę jej zmęczonym myślom.

Otworzyła maleńkie drzwiczki i sięgnęła palcami do kluczyka. Ale poczuła w palcach coś innego, coś jak maleńkie szklane światełka na choinkę. Wyjęła jedno z nich. Zamarła z przerażenia wpatrując się osłupiałymi oczyma w leżącą na jej dłoni ampułkę z oxytocyną.

Szybko wyjęła pozostałe, razem było ich dziesięć. Dziesięć maleńkich szklanych ampułek, które wyglądały jak żaróweczki na choinkę. W uszach zaczęła jej szumieć krew. To Walker, a nie Sam był mordercą!

Szybko włożyła ampułki do kołyski i odstawiła ją do szafki. Podbiegła do telefonu i podniosła słuchawkę, ale tak szybko jak podniosła, odłożyła ją z powrotem.

Skąd mogła wiedzieć, że to on je tam włożył? Skąd mogła wiedzieć, że w ogóle miał z tym wszystkim coś wspólnego?

To musiał być jednak on. „Zdesperowani ludzie robią desperackie rzeczy”. Zabrzmiały jej w uszach jego słowa. Nie rozumiała ich kiedyś, ale teraz wiedziała, że powiedział je z głębi serca.

Podniosła znowu słuchawkę i wykręciła numer oddziału operacyjnego, ale nim tam odebrano, usłyszała, jak ktoś chwyta za klamkę. Odłożyła słuchawkę i złapała za szczotkę. Ze spuszczoną głową zaczęła popychać wiadro w kierunku drzwi.

Bała się zerknąć, kto wszedł do pokoju. Serce jej jednak zamarło, kiedy zobaczyła błyszczące buty. Nikt w szpitalu nie miał tak wyglansowanych butów jak Walker.

Buty zatrzymały się, ustępując jej miejsca. Miała głęboką nadzieję, że jej nie rozpoznał.

Wyszła na korytarz, nie zwracając uwagi, że rozchlapuje wodę z wiadra.

Oglądała się, czy nikt za nią nie idzie. Korytarz był jednak pusty.

Otwierając drzwi damskiej szatni lekarzy, uderzyła wiadrem w ich framugę. Woda chlapnęła prosto na jej fartuch. A hałas był tak duży, że mógł zbudzić nawet umarłych w szpitalu. Zaczęła głęboko oddychać, żeby się uspokoić. Zostawiła wiadro przed drzwiami i weszła do szatni. Zaraz za nią weszła tam jakaś lekarka. Szybko spuściła głowę udając zapracowaną. Czekala, aby tamta wyszła. Wszyscy lekarze wiedzieli, że jest zawieszona, i nie mogła teraz pozwolić, aby ktoś wezwał ochronę. W końcu tamta wyszła nie obdarzając jej nawet najmniejszym spojrzeniem. Szybko podeszła do telefonu. Musiała zadzwonić do Sama. „Cholera!” — zaklęła, słysząc w słuchawce krótki przerywany sygnał. Musiała się z nim

skontaktować. Spróbowała znowu, zajęty. Spojrzała na zegarek. 5:25. Sam powinien skończyć operację za pół godziny. Jedynym sposobem było dostać się na oddział operacyjny. Ale musiała się przebrać. Nie mogła tam wejść w mokrym fartuchu. Podeszła do swojej szafki i drżącymi dłońmi otworzyła cyfrowy zamek. Nagle usłyszała, że ktoś otwiera drzwi. Zerknęła przez ramię i już wymyślała powód swej obecności tutaj. Słowa jednak zamaryły jej w gardle — w drzwiach, z kołyską w dłoni stał Walker.

Odsunęła rękę od zamka. Jej serce pulsowało jak oszalałe. Czy Walker wiedział, że ona już wie?

— Szatnia chłopaków jest po drugiej stronie korytarza, Walker — odezwała się z wymuszonym uśmiechem.

Jemu nie było do śmiechu.

285

— Tyle razy mówiłem ci, że sam się wszystkim zajmę. — Rzucił kołyskę na podłogę. Przez szatnię przebiegło kilka taktów kołysanki i znów zapanowała cisza.

— Posłuchaj, Walker... — urwała, bo Walker wyjął z kieszeni pistolet. Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

W wycelowanym w jej pierś pistolecie odbijało się jasne światło z sufitu.

— Nigdy nie ufaj ćpunowi — rzekł. — A może powinienem ci podziękować, że pozbyłaś się go dla mnie?

Przypomniała sobie leżące na ulicy zwłoki Theodore'a.

— Nie rozumiem, Walker — odezwała się, udając zdziwienie.

— Gdybyś nie zostawiła tej kołyski otwartej, to bym się nie zorientował

— powiedział. — Twoje przebranie trochę mnie zmyliło, ale wcześniej

spotkałem Claudię. I ty nie ruszasz się jak sprzątaczką, nawet nie potrafisz udawać.

— Coś ci się chyba pomieszało. — Z wymuszonym śmiechem zaczęła grzebać w szafce.

— Odsuń się stamtąd! — krzyknął nagle.

Zastygła. Jej serce także. Walker zabił już tyle osób. Bez wątpienia zabiłby i ją. Ale to nie może się tak skończyć, musi być jakieś wyjście.

— Naprawdę, Walker, musiało ci się coś pomylić.

Zrobił krok do przodu. — Mówiłem, odsuń się.

W szafce leżał jej dyktafon. Ukryła go w dłoni i włożyła szybko do obszernych kieszeni fartucha, kiedy odwracała się do Walkera. Chyba nie zauważył.

— Mówiłem, żebyś mnie słuchała.

Serce podskoczyło jej do gardła. Zobaczył, co zrobiła. Myśl, Rae, wymyśl coś szybko. Drżącymi rękoma zamykała szafkę.

— Proszę, Walker. Już dość było zabijania...

Podniósł broń. Czy będzie słyszała strzał? Czy poczuje kulę przelatującą przez jej mózg? Czy po śmierci jest życie? Czy Sam kiedykolwiek się dowie, że go kochała?

Mocno zamknęła oczy. Już nic więcej nie mogła zrobić.

— Idziemy — odezwał się Walker.

Otworzyła oczy. Walker stał trzymając jedną ręką drzwi, a drugą wycelowany w nią pistolet. Zdezorientowana i przestraszona nie poruszyła się z miejsca.

— Pamiętaj, jeżeli coś głupiego zrobisz lub powiesz, skończysz jak tamci.

A ten strój nie jest zły, nikt nie zwróci uwagi na sprzątaczkę... Ruszaj. I

weź swoje wiadro i szczotkę.

286

— Dokąd idziemy? — spytała, kiedy złapał ją za ramię i wypchnął na pusty korytarz.

Gdyby tylko tu ktoś przechodził... — pomyślała z nadzieją.

— Dokąd? Wstrzyknąć trochę oxytocyny do kroplówek — odpowiedział jej niewinnie.

Izba przyjęć! — pomyślała. Może tam uda się jej uciec.

Walker wbił jej pistolet w plecy. Wyprostowała się i syknęła z bólu.

— Wiem, o czym myślisz, ale nawet nie próbuj, siedzimy w tym oboje, jak zawsze.

Korytarze były wyludnione. Szła obok Walkera, kroczącego sztywno. Ile razy szedł tędy do izby przyjęć wiedząc, że to, co za chwilę zrobi, zabije niewinne kobiety i dzieci. Rae musiała coś wymyślić, uciec od niego. Albo da się zabić.

Kiedy wysiedli z windy, ruszyli korytarzem w stronę izby przyjęć. Przed wejściem tam Rae zatrzymała się.

— Może lepiej tylnymi drzwiami? — spytała.

— Niby dlaczego? Jestem szefem szpitala, a ty sprzątaczką. Kto się będzie zastanawiał, co tu robimy o tej porze.

Izba przyjęć wyglądała jak prawdziwe piekło. Wszędzie stali poprzebierani ludzie. Diabły z długimi ogonami, wampiry i czarownice. Wszyscy z ciemnym makijażem na twarzach. Wyglądało, jakby odbywało się tu wielkie przyjęcie. Przeszło jej przez myśl, że gdyby wplątała się w ten tłum, na pewno by mu uciekła. Ale Walker mógł zacząć strzelać i zamiast w nią, trafić w jakąś niewinną osobę.

— Tędy — powiedział klepiąc ją lekko w ramię. Ruszyli korytarzem prowadzącym wprost do pojemnika z kroplówkami. Zwolniła nieco kroku i uderzyła wiadrem w ścianę.

— Nie tak nerwowo — zwrócił jej uwagę. — Godziny poranne są zawsze najlepsze. Zazwyczaj nie ma tu tylu ludzi co dzisiaj, a ci, co się kręcą, tak są zaspani, że nie zwracają uwagi na nic i nikogo.

— Ale dzisiaj jest inaczej — powiedziała.

— Nic ich nie obchodzi, co my tu robimy, Rae. Jest Halloween, nikt się nie będzie dziwił, że jesteś przestraszona.

287

— Ale szef szpitala o tej porze? Będą się zastanawiać, co tu robisz • próbowała go jakoś zagadać.

— Nie będą się zastanawiać, kiedy wiedzą, że kończysz pracę późno, a zaczynasz bardzo wcześnie — odparł, uśmiechając się.

Po raz pierwszy dostrzegła arogancję w jego uśmiechu. Przez tyle lat, zawsze inaczej odczytywała ten jego uśmiech. Ale Sam jej przecież powiedział, że widzi się zawsze to, co chce się zobaczyć.

Sam... Jak bardzo go teraz potrzebowała.

Walker zatrzymał się przed pojemnikiem. Rozejrzała się dookoła tak jak mówił, wokół nikt się nie kręcił. Głosy pielęgniarek i pacjentów wydawały się dobiegać z bardzo daleka.

— Szef szpitala jest poza podejrzeniami — odezwał się, wyjmując z kieszeni sześć strzykawek z długimi igłami.

Widziała, że każda wypełniona jest bezbarwnym płynem. Oxytocyna — bezbarwny płyn mający pomagać kobietom, a nie je zabijać.

Z dumą podniósł strzykawkę do góry.

— Piękne — powiedział — i takie proste. Jak widzisz, przyszedłem tu przygotowany. Można rzec, że mam to opanowane do perfekcji.

Jak kat, pomyślała. Przypomniała sobie rozmowę z nim w Chez Panis-se. Wtedy udawał, że kompletnie nic nie wie na temat oxytocyny. Miała ochotę kopnąć samą siebie. Dlaczego mu zaufała? Dlaczego nie pamiętała, że był farmakologiem. Miał najlepszy motyw i najlepszy akces do...

— Widzę, że już się domyśliłaś — odezwał się wpatrzony w wypełnione płynem strzykawkę. — Nic prostszego, wpuszczałem to do tych worków, a później dzwoniłem do Theodore'a. Początkowo robiłem to tylko wtedy, gdy Bo miał dyżur. Myślałem, że po kilku przypadkach z problemami zdecyduje się w końcu zamknąć to cholerne Centrum i przeniesie swoje pacjentki tutaj.

— Ale tego nie zrobił.

— Nie, nie zrobił, a powinien... powinien zamknąć Centrum, kiedy miał jeszcze szansę sprzedać je Howardowi Maranowi.

— Howardowi? — powtórzyła z niedowierzaniem w głosie.

— Rae, do cholery, przestań udawać! — Do tej pory rozmawiali przyciszonymi głosami, ale teraz Walker podniósł głos. — Jak myślisz, po co to wszystko robiłem? Nie tylko dla dobra naszych pacjentów. Ja też bym miał coś z tego. Słyszałaś zresztą, co mówił Marco. Zainwestowałem w ten skaner w Louisville. To była moja najgorsza inwestycja w ostatnim czasie. Pieniądze na szkołę mojej córki, wszystkie oszczędności i pieniądze z funduszu emerytalnego, wszystko co mogłem uzbierać, zainwestowałem w ten tomograf. Oczywiście Denise nic o tym nie wiedziała. Nigdy by się

na to nie zgodziła, ale powiedz sama, cóż to za życie, jeżeli nie podejmuje się ryzyka...

Przyglądała mu się z uwagą. W żadnym stopniu nie przypominał człowieka, którego znała od tylu lat. Jego twarz była kamienna, pozbawiona jakichkolwiek uczuć. Jeżeli miał jeszcze serce, to na pewno nie było już w nim miejsca na litość i współczucie. Czowała się okropnie wiedząc, że przez tyle lat ufała mu niemal bezgranicznie i często powierzała życie innych ludzi w jego ręce.

— I co się stało? — zapytała.

— Ten cholerny tomograf się rozkraczył. Howard też stracił wszystko, co w niego włożył. Ale co znaczy dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jeżeli ma się miliony? I któregoś dnia zadzwonił do mnie. Wyraził swoje ubolewanie i tak dalej. Zaproponował mi wtedy umowę, a ja przystałem. Miałem namówić Bo na sprzedaż Centrum Porodów, aby Howard mógł otworzyć w nim klinikę kardiologiczną. Obiecał, że wtedy dostanę z powrotem, jako premię, pieniądze zainwestowane w skaner. Wszystko wróciłoby do normy, a nawet lepiej, twój oddział byłby nadal otwarty. Marco byłby zadowolony i zarząd byłby szczęśliwy z dodatkowych dochodów...

— Jedna wielka szczęśliwa rodzina — Rae ledwie ukryła nienawiść w swoim głosie.

— Dokładnie tak.

— To znaczy, że Howard tak naprawdę zabijał te kobiety i dzieci — stwierdziła Rae.

— Do diabła, nie — odparł z grymasem na twarzy. — Ja to wszystko robiłem. Zarząd kazał mi trzymać szpital z daleka od tego interesu —

łatwo powiedzieć, ale jak to zrobić? Jedynym, który coś wiedział, był ten ćpun. Howarda nie interesowało, jak namówię Bo. To ostrożny człowiek. Jego obchodzą tylko i wyłącznie pieniądze.

— To znaczy, że spokojnie mogłam umówić się z nim na kolację — wtrąciła kwaśno.

— Kiedy Bo odmówił sprzedania Centrum, pomyślałem sobie, że może lekarze mający w Centrum swoje pacjentki, odbiorą właściwie moją „akcję”. Kazałem więc Theodore'owi zmienić kroplówkę w tę noc, kiedy przywieźli tu Nolę Payne.

— Dlaczego wybrałeś Nolę? — Nie mogła już opanować rosnącego w niej gniewu i złości.

— Przypadek, strzał w ciemno. W ogóle nie wiedziałem, czy ktoś będzie tej nocy transportowany z Centrum do nas — przerwał i uśmiechnął się do niej — ale wiedziałem, że ty będziesz na dyżurze. Założyłem, że jeśli przewiozą kogoś do nas, to w najgorszym przypadku będziesz chociaż

289

asystować przy porodzie, jeżeli sama nie będziesz go odbierała. Byłaś moją ostatnią szansą, Rae. Wiedziałem, że będziesz dociekać, dlaczego kobieta z normalnym tętnem i bez komplikacji ląduje do nas z poważnymi bądź co bądź komplikacjami.

— Wrobiłeś mnie w to? — rzekła przez zęby. Pamięcią wróciła do tamtego poranka. Więc to wszystko było zaplanowane i wykonywane z wojskową precyzją, a ona była wykonawcą tego planu.

— To samo było z Meredith — powiedział z dumą. — I już wiedziałem, że zaczniesz szukać przyczyn.

— A Bernie? — spytała — Ją też chciałeś zabić?

Walker wzdrygnął się. — To ten cholerny ćpun. Miał tylko odłożyć na miejsce karty chorobowe. Musiałem sprawdzić, czy Bo czegoś tam nie pozmieniał, chcąc chronić własny tyłek. Nigdy mu nie ufałem i nie wiem, co ty w nim widziałaś. Mówiłem Theodore'owi, że o tej porze w archiwum na pewno nikogo nie będzie. Niestety była tam Bernie...

— Która próbowała mi pomóc — dodała Rae.

— Tak myślałem. Theodore zobaczył ją i stracił panowanie nad sobą.

— Użyłeś nazwiska Marco, żeby wziąć karty.

— Skąd o tym wiedziałaś? — zapytał, naprawdę zaskoczony.

— Po prostu zgadłam.

Delikatnie poklepał ją po głowie, jak małą dziewczynkę. Chciała ze wstrętem zdjąć jego rękę z głowy, ale się powstrzymała. Miała plan, który chciała przeprowadzić do końca — potrzebowała tylko trochę więcej czasu.

— No cóż, skoro nie ma już Theodore'a będziemy musieli poczekać, aż jakiś inny pielęgniarz uzupełni swoje zapasy. Mamy tu sześć strzykawek. Co znaczy, że parę pań będzie mieć poważne kłopoty... Zauważyłem, że oxytocyna lepiej działa u kobiet, które nie są pierworódkami. Weźmy na przykład tę, której rozerwało macicę. Rodziła już przedtem. — Podał jej strzykawkę. — Będziesz tak uprzejma? — rzucił słodkim głosem.

— Myślę... to znaczy powinnam chyba zobaczyć najpierw, jak to robić? — odezwała się drżącym głosem.

Wiedziała, że jest chory. Czy sprawiło to napięcie w pracy, problemy w rodzinie czy też może nieudana inwestycja, nie interesowało jej to teraz. Wiedziała, że ma do czynienia z szaleńcem. Z człowiekiem, który stracił poczucie rzeczywistości i kontakt z otoczeniem.

— Daj spokój, Rae. Nawet nowicjusz by to zrobił — stwierdził.

— Ale nie wiem, czy wbiję igłę we właściwe miejsce.

— Na lufie pistoletu jest tłumik — powiedział do niej jak do małego dziecka. — Nie muszę ci mówić, jak bardzo chcę, aby Bo sprzedał to cholerne Centrum. Ruszaj się. Na co czekasz?

290

Wolno wzięła strzykawkę z jego ręki i włożyła pięć z nich do górnej kieszeni fartucha. Przed oczyma stanęły jej obrazy nieżywych kobiet i noworodków. Czy powinna wbić te strzykawki w niego? Zdażyłby strzelić, poza tym oxytocyna nie wyrządziłaby mu żadnej krzywdy. Musiała robić, co kazał, i modlić się, aby ktoś tu przyszedł.

Walker podał jej worek. Odwróciła go, żeby lepiej widzieć miejsce tuż przy wylocie.

— To tak, jakbyś kradła dziecku cukierki.

— Ale tu już jest dziurka — zauważyła.

— Rzeczywiście zapomniałem, że w tych już to zrobiłem. Zaraz jak odszedł stąd Sam Hartman, a Martin wyszedł na przerwę. Weź następny. Dlatego Martin go nie widział. Wbiła igłę w worek i zawahała się.

— Teraz naciśnij — rozkazał.

Widziała, jak strzykawka opróżnia się i bezbarwny płyn miesza się błyskawicznie z wodą w kroplówce.

Nagle usłyszała jakiś hałas. Podniosła głowę i zobaczyła Mailera w końcu korytarza, a obok stał sierżant Lane. Obaj mieli broń. Dwie pielęgniarki i doktor Everett Loyd również przyglądali się im w milczeniu.

Rae spojrzała na Walkera, na worek i na strzykawkę w swoim ręku.

— Och, zapomniałem ci powiedzieć, że nim przyszedłem do ciebie do

szatni, zadzwoniłem po naszych stróży prawa — powiedział cicho.

Odsunął się od niej i dodał tak, aby tamci słyszeli: — Znakomite wyczucie czasu, panowie. Przedstawiam wam zabójczynię noworodków, doktor Rae Duprey.

— To nieprawda, to on jest... — zaczęła mówić Rae.

— Odsuń się na bok! — krzyknął Mailer celując w nią z pistoletu.

— Ale...

— Powiedziałem, odsuń się!

Rae rzuciła na podłogę worek z płynem i strzykawkę. Prawą ręką sięgnęła do kieszeni.

— Trzymaj ręce do góry! — ostro powiedział Mailer. Nie mogąc powiedzieć ani słowa wolno podniosła ręce do góry. I dyktafon wyjęty z kieszeni.

— Nie każ mi tego użyć! — krzyczał Mailer.

— Nie tak szybko, panowie. Myślę, że mam tu coś, co was zainteresuje.

— Ostrzegam po raz ostatni!

— Nie słuchajcie jej! — Walker patrzył na nią z niedowierzaniem. — Ona kłamie!

Musiała się spieszyć, nim Walker odzyska swą pewność.

291

— Naprawdę? — Wcisnęła przycisk do przewijania taśmy.— Mam tu całe jego zeznanie! — krzyczała w stronę zebranych osób. — Dokładnie opowiada, jak to się wszystko odbywało. To on wstrzykiwał oxytocynę do kroplówek. On zabijał kobiety i dzieci. Wszystko jest tutaj.

— Nie słuchajcie jej, ona tam nic nie ma! — wrzasnął Walker.

— Nie ma nic? To posłuchajcie. — Nim jednak zdążyła wcisnąć przycisk,

Walker wytrącił jej dyktafon z ręki. Chciała go złapać, ale to on złapał ją w pól i przyłożył pistolet do skroni.

— Zastrzele ją! Rozwalę jej łeb! Przysięgam! — krzyczał na całe gardło.

— Wszyscy cofnąć się! — rozkazał Lane.

Ku jej przerażeniu wszyscy schowali się za róg korytarza. Sama była zbyt przerażona, aby się ruszyć. Bała się nawet oddychać.

— Ruszaj — syknął przez zęby. Pchnął ją. Wolno szli przez pusty korytarz. — Odsuńcie się, pozwólcie nam wyjść! — krzyknął.

— Niech pan rzuci broń, puści doktor Duprey, a nikomu nic się nie stanie!

— usłyszała głos sierżanta.

Doszli do miejsca, gdzie przed chwilą stali policjanci. Walker wciskał pistolet w jej szyję tak mocno, że z trudnością mogła oddychać.

— Niech cię cholera, Rae. — Czuła strach w jego głosie.

Starła się zachować zimną krew. Ramię Walkera obejmowało jej szyję jak imadło, nie mogła ruszyć głową i trudno jej było zobaczyć, co się dzieje po prawej stronie. W końcu, kiedy wyszli z za rogu korytarza, ujrzała, że patrzy na nich cała izba przyjęć, pacjenci, lekarze i pielęgniarki.

— Niech wszyscy stąd wyjdą! — zażądał Walker. Nagle z tłumu zaczął się przeciskać w ich kierunku jakiś mężczyzna przebrany za biedronkę.

— Hej — zawołał pijanym głosem — co to za gangsterek...

Huk z pistoletu Walkera omal nie przebił jej bębenków. Teraz wiedziała, że kłamał mówiąc o tłumiku. Patrzyła, jak ciało mężczyzny osuwa się na podłogę.

— Mówiłem, że nie żartuję! — zawołał Walker. — Odłóżcie teraz swoją broń albo ją zastrzele.

Nikt się nie poruszył.

Zaraz, zaraz — myślała gorączkowo Rae. — Sierżant mówił coś o rozproszeniu uwagi porywacza. Ale co to było? — usiłowała sobie przypomnieć. Walker trzymał ją tak mocno, że z trudnością mogła oddychać. „Mrugnąć do policjanta!” — przypomniała sobie nagle. Lane mówił, żeby mrugnąć do najbliższego stojącego policjanta, a on na pewno zrozumie.

292

Ale czy dobrze widzieli jej twarz? Wolno odwróciła głowę w ich stronę. Lufa pistoletu Walkera jeszcze silniej wbiła się w jej głowę.

Miała nadzieję, że najbliższym jej będzie stał Lane, okazało się jednak, że Mailer. Wpatrując się w jego oczy, mrugnęła do niego. Mailer jednak nie zrozumiał jej znaku. Mrugnęła ponownie.

Patrzyła, jak gapi się na nią bez jakiegokolwiek reakcji. Mrugnęła po raz trzeci. Zaraz, ale co Lane mówił o sygnale od policjanta? Jaki to ma być sygnał? Tego się nie dowiedziała.

— Ty sukinsynie — odezwała się do Walkera. — Zastrzel mnie wreszcie, a później oni zastrzelą ciebie, najważniejsze, żeby cię szlag trafił.

Walker jeszcze mocniej przycisnął pistolet. W tym momencie na końcu korytarza pokazały się dwie pielęgniarzki.

— Co jest?! — zawołała jedna z nich.

— Cofnąć się! — wrzasnął Mailer.

Huknęły dwa strzały z pistoletu Walkera. Wbijające się w ścianę kule odbiły spory kawałek tynku.

— Ostrzegalem was! — zawołał Walker.

Jakby cała ta sytuacja nie była jeszcze wystarczająco dla niej dramatyczna, na izbę przyjąć wszedł Sam. Ich oczy spotkały się.

— Nie! — krzyknął i ruszył w jej kierunku.

— Sam, zatrzymaj się! — zawołała. Niestety jej głos został zagłuszony przez strzał Walkera. — Mailer! — krzyknęła w stronę policjanta.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Mrugnęła do niego. Czy teraz zadziała? Patrzył na nią przez moment, potem kiwnął głową i podrapał się w nos. Czy dawał jej sygnał? Mogła tylko zgadywać. Co będzie, to będzie — pomyślała.

Teraz! Bezwładnie osunęła się na Walkera i usłyszała strzał. Dźwięk był jednak inny. Upadła na podłogę. Była wolna, ale zdziwiona zauważyła, że obok niej nie ma ciała Walkera.

— Odsunąć się! — usłyszała sierżanta Lane.

Odwróciła głowę i zobaczyła Walkera biegnącego w stronę tłumu ludzi. Policjanci nie mogli strzelać, przed nim było zbyt dużo osób. Po chwili wmieszał się w tłum i znikł jej z oczu.

Podniosła się i biegiem ruszyła do leżącego Sama. Sycząc z bólu próbował się podnieść, podpierając lewą ręką. Prawe ramię miał całe zakrwawione, krew spływała po jego białym fartuchu chirurgicznym.

— Everett, zrób coś — prosiła lekarza dyżurnego izby przyjęć pomagając położyć Sama na wózek. — Jak się czujesz? — zapytała trzymając dłonie przy jego twarzy.

293

— Jak się czuję? — Sam uśmiechał się przez ból. — To ty mi powiedz, jak lekarz lekarzowi...

Pochyliła się i pocałowała go w czoło.

— Później ci powiem. Teraz muszę lecieć.

— Rae! — rzucił za nią, ale biegła już w dół korytarza. Miała jeszcze coś

do zrobienia.

Musiała złapać mordercę. Walkera C. Stuarta.

Zdażyła wybiec z izby przyjęć, gdy poczuła, jak chwyta ją jakieś silne ramię. Odwróciła się ze strachem sądząc, że to Walker ze swoim pistoletem. Był to jednak sierżant Lane. Trzymając ją mocno jedną ręką rozmawiał z kimś przez telefon.

— Niech mnie pan puści — próbowała się wyrwać.

— Zostanie pani ze mną — rzekł. Odwrócił głowę i dalej rozmawiał z kimś przez telefon. — Dobra, rozumiem. Mailer siedzi mu na ogonie. Ma radio. Złapiemy go. Przyślijcie tu swój zespół. — Powiesił słuchawkę. — Mamy szczęście — odezwał się do niej. — Grupa antyterrorystyczna ma właśnie ćwiczenia w West Berkeley, zaraz tu będą. Inaczej długo byśmy na nich czekali. — Zerknął na zegarek. — Powinni tu być za dziesięć minut. — Nie mamy aż tyle czasu — powiedziała z pretensją, uwalniając się z uścisku sierżanta.

W tym momencie jego krótkofalówka zaczęła szumieć i Rae rozpoznała głos Mailera: — Jest tutaj, mają tu jakiś ogród czy coś...

— To na siódmym piętrze! — zawołała, ruszając w kierunku schodów.

Lane zdażył się zerwać i złapać ją za koszulę. — Niech pani posłucha, on jest uzbrojony i niebezpieczny. Zostanie pani tutaj.

— Ale teraz już może być na dachu i nie zabawi tam długo — Odwróciła się do niego. — Jak dobrze pan zna ten szpital? — zapytała.

— Nie jestem tu po raz pierwszy, jeżeli to pani miała na myśli.

— Proszę — zaczęła błagalnie, zdecydowała się na zmianę taktyki. — On zabijał te wszystkie noworodki, niemal pozbawił życia moją najlepszą przyjaciółkę. Nie mogę tu zostać, nikt nie zna lepiej tego szpitala niż ja.

Pokażę panu skróty, musimy go złapać.

294

Sierżant wzruszył ramionami, lecz w jego oczach zobaczyła błysk zrozumienia.

— Dobra, ale muszę panią cały czas widzieć — ostrzegł.

Biegła do góry po parę schodów na raz, a Lane tuż za nią. Tylko dwoje drzwi prowadziło do ogrodu. Z prawej strony zobaczyła kilka pielęgniarek oblegających jedne z nich. Pomyślała, że właśnie tymi drzwiami wszedł Walker. Ruszyła więc tam.

— Z drogi! — krzyknął Lane, przebijając się przez tłum.

Rae wyszła za nim do ciemnego ogródka.

Początkowo wszędzie było niezwykle cicho. Nagle zobaczyła przesuwającego się za krzakami Mailera z bronią, ścisną oburącz.

Sierżant Lane też wyjął pistolet i kazał jej zostać. Schylony zaczął się skradać w stronę krzaków. Dotarł tam i przykucnął znikając w ciemności.

Rae spojrzała w przeciwnym kierunku, czy gdzieś nie wypatrzy Walkera. Mógł być wszędzie. To, co było przepięknym ogrodem w ciągu dnia, tej nocy zmieniło się w azyl dla uciekiniera. Walkera Stuarta, któremu zaufało dziesiątki ludzi powierzając w jego ręce zarządzanie szpitalem.

Mailer powoli przesuwał się do przodu. Schylony, z pistoletem, raz po raz oglądał się za siebie. Kiedy dotarł już do krawędzi ogrodu, wychylił się ostrożnie za balustradę, jakby spodziewał się tam znaleźć uczeplonego krawędzi Walkera.

Wtedy Rae dostrzegła ciemną sylwetkę szybko przesuwającą się w jego stronę.

— Mailer! — krzyknęła.

Za późno. Walker dopadł do Mailera i z rozpędu natarł ramieniem na policjanta. W nocnej ciszy rozległ się huk wystrzału. Mailer uderzył o balustradę, a jego stopy zataczając szeroki łuk znalazły się nagle nad głową. Śmiertelny krzyk rozdarł ciszę. Towarzyszył mu huk wystrzału z pistoletu Lane'a. Walker zniknął za krzakiem.

Rae zamknęła oczy i widziała, jak ciało Mailera spadając z siódmego piętra głucho uderza o chodnik.

— Niech pani się nie rusza! — rzucił Lane, skradając się w jej kierunku.

Drzwi po drugiej stronie ogrodu otworzyły się i zobaczyli znikającą w nich sylwetkę Walkera.

— Dokąd prowadzą te drzwi? — zapytał szybko Lane.

— W dół, tylnymi schodami...

— Idziemy — ostrożnie otworzył je. Tuż za nim posuwała się Rae.

— Kiedy ta grupa antyterrorystyczna tu będzie? — zapytała cicho.

295

— I tak nic po nich, dopóki nie zagonimy go w jakiś kąt. — Nagle, gdzieś z oddali usłyszała głos syren i wycie straży pożarnej. — Niech się pani trzyma blisko mnie — dodał cicho.

Pokiwała głową, w milczeniu ruszając za nim po schodach. Na każdym półpiętrze Lane zatrzymywał się sprawdzając drzwi. Wszystkie były pozamykane.

Kiedy dotarli na trzecie piętro — oddział położniczy — zobaczyła, że drzwi są lekko uchylone. Lane zatrzymał się i kazał jej się odsunąć. Sam wychylił się za framugę. Spodziewała się usłyszeć strzał z pistoletu Walkera, jednak nic nie zakłóciło ciszy.

— Będzie chciał wziąć następnego zakładnika — szepnął Lane. — Pewnie

jakaś kobietę.

Stali już na jej oddziale w jasnym świetle korytarza, w jej drugim domu.

— Ale pielęgniarki będą go widziały — odezwała się Rae.

— Ma pistolet — przypomniał Lane — a to mocny argument w przetargu.

W tym samym momencie usłyszeli krzyk kobiety gdzieś z głębi oddziału.

Lane ruszył tam, na prawo.

— Nie! — zawołała Rae. — On musi iść w drugą stronę! Sierżant

zatrzymał się zdziwiony. — Wiem, gdzie jest oddział położniczy.

Myśli Rae jak zwykle w takich sytuacjach nabierały rozpędu.

— Ale skoro potrzebuje zakładnika, to pójdzie tam, gdzie go dostanie bez najmniejszego trudu.

— To znaczy gdzie?

— Oddział noworodków! — krzyknęła. — Idzie do noworodków!

— Boże! — jęknął Lane. — Jest pani pewna?

— Idziemy! — szybko ruszyła w kierunku oddziału noworodków.

— Zaraz, mówiłem, żeby pani trzymała się za mną! — krzyknął biegnąc za nią.

Rae pędziła. W gardle miała sucho, czuła, jakby od środka palił ją jakiś ogień. Coraz trudniej było jej oddychać. Nie było to spowodowane brakiem kondycji, paraliżował ją strach i przerażenie, co może się stać, i obawa o życie niewinnych noworodków z zadartymi noskami, które kochała ponad wszystko na świecie.

Skręciła w mało używany wąski korytarz, który prowadził do pomieszczenia gospodarczego, z tyłu sali z noworodkami. Oddzielone było od sali drzwiami z niewielką szybą pośrodku. Szyba była zakurzona, lekko przykładając do niej łokieć przetarła mały kawałek.

Zobaczyła plecy Walkera. Przed nim stały dwie przestraszone pielęgniarki. Obrócił się i Rae zobaczyła, że na ręku trzyma maleńkiego, nagiego noworodka. Tuż przy małej różowej główce ujrzała błyszczącą w ostrym świetle lufę pistoletu.

Bardzo dużo kosztowało ją opanowanie się. Chciała wejść tam i wyrwać mu z rąk to niewinne stworzenie. Musiała coś zrobić, musiała je uratować. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Czego mogłaby użyć jako broni? Gdyby tylko mogła tam wejść i uderzyć go czymś ciężkim w głowę albo chociaż odwrócić jego uwagę na tyle, by Lane mógł do niego strzelić. Ponownie spojrzała przez szybę.

Gdzie, do cholery, jest Lane? I gdzie ta pieprzona grupa antyterrorystyczna? Ile czasu potrzebują, aby tu dotrzeć?

Zacząła uważnie rozglądać się po pomieszczeniu. Były tu tylko rękawice chirurgiczne, kilka kroplówek, jakiś papier i plastikowy pojemnik na ręczniki. Spojrzała na salę. Może tam znajdzie coś ciężkiego. Walnęłaby go tym w głowę i...

Wtedy zauważyła jakąś ciemną sylwetkę wchodzącą ostrożnie na oddział. Ktoś z grupy antyterrorystycznej. Trzymał karabin wycelowany prosto w Walkera.

Dlaczego nie strzela? Nie mógł, kiedy obok Walkera było tyle noworodków? Ze swojego miejsca słyszała płacz dzieci dochodzący z ich łóżeczek, jakby wiedziały, że Walker trzyma jedno z nich.

Nie mogła tak stać, musiała coś zrobić. Tylko co? Gdzie jest reszta tej grupy? Gdzie Lane? Na co oni czekają? Dlaczego nic nie robią?

Podskoczyła z przerażenia słysząc dźwięk telefonu. Walker z pistoletem

przy główce dziecka ruchem głowy pokazał pielęgniarce, żeby odebrała. Jessica podniosła słuchawkę i wyciągnęła rękę w jego kierunku.

— Powiedz im, że chcę rozmawiać z moją żoną! — krzyczał. — Chcę rozmawiać z Denise!

Jessica powiedziała coś do słuchawki.

— Przywiozą tu pańską żonę, ale potrzebują na to trochę czasu.

— Trzy minuty!

— Mówią, że co najmniej piętnaście! — krzyczała przez łązy Jessica.

— Powiedz to temu dziecku! — przerwał jej. — Trzy minuty!

Rae spojrzała na zegar. Wskazówka sekundnika gnała. Ale jej serce biło jeszcze szybciej. Trzy minuty życia! Dziecko, które trzymał Walker, nie było starsze niż dwie godziny. Dwie godziny i trzy minuty życia na tym świecie. Nie pozwolę na to, powiedziała do siebie. Niech mnie szlag tu trafi, a nie pozwolę!

297

Ponownie zaczęła się nerwowo rozglądać po pomieszczeniu. Może po prostu krzyknąć i skoczyć na niego, odwrócić na moment jego uwagę, a wtedy...

Znów odezwał się dzwonek telefonu.

— Już idzie, jest w drodze! — nerwowo krzyczała Jessica.

— Dwie minuty! — krzyczał Walker.

Co Walker mówił o desperacji? Że zdesperowani ludzie robią desperackie rzeczy. Nie mówił o jakiejś cichej desperacji, o sposobie, w jaki żyje wielu ludzi czy myśli. Mówił o desperacji popartej desperackimi czynami.

— Proszę, panie Stuart — odezwała się druga pielęgniarka — ma pan nas. Niech pan zostawi dzieci.

— Zamknij się! — wrzasnął. — Zamknij się, do jasnej cholery, i dawaj tu moją żonę!

Pielęgniarki zamilkły, ale dzieci płakały jeszcze głośniejsze.

— Wiem, że tam jesteście! — krzyczał. — Wiem, co sobie myślicie!

Początkowo pomyślała, że Walker ma jakieś zwidy. Powiodła wzrokiem po sali. I wtedy zrozumiała, co miał na myśli. Ci z grupy terrorystycznej okrążali go, ale byli niewidoczni. Na co jednak czekali?

Wtedy zobaczyła jakąś postać wchodzącą w cień, w miejsce, gdzie przed chwilą był ten z karabinem. To Bo! On też ją zauważył i przyłożył palec do ust.

— Walker! — krzyknął. — To ja, Bo! Proszę, odłóż już ten cholerny pistolet. Sprzedam Centrum, niech to diabli, zamknę je. Walker! Odłóż to dziecko i pozwól ludziom odejść!

— Za późno — odezwał się łamiącym się głosem Walker. Jakby płakał. — Rae! Wiem, że też tam jesteś. Powiedz im, Rae. Powiedz im, że chcę rozmawiać z Denise!

Telefon, telefon — myślała gorączkowo Rae — zadzwoń, odezwij się. Na pewno ci z grupy antyterrorystycznej nie byli na tyle głupi, by myśleć, że Walker blefuje? Na pewno nie czekali, aby upłynął dany im czas, żeby zobaczyć, co zrobi.

— Powiedz im, Rae! — wołał Walker. — Powiedz im, że nie mają wyboru. Niech sprowadzą tu Denise, to uratują to dziecko. Ona jest wszystkim, co mam. Rae, ty wiesz o tym. Kogo teraz ocalisz, Rae? Powiedz im, że muszą uratować to dziecko! Powiedz im to, Rae. Tylko ty to wiesz...

Słyszając, jak Walker zwraca się bezpośrednio do niej, czuła się, jakby ktoś

bił ją po twarzy. Ale miał rację, pomyślała zaskoczona.

Ocalić życie! Wiedziała już, jak ma to zrobić. Jak uratować życie swoje i tych, którym się poświęciła — noworodkom. Jej myśli stały się krystalicznie czyste, jak ostrze skalpela. Powoli osunęła się na kolana.

Poczuła

298

chłód podłogi. Delikatnie pchnęła barkiem drzwi, mając nadzieję, że Walker tego nie zauważy. Jedyńm, który mógł to widzieć, był ktoś ukryty za małym pulpitem po drugiej stronie sali. Równie delikatnie, jak otworzyła, zamknęła drzwi.

Serce jej waliło, kiedy na czworakach posuwała się po chłodnej podłodze sali noworodków. Czekala tylko, kiedy ktoś krzyknie odkrywając jej obecność. Ale ciągle słyszała tylko płacz noworodków. Zerknęła do góry, wolno przesuwając się po twardej podłodze. Czuła ostry, przenikliwy ból kolan. Pomyślała, jak dzieci mogą to lubić?

Widziała profil Walkera. Zazwyczaj elegancko przyczesane włosy i broda były teraz dziko rozmierzwione. Krawat rozluźniony. Broń trzymał przy policzku dziecka. Zamarła, gdy niemowlę odwróciło główkę i otwarło buzię w stronę stalowej lufy pistoletu.

Była już za wysokim stołem, niewidoczna dla nikogo. Z jej prawej strony były kolejne drzwi, w których widziała czterech członków grupy z podniesionymi karabinami. Powoli przeszła na drugi koniec stołu, półtora metra od siebie zobaczyła łydki Walkera. Spojrzała do góry i widziała, jak dziecko trzymane przez Walkera wyciąga rączki w kierunku pistoletu.

Wskazówka zegara rozpoczęła wędrówkę do góry po ostatniej połowie wyznaczonego przez Walkera czasu.

Teraz albo nigdy — pomyślała. Szybko wstała z podłogi. W rękę trzymała pięć strzykawek z obnażonymi igłami. Ścisnęła je mocno w dłoni, cofnęła rękę... i w tym momencie usłyszała krzyk pielęgniarki.

Walker odwrócił się gwałtownie, lecz zanim zdążył wycelować w nią pistolet, z całą siłą swej małej ręki wbiła mu strzykawkę w szyję. Ocalić dziecko! Tego się uczyła przez całe życie. Czowała, jak igły zagłębiają się w jego ciało. Nie ustawała, pchała mocno i miała nadzieję, że jedna z nich dojdzie do splotu barkowego.

Krzyknął przeraźliwie, wykrzywiając twarz z bólu. Zobaczyła, jak dziecko wysuwa mu się z ręki i leci w kierunku zimnej, twardej podłogi. Z wyciągniętymi do przodu ramionami rzuciła się na podłogę. Krzyknęła z bólu uderzając o nią łokciami. Ale spadła przed dzieckiem, złapała je i odruchowo przycisnęła do piersi.

Nad głową usłyszała świst i huk wystrzałów. Odwracając głowę zobaczyła opadające na nią ciało Walkera.

Zdażyła jeszcze lekko przekręcić się na bok i poczuła na sobie zwalające się ciężkie ciało, wyciskające z jej płuc resztki powietrza. Mocno trzymała dziecko przy piersi. Zamknęła oczy.

Słyszała odgłos ciężkich butów, podniosła głowę. Nad sobą zobaczyła wianek z luf karabinów, ktoś zsunął z niej ciało Walkera. Spojrzała na

299
trzymane przy piersi dziecko. Patrzyło na nią dużymi oczyma, jakby chciało zapytać, co się stało?

— Wszystko w porządku, doktor Duprey? — usłyszała głos sierżanta Lane'a.

Schylił się, chcąc wziąć z jej rąk dziecko. Nie dała, trzymała jeszcze przez

chwile, jakby chciała upewnić się, że naprawdę wszystko jest już w porządku. Dopiero wtedy oddała noworodka w ręce sierżanta.

Podniosła się z podłogi i spojrzała na Walkera. Marynarkę miał odpiętą, a na białej koszuli widać było dziury od kul. Na jego twarzy rysował się dziwny spokój, wyglądał tak, jak pamiętała go z ich pierwszego spotkania. Kiedy jego myśli były wypełnione marzeniami o najlepszym szpitalu w Kalifornii. Spod niego wypływała kałuża krwi, czerwonej i błyszczącej. Sięgnęła ręką do szyi i poczuła na palcach lepłą ciecz, całą rękę miała zabarwioną na czerwono, spojrzała z niepokojem na dziecko.

— Całe i zdrowe — powiedział Lane odczytując jej myśli.

— Muszę wrócić na izbę przyjęć — odezwała się drżącym jeszcze głosem.

— Rae — usłyszała za sobą. Odwróciła się powoli. Za nią stał Bo.

— Tak mi przykro. Nigdy bym nie pomyślał...

— Żadne z nas by o tym nie pomyślało — przerwała mu.

Boli tylko wtedy, gdy się śmieję — rzekł Sam do Rae, patrząc, jak lekarz z izby przyjęć kończy bandażowanie jego ramienia. Rae przebrała się już i umyła. Stała przy nim trzymając go za rękę.

— Przyjdź do mnie za jakieś pięć dni, to powyjmuję te szwy — powiedział doktor Lloyd wypisując receptę.

Sam uśmiechnął się i podziękował. Odwrócił się do Rae.

— Może tobie przydałyby się jakieś tabletki na sen?

Nim jednak zdążyła mu odpowiedzieć, zobaczyli pielęgniarzy pchających wózek. Pod białym prześcieradłem rozpoznać można było sylwetkę dużego mężczyzny.

— Był moim przyjacielem — powiedziała cicho — jednym z moich najlepszych przyjaciół.

Sam wstał i delikatnie chwycił ją za dłoń.

— On nie był twoim przyjacielem, Rae. Chodźmy zobaczyć najlepszego przyjaciela...

Na oddziale intensywnej terapii Sam stanął z boku Rae przy łóżku Bernie.

— Zostawię was na chwilę same — rzekł Sam ściskając jej dłoń.

Przysunęła krzesło do łóżka i usiadła. Za oknem słońce wstawało powoli.

Wody zatoki były spokojne. Za oświetlonym pierwszymi promieniami słońca mostem Golden Gate, ostro rysowała się linia horyzontu. Rae wzięła w swoje ręce dłoń Bernie, była ciepła i żywa. Teraz to się dla niej najbardziej liczyło. Spojrzała na okno.

— Będziesz miała piękny widok, jak się obudzisz — tłumaczyła. —

Wiesz, złapaliśmy tego, co ci to zrobił. Możesz się już obudzić, nie będziesz musiała się go obawiać...

Ścisnęła palce Bernie i jakby słyszała, jak ona jej odpowiada, gdzieś głęboko w sercu.

— Słyszałem, że z nią coraz lepiej — odezwał się Sam, stając przy niej.

— Na pewno, Sam. Wszystko będzie dobrze. — Wstała z krzesła. W windzie, przytulona do Sama wcisnęła guzik z trójką.

— Gdzie teraz? — spytał zdziwiony. — Nie powinnaś jechać do domu?

— Za chwilę — powiedziała.

Kiedy drzwi od windy się otworzyły, ruszyła prosto do sali z noworodkami. Dziecko, które Walker trzymał jako zakładnika, leżało teraz w objęciach matki ssąc spokojnie jej pierś. Pozostałe noworodki leżały cicho w swoich łóżeczkach machając zabawnie różowymi ramionkami. Wszędzie panowała cisza i spokój. Rzadka to rzecz na oddziale

noworodków.

— Teraz mogę już iść do domu — stwierdziła z uśmiechem.

W połowie drogi do windy zobaczyła nagle potężną sylwetkę Noli Payne. Szła w jej stronę, a pielęgniarka obok trzymała duże zawiniątko. Ostatnim razem, kiedy się spotkały, Nola nie rozpoznała Rae. Teraz Rae czuła, jak jej serce wypełnia się dumą i satysfakcją.

— Dziecko Jezusa. — odezwała się Nola zatrzymując się przy Rae.

Ta z uwagą przyglądała się niemowlęciu patrzącemu na nią wielkimi niebieskimi oczyma. Uśmiechnęło się, jakby chciało coś do niej powiedzieć. Nikt w tym momencie nie przekonałby Rae, że to przypadek.

— Dziecko Jezusa — powtórzyła Nola.

Rae nie musiał nikt mówić, czyje to dziecko. W niezwykle sposób wróciło z miejsca, gdzie tylko przez przypadek śmierć nie dotarła. Wpatrując się w te jego pulchne różowe policzki i delikatne trzy fałdki pod brodą po-
301

czuła, że ogarnia ją uczucie, którego od dawna nie doznała. Satysfakcja połączona z radością i olbrzymim wzruszeniem.

Łza spłynęła jej po policzku i zatrzymała się w kąciku ust. Dotknęła jej językiem i lekko zdziwiona słonawym smakiem przypomniała sobie, że tak właśnie smakują łzy.

— Niech pani nie płacze! Wszystko będzie dobrze — powiedziała do niej pielęgniarka.

— Wiem, wiem — uśmiechnęła się lekko i wtedy druga łza spłynęła po policzku, ale nie wytarła jej.

Pierwsza była dla dziecka Noli, druga dla jej matki.

Prawie dwadzieścia pięć lat później.

Sam wychodził razem z nią z izby przyjęć. Jak dobrze iść do domu — pomyślała — i położyć się przy jego boku. Przy wyjściu spotkali Bo.

— Czy mógłbym z tobą porozmawiać? Na osobności — zapytał.

— Wybacz nam, Sam — zwróciła się do niego.

— Nie ma sprawy.

Odeszła z Bo na parę kroków.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że podjąłem decyzję — zaczął Bo. —

Nie zamknę Centrum Porodów...

Rae czekała na dalszy ciąg tej złej raczej wieści.

— ...ale chcę zamienić je na przychodnię ginekologiczno-położniczą, bez odbierania porodów, Rae. I wszystkie swoje pacjentki przenoszę z powrotem tu, tak jak reszta lekarzy.

Patrzyła na niego kompletnie zaskoczona.

— I co o tym sądzisz? — Patrzył, jak uśmiech powoli rozjaśnia jej twarz.

— Gratuluję ci i życzę wszystkiego najlepszego, Rae. Nikt inny nie zasłużył na to i nie ma lepszych kwalifikacji, aby zostać ordynatorem oddziału położniczego w tym szpitalu.

Wyciągnął do niej rękę. Rae potrząsnęła nią.

— Ale jak to zrobić z moim zawieszeniem?

— Jakim zawieszeniem?

302

Puścił jej rękę i spojrzał ciepło w oczy. Poczwała nagle, jakby pożegnała się z nieznanym, a przywitała z nowym przyjacielem.

— Doktor Duprey, doktor Duprey! — usłyszała wołanie. To była Syl-via z izby przyjęć. — Pani to upuściła, pamięta pani? Policjanci chyba to muszą dostać, jako dowód... — Podała jej dyktafon.

Rae wzięła go i odwracając się do Sama włączyła: „...i kości wołowe dla Leopolda” — usłyszeli.

Zaśmiała się głośno i szczerze.

— Co to jest? — zapytał Sam.

— Później ci opowiem.

Oddała dyktafon Sylvii.

Na zewnątrz ogarnął ich chłodny powiew powietrza znad zatoki, lekko słonawy. Odwróciła głowę w kierunku, skąd wiał, i zobaczyła Heidi O'Neil, jak zwykle ubraną w swój nienagannie skrojony kostium, okrążoną przez reporterów z błyskającymi fleszami.

— Gdzie teraz? — spytał Sam.

— No cóż, sam chyba wiesz — odparła mocniej wtulając się w jego ramię.

— Do domu, wziąć gorący prysznic, zjeść coś i położyć się spać. Ale lepiej, żebyś tam był ze mną, bo jak się obudzę, to będę miała ochotę na szaloną miłość... I jak ci się podoba mój plan zaangażowania medycyny w moje życie, a nie na odwrót?

Sam objął ją ramieniem.

— Brzmi to jak lekarstwo, którego nie można nie wziąć. No cóż, przecież to ty jesteś lekarzem.

Uśmiechnęła się i na moment zamyśliła.

— Jestem, doktorze Hartman, naprawdę jestem lekarzem...